

Maeve
Binchy

GŁOGOWY GAJ

Przełożyła
Ewa Horodyska

Prószyński i S-ka

Droga, lasy i studnia — 1

Ksiądz Brian Flynn, wikariusz parafii Świętego Augustyna w Rossmore, nienawidził Dnia Świętej Anny z pasją wręcz niezwykłą jak na katolickiego kapłana. Z drugiej strony jednak, o ile wiedział, był jedynym księdzem na świecie, który posiadał w swej parafii popularną studnię Świętej Anny, sanktuarium wątpliwego pochodzenia. Miejsce, gdzie gromadzili się wierni, by prosić matkę Marii Panny o wstawiennictwo w rozmaitych sprawach, głównie intymnych i osobistych. Do tych sfer życia prosty wiejski ksiądz nie miał dostępu. Były to takie kwestie, jak znalezienie narzeczonego albo męża, a następnie obdarzenie związku potomkiem.

Rzym jak zwykle pomijał studnię mało pomocnym milczeniem.

Prawdopodobnie Rzym w ten sposób się zabezpiecza, myślał ponuro ksiądz Flynn. Muszą się tam cieszyć, że w coraz bardziej zeświecczonej Irlandii uchowała się jakakolwiek religijna praktyka, i nie chcą ludzi do niej zniechęcać. Czy jednak Rzym nie wydał już oświadczenia, że na pogańskie rytuały i przesady nie ma miejsca w zbiorze zasad wiary? Osobliwa rzecz, jak mawiał Jimmy, sympatyczny młody lekarz z wioski Doon odległej o kilka kilometrów. Powiedział, że dokładnie to samo dzieje się w medycynie: człowiek nigdy nie znajdował wskazówek, kiedy ich potrzebował, tylko wówczas gdy wcale nie były mu potrzebne.

Co roku 26 lipca odbywała się uroczystość, na którą wierni przyjeżdżali z daleka i bliska, by się pomodlić i przystroić studnię girlandami i kwiatami. Niezmiennie proszono księdza Flynna o powiedzenie kilku słów, co za każdym razem przysparzało mu udręki. Nic mógł oznajmić ludziom, że to coś bardzo bliskiego balwochwaltwa, gdy tłumy wiernych pchają się do odrapanego posągu w grocie tuż obok starej studni pośrodku Głogowego Gaju.

Sądząc z tego, co sam przeczytał i przestudiował, święta Anna, podobnie jak jej mąż, święty Joachim, była postacią zagadkową. Przypuszczalnie mylono ją w opowieściach z Hannah ze Starego Testamentu, co do której uważano, że na zawsze pozostanie bezdzietna, lecz w końcu urodziła Samuela. Cokolwiek mogła jeszcze uczynić przed dwoma tysiącami lat, z pewnością nie odwiedziła Rossmore w Irlandii i nie znalazła miejsca w lesie, by powołać tam do istnienia święte źródło, które nigdy nie wysycha.

To jedno raczej nie uległo wątpliwości.

Ale gdyby Brian spróbował przekonywać o tym niektórym mieszkańcom Rossmore, wpadłby w tarapaty. Dlatego stawał przed nimi co roku, mamrotał cząstkę różańca, co nie mogło nikogo urazić, i wygłaszał krótkie kazanie o dobrej woli, tolerancji i życzliwości wobec sąsiadów, na ogół trafiające w próżnię.

Ksiądz Flynn myślał często, że ma wystarczająco dużo własnych zmartwień i nie musi dodawać do nich świętej Anny z jej wiarygodnością. Zdrowie jego matki coraz bardziej szwankowało i szybkimi krokami zbliżał się dzień, gdy chora nie będzie już dłużej mogła mieszkać sama. Jego siostra Judy napisała w liście, że być może Brian upodobał sobie samotne życie w celibacie, ale ona na pewno nie. W pracy miała do czynienia wyłącznie z żonatymi mężczyznami albo gejami. Agencje matrymonialne okazały się pełne psychopatów, a na kursach wieczorowych spotykała cierpiących na **depresję** nieudaczników; zamierzała więc przyjechać do Rossmore i poprosić świętą Annę, by zajęła się jej sprawą.

Jego brat Eddie porzucił żonę Kitty z czwórką dzieci, by odnaleźć siebie. Brian wyruszył na poszukiwanie Eddiego - który uwil sobie wygodne gniazdko z Naomi, dziewczyną młodszą od opuszczonej żony o dwadzieścia lat - i nie doczekał się za swą troskę zbyt wylewnych podziękowań.

- To, że ty sam nie jesteś normalnym mężczyzną, nie oznacza, że cała reszta musi złożyć śluby czystości - rzucił Eddie, śmiejąc mu się w twarz.

Brian Flynn odczuwał wielkie znużenie. W istocie uważał się za normalnego mężczyznę. Oczywiście pożądał kobiet, ale zawarł pewną umowę. Zgodnie z obowiązującymi w tej chwili regułami, jeśli miał być księdzem, musiał zrezygnować z małżeństwa, dzieci i porządnego, normalnego życia rodzinnego.

Ksiądz Flynn zawsze sobie powtarzał, że ten nakaz pewnego dnia ulegnie zmianie. Nawet Watykan nie mógł stać z boku i beczynnienie patrzeć na tyłu ludzi rezygnujących z posługi kapłańskiej za sprawą reguły wprowadzonej przez człowieka, nie przez Boga. Za życia Jezusa wszyscy apostołowie byli żonaci, zasady gry zmieniono znacznie później.

No i wreszcie wszystkie te kościelne skandale musiały uświadomić zacofanym, konserwatywnym kardynałom, że dwudziesty pierwszy wiek wymaga pewnych dostosowań.

Ludzie nie szanowali już automatycznie Kościoła i duchownych.

Wręcz przeciwnie.

Powołania do kapłaństwa stały się teraz rzadkością. Brian Flynn i James O'Connor byli jedynymi wyświęconymi księżmi w diecezji od ośmiu lat. A James O'Connor odszedł z Kościoła, oburzony tym, w jaki sposób chroniono pewnego starszego księdza napastującego nieletnich, który dzięki zatuszowaniu sprawy mógł uniknąć leczenia i kary.

Brian Flynn jeszcze się trzymał, ale ledwo, ledwo.

Jego matka zapomniała, kim on w ogóle jest, brat nim pogardzał, a siostra Judy zamierzała teraz przyjechać z Londy-

nu, by odwiedzić starą pogańską studnię, i zastanawiała się, czy skutek będzie pewniejszy w Dzień Świętej Anny

Proboszczem księdza Flynna był łagodny staruszek, kanonik Cassidy, który zawsze chwalił młodego wikarego za ciężką pracę.

- Zostanę tu, Brianie, dopóki będę mógł, aż wreszcie uznają, że jesteś już w odpowiednim wieku, by powierzyć ci parafię - powtarzał często kanonik. Miał dobre chęci i bardzo pragnął oszczędzić księdzu Flynnowi upokorzenia, jakim byłoby zwierzchnictwo aroganckiego i trudnego obcego proboszcza. Chwilami jednak Brian Flynn zadawał sobie pytanie, czy nie należałoby podporządkować się prawom natury, wyprawić kanonika Cassidy'ego do domu opieki dla emerytowanych duchownych i pozyskać kogoś, kogokolwiek, do pomocy w obowiązkach duszpasterskich.

Wprawdzie do kościoła przychodziło teraz o wiele mniej osób niż w czasach jego młodości, ale nadal musiał udzielać chrztów i pierwszych komunii, słuchać spowiedzi, dawać słu- by i odprawiać pogrzeby.

Jednak czasami, na przykład latem, gdy przyjeżdżał w charakterze pomocnika ksiądz z Polski, Brian Flynn dochodził do wniosku, że może lepiej dalby sobie radę sam. W ubiegłym roku polski ksiądz spędził kilka tygodni na przygotowywaniu girland dla świętej Anny i jej studni.

Niedawno ksiądz Flynn odwiedził młodsze klasy podstawówki Świętej Ity i zapytał, czy któreś z uczennic chciałyby zostać zakonnkami, kiedy dorosną. Pytanie zupełnie na miejscu w katolickiej szkole dla dziewczynek. Były zaskoczone. Żadna nie miała pojęcia, o co mu chodzi. Wreszcie jedna zrozumiała.

— To znaczy, tak jak w filmie „Sister Act”?

Ksiądz Flynn poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg.

Czasami, kiedy budził się rano, widział przed sobą nieskończenie długi, oglupiający dzień. Musiał jednak jakoś żyć dalej, brał więc prysznic i próbował przyglądać rude włosy, które zawsze sterczały mu w nastroszonych kosmykach wokół głowy.

Potem szykował filiżankę herbaty z mlekiem i grzanek z miodem dla kanonika Cassidy'ego.

Stary proboszcz zawsze okazywał mu tyle wdzięczności, że ksiądz Flynn czuł **się** wynagrodzony. Rozsuwał zasłony, poprawiał poduszki i wygłaszał jakąś pogodną uwagę na temat świąta za oknem. Później szedł do kościoła i odprawiał codzienną mszę dla wciąż malejącej liczby wiernych. Po mszy wstępował do matki, zastanawiając się z niepokojem, w jakim zobaczy ją stanie.

Nieodmiennie siedziała przy kuchennym **stole**, sprawiając wrażenie zagubionej i bezwolnej. Tłumaczył, **jak** zawsze, że jest jej synem, księdzem w tutejszej parafii, i przyrządzał śniadanie składające się z owsianki i jajka na miękko. Następnie z ciężkim sercem przemierzał Castle Street, kierując **się** do kiosku Skunksa Slattery'**ego**, gdzie kupował dwie gazety: jedną dla kanonika i jedną dla **siebie**. To zazwyczaj oznaczało taką lub inną potyczkę intelektualną ze Skunksem na temat wolnej woli, predestynacji albo tego, jak kochający Bóg może dopuścić do tsunami czy klęski głodu. Po powrocie na **plebanię** zastawał tam Josefa, pochodzącego z Lotwy opiekuna, który pomagał kanonikowi wstać, umyć się i ubrać i słał **jego** łóżko. Kanonik już siedział, czekając na swoją gazetę. Później Josef zabierał go na przechadzkę do kościoła **Świętego** Augustyna, gdzie staruszek modlił **się** z zamkniętymi oczyma.

Proboszcz Cassidy lubił zjeść zupę na lunch i czasami opiekun zabierał go do małej restauracyjki, przeważnie jednak prowadził drobnego, kruchego staruszka z powrotem do domu, gdzie żona Josefa Anna podawała jakąś domową potrawę; w zamian kanonik uczył Annę nowych angielskich słów i zwrotów.

Bez ustanku interesował się ojczyzną Josefa i Anny, prosił o pokazywanie zdjęć Rygi i powtarzał, że to piękne miasto. Josef miał jeszcze trzy inne zajęcia: sprzątał kiosk Skunksa Slattery'ego, zabierał ręczniki od fryzjera do pralni samoobsługowej i zatłwiał pranie, a trzy razy w tygodniu jechał autobusem do Nolanów i pomagał Neddy'emu Nolanowi w opiece nad ojcem.

Anna również pracowała w kilku miejscach: czyściła mo-
siężne elementy w drzwiach banku oraz biurowych gmachów,
na których wywieszano duże, imponujące tabliczki, zmywała
naczynia po śniadaniu w hotelowych kuchniach, rozpakowy-
wała przysyłane do kwaciarni z targowisk kwiaty i wstawiała
je do dużych wiader z wodą. Josefi Anna byli oszołomieni bo-
gactwem i możliwościami oferowanymi przez Irlandię. Mogli
tu odłożyć masę pieniędzy.

Mieli swój plan pięcioletni, jak powiedzieli kanonikowi Cas-
sidy'emu. Oszczędzali, żeby kupić sklepik na obrzeżach Rygi.

- Może ksiądz nas tam odwiedzi? - spytał raz Josef.

- Będę na was spoglądał i błogosławił wasze dzieło - odparł
kanonik rzeczowym tonem, oczekując wszystkiego, co najlep-
sze na tamtym świecie.

Czasami ksiądz Flynn mu zazdrościł.

Staruszek nadal żył w świecie rzeczy pewnych, w miejscu,
gdzie kapłan był kimś ważnym, szanowanym i gdzie na zadane
pytanie każdy otrzymywał odpowiedź. Za czasów proboszc-
za Cassidy'ego księża mieli codziennie dziesiątki różnych za-
jęć. I nie wystarczyło im na nie czasu. Ksiądz był upragnionym,
wypatrywanym i niezbędnym uczestnikiem wszelkiego rodza-
ju wydarzeń w życiu parafian. Teraz musiałeś czekać, aż cię
zaproszą. Kanonik Cassidy zawitalby nieproszony i bez uprze-
dzenia do każdego domu w parafii. Ksiądz Flynn nauczył się
większej powściągliwości. We współczesnej Irlandii, nawet
w takiej mieścinie jak Rossmore, wiele osób niechętnie widzia-
łoby w swych progach koloratkę.

Dlatego dzisiaj Brian Flynn miał przed sobą zaledwie kilka
spraw do załatwienia. Musiał spotkać się z pewną polską rodzi-
ną emigrantów i wyznaczyć datę chrztu ich bliźniąt na najbliż-
szą sobotę. Rodzice pytali go, czy ceremonia nie mogłaby się od-
być przy studni. Brian z trudem opanował rozdrażnienie. Nie,
odbędzie się przy chrzcielnicy w kościele Świętego Augustyna.

Potem odwiedził w areszcie więźnia, który wcześniej prosił
o wizytę. Aidan Ryan był agresywnym mężczyzną, a jego żo-

na po latach przerwała milczenie i wyznała, że ją bił. Nic okazywał smutku ani skruchy, opowiadał tylko rozwlekle, że to wszystko jej wina, bo przed laty sprzedawała ich dziecko jakiemuś przypadkowemu przechodniowi.

Ksiądz Flynn wstąpił też z Najświętszym Sakramentem do domu spokojnej starości na obrzeżach Rossmore, o groteskowej nazwie Paprocie i Wrzosi. Kierowniczka uznała, że w wielokulturowej Irlandii byłoby sympatyczniej nie nazywać wszystkiego imionami świętych. Pensjonariusze powitali księdza z radością i pokazali mu najrozmaitsze ogrodnicze przedsięwzięcia. Kiedyś, dawno temu, wszystkie podobne zakłady podlegały zakonom, ale obecna kierowniczka, pielęgniarka Poppy, jak się pokazało, świetnie dawała sobie ze wszystkim radę.

Brian miał do dyspozycji stary, zdezelowany samochód, rzadko jednak korzystał z niego w obrębie samego Rossmore, gdzie jeździło się fatalnie, a parkowało jeszcze gorzej. Pojawiły się pogłoski o budowie dużej obwodnicy, szerokopasmowej drogi, która przejmie ruch ciężarówek. Już teraz ludzie przeżywali rozterkę. Jedni mówili, że to pozbawi okolicę żywotności, inni twierdzili, że przywróci Rossmore przynajmniej w części dawny charakter.

Kolejna wizyta księdza Flynna wypadła w domu Nolanów.

Bardzo lubił tę rodzinę. Jej nestor, Marty, dziarski staruszek, opowiadał nieustannie historie z przeszłości; mówił o swej zmarłej żonie tak, jakby nadal żyła, i często wspominał księdzu Flynnowi o jej cudownym wyleczeniu za przyczyną modlitw przy studni Świętej Anny, dzięki której zyskała dwadzieścia cztery lata dobrego życia. Jego syn był bardzo porządnym człowiekiem - i on, i synowa Clare zawsze chętnie go witali. Ksiądz Flynn przed kilkoma laty asystował kanonikowi przy ich ślubie.

Clare była nauczycielką w szkole Świętej Ity. Powiedziała księdzu, że wszyscy dyskutują o nowej drodze, która ma powstać wokół Rossmore. Zadała nawet uczennicom pracę do-

mową na ten temat. Niezwykle było to, że droga miała zostać poprowadzona właśnie tędy, przez ich działkę.

- Czy dostaniecie za to wysoką rekompensatę? - spytał ksiądz Flynn z odzieniem podziwu. Miło było popatrzeć na do-
brych ludzi, którzy w życiu doczesnym otrzymują nagrodę.

- Och, proszę księdza, nie pozwolimy, żeby przebiegała przez naszą ziemię - zapewnił Marty Nolan. - Nigdy w życiu.

Brian Flynn był zaskoczony. Zazwyczaj drobni farmerzy modlili się o takie nieoczekiwane zrządzenie losu. O majątek zyskany dzięki przypadkowi.

- Widzi ksiądz, gdyby droga szła tędy, toby oznaczało zniszczenie Głogowego Gaju - wyjaśnił Neddy Nolan.

- No i koniec studni Świętej Anny - dodała Clare. Nie musiała nadmieniać, że ta studnia pozwoliła jej świętej pamięci teściowej żyć ćwierć wieku dłużej. Niewypowiedziane słowa wisiały w powietrzu.

Ksiądz Flynn z ciężkim sercem wrócił do swego skromnego auta. Ta idiotyczna studnia mogła teraz ponownie podzielić społeczność. Będzie więcej gadania na ten temat, roztrząsania wartości, a także pretensji i roszczeń. Westchnął głęboko, pragnąc, by w nocy przyjechały buldożery i zrównały Głogowy Gaj z ziemią. Zaoszczędziłoby to mnóstwa kłopotów.

Pojechal z wizytą do swojej bratowej. Starał się odwiedzać Kitty przynajmniej raz w tygodniu, żeby wiedziała, że nie cała rodzina ją opuściła. Porzucił ją tylko Eddie.

Kitty nie była w dobrym nastroju.

- Pewnie chciałbyś coś zjeść - rzuciła niechętnie.

Brian Flynn rozejrzał się po niechlujnej kuchni, w której piętrzyły się niepozmywane po śniadaniu naczynia, dziecięce ubrania na krzesłach i rozmaite rupiecie. Nie był to zbyt przytulny dom.

- Nie, nic mi nie potrzeba - odparł, szukając krzesła, na którym mógłby usiąść.

- Rzeczywiście lepiej, żebyś nie jadł, karmią cię chyba jak

wystawowego wieprzka w tych wszystkich domach, po których chodzisz. Nic dziwnego, że przybrałaś na wadze.

Brian Flynn zastanawiał się, czy Kitty zawsze była taka zgorzkniała. Nie pamiętał. Może po prostu ucieczka Eddiego z atrakcyjną młodą Naomi tak ją odmieniła.

- Byłem u mamy - powiedział z wahaniem.

- Usłyszałaś od niej choć słowo?

- Kilka, ale niewiele i niezbyt sensownych. - W jego głosie pobrzmiwało znużenie.

Nie zyskał jednak współczucia Kitty.

- No cóż, nie możesz ode mnie oczekiwać, że będę nad nią wylewała łzy, Brian. Kiedy miała jeszcze wszystkie klepki w porządku, nigdy nie byłam dość dobra dla jej wspaniałego synka Eddiego, więc teraz niech sobie radzi beze mnie. Takie jest moje zdanie. - Kitty przybrała zawzięty wyraz twarzy. Miała na sobie poplamiony rozpinany sweter, włosy jej zwisały w strąkach.

Przez krótką chwilę ksiądz Flynn czuł, że trochę rozumie brata. Jeżeli można było wybierać spośród licznego grona kobiet, a Eddie najwyraźniej mógł, Naomi wydawała się lepszą i bardziej atrakcyjną możliwością. Ale zaraz przypomniał sobie o obowiązkach, dzieciach i przysiędze, więc odpędził tę myśl.

- Matka nie może dłużej mieszkać sama, Kitty. Powinno się sprzedać dom i umieścić ją w zakładzie opiekuńczym.

- No cóż, i tak nie spodziewałam się niczego w związku z tym domem, więc jeśli o mnie chodzi, możesz się nie krępować.

- Porozmawiam z Eddie i Judy, dowiem się, co o tym sądzą - powiedział.

- Judy? O, czyżby jej wysokość tam w Londynie czasami odbierała telefony?

- Przyjeżdża do Rossmore za dwa tygodnie - odparł ksiądz Flynn.

- Niech tylko nie myśli, że zatrzyma się tutaj. - Kitty zaborczo popatrzyła wokół. - To mój dom, wszystko, co mam, i nie życzę sobie krewnych Eddiego jako dzikich lokatorów.

- W żadnym razie nie przypuszczam, by chciała... hm... sprawić ci kłopot. - Miał nadzieję, iż jego ton nie dawał do zrozumienia, że Judy przenigdy nie zatrzymałaby się w takim miejscu.

- Więc gdzie będzie nocowała? Przecież nie u ciebie i kanonika.

- Zapewne w którymś hotelu.

- Cóż, lady Judy na to stać, w przeciwieństwie do reszty rodziny - prychnęła Kitty.

- Zastanawiałem się nad przeniesieniem mamy do Paproci i Wrzosów. Byłem tam dzisiaj, mieszkańcy wydają się bardzo zadowoleni.

- To protestancki dom, Brian. Ksiądz nie może posłać własnej matki do protestanckiego zakładu. Co by ludzie na to powiedzieli?

- **To** nie jest protestancki dom, Kitty. - Ksiądz Flynn starał się przemawiać łagodnie. - Przyjmuje osoby różnych wyznań i bez wyznania.

- Na jedno wychodzi - burknęła.

- Tak się składa, że wcale nie. Byłem tam wczoraj z komunią. W przyszłym tygodniu otwierają oddział dla chorych na alzheimera. Pomyślałem, że gdyby któreś z was chciało podjechać i rzucić okiem... - Jego znużony głos odzwierciedlał samopoczucie.

Kitty nieco zmiękła.

- Nie jesteś złym człowiekiem, Brian, nie sam z siebie. To życie jest ciężkie, teraz, kiedy nikt już nic szanuje księży ani nic. - Chciała w ten sposób wyrazić coś w rodzaju współczucia i on to rozumiał.

-Niektórzy okazują odrobinę szacunku - odpowiedział z bladym uśmiechem, zbierając się do odejścia.

- Dlaczego ciągle w tym tkwisz? - spytała, podchodząc do drzwi.

- Ponieważ się zaciągnąłem, zapisałem, czy jakkolwiek to nazwiesz, i od czasu do czasu robię coś pożytecznego. - Miał żalowaną minę.

- Ja w każdym razie zawsze rada cię widzę - zapewniła pozabawiona wdzięku Kitty Flynn, dając niedwuznacznie do zrozumienia, że jest najprawdopodobniej jedyną osobą w Rossmore, która choć trochę cieszy się na jego widok.

Obiecał Lilly Ryan, że ją odwiedzi i opowie, jak jej mąż Aidan radzi sobie w więzieniu. Wciąż go kochała i często żalowała, że zeznawała przeciw niemu. Ale nie było wyjścia - ciosy stały się ostatnio tak dotkliwe, że wylądowała w szpitalu, a musiała utrzymać troje dzieci.

Nie czuł się w nastroju, by z nią rozmawiać. Ale odkąd to nstrój miał z tym cokolwiek wspólnego? Wjechał w boczną uliczkę.

Najmłodszy syn, Donal, kończył w tym roku katolicką szkołę Braci. O tej porze nie było go w domu.

- Naprawdę można na księdzu polegać.

Lilly wydawała się zachwycona, że go widzi. Mimo że nie miał dla niej dobrych wiadomości, to, że można na nim polegać, brzmiało przynajmniej pocieszająco. Jej kuchnia wyglądała zupełnie inaczej niż ta, którą niedawno opuścił. Na okiennym parapecie kwitły kwiaty, na ścianach połyskiwały miedziane rondle i patelnie; w kącie stał stół, przy którym Lilly wymyślała krzyżówki, zarabiając w ten sposób skromne pieniądze. Wszystko było jak należy.

Postawiła na stole talerz z kruchymi ciasteczkami.

- Dziękuję, lepiej nie - powiedział z żalem. - W ostatnim domu usłyszałem, że jestem gruby jak świnia.

- Nie wierzę. - Zupełnie nie zwracała na niego uwagi. - A zresztą czy ksiądz nie zrzuci całej tej wagi, chodząc po naszych lasach? No więc, jak on się dzisiaj miewa?

I ksiądz Flynn, z całą dyplomacją, na jaką potrafił się zdobyć, próbował przetworzyć poranne spotkanie z Aidanem Ryanem w rozmowę niosącą choćby iskierkę pociechy żonie, którą mąż kiedyś bił, a teraz nie chciał się z nią zobaczyć. Żonie, która - w co jej mąż święcie wierzył - sprzedała przechodniowi z ulicy najstarsze dziecko.

Ksiądz Flynn przejrzał gazety sprzed ponad dwudziestu lat, kiedy to córeczka Ryanów zniknęła z wózka stojącego pod sklepem.

Nigdy jej nie odnaleziono. Ani żywej, ani martwej.

Brian zdolał nadać rozmowie optymistyczny ton, uciekając się do wytartych komunalów: Bóg jest dobry, nigdy nie wiadomo, co nas czeka, najważniejsze to się nie poddawać.

- Czy ksiądz wierzy w świętą Annę? - zagadnęła Lilly, nieoczekiwanie przelamując smutny nastrój.

- No cóż, owszem, to znaczy, oczywiście wierzę, że istniała i tak dalej... — wybąkał, zastanawiając się, do czego ta kobieta zmierza.

- Ale czy ksiądz uważa, że ona tam stoi przy studni i słucha? - drażyla Lilly.

- Wszystko jest względne, Lilly, to znaczy, studnia jest od wieków uświęconym miejscem, co samo w sobie ma pewną wagę. No i, oczywiście, święta Anna przebywa w niebie, gdzie, jak wszyscy inni święci, wstawia się za nami...

— Wiem, proszę księdza, ja też nie wierzę w tę studnię - przerwała Lilly. - Ale byłam tam w zeszłym tygodniu i, słowo daję, to zadziwiające. Ze w tych czasach przychodzą tam takie tłumy ludzi.

Ksiądz Flynn usiłował przywołać na twarz wyraz milego zaskoczenia, jednak niezbyt mu się to udało.

- Wiem, czułam kiedyś to samo co ksiądz. Chodzę tam co roku, w okolicach urodzin Teresy. Mojej córeczki, która zginęła na długo przed księdza przyjazdem. Zwykle to nic ma znaczenia, ale tydzień temu spojrzałam na tę sprawę jakoś inaczej. Zupełnie jakby święta Anna naprawdę mnie słuchała. Opowiedziałam jej o wszystkich kłopotach, jakie z tego wynikły, i że biedny Aidan już nigdy potem nie doszedł do siebie. Ale przede wszystkim prosiłam, aby mi przekazała, że Teresa ma się dobrze, gdziekolwiek przebywa. Mogłabym to jakoś znieść, gdybym wiedziała, że żyje szczęśliwie.

Ksiądz Flynn patrzył na Lilly w milczeniu, niezdolny do żadnej konstruktywnej reakcji.

- Tak czy inaczej wiem, że ludzie co rusz widzą chodzące posągi, mówiące święte obrazy i tym podobne bzdury, ale coś się zdarzyło, proszę księdza, coś się naprawdę zdarzyło.

Nadal brakowało mu słów, kiwał tylko głową, zachęcając Lilly, żeby mówiła dalej.

- Było tam ze dwadzieścia osób, każda jakby opowiadała własną historię. Jakaś kobieta mówiła głośno, że każdy ją słyszał: „O święta Anno, spraw, by nie odnosił się do mnie tak zimno, by nic odwracał się więcej ode mnie...”. Wszyscy mogli dowiedzieć się, o co jej chodzi. Ale tak naprawdę nikt z nas tego nie słuchał. Każdy myślał o sobie. I nagle poczułam, że z Teresą wszystko w porządku, dwa lata temu hucznie obchodziła dwudzieste pierwsze urodziny, czuje się dobrze i jest szczęśliwa. Zupełnie jakby święta Anna kazała mi się dłużej nie martwić. Wiem, proszę księdza, że to śmieszne, ale bardzo mi pomogło, i w końcu co w tym złego? Żałuję tylko, że biedny Aidan nie mógł tam ze mną być, kiedy to powiedziała albo pomyślała, albo przekazała mi do głowy czy cokolwiek to było. Przyniosłoby mu spokój ducha.

Ksiądz Flynn wykręcił się licznymi zapewnieniami o niezbadanych wyrokach Bożych i dorzucił nawet cytaty z Szekspira, że więcej jest rzeczy w niebie i na ziemi, niż się ich śniło filozofom. Później wyszedł z małego domku i podjechał na skraj Głogowego Gaju.

Idąc przez las, odpowiadał na pozdrowienia ludzi spacerujących z psami i biegających w dresach - którego to ćwiczenia, zdaniem bratowej, on sam również potrzebował. Kobiety popychały przed sobą wózki i przystawał, by pozachwycać się dziećmi. Kanonik zwykł mawiać, że żartobliwe „A kogo my tu mamy?” najlepiej ratuje sytuację, gdy chodzi o niemowlęta w wózeczkach. Załatwiał się w ten sposób kwestię płci oraz braku pamięci do imion. Rodzice dodawali szczegóły i można było kontynuować pogawędkę, rzucając: „co za wspaniałe chłopak”, albo: „czy nie śliczna z niej dziewczynka?”.

Spotkał Cathala Chambersa, kierownika lokalnego oddziału banku. Powiedział, że spaceruje po lesie, aby rozjaśnić umysł.

Do banku napływały tłumy klientów pragnących pożyczyć pieniądze i kupić ziemię w okolicy, by ją następnie sprzedać z ogromnym zyskiem, gdy ruszy budowa nowej drogi. Bardzo trudno było przewidzieć, jak należy postąpić. Centrala orzekła, że Chambers jako miejscowy przedstawiciel powinien trzymać rękę na pulsie. Ale jak tu trzymać rękę na pulsie w takich okolicznościach?

Cathal dodał, że Myles Barry, radca prawny, znalazł się w podobnie kłopotliwym położeniu. Trzy różne osoby zwróciły się do niego, by złożył ofertę Nolanom dotyczącą kupna ich małego gospodarstwa. Była to czysta zachłanność, spekulacja i zachłanność, nic innego.

Ksiądz Flynn zauważył, że to krzepiące spotkać bankiera, który myśli takimi kategoriami, lecz Cathal odparł, iż w centrali zapatrują się na te sprawy zupełnie inaczej.

Skunks Slattery, który wyprowadzał swoje dwa charty, zbliżył się do nich z drwiącym uśmiechem.

No i proszę, przyszedł ksiądz do pogańskiej studni, z nadzieją że dawni bogowie dokonają tego, czego nie potrafi dokonać dzisiejszy Kościół - przemówił szyderczym tonem, podczas gdy jego chude psy zadrżały, jakby z irytacji.

- Tak jest, Skunks, oto cały ja, zawsze ułatwiałem sobie życie - mruknął ksiądz Flynn przez zaciśnięte zęby. Odczekał z przyklejonym uśmiechem kilka minut, dopóki Skunks nie wyładował na nim złości i nie pociągnął dygocących chartów naprzód.

Ksiądz Flynn także ruszył naprzód, z ponurym wyrazem twarzy, bo pierwszy raz sam z siebie odwiedzał studnię Świętej Anny. Zaglądał tu wcześniej w ramach parafialnych obowiązków, zawsze z urazą, zagubiony, ale nigdy nie obwieszczał wszem wobec swoich opinii.

Drewniane znaki, wyrzeźbione przez miejscowych wiernych w minionych latach, prowadziły do studni, która znajdowała się

w dużej, skalistej, przepastnej grocie. Było tam wilgotno i zimno; strumyk spływający ze wzgórza okalał studnię i w miejscu, gdzie wierni nalewali wodę starą żelazną chochlą, gromadziło się błoto.

Teraz, przed południem i w środku tygodnia, nie mogło się tam przecież zebrać zbyt wielu ludzi.

Krzaki głogu przed grotą były przyozdobione - tak, to słowo wydało się księdzu Flynnowi odpowiednie - przyozdobione kawałkami tkaniny, karteczkami i wstążkami. Wisiały tam też medaliki i **poświęcone** leki, niektóre zapakowane w plastik albo celofan.

Były także prośby zanoszone do świętej, składane u niej życzenia, a czasami podziękowania za otrzymaną łaskę.

„Nie pije już trzy miesiące, święta Anno, dziękuję Ci i proszę, byś dała mu siłę.

albo:

„Mąż mojej córki rozważa unieważnienie małżeństwa, jeśli ona wkrótce nie zajdzie w ciążę... ”,

albo:

„Boję się **iść** do lekarza, ale pluję krwią, proszę, święta Anno, wstaw się za mną u Pana naszego, żebym wyzdrowiał. Żeby to było tylko przeziębienie, które zaraz przejdzie... ”.

Ksiądz Flynn stał i czytał, i płonęły mu policzki.

To był dwudziesty pierwszy wiek w kraju, który ulegał postępującej sekularyzacji. Skąd się brały te wszystkie przesady? Czy przychodzili tutaj tylko starzy ludzie? Powrót do prymitywniejszych czasów? Ale nawet tego przedpołudnia spotkał wiele młodych osób, które uznały, że studnia posiada moc. Jego własna siostra powracała z Anglii, by się pomodlić o męża, młode polskie małżeństwo chciało tu ochrzcić dzieci. Lilly Ryan, której się wydawało, że słyszy, jak posąg mówi, iż jej zaginiona przed laty córka ma się dobrze, zaledwie przekroczyła czterdziestkę.

Były to rzeczy niepojęte.

Wszedł do groty, gdzie odwiedzający zostawiali kule, łaski, a nawet okulary jako symbole nadziei, że zostaną uleczeni

i zdolają obejść się bez nich. Leżały tam również dziecięce buciki i skarpetki - kto wie, co mogły oznaczać? Pragnienie posiadania dziecka? Prośbę o uleczenie chorego maleństwa?

A w cieniu stała wielka figura świętej Anny.

Z biegiem lat święta była odmalowywana i odnawiana, jej policzki coraz bardziej przypominały różowe jabłuszka, brązowa opończa nabierała głębszej barwy, kosmyk blond włosów wyzierający spod kremowego welonu wydawał się jeszcze świetlisty.

Jeżeli święta Anna w ogóle istniała, była drobną ciemnowłosą kobietą z ziemi palestyńskiej i izraelskiej. Z pewnością nie wyglądała jak irlandzka dziewczyna z reklamy topionego serka.

Mimo to przed studnią klęczeli zupełnie normalni ludzie. Uzyskiwali tu więcej niż kiedykolwiek w kościele Świętego Augustyna w Rossmore.

Była to otrzeźwiająca, a zarazem przygnębiająca myśl.

Posąg spoglądał szklanym wzrokiem - co sprawiło księdzu Flynnowi pewną ulgę. Gdyby zaczął sobie wyobrażać, że figura zwraca się do niego osobiście, naprawdę dalby za wygraną.

O dziwo jednak, choć święta nie odezwała się do niego, ksiądz Flynn odczuł potrzebę, by przemówić do niej. Popatrzył na młodą, zatroskaną twarz córki Mylesa Barry'ego, dziewczyny, która ku wielkiemu żalowi ojca nie dostała się na studia prawnicze. O co tak się modliła z zamkniętymi oczami i skupioną miną?

Zobaczył Jane, wytworną siostrę Poppy, kierowniczkę domu spokojnej starości. Jane, która - nawet dla niewprawnego oka księdza Flynny - nosiła najmodniejsze stroje, szeptała coś do świętej. Był tam też młody człowiek, który prowadził na targu stoisko ze zdrową żywnością. Poruszał bezgłośnie ustami.

Spojrzawszy ostatni raz na to, co uważał za całkowicie nieodpowiednie wyobrażenie matki Najświętszej Maryi Panny, ksiądz Flynn pożałował, że nie może zapytać posągu, czy którekolwiek z tych modlitw zostały wysłuchane. I co święta robi, jeśli dwie osoby zanosily sprzeczne prośby?

Ale to była prosta droga do urojeń i szaleństwa. A on nie zamierzał się w coś takiego wplątywać.

Wychodząc z grotty, pogładził kamienne, wilgotne ściany z wydrapanymi na nich napisami. Minął krzewy głogów gęsto rosnące u wejścia, krzewy, których nikt nie wyciął, ponieważ zbyt wiele wiązało się z nimi nadziei, modlitw i próśb różnych ludzi.

Nawet na starej drewnianej bramie wisiała przypięła kartka z napisem:

„Święta Anno, wysłuchaj mojej prośby”.

Wszędzie wokół ksiądz Flynn niemal słyszał głosy. Wzywające, zanoszące prośby i błagania z otchłani lat. I usłyszał własną cichą modlitwę:

„Proszę, pozwól mi poznać głosy przemawiające do Ciebie i dowiedzieć się, do kogo należą. Jeśli mam tu dokonać czegoś dobrego, daj mi znać, co mówią ludzie i czego sobie życzą, byśmy to usłyszeli i uczynili dla nich...”.

2

Najostrzejszy nóż w szufladzie

Część 1 - Neddy

Słyszałem, jak ludzie mówią o mnie: „O, Neddy Nolan! No cóż, nie jest to najostrzejszy nóż w tej szufladzie...”. Ale, widzicie, ja nigdy nie chciałem być najostrzejszym nożem w szufladzie. Przed laty mieliśmy w kuchni taki ostry nóż i wszyscy zawsze mówili o nim ze strachem.

„Połóż ten ostry nóż na górnej półce, zanim któreś z dzieci utnie sobie palec” - mawiała mama, a tata dodawał: „Sprawdź, czy ostry nóż jest odwrócony do ściany, tak żeby trzonek wystawał. Nie chcemy, żeby ktoś się pokaleczył!”. Obawiali się jakiegoś strasznego wypadku i widoku kuchni spływającej krwią.

Prawdę mówiąc, żałowałem tego ostrego noża. To nie była jego wina. Nie zamierzał straszyć ludzi, tylko tak go po prostu zrobiono. Ale nie mówiłem nikomu, co czuję, bo ludzie po prostu znowu by powiedzieli, że jestem mięczakiem.

Mięczak Neddy, tak mnie nazywają.

Dlatego że nie potrafię słuchać pisków myszy schwytej w pułapkę i plakałem, kiedy obok naszego domu przeszło polowanie z nagonką, a ja zobaczyłem oczy uciekającego lisa i popędziłem go w gąszcz Głogowego Gaju. Tak, przypuszczam, że inni uznali to za miękkie i niemądre zachowanie, ale z mojego punktu widzenia mysz się nie prosiła, żeby przyjść na świat w pomywalni zamiast w szczerym polu, gdzie mogłaby

spokojnie dożyć sędziwego mysiego wieku w szczęściu i powodzeniu. A śliczny rudy lis z pewnością nie zrobił nic, by rozdrażnić te wszystkie psy gończe, konie i ludzi ubranych na czerwono, którzy gonili go z tak wielką zajadłością.

Nie umiem jednak tłumaczyć takich spraw zbyt szybko i jasno, więc zazwyczaj daję sobie z tym spokój. I nikt nie oczekuje zbyt wiele od Mięczaka Neddy'ego, dlatego mój sposób patrzenia na różne rzeczy mniej więcej uchodzi mi na sucho.

Myślałem, że będzie inaczej, kiedy dorosnę. Dorośli ludzie nie wyglądali się i nie żalowali różnych stworzeń. Byłem pewien, że ze mną też się tak stanie. Ale to trwało bardzo długo.

Gdy miałem siedemnaście lat, pewnego razu cała nasza gromada - ja, mój brat Kit i jego kumple - pojechała furgonetką na tańce, spory kawałek drogi, aż za jeziora. Była tam pewna dziewczyna o mocno kręconych włosach. Wyglądała zupełnie inaczej niż pozostałe, które nosiły sukienki na ramiączka, miała na sobie grubą bluzę swetrową z golfem i spódnicę, a na nosie okulary - i nikt nie prosił jej do tańca.

No więc ją poprosiłem, a ona wzruszyła ramionami i odparła:

- Cóż, przynajmniej zyskałam dziś wieczór choć jeden taniec.

Więc poprosiłem ją znowu, a później jeszcze raz i na koniec powiedziałem:

- Zyskałaś dziś wieczór czternaście tańców, Noro.

- Pewnie oczekujesz wspólnej jazdy do domu - ona na to.

- Jazdy do domu? - powtórzyłem.

- Podwózka za zalecanki - odrzekła beznamiętnym, zrezygnowanym tonem. Taką cenę skłonna była zapłacić komuś, kto poprosił ją do tańca czternaście razy.

Wyjaśniłem, że jesteśmy z drugiej strony jezior, z okolic Rossmore, i wracamy razem do domu furgonetką.

Nie mogłem się zorientować, czy Nora poczuła ulgę, czy rozczarowanie.

Koledzy natrzęśli się ze mnie w furgonetce.

- Neddy jest zakochany! - wyśpiewywali przez całą drogę do domu.

Nie było takiego wyśpiwywania cztery miesiące później, kiedy Nora z ojcem zjawili się u nas i powiedzieli, że jestem ojcem jej nienarodzonego dziecka.

Byłem tak wstrząśnięty, że trudno bardziej.

Nora nie patrzyła na mnie, patrzyła w podłogę. Widziałem tylko czubek jej głowy. I żalosa, poskręcana trwała. Poczulem, jak zalewa mnie wielka fala litości. I jeszcze większa, gdy Kit i inni moi bracia wsiadli z krzykiem na Norę i jej tatę.

W żadnym wypadku, oznajmili, ich Neddy nie spędził sam na sam z tą dziewczyną nawet dziesięciu sekund. Mieli na to stu świadków. Zamierzali też poprosić kanonika Cassidy'ego o potwierdzenie mojej moralności. Czerwoni na twarzy stanęli przed ojcem Nory i przysięgli, że nawet nie pocałowałem jego córki na pożegnanie, kiedy wpychali mnie do samochodu. To był najgorszy szwindel, o jakim w życiu słyszeli.

- Nigdy się z nikim nie kochałem - zwróciłem się do ojca Nory. - Ale gdyby tak było i gdyby w wyniku tego miało urodzić się dziecko, z pewnością nie wyparlbym się swoich zobowiązań i byłbym zaszczycony, mogąc posłubić pana córkę, ale widzi pan... tak się nie zdarzyło.

Z bliżej nieokreślonych przyczyn wszyscy mi uwierzyli. I sytuacja się rozstrzygnęła.

A biedna Nora uniosła zaczerwienioną, zalaną łzami twarz i popatrzyła na mnie przez grube szkła okularów.

- Przykro mi, Neddy - powiedziała.

Nigdy się nie dowiedziałem, co się z nią stało.

Ktoś później wspomniał, że to wina jej dziadka, ale ponieważ właśnie on dzierzył klucz do rodzinnej kasy, nic w tej sprawie nie zrobiono. Nie usłyszałem, czy to dziecko przyszło na świat i czy je wychowała. Jej rodzina mieszkała daleko od Rossmore, nie było kogo zapytać. A nasza rodzina nic zachęcała mnie do zasięgania informacji.

- Bezczelna dziewczucha! - rozgniewała się mama.

- Żeby wciskać czyjegoś bękartu naszemu Neddy'emu - powiedziała babcia.

- Pewnie, to biedne czupiradło nawet Mięczakowi Neddy'emu nie mogłoby się spodobać - zauważył tata.

A mnie ścisnęło się gardło na myśl o nieszczęsnej dziewczynie, która tak dumnie oznajmiła, że zyskała tamtego wieczoru przynajmniej jeden taniec i ofiarowała mi siebie w żalonym podziękowaniu za luksus aż czternastu tańców.

To wszystko było bardzo smutne.

Niedługo później wyjechałem z Rossmore do Anglii, do Londynu, żeby pracować na budowach z moim najstarszym bratem Kitem. Znalazł pokój do wynajęcia nad sklepem i mieszkało ich tam już trzech, a ja byłem czwarty. Mieszkanie nie wyglądało zbyt czysto ani porządnie, ale mieliśmy blisko do stacji metra, a w Londynie to się najwięcej liczy.

Na początku tylko parzyłem herbatę i przynosiłem różne rzeczy dla robotników, a mieli takie stare, wyszczerbione kubki, że za pierwszą wypłatę kupilem na targu tuzin nowych, bardzo ładnych. Wszyscy się dziwili, że je tak dokładnie myję i że zdobyłem dzbanek na mleko, a także cukierniczkę.

- Ten Neddy to prawdziwy dżentelmen — mówili o mnie.

Nigdy tak do końca nie wiem, czy ludzie mnie chwala, czy nie. Chyba raczej nie. Ale to i tak nie ma znaczenia.

Poszło o różne sprawy, które załatwiali na budowie. Na przykład, w co szóstym kontenerze ze śmieciami wcale nie było śmieci, tylko worki cementu, cegły i zapasowe narzędzia. Istniał najwyraźniej jakiś system, umowa, ale nikt mi o tym nie powiedział, więc zgłosiłem brygadziście, że wyrzuca się na śmietnik zupełnie dobre i potrzebne rzeczy - i myślałem, że wszyscy się ucieszą.

Ale się nie ucieszyli.

Wręcz przeciwnie.

A najbardziej rozzłościł się Kit. Kazał mi nie wychodzić z pokoju przez cały następny dzień.

- Przecież mnie zwolnią, jeśli nie pójde do pracy - tłumaczyłem mu.

- Chłopaki obedną cię żywcem ze skóry, jeśli pójdziesz. - Kit mocno zacisnął usta. Lepiej było się z nim nie spierać.

- Co ja tu będę robił cały dzień? — spytałem.

Kit zawsze wiedział, co kto ma robić. Ale nie tym razem.

- Jezu, Neddy, nie wiem, zajmij się czymś, do cholery. Czymkolwiek. Posprzątaj tu trochę. Tylko nie przychodź na budowę.

Inni w ogóle się do mnie nie odzywali, co mi uświadomiło, jak poważna była cała ta sprawa z kosztami na śmieci. Usiadłem, żeby pomyśleć. Wcale nie układało się tak dobrze, jak to sobie wcześniej wyobrażałem.

Miałem zamiar zaoszczędzić w Londynie dużo pieniędzy. Żeby zafundować mamie wakacje, a tacie porządny skórzany płaszcz. A tymczasem kazano mi nie iść do pracy.

„Posprzątaj tu trochę”, powiedział Kit. Ale jak? Nie mieliśmy żadnych środków czyszczących. Ani wybielacza do zlewu i wanny, ani płynu do polerowania mebli. Ani proszku do uprania pościeli. A mnie zostało ledwie dziewięć funtów.

Wpadłem na pewien pomysł i poszedłem do sklepu, którego właściciele, państwo Patelowie, ciężko pracowali przez całą dobę.

Wybrałem środki czystości oraz puszkę białej farby, wszystko wartości dziesięciu funtów, i włożyłem do pudła. Następnie zagadnąłem pana Patela:

- A gdybym tak posprzątał ten pański plac, pozamiatał, postawił wszystkie pudła i skrzynie, mógłbym sobie wziąć te rzeczy jako zapłatę?

Popatrzył na mnie z namysłem, jakby obliczał i porównywał koszty z moim nakładem pracy.

- A umylbyś też witrynę? - zapytał.

- Oczywiście, panie Patel - odparłem z szerokim uśmiechem. Wtedy on również się uśmiechnął. Leniwie i nieoczekiwanie.

Potem poszedłem do pralni i spytałem, czy nie pomalować im drzwi, bo wydają się nieco odrapane.

- Za ile? - Pani Price, kierowniczka, która miała, jak mówiono, wielu znajomych płci męskiej, dobrze знаła życie.

- Za dwie pełne przepierki z dodatkowym suszeniem - odparłem.

Ubiliśmy interes.

Kiedy Kit z chłopakami wrócili z budowy i zobaczyli mieszkanie, nie mogli uwierzyć własnym oczom.

Mieli zmienioną pościel na łózkach, sfatygowane linoleum na podłodze było wyczyszczone do połysku, metalowy zlewozmywak aż lśnił. Pomalowałem także szalki w kuchni i łazience.

Zawiadomiłem Patelów, że na drugi dzień mogę wykonać dla nich jeszcze inne prace, a w zamian dostałem takie coś, co odnawia emalię na wannach. A w pralni było więcej miejsc do odmalowania, co oznaczało, że możemy tam prać całe sterty rzeczy - koszule, dżinsy, wszystko - i mógłbym sam zanosić torby z ciuchami, a potem zabierać je do domu, skoro i tak nie chodzę na budowę.

Ponieważ wydawało się, że wszyscy odzyskali spokój, a poza tym bardzo podziwiali miłe, nowe, czyste mieszkanie, uznałem, że mogę się odważyć i poruszyć drugą kwestię. Czy brygadzista ochłonął choć trochę?

- Z tego, co widać, tak - odparł Kit. - Nie może uwierzyć, że doniósłbyś na mnie, własnego brata! Zapewniłem go, że nikt z nas by czegoś takiego nie zrobił, zwłaszcza chłopaki, z którymi mieszkasz. Ze musi poszukać winowajców gdzie indziej. Więc teraz szuka gdzie indziej.

- I myślisz, że znajdzie? - spytałem podniecony.

To było jak film kryminalny na żywo.

Popatrzyli po sobie z zakłopotaniem. Zapadła cisza.

- Chyba nie — odparł w końcu Kit.

- A czy wrócę do pracy w przyszłym tygodniu? - chciałem wiedzieć.

Znowu cisza.

- Wiesz co, Neddy, robisz tu świetną robotę i nasze mieszkanie zaczyna wyglądać naprawdę elegancko. Może właśnie do tego najlepiej się nadajesz? Rozumiesz?

Byłem bardzo rozczarowany. Myślałem, że będziemy codziennie wychodzili razem do pracy, jak kumple.

- Ale jak mam zarobić na życie, na zaliczkę za dom, jeśli nie będę nigdzie pracował? - spytałem przyciszonym głosem.

Kit nachylił się do mnie i przemówił jak mężczyzna do mężczyzny.

- Sądzę, że powinniśmy uważać się za spółkę, Neddy, a ty możesz zostać naszym menedżerem.

- Menedżerem? - powtórzyłem onieśmielony.

- Tak, mógłbyś robić nam śniadania, a także pakować suche prowiant i utrzymywać porządek w mieszkaniu. No i, oczywiście, zajmować się naszymi finansami, zanosić nasze pieniądze na pocztę. To by nam bardzo ulżyło i każdy by się zrzucił na zapłatę dla ciebie. Co wy na to, chłopcy? Przyjemne, czyste mieszkanie, moglibyśmy nawet zapraszać gości, jak Neddy doprowadzi już wszystko do porządku.

Uznali, że to świetny pomysł, a Kit skoczył po rybę z frytkami, żeby uczcić dzień, w którym zostałem ich menedżerem.

To było świetne zajęcie i tak naprawdę o wiele mniej skomplikowane niż praca na budowie, bo ustalałem własne warunki i wiedziałem, co robię. Opisałem wszystko w cotygodniowym liście do domu i myślałem, że mama i tata będą zadowoleni. Ale dostałem od nich odpowiedź, żebym się upewnił, czy Kit i inni nie zamęczają mnie pracą nad siły i nie wykorzystują.

„Jesteś takim przyzwoitym, spokojnym chłopcem, Neddy - napisała mama - musisz jakoś zatroszczyć się o siebie. Obiecuj mi to, dobrze?”.

Właściwie jednak nie było w tym nic trudnego, ponieważ każdy zachowywał się bardzo sympatycznie i potrafiłem na wszystko znaleźć czas. Po przygotowaniu porządnego, ciepłego śniadania dla chłopaków odwoziłem dzieci Patelów do szkoły. Potem otwierałem pralnię, bo pani Price, która miała wielu znajomych płci męskiej, czuła się wczesnym rankiem nie najlepiej.

Następnie wracałem do Patelów, pomagałem im ułożyć towar na półkach i wyrzucić śmieci. A później zabierałem się do roboty w mieszkaniu - sprzątałem i codziennie starałem się wymyślić jakieś nowe zajęcie, jak ustawienie regału albo porządku w warsztacie naprawy telewizorów w zamian za używany aparat. Kit znalazł odtwarzacz wideo, który spadł z ciężarówka, ale się nie roztrzaskał, więc mieliśmy jakby własne kino w naszej salonokuchni.

Odbierałem dzieci Patelów ze szkoły, robiłem zakupy Christinie, Greczynce w starszym wieku, która w zamian uszyła dla nas zasłony.

Raz w roku załatwiałem bilety na podróż do Irlandii. Jeździliśmy z Kitem na małą farmę niedaleko Rossmore spotkać się z rodziną.

Wszystko ciągle się tam zmieniało, miasto rosło i rozprzestrzeniało się coraz bardziej. Jeden autobus dojeżdżał nawet do zakrętu naszej drogi. Nie dowiedziałem się nic a nic o biednej Norze i jej kłopotach. Kit powiedział, że mądrzej będzie nie pytać.

Zawsze wykonywałem jakieś roboty w gospodarstwie, kiedy przyjeżdżaliśmy na te dwa tygodnie. No cóż, Kit szedł na tańce i nie zauważał, że coś jest nie tak, na przykład, że dom jest zaniedbany, potrzebuje odmalowania i kilku nowych pólek. Tata wypasał bydło i nie miał czasu ani siły się tym zajmować.

Podpowiadałem Kitowi, żebyśmy kupili rodzicom porządny telewizor, a może nawet pralkę, ale Kit stwierdził, że przecież nie śpimy na pieniądzach i żebyśmy nie udawali milionerów, bo od tego każdy gotów się pochorować.

Martwiłem się o naszą mamę. Zawsze była delikatna, ale powtarzała, że dostała od świętej Anny dodatkowe dwie dekady, by móc patrzeć, jak rosną jej dzieci, i za to była bardzo wdzięczna. Jednego lata wydała mi się osłabiona, ale powiedziała, żebym się o nią nie martwił, ponieważ wszystko układa się dobrze i żyje im się teraz wygodniej, odkąd tata sprzedał kawał pola i trzyma mniej krów, dzięki czemu bywa

częściej w domu i może jej podać filiżankę herbaty. Nie trapiła się niczym, może tylko tym, czy tata da sobie radę, kiedy ona w końcu odejdzie.

No a potem Kit i ja pojechaliśmy na pogrzeb mamy.

Wszyscy nasi znajomi z Londynu przysłali kwiaty, ponieważ opowiadałem im o mamie. Ludzie mówili, że Kit musi się cieszyć w Londynie doskonałą opinią, skoro znalazł aż tylu przyjaciół. Tak naprawdę to byli moi przyjaciele, ale w sumie to bez znaczenia.

Biedny tata przypominał wyżła. Twarz miał pobrużdżoną i smutną, gdy machał nam na pożegnanie.

- Zaopekuj się teraz Neddym - polecił Kitowi na dworcu kolejowym. Co właściwie było dziwne, bo to przecież ja się nimi wszystkimi opiekowałem.

- Można by pomyśleć, że opłaci nam przejazd - burknął Kit. Ale ja już zapłaciłem, więc to nie miało znaczenia.

Potem wyremontowałem panu Patelowi wszystkie przybudówki, dzięki czemu zyskał większą powierzchnię magazynową i Patelowie pozwolili nam zająć drugi pokój w ramach tego samego czynszu. Jeden z chłopaków się wyprowadził, znalazł dziewczynę, u której zamieszkał, więc zostało nas trzech i każdy miał własny pokój.

Czasami przyprowadzali dziewczyny, całkiem sympatyczne, które zostawały na śniadaniu i odnosiły się do mnie bardzo miło.

Naprawdę miałem tyle roboty, że sam nie wiem, kiedy zleciał cały ten czas i okazało się, że skończyłem trzydzieści siedem lat, a od prawic dwudziestu oszczędzałem, więc zgromadziłem znaczną sumę w kasie mieszkaniowej. Chodzi o to, że jeśli najpierw odkładasz dwadzieścia funtów tygodniowo, a potem trzydzieści i pięćdziesiąt, można w końcu uzbierać sporo pieniędzy.

Co roku udawało mi się nakłonić Kita, żeby pojechał ze mną do domu, co nie zawsze było łatwe. Mówił, że w Rossmore czuje się tak, jakby spędzał czas wśród żywych trupów. W każdym

razie tamtego szczególnego roku, kiedy pojechaliśmy do domu, tata faktycznie nie czuł się dobrze. Nie naprawił ogrodzenia wokół wybiegu dla kur i lis wylapał wszystkie nioski. Nie mógł już sam jeździć na targ i czekał na ludzi, którzy kupią od niego zwierzęta, co lamalo mu serce.

Coraz bardziej zamykał się w sobie i nie prowadził farmy jak należy. Powiedziałem Kitowi, że tata nie może dalej tak mieszkać sam. Kit na to, że w domu starców czulby się bardzo niešťeśliwy. Tak jakbym zamierzał wyprawić naszego tatę do domu starców!

- Nie - wyjaśniłem - pomyślałem tylko, że wrócę i zaopiekuję się nim. Spróbuję go zastąpić w prowadzeniu gospodarstwa.

- I zagarnąć cały spadek dla siebie? - spytał Kit przerażającym głosem.

- Och nie, Kit, znajdę kogoś, kto wyceni farmę. Może Myleś Barry, notariusz z miasta. A potem wypłacę tobie i innym waszą część. Tak będzie chyba uczciwie?

- Zamieszkałbyś tu z tatą? - Kit aż rozdziawił usta.

- Ktoś musi - wyjaśniłem - a może się wkrótce ożenię, jeśli poznam jakąś miłą dziewczynę.

- Chcesz kupić ten dom? I spłacić nas wszystkich? Coś ci się przyśniło. - Kit parsknął śmiechem.

Ale ja mogłem kupić nasze gospodarstwo i zrobiłem to już następnego dnia. Tata nie posiadał się z radości, lecz Kit wcale nie był zachwycony.

On nie miał żadnych oszczędności, powiedział, a tymczasem ja, który nie przepracowałem w życiu tak naprawdę ani jednego dnia, mogłem włożyć rękę do kieszeni i wyjąć tyle, by wystarczyło na niedużą farmę i dom. Był to dziwny stan rzeczy.

- Co masz na myśli? Jak to, nie przepracowałem ani jednego dnia? Czy nie byłem waszym menedżerem? - wykrzyknąłem, bardzo zmartwiony fałszywym oskarżeniem.

Nie wydawało się, aby to wyjaśnienie do niego przemówiło.

- Byłem waszym menedżerem - powtórzyłem z uporem.

Bo naprawdę nim byłem. Dobrze się starałem, wyszykowałem dla nich wspaniałe mieszkanie. Odkładałbym ich pieniądze co tydzień tak jak własne, gdyby tylko zechcieli mi je powierzyć. Musiałyby przechodzić przez rachunki pocztowe na różne nazwiska, zapewne z jakichś przyczyn związanych z księgowością. Ale nie mogłem doprosić się tych pieniędzy w piątki, kiedy wszyscy szli do klubów, umawiali się z dziewczynami albo kupowali szykowne ciuchy.

Potrafiłem zaoszczędzić tak dużą sumę dlatego, że nie piłem. Kupowałem ubrania w sklepach z używaną odzieżą, a pracowałem tyle godzin, że nie miałem czasu, by dokądś iść i wydawać pieniądze — więc uzbierałem na dom.

Opowiedziałem o wszystkim Kitowi i cierpliwie wyjaśniłem słowo po słowie, na wypadek gdyby nie zrozumiał. Wpatrywałem się w jego twarz i wreszcie przestał się wściekać. Dało się to zauważyć. Jego twarz złagodniała i zmiękła, jak tamtego wieczoru, kiedy powiedział, że jestem menedżerem. Wtedy, kiedy wyszedł po rybę z frytkami. Wyciągnął swoją wielką łapę i przykrył nią moją dłoń.

— Przepraszam, Neddy, wyrwałem się ni w pięć, ni w dziewięć. Oczywiście, że byłeś naszym menedżerem i to znakomitym. Nie wiem, kto mógłby cię zastąpić. Ale w końcu dostaniemy kupę forsy za ten dom i wiemy, że tata będzie miał opiekę, a to już duża ulga.

Uśmiechnąłem się. Wyglądało na to, że znowu wszystko w porządku.

-Wiesz, Neddy, z ożenkiem może ci pójść nieco trudniej. Nie denerwuj się, jeśli nie będzie to tak proste, jak wszystko inne. Bardzo ciężko zrozumieć kobiety. Wyczuć, o co im chodzi. Jesteś fajnym facetem, tylko jednak nie najostrzejszym nożem w szufladzie i nie spełniasz wymagań współczesnych kobiet.

Starał się być miły, więc mu podziękowałem, tak jak zawsze dziękowałem ludziom za dobre rady, nawet gdy ich nie rozumiałem. I zacząłem szukać dziewczyny, z którą mógłbym się ożenić.

Zajął mi to siedem miesięcy. A potem poznałem Clare.

Była nauczycielką. Zobaczyłem ją po raz pierwszy, gdy przyjechała na pogrzeb ojca do naszej parafii na obrzeżach Rossmore. Wydała mi się bardzo miła.

- Za inteligentna dla ciebie - powtarzali wszyscy.

No cóż, wszyscy prócz taty, któremu świetnie się ze mną mieszkalo i nie chciał mnie w żaden sposób rozzłościć. Co rano przyrządzałem mu owsiankę i wynająłem pracownika, żeby doglądał tych kilku naszych krów. Ja zajmowałem się kurami i kaczkami. Chodziłem z tatą na spacer do lasu, żeby rozruszał nogi. Czasami szedł do studni i dziękował świętej Annie za te dodatkowe lata z moją mamą. Codziennie zabierałem go do pubu, żeby spotkał się z przyjaciółmi, wypił kufel i zjadł gorący lunch.

Tata zawsze powtarzał: „Neddy nie jest takim mięczakiem, jak się wam wszystkim wydaje...”.

I sam uznał, że Clare jak raz nada się dla mnie. Powiedział, że powinienem kupić jakieś ładne koszule i przystryc włosy w salonie fryzjerskim w Rossmore. Ze też tata znalazł takie słowa jak „salon”.

Clare miała swoje ambicje, wyjaśniła mi to na samym początku. Chciała dalej uczyć dzieci i może nawet zostać dyrektorką szkoły, a ja powiedziałem, że to świetnie, bo w tym czasie mógłbym zarządzać domem i przygotowywać wszystko na jej powrót z pracy. A gdybyśmy tak, przypuścmy, mieli dzidziusia, mógłbym się nim zająć w czasie nieobecności Clare. I ku mej radości uznała, że to brzmi bardzo ładnie i kojąco i że z największą chęcią zostanie moją żoną.

Kit nie mógł przyjechać na wesele, ponieważ siedział w więzieniu w Anglii za jakieś nieporozumienie. Prawdziwych winowajców tym razem również nie znaleziono.

A tata poczuł się znacznie lepiej i był silniejszy. Przedtem tak naprawdę przygnębiały go samotność i zaniedbanie.

Więc zatrudniliśmy firmę remontową, ustaliliśmy cenę, a ten inżynier świetnie podzielił budynek, tak że Clare mogła zobaczyć,

iż po ślubie zamieszka we własnym domu tylko dla nas dwojga, niekoniecznie z tatą. I dzięki temu każdy będzie szczęśliwy.

Zapraszałem znajomych taty, żeby odwiedzali go wieczorami. Kupiłem mu wielki telewizor i wszyscy razem chętnie oglądali transmisje sportowe.

Nasz ślub w Rossmore był wspaniały.

Odprawił go kanonik Cassidy, ale nowy wikary, ksiądz Flynn, bardzo mu pomógł. Było też przyjęcie w hotelu, a ludzie wygłaszali przemówienia.

Mój tata powiedział, że jeśli o niego chodzi, jego ukochana żona, uleczona za wstawiennictwem świętej Anny, znajduje się wśród nas, by uczcić ten dzień, a ja, najlepszy na świecie syn, okażę się takimż mężem oraz ojcem, gdy nadejdzie czas.

Odrzekłem krótko, że nie jestem najostrzejszym nożem w szufladzie. Chciałem dać ludziom do zrozumienia, że wiem, co o mnie mówią. Ale byłem najszczęśliwszym nożem. Dostałem wszystko, czego pragnąłem przez całe życie, i nie mogłem prosić o nic więcej.

I wtedy Clare powiedziała, że chciałaby wygłosić mowę. Wie, że panna młoda nie powinna tego robić, ale ona ma coś ważnego do powiedzenia.

Nie miałem pojęcia co to takiego.

Wstała z miejsca w tej swojej pięknej sukni i obwieściła wszystkim, że szuflady są pełne starych, okropnych, naostrzonych noży. Tak pełne, że sama niemal obawiała się otworzyć kolejną. Lecz wówczas znalazła mnie i całe jej życie uległo zmianie. A gdy rozejrzałem się po hotelowej sali, zobaczyłem, że wszyscy klaszczą i wiwatują, bliscy lez - i był to po prostu najszczęśliwszy dzień w moim życiu...

Część 2 - Clare, najlepsza uczennica

Kiedy chodziłam do szkoły Świętej Ity w Rossmore, co tydzień otrzymywałam złotą gwiazdkę.

Raz, kiedy chorowałam na grypę, gwiazdkę dostała inna dziewczynka, moja przyjaciółka Harriet Lynch, ale poza tym jednym dniem zawsze wyróżniano mnie.

Odpyinałam gwiazdkę od szkolnego fartuszka w każdy poniedziałek rano i kładłam na biurku dyrektorki, a godzinę później, gdy odczytywano nazwiska wyróżnionych uczennic z każdej klasy, odbierałam ją z powrotem.

Była to nagroda za dobre oceny, dobre sprawowanie oraz koleżeńską postawę. Nie dostawało się jej za samo wkuwanie. O nie, musiałaś być najlepsza pod każdym względem. Najpilniejsza, najposlušniejsza i najbardziej zrównoważona.

I naprawdę nie było mi trudno robić takie wrażenie. Lubiłam przebywać w szkole. Przychodziłam wcześniej i wychodziłam późno. Nauczyciele mieli mnóstwo czasu, żeby mi się przyjrzeć i docenić moje zaangażowanie w sprawy szkoły i otoczenia. Chcę powiedzieć, że każde miejsce było lepsze niż mój dom. Kto nie wolałby siedzieć w szkole niż w takim domu?

Nie była to wyłącznie wina mojej matki. Nie wyłącznie.

Kobiety zachowywały się wtedy inaczej - robiły dosłownie wszystko, żeby tylko nie kołysać łodzią, niezależnie od tego, jak niebezpieczna i przykra była sytuacja w rodzinie. Każde małżeństwo uważano za lepsze niż żadne, każde upokorzenie wydawało się czymś znośniejszym niż to najgorsze, czyli porzucenie przez męża. Chodziły do studni Świętej Anny pomodlić się o poprawę stanu rzeczy, ale same nawet nie próbowały nic zmienić.

I nie ja jedna w naszej szkole miałam taki problem w domu. Pewna nieszczęsna dziewczyna - Nora Jakaśtam - była trochę słaba na umyśle. Ją akurat napastował dziadek. Zaszła w ciążę i powiedziała, że to dziecko jakiegoś chłopaka, którego poznała na tańcach; on jednak przyprowadził braci i dowiedli, że nigdy nie został z nią sam na sam. Więc biedna Nora poszła do zakonnicy, urodziła dziecko i oddała je do adopcji, a dziadek nadal mieszkał z nimi w domu. I oni wszyscy wiedzieli. Przez cały czas. I nie odezwali się słowem.

Tak jak u nas w domu rodzice wiedzieli o stryju Niallu. I też nic nie mówili.

Założyłam zamek w drzwiach swojego pokoju i nikt nie zapytał po co. Doskonale wiedzieli, że wpadłam w oko bratu mojego ojca. Ale do niego należała większa część farmy, więc cóż mogli zrobić?

Często prosiłam Boga, żeby powstrzymał stryja Nialla. Ale Bóg pewnie był wtedy zajęty albo miał do rozpatrzenia wiele przypadków gorszych niż mój. Naprawdę ciężko było znieść jedno: że wszyscy wiedzieli i nikt nic nie zrobił. Wiedzieli, że odrabiam lekcje w szkole, bo się boję, że stryj przyjdzie do mnie, kiedy nikogo nie będzie w domu; rozumieli, dlaczego nie wracam, dopóki się nie upewnię, że matka przyszła już z mleczarni, w której pracowała, a ojciec z pola, więc ktoś mnie obroni. W pewnym sensie.

Kiedy chodziłam do szkoły, byłam jednocześnie dumna i zawstydzona. Dumna, że trzymam się poza zasięgiem brudnych szponów. I zawstydzona, że pochodzę z rodziny, która o mnie nie dba i zostawia samą, żebym mierzyła się ze sprawami, których nie pojmuję.

Przypuszczam, że dzięki temu szybko dorosłam. A gdy zdałam egzaminy, oświadczyłam stanowczo, że wyjeżdżam na studia daleko stąd.

Usłyszałam narzekania i zrzędzenia. Skąd wziąć na to pieniądze, spytał tata. Przez całe życie martwił się o pieniądze, to było jego największe przekleństwo.

Czemu nie miałabym zostać w domu, pójść na kurs dla sekretarek i zatroszczyć się o siostrę? - zapytała mama, co było słuszne i uzasadnione.

Moja siostra Geraldine naprawdę potrzebowała pomocy i gotowa byłam udzielić jej solidnego ostrzeżenia przed wyjazdem. Może w wielkim mieście zejść na złą drogę? Tak orzekł stryj Niall, choć on sam wiedział i ja wiedziałam, i moi rodzice wiedzieli. Znacznie szybciej mogłam zejść na złą drogę tutaj, gdybym nie założyła zamka w drzwiach pokoju.

Ale byłam o wiele twardsza, niż im się wydawało.

Naprawdę dojrzała jak na swój wiek.

Dam sobie radę, powiedziałam im, znajduję pracę, żeby zapłacić za mieszkanie i chesne. Byłam wzorową uczennicą. Wszechstronnie uzdolnioną. Mogłam podolać wszystkiemu.

I podolałam. Wyjechałam do Dublina dwa tygodnie przed rozpoczęciem semestru, załatwiłam sobie miejsce w czteroosobowym pokoju i pracę w tanim barze serwującym wczesne śniadania, co bardzo mi odpowiadało, ponieważ miałam zrobioną prawie całą dzienną robotę i darmowe obfite śniadanie **przed** pójściem na wykłady o dziesiątej, a potem, wieczorami, pracowałam w pubie od osiemnastej do dwudziestej drugiej, co powstrzymywało mnie przed wydawaniem pieniędzy i miałam cały dzień dla siebie.

Ponadto z powodu stryja Nialla i wszystkiego, co się z nim wiązało, nie szalalam za chłopakami tak, jak moje współmieszkanki, dzięki czemu mogłam też przyłożyć się do nauki. Na zakończenie pierwszego roku znalazłam się w piątce najlepszych studentów, co było dużym osiągnięciem.

Nigdy nie mówiłam o tym nikomu, kiedy przyjeżdżałam do Rossmore. Nikomu z wyjątkiem mojej siostry Geraldine, bo chciałam, by wiedziała, że możemy dokonać wszystkiego, naprawdę wszystkiego, jeśli tylko zechcemy.

Geraldine uważała, że jestem cudowna, i powiedziała mi, że dobrze sobie radzi ze stryjem Niallem, ponieważ wykrzykuje na całe gardło: „Ach, to stryjek Niall, co mogę dla stryjka zrobić?” - czym alarmuje cały dom i wtedy stryj wymyka się chyłkiem. A raz oznajmiła wszem wobec, że zamontuje sobie na drzwiach największą możliwą zasuwę.

I nagle w połowie drugiego roku studiów wiele spraw zaczęło iść źle. Mama zachorowała na raka i lekarze stwierdzili, że nie nadaje się do operacji. Ojciec stawiał czoło sytuacji w ten sposób, że upijał się każdego wieczoru do nieprzytomności.

Moja siostra wyprowadziła się i zamieszkała z młodszą siostrą mojej przyjaciółki Harriet Lynch, żeby móc się uczyć i oddalić od stryja Nialla, gdy już nie miał jej kto bronić.

W Dublinie podnieśli nam czynsz za mieszkanie. Naprawdę bardzo mocno. I właśnie wtedy poznałam Kena, który prowadził nocny klub przy jednej z brukowanych uliczek starego Dublina i zaproponował, żebym tam tańczyła. Powiedziałam, że przecież nie umiem tańczyć, a on, że to nie ma nic do rzeczy. Zauważyłam, że to może być niebezpieczne, no bo najpierw popisuję się przed mężczyznami, a potem nie pozwalam im się dotknąć.

Ale Keno miał ochroniarzy, którzy dbali o takie rzeczy.

A później umarła moja mama.

Owszem, to było okropne i starałam się oplakać ją jak należy, ale nie mogłam zapomnieć, że odwróciła głowę i zostawiła Geraldine i mnie własnemu losowi. Niedługo po pogrzebie stryj Niall sprzedał farmę za plecami ojca, a Geraldine nie poczyniła żadnych postępów w szkole, bo zanadto się wszystkim denerwowała. Uznałam, że jeśli zgody się na te cholerne tańce, będę mogła zaoszczędzić na własne mieszkanie w Dublinie, skończyć studia, posłać siostrę do dwuletniej szkoły przygotowawczej i mieć ją na oku. Więc zgodziłam się na propozycję Kena, nosiłam te groteskowe majtki na sznurkach i co wieczór tańczyłam przy rurze.

To było głupie. Przede wszystkim głupie, a poza tym nieco smutne.

Czasami muzyka po prostu człowieka wykańczała.

Ale dostawałam olbrzymie napiwki, ochroniarze byli w porządku, zawsze o trzeciej w nocy odwoziła mnie taksówka, no i w końcu, mój Boże, dlaczego nie?

Powiedziałam Geraldine, że pracuję w kasynie jako krupierka, przyjmuję pieniądze od gości, ona zaś - zgodnie z przepisami prawa - jest za młoda, żeby tam wejść, i to było dobrze wymyślone. A potem, pewnego wieczoru, jakżeby inaczej, do klubu przyszedł ojciec Harriet Lynch z kilkoma kolegami i rozpoznali mnie. Omal nie padli trupem.

Podeszłam do ich stolika, by wypić drinka, i poinformowałam najśladszym tonem, że każdy zarabia na życie oraz szu-

ka rozrywek na swój własny sposób i nic widzę potrzeby informowania ich matek, żon i córek oraz całego Rossmore o prawdziwym celu służbowych podróży do Dublina. Zrozumieli aluzję, a Keno powiedział mi później, że jestem najbystrzejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek zatrudniał w swojej stajni. Nie lubiłam określenia „stajnia”. Zupełnie jakbyśmy wszystkie były czymś w rodzaju tańczących cyrkowych koni. Ale lubiłam Kena. Bardzo. Okazywał nam szacunek, a to, co robił, robił dlatego, że musiał pomagać swoim ubogim krewnym w Maroku. Naprawdę pragnął zostać poetą, ale na poezji nie da się zarobić pieniędzy. Jego młodsze siostry i bracia nie zdobyliby wykształcenia, gdyby zajmował się tylko pisaniem wierszy, więc zamiast tego prowadził klub.

Świetnie go rozumiałam.

Czasami piliśmy razem kawę, Keno i ja, a moje znajome z college'u uważały, że jest cudowny. Zawsze opowiadał o poezji, więc myślały, że coś studiuje. Właściwie, jak zauważyłam, nigdy nie kłamał, ale też nie mówił całej prawdy.

Nie potępiłam go za to. Nie chciałam, żeby wyjaśnił moim koleżankom, że zna mnie z klubu, w którym tańczy prawie naga przez pięć nocy w tygodniu.

Tak samo odnosił się do Geraldine, która również zaczęła studia i na szczęście zbyt dobrze się bawiła, żeby śledzić moje tak zwane życie jako krupierki w kasynie. Keno mnie nie pociągał ani ja jego, ale często rozmawialiśmy o miłości i małżeństwie, i o tym, jak to wygląda. Do romansów i trwałości uczuć odnosił się cynicznie. Doświadczenie w biznesie nauczyło go, że żaden romans nie trwa długo.

Mówił, że chciałby mieć dzieci i właściwie już jedno ma, córeczkę w Marrakeszu, wychowuje ją babka. Matka małej pracowała jako tancerka egzotyczna w jednym z jego tamtejszych klubów. Wtedy po raz pierwszy usłyszałam, że Keno prowadzi jeszcze inne lokale prócz tego w Dublinie, gdzie pracowałam.

Ale nic nie powiedziałam i nie poruszałam więcej tego tematu.

- Wspaniała z ciebie dziewczyna, Clare - powtarzał często.
- Prawdziwa gwiazda.
- W szkole byłam wzorową uczennicą ze złotą gwiazdką
- wyjaśniłam, a on uznał, że to po prostu uroczę.
- Clare, moja mała Złota Gwiazdka! Zostaw te mrzonki o nauczycielstwie i zajmij się raczej prowadzeniem mojego klubu - prosił.

Powiedziałam mu jednak, że gdy zostanę nauczycielką, zrezygnuję z pracy w klubie. Za duże ryzyko, że zobaczą mnie ojcowie moich uczniów!

- No cóż, jak sama zauważyłaś, nie powinni tam przychodzić - odparł ze śmiechem.

Zjawił się na uroczystości wręczenia dyplomów i siedział obok Geraldine. Uśmiechnęłam się, odbierając rolkę pergaminu. Gdyby wykładowcy wiedzieli, że dziewczyna kończąca studia z wyróżnieniem tańczy topless w nocnym lokalu... Tylko Keno o tym wiedział i klaskał najgłośniej ze wszystkich.

Rok później byłam już pełnoprawną nauczycielką i znalazłam pracę dokładnie w takiej szkole, jakiej szukałam. Zaprosiłam Kena na pożegnalny lunch. Nie chciał uwierzyć, kiedy mu powiedziałam, ile będę zarabiać. Ale dla mnie to było aż nadto.

Geraldine uzyskała stypendium. Miałam oszczędności i prawie żadnych wydatków.

Podziękowałam mu z całego serca za umożliwienie mi tego wszystkiego. Miał chmurną, posepną minę i powiedział, że jestem niewdzięczna.

— W przyszłości, Keno, jeśli tylko będę mogła ci w czymś pomóc, zrobię to - przyrzekłam i mówiłam szczerze.

Nie miałam od niego wiadomości przez trzy lata. Zanim ponownie się ze mną skontaktował, wiele zdążyło się zmienić.

Po latach picia mój ojciec w końcu umarł, a na pogrzebie spotkałam pewnego starszego człowieka na wózku inwalidzkim. Nazywał się Marty Nolan i był kiedyś znajomym ojca, w czasach gdy jeszcze dało się z tatą porozmawiać. Dawno temu. Miły staruszek. Wózek popychał jego syn, dobroduszny fa-

cet o imieniu Neddy. Ów Neddy pracował w Anglii na budowach - jak powiedział, właściwie w charakterze menedżera swojego brata i jego kolegów, a teraz wrócił do domu i opiekował się ojcem.

Tchnęło od niego spokojem i przyjemnie mi się z nim rozmawiało.

Harriet Lynch powiedziała, że powinnam zobaczyć jego starszego brata Kita, naprawdę kawał chłopca. Oko bieleje na jego widok. Zapytałam, gdzie teraz jest. Podobno siedzi w więzieniu za jakieś sprawy, a Neddy to najporządniejszy facet w tej rodzinie.

Niezbyt bystry, dodała, nawet trochę nierozgarnięty, spóźniony refleks. Harriet Lynch żalowała później, że sama z siebie udzieliła mi tej informacji.

Bardzo żalowała.

Spotkałam się jeszcze z Neddym, ponieważ kilka razy wracałam do Rossmore, żeby odzyskać to, co uważałam za należną część dziedzictwa ojca dla Geraldine i dla mnie. Jeśli, rzecz jasna, można określić słowem „dziedzictwo” mienie pijaka, który zmarł w państwowym domu opieki. Przez lata próbowałam pokryć część kosztów utrzymania z zarobków w klubie, ale lekarz powiedział, że nie warto się tak poświęcać. Wyjaśnił mi, że mój ojciec nawet nie wie, gdzie się znajduje, i każde dodatkowe pieniądze wyda na jabłecznik. Innym także wytłumaczono, żeby nic mu nie dawali.

Stanęłam twarzą w twarz ze stryjem Niallem tuż po pogrzebie, kiedy przyjmował wyrazy współczucia w związku ze śmiercią swego nieszczęsnego brata. Miał, biedaczysko, problem z piciem, mówili ludzie, kręcąc smutno głowami.

Poprosiłam, by zechciał poświęcić mi chwilę uwagi.

Zmierzył mnie wzgardliwym spojrzeniem.

- Co mogę dla ciebie zrobić, panno Clare, w tym jakże smutnym dniu? - spytał.

- Oddać jedną trzecią tego, co stryj dostał za naszą farmę - odparłam miłym tonem.

Spojrzał na mnie jak na wariatkę.

- Jedna trzecia wystarczy. Zapisałam tu numer rachunku bankowego.

- Dlaczego myślisz, że oddam ci choćby jedno euro? - rzucił.

- Niech się zastanowię. Chyba stryj nie życzyłby sobie, żebyśmy razem z Geraldine opowiedziały doktorowi, księdzu, adwokatowi oraz połowie Rossmore, dlaczego w tak młodym wieku musiałyśmy opuścić rodzinny dom - odparłam.

Popatrzył z niedowierzaniem, ale wytrzymałam jego spojrzenie i w końcu to on odwrócił oczy.

- Nie ma problemu, przyjechał tu nowy młody wikary, który doda kanonikowi Cassidy'emu odwagi, by stawil stryjowi czoło. Pan Barry sprowadzi ważnego adwokata z Dublina, a doktor potwierdzi, że prosiłam go o pomoc, żeby wyrwać Geraldine z twoich pazurów. Świat się zmienił, wiesz? To już nie te czasy Niall, ze bogatemu stryjowi wszystko uchodzi na sucho.

Zatkało go. Ostatnią kroplą goryczy było chyba to, że zwróciłam się do niego per „Niall”.

- Jeżeli ci się wydaje, że... - zaczął.

Przerwałam mu.

- Pieniądze za tydzień, a prócz tego przyzwoity nagrobek dla mojego ojca.

Poszło zadziwiająco łatwo. Przelknął wszystko.

Oczywiście dokonałam szantażu, ale miałam to gdzieś. Dla mnie sprawa przedstawiała się inaczej.

A potem zaczęłam chodzić z Neddym. Przyjeżdżał do Dublina raz w tygodniu, żeby się ze mną zobaczyć, a ja raz w tygodniu jeździłam do niego. Nie spaliśmy z sobą, bo Neddy nie należał do mężczyzn, którzy na to naciskają.

W Dublinie, gdzie człowiek bez przerwy żył pod presją, Neddy wywierał na mnie naprawdę kojący wpływ.

I wtedy odezwał się Keno.

Potrzebowali mnie w klubie, nie zwracalby się do mnie, gdyby nie rozpaczliwa sytuacja. Miał kłopoty z dziewczynami z zagranicy. Wizy, biurokracja, wypełnianie formularzy. Po-

trzebny był ktoś, na kim można polegać, tancerka, owszem, ale taka, która dopilnuje wszystkich tych spraw.

Wytłumaczyłam mu, a raczej próbowałam wytłumaczyć, że dla mnie to absolutnie niemożliwe. Powiedziałam nawet o Neddym i o tym, jaki jest. Nie powinnam była o nim wspominać.

Kiedy Keno położył te zdjęcia na stole, napomknął między innymi o Neddym.

Nie wiedziałam, że robiono mi jakieś zdjęcia. Było na nich najwyraźniej widać, że to ja, w bardzo sugestywnych pozach. Zrobiło mi się niedobrze, gdy na nic popatrzyłam. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co o nich powie zarząd szkoły i mój kochany, niewinny Neddy

- **To** szantaż - powiedziałam.

- Jestem innego zdania. - Keno wzruszył ramionami.

- Daj mi tydzień - powiedziałam. - Choć tyle mi się od ciebie należy.

- Słusznie. - Keno zawsze dążył do zgody. — Ale mnie też należy się coś od ciebie. Za twój życiowy start.

W tym samym tygodniu, jakżeby inaczej, Neddy poprosił mnie o rękę.

- Nie mogę - odpowiedziałam. - Za ciężki bagaż.

- Przeszłość nie ma dla mnie znaczenia — zapewnił Neddy.

- Nie chodzi tylko o przeszłość. Chodzi o przyszłość.

I opowiedziałam mu wszystko. Od początku do końca, łącznie z okropnym stryjem Niallem i sytuacją Geraldine, i o tym, jaki nudny i męczący był taniec u Kena. Położyłam na stole kopertę ze zdjęciami, a Neddy po prostu wrzucił ją do kominka, nawet nie otwierając.

- Na pewno wyglądasz na tych zdjęciach bardzo pięknie - uznał - i dlatego ludzie nic mieliby płacić, żeby popatrzeć na ciebie?

- On ma więcej takich zdjęć - wyznałam rozpaczliwym tonem.

- No tak, oczywiście, ale to bez znaczenia.

- Och, daj spokój, Neddy, przecież ja uczę mile dziewczęta z dobrych domów. Myślisz, że ktoś zechce mnie dalej zatrudniać, kiedy zobaczy te fotografie?

- No cóż, miałem nadzieję, że jeśli wyjdiesz za mnie, wrócisz do Rossmore i będziesz uczyła w jakiejś szkole w naszej okolicy.

- Ale on może wszystkim pokazać te zdjęcia - powiedziałam. Zastanawiałam się, czy Neddy istotnie nie jest opóźniony w rozwoju.

- Możesz ich uprzedzić. Możesz powiedzieć, że musiałaś opłacić naukę w college'u, wykonując rozmaite prace, między innymi taniec egzotyczny.

- To się nie uda. Nie ujdzie nam na sucho, Neddy.

- Uda się, ponieważ to prawda - popatrzył na mnie swoimi szczerymi niebieskimi oczyma.

- Żałuję, że sprawy nie ułożyły się inaczej - powiedziałam.

- Czy powiedziałabyś „tak” i wyszła za mnie, gdyby nie ta drobna przeszkoda? - spytał.

- To wielka przeszkoda, Neddy - odparłam znużonym głosem.

- Wyszłabyś za mnie, Clare?

- No cóż, tak, Neddy. Byłabym zaszczycona, gdybyś został moim mężem,

- W i ę c dobrze, jakoś to rozwiążemy - stwierdził.

I tego samego wieczoru poszedł ze mną do klubu. Przemaszerowaliśmy między tancerkami i klientami aż do biura na zapleczu. Keno był, łagodnie rzecz ujmując, zaskoczony.

Przedstawiłam ich sobie, a potem Neddy zaczął rozmowę.

Powiedział, że doskonale rozumie sytuację, to musi być trudne prowadzić klub z takimi kłopotami z obsadą, ale byłoby nieładnie odbierać mi najpiękniejsze marzenie, ponieważ od dzieciństwa chciałam zostać nauczycielką.

- Clare była w szkole wzorową uczennicą - powiedział Keno, zapewne po to, by wypełnić lukę w rozmowie.

- Wcale mnie to nie dziwi - odparł Neddy, uśmiechając się

promiennie i z dumą. - Więc widzi pan, nie możemy zmusić Clare do niczego, jeśli chce się poświęcić uczeniu. Nikt nie może.

Keno wyciągnął z szuflady biurka grubą brązową kopertę.

- Zdjęcia? - zwrócił się do Neddy'ego.

- Są bardzo ładne, Clare pokazywała mi je dzisiaj po południu.

- Naprawdę? - zdumiał się Keno.

- Oczywiście, jeśli mamy się pobrać, nie powinniśmy nic przed sobą ukrywać. Powiedziałem jej, że mój brat Kit siedzi w więzieniu. Nie można pomijać milczeniem spraw, które cię bezpośrednio dotyczą. Wiem, że Clare jest panu bardzo, bardzo wdzięczna za umożliwienie życiowego startu. Właśnie dlatego przyszliśmy tutaj.

- W i ę c właściwie po co tutaj przyszliście? - Keno był kompletnie oszołomiony.

- Dowiedzieć się, czy możemy panu pomóc w jakiś inny sposób - odparł Neddy z prostotą, jakby to było oczywiste.

- W jaki, na miłość boską?

- No cóż, mam dobrego znajomego, który pracuje w kutym żelazie i mógłby w klubie zamontować ładne okna, takie, co to nie tylko będą świetnie wyglądały, ale także obronią przed nieproszonymi gośćmi. Niech no się zastanowię, co jeszcze? Gdyby tancerki były zmęczone i chciały gdzieś wyjechać, to pod lasem, tam, gdzie mieszkamy, jest bardzo cicho i spokojnie... Niektóre dziewczęta mogą potrzebować milego wypoczynku. Mogłyby u nas nocować. W Rossmore jest wiele do obejrzenia. Mamy nawet cudowną studnię w lesie. Ludzie wypowiadają tam życzenia, które się spełniają. - Na jego dobrodusznej twarzy odmalował się wysilek, kiedy starał się podsunąć najlepsze pomysły.

Zacząłam prosić Boga, żeby Keno nie wyśmiał Neddy'ego ani nie powiedział, że wychodzę za mąż za przygłupa. Przemówiłam do Boga w duchu bardzo gorąco: „Nigdy nie zawracalam Ci głowy, Panie, prawda? Nie chodziłam do studni i nie

narzucałam się Twojej babci, świętej Annie, prawda? Nie, sama rozwiązywałam własne problemy i opiekowałam się młodszą siostrzyczką. Nie zgrzeszyłam za bardzo, chyba że taniec jest czymś grzesznym. Ale to takie niemądre, że chyba nie może być prawdziwym grzechem? A teraz chciałabym uciec od tego wszystkiego i poślubić porządnego człowieka. Przecież właśnie po to istniejesz, prawda, Panie Boże?"

I tym razem Bóg mnie wysłuchał.

Keno włączył niszczarkę dokumentów i wsunął do niej zdjęcia.

- Więcej ich nie mam - oznajmił. — Niech ten twój kumpel od kutego żelaza skontaktuje się ze mną, Neddy. A teraz, cholera jasna, wracajcie obydwójce do domu i zaplanujcie swoje wesela. Ja tu muszę prowadzić interes, który i tak kuleje.

Więc wyszliśmy z klubu i ręka w rękę pomaszzerowaliśmy brukowaną ulicą.

3

Wakacje dla singli

Część 1 - Vera

To było zupełnie jasne od chwili, gdy zobaczyłam ogłoszenie:

"Wakacje dla samotnych
- zabawa, słońce, morze, odprężenie".

Tego właśnie pragnęłam.

Stowarzyszenie Aktywnych Emerytów było takie powolne, a na ćwiczeniach fizycznych dla sercowców potraktowano mnie pogardliwie. W grupie dla Ogrodników w Starszym Wieku ludzie odnosili się do mnie zdecydowanie wrogo. Moje kuzynki z Rossmore wyraziły największą dezaprobatę. Stwierdziły, że takie wakacje są wyłącznie dla młodych. Dla rozwyrzzonej młodzieży, która będzie zapewne uprawiać seks w samolocie i chodzić pijana przez całe dwa tygodnie od przybycia na miejsce.

Czy jednak wspomniano o czymś podobnym w ogłoszeniu reklamowym?

Skądże.

Wpłaciłam dwieście euro zaliczki, a później resztę, kiedy przysłali fakturę. Ani razu nikt nie spytał mnie o wiek. I słusznie. Ja również nikogo o wiek nie pytałam. Zjawiłam się na lotnisku z moją fioletowo-żółtą plakietką, na której widniał napis: "Wakacje dla singli".

Bo tym właśnie byłam. Singielką.

Mogłam bez trudu poślubić Geralda i całkiem prawdopodobne, że mogłam wyjść za Kevina. Ale Gerald był bardzo, no naprawdę bardzo nudny. Więc nie zostałam jego żoną. Kobieta, która zdecydowała się nią zostać, omal nic oszalała z nudów. Nie próbowałam też oczarować Kevina ani nic w tym rodzaju, ponieważ zupełnie nie można było na nim polegać. Nie zaznałabym przy nim ani chwili spokoju.

I nigdy nie żałowałam, że jestem osobą wolnego stanu. Nigdy - może tylko czasami na wakacjach.

Musiałaś dopłacać za pojedynczy pokój i często sadzano cię przy małym, nędznym stoliku z dala od innych ludzi. Człowiek czuł się trochę osamotniony, nie mając z kim porozmawiać ani się pośmiać po całym dniu. Dlatego byłam podekscytowana wakacyjną ofertą, która tak odpowiadała moim potrzebom.

Na lotnisku zobaczyłam mnóstwo fioletowo-żółtych plakietek — i owszem, współpasażerowie wyglądali bardzo młodo, mniej więcej czterdzieści lat młodziej niż ja, ale pomyślałam, że to tylko na razie. Starsi zjawiają się później.

Okazało się jednak, że nie. A kiedy czekałam w kolejce do odprawy, kilka osób obrzuciło mnie dziwnymi spojrzeniami. Ale zawsze spotykałam się z dziwnymi spojrzeniami. Za kobietą po sześćdziesiątce, w dżinsach i wielkim kapeluszu z opadającym rondem, ludzie często się oglądają. Chcą się po prostu upewnić, że te wszystkie bruzdy i zmarszczki między kwiecistym płóciennym kapeluszem a parą schludnych dżinsów nie są wytworem ich wyobraźni.

Dziewczyna z punktu odpraw zapytała, czy jestem pewna, że zarezerwowałam odpowiedni bilet, na co odparłam, iż naprawdę jestem wolnego stanu i z góry bardzo się cieszę na te wakacje. W samolocie wszyscy się sobie nawzajem przedstawiali, więc i ja to zrobiłam.

- Mam na imię Vera - powiedziałam, ściskając serdecznie dłonie najbliższych sąsiadów.

Byli to sympatyczni młodzi ludzie o imionach: Glenn, Sharon, Todd i Alma. Żadne z nich nie wyjeżdżało wcześniej na

wakacje dla singli, podobnie jak ja, więc mieliśmy przynajmniej tyle wspólnego.

- G d z i e byłaś w zeszłym roku, Vero? - spytał Glenn.

Opowiedziałam im o wędrownych wczasach w Walii, zorganizowanych przez Stowarzyszenie Aktywnych Emerytów, a także o autobusowej wycieczce po Szkocji w ramach grupowych zajęć dla sercowców. Zamierzałam pojechać do Kornwalii z grupą Ogrodników w Starszym Wieku, realizującą Projekt Eden, ale zobaczyłam ogłoszenie o wakacjach dla singli i doszłam do wniosku, że zawiera wszystko, czego bym naprawdę pragnęła.

Sharon, bardzo ładna dziewczyna o uroczym uśmiechu, zapytała, czy mam rodzinę, na co odparłam ze smutkiem, że nie, byłam jedynaczką i nigdy nie wyszłam za mąż, ale mam za to wielu bliskich przyjaciół. A także mnóstwo czasu, żeby spotykać się z ludźmi, odkąd przeszłam na emeryturę.

Todd chciał wiedzieć, skąd pochodzę. Wyjaśniłam, że teraz mieszkam w Dublinie, ale urodziłam się w Rossmore - miejscowości, o której zapewne nie mają ochoty słuchać. Jak się okazało, wszyscy chcieli posłuchać.

W telewizji wyświetlono film dokumentalny. Powiedziałam, że w Rossmore znajduje się słynna studnia życzeń, która spełnia wszystkie pragnienia. Alma podsunęła, że może powinniśmy wszyscy polecieć właśnie tam, zamiast do Włoch, no bo święta studnia oferowała wszystko, czego się zapragnęło, wyobraźcie sobie tylko. Zastanawiałam się, czy im nie powiedzieć, że studnia tak naprawdę nie jest chrześcijańska, istniała tam już wiele lat przed przybyciem świętego Patryka do Irlandii. Ale zasypywanie młodych ludzi zbyt wieloma informacjami naraz wydawało się błędem.

Glenn zagadnął, czy kiedykolwiek byłam we Włoszech, i opowiedziałam im to i owo o Rzymie, Florencji i Wenecji, ale się przyznałam, że nigdy nic widziałam tego miejsca, Bella Aurora, do którego zmierzaliśmy. Szczerze mówiąc, nigdy nawet o nim nie słyszałam, dopóki nie dostałam broszury, gdzie wy-

mieniono wiele interesujących miejscowości. Byłam ich bardzo ciekawa.

- Przede wszystkim kluby, tak mi się wydaje - powiedziała Alma. Jej przyjaciółka wybrała się tam w zeszłym roku i mówiła, że bawiła się świetnie, chodziła nawalona dzień i noc.

Nawalona? - pomyślałam, ale nie odezwałam się głośno. Młodych ludzi bardzo irytuje, kiedy ktoś przejawia zdumienie.

- Brzmienie - zauważyłam z promiennym uśmiechem i może tak mi się tylko wydawało, ale wszyscy spojrzeli na mnie z większym zainteresowaniem.

Na lotnisku, gdy już odebraliśmy bagaże, dwie niemal nagie dziewczyny w fioletowo-żółtych strojach kąpielowych od-fajkowały nas na liście gości i skierowały do autobusu. Po drodze do Bella Aurora minęliśmy kilka dużych kurortów. Wszędzie wznosiły się potężne białe hotele z widokiem na morze i stały rzędy kawiarenek, pizzerii, lodziarni, barów. W Bella Aurora wszystko wyglądało tak samo.

Trudno było dostrzec, gdzie mają się znajdować te wszystkie „interesujące miejsca”. Ale ja nigdy nie zaczynam od narzekań. Trudno było również wyobrazić sobie odprężenie przy dudniącej wszędzie, ogłuszającej muzyce - ale nie ma sensu szukać dziury w całym, zanim się człowiek zaaklimatyzuje. Zawsze można się dobrze bawić, nawet przy braku miejsca, bo plaża wydawała się bardzo zatłoczona. Obiecali jednak zabawę i niewątpliwie gotowi byli ją zapewnić.

W hotelu czekały trzy następne prawie nagie dziewczyny z listami nazwisk przypiętymi do podkładek, by wyznaczyć nam pokoje. Usłyszeliśmy, że mamy pół godziny na rozpakowanie, a potem przy basenie będą serwowane powitalne drinki.

Rozwiesiłam ubrania, wzięłam prysznic, włożyłam dżinsy i nową, czystą bawełnianą koszulkę, po czym zeszłam na dół.

Ku memu zaskoczeniu, prawie wszyscy, którzy lecieli ze mną, byli również prawie nadzy, podobnie jak dziewczęta z obsługi. Wiele osób miało bardzo bladą skórę, lecz na przykład Alma i Sharon opaliły się wcześniej w solarium. Sharon wy-

glądała przepięknie, jakby przyleciała z Hawajów. Obydwie sprawiały wrażenie, jakby przebywały tu od tygodni.

Podano jakiś owocowy poncz, bardzo smaczny i orzeźwiający, a wszystkim chciało się pić po podróży, w tym upale i w ogóle. Prawie nagie dziewczęta poinformowały nas o interesujących miejscach, czyli głównie o klubach, które były czynne od północy, **pełne** życia i wiele się w nich działo. A potem poczułam się nieco dziwnie, miałam wrażenie, jakby basen zaczął odpływać w dal, więc położyłam się na chwilę i zamknęłam oczy.

Gdy się obudziłam, było znacznie ciemniej, a inni tańczyli przy basenie. Grała bardzo głośna muzyka.

Todd leżał obok mnie na drewnianym leżaku.

- Włali do tego ponczu solidną porcję wódki - zauważył z uznaniem.

Wódki? Piłam wódkę przez całe popołudnie, w tym upale?

— Twarda z ciebie zawodniczka, Vera, muszę to przyznać - powiedział z drugiej strony Glenn, ściskając oburącz czoło.

Lubię kobiety, które mają mocną głowę. Ja sam chyba na chwilę zwolnię tempo. Do zobaczenia na kolacji.

Na kolacji? Myślałam, że ją przespałam. Uznałam, że już pora położyć się do łóżka. Ale może powinnam coś zjeść.

Jadalnię ozdobiono papierowymi kwiatami i każdy mógł usiąść, gdzie chciał. Usiadłam obok Sharon, która była przynębiona i nie chciała jeść. Zwierzyła mi się, że podoba jej się Glenn. Ale on tak jakby wcale jej nie zauważał. Zaczepiał ją tylko ten hałaśliwy Todd, który potem usnął przy koktajlach. No i czy życie nie jest ciężkie?

Przytaknęłam, ale dodałam, że to dopiero początek i może lepiej, że nie poleciał na nią pierwszy z brzegu facet. Rozpromieniła się, słysząc te słowa, i zjadła solidną kolację.

Tuż po północy wszyscy wyruszyli do jednego z interesujących klubów w okolicy, a ja poszłam do łóżka i zapadłam w sen.

Nazajutrz rano zeszałam na dół, przepłynęłam trzy długości basenu i poczułam się znacznie lepiej. Rozejrzałam się za nozymi znajomymi, lecz nie dostrzegłam nikogo. Wróciłam więc

nad wodę i trochę sobie poczytałam. Normalnie poszłabym na spacer i poszukała jakiegoś starego kościoła albo muzeum, nie chciałam jednak, żeby znajomi z turnusu pomyśleli, że trzymam się na dystans. Czekałam i czekałam, ale nikt się nie pojawił.

Pomyślałam wówczas, że z pewnością zorganizowano „Coś Interesującego”, a ja przegapiłam informację, gdy poprzedniego wieczoru usnęłam po tym owocowym ponczu z wódką. Jedna z prawie nagich dziewcząt rozdała nam wizytówki na wypadek jakichś problemów, więc teraz zadzwoniłam do niej i zapytałam, czy przeczytałam Coś Interesującego.

Prawie naga dziewczyna sprawiała wrażenie wytrąconej z równowagi, a nawet zirytowanej tym, że ktoś budzi ją tak wcześnie. Wcześnie? Minęło południe, a ja wstałam o ósmej. Nie, oczywiście na ranną porę nic nie było zaplanowane. Ludzie niczego sobie rano nie życzyli. Po wpół do trzeciej miał być podany bufetowy lunch z owoców morza, a później chętni mogli zagrać w piłkę wodną. Zapisano to na tablicy ogłoszeń w hotelu. A teraz, jeśli zechcę wybaczyć, ona wróci do łóżka.

Czytałam więc nadal książkę i czekałam na lunch z owoców morza. Około trzeciej zaczęli się pojawiać inni, wciąż bardzo zmęczeni i skacowani. Wszyscy wypili po trzy filiżanki czarnej kawy, niektórzy sok pomarańczowy, co zastąpiło im śniadanie, a potem przerzucili się na zimne piwo i pochłonęli całe góry krewetek, kalmarów i małży. Następnie, o dziwo, nabrali wigoru i zapragnęli zagrać w piłkę wodną. Ta gra nie opierała się chyba na ściśle określonych regulach, gdyż polegała w dużej mierze na zdejmowaniu dziewczętom górnych części bikini.

Przypatrzyłam się temu i orzekłam, że zazwyczaj nic uprawiam dwugodzinnych ćwiczeń fizycznych tuż po posiłku. Niegdyś to robiłam, za młodu. Słuchali z zaciekawieniem, jakbym przekazywała im wiadomości z planety Mars.

Sharon powiedziała, że teraz trochę bardziej podoba się Glennowi, co jest wspaniale, i miałam rację, kiedy jej doradziłam, żeby została. A Todd oświadczył, że Sharon to prawdzi-

wa mała zdzira. Alma stwierdziła, że jej zdaniem Todd jest boski. Glenn zaś wyznał mi, że to dla niego fantastyczne wakacje, i zapytał, czy dobrze się bawię. Ponieważ tak mnie wychowano, by zawsze okazywać uprzejmość i mówić, że jest wspaniale, nawet jeśli to nieprawda, odparłam, że bawię się wyśmienicie.

W rzeczywistości jednak nie wydawało mi się, by można tam było robić zbyt wiele ciekawych rzeczy, a w moim wieku na pewne zabawy po prostu sobie nie pozwalałam. Pozostawało morze, słońce i mili współbiednicy, więc gdy grali w tę tak zwaną piłkę wodną, wyszłam kupić widokówki, które wysłałam do znajomych ze Stowarzyszenia Emerytów, do kuzynek z Rossmore, Ogrodników w Starszym Wieku oraz sercowców z grupy ćwiczeń - pisząc, że jest tu wręcz zachwycająco. Bo w zasadzie tak było.

Drugiego wieczoru bardzo uważałam z tym owocowym ponczem, a przy kolacji Sharon wyznała, że Glenn chce się z nią umówić po powrocie do domu. Todd stwierdził, że Sharon to flirtiarą, Alma zaś oświadczyła, że Todd pyskuje tak głośno tylko dlatego, iż nikt go nie zdołał zrozumieć. Wszyscy wybrali się do kolejnego modnego klubu, a ja poszłam spać.

Zdawałam już sobie oczywiście sprawę, że mam całe przedpołudnie na własne interesujące zajęcia. Jeśli tylko zjawię się w bufecie na lunch z owoców morza około trzeciej, nikt nawet nie zauważy mojej nieobecności. Zwiedziłam muzeum w starej części miasta, naprawdę zachwycające, i zobaczyłam staroświecki hotel, zupełnie odmienny od całej reszty Bella Aurora. Tak bardzo się różnił od tych wszystkich hałaśliwych miejsc nad samym morzem, pełnych prawie nagich turystów, że postanowiłam tam wstąpić na filiżankę kawy.

Podano ją w przestronnym, cienistym ogródku. To miejsce naprawdę znacznie bardziej odpowiadało mojemu gustowi, tyle że wydawało się nieco odludne. I nie mogłabym uczestniczyć w niczym życiu, jak to się działo na moich „wczasach dla singli”.

W hotelowym ogródku siedział starszy mężczyzna w słonecznym kapeluszu i coś szkicował. Uprzejmie skinął mi głową, więc odwzajemniłam powitanie, z nadzieją że robię to z równą uprzejmością. Dwie doby w towarzystwie rozbrykanej młodzieży sprawiły, że wyrażałam się inaczej i niemal myślałam inaczej. W końcu podszedł do mnie i pokazał rysunek.

- J a k się pani podoba? - zapytał.

Odparłam, że jest znakomity i zdradza ogromne wyczucie szczegółu.

Mężczyzna powiedział, że ma na imię Nick i przebywa tu od dwóch dni. Hotel jest uroczy, acz cichy i oczywiście mieszkają w nim same pary. Westchnęłam do wtóru i stwierdziłam, że zawsze pojawia się taki kłopot. Dowiedziałam się, że mój nowy znajomy jest bezdzietnym wdowcem i lubi towarzystwo, w którym się obraca, ale odkąd przeszedł na emeryturę, czegoś mu brakuje. Zwierzyłam się, że nigdy nie wyszłam za mąż i z powodu dyskryminacji osób podróżujących samotnie zapisałam się na turnus wakacyjny dla singli.

Był niebotycznie zdumiony.

- Czy to nie dla osób znacznie młodszych niż my? - zapytał.

- W ogłoszeniu tego nie zaznaczono - wyjaśniłam i to go najwyraźniej zadowoliło.

Oznajmił ze śmiechem, że jestem wspaiała.

Dodałam, że oczywiście moi współtowarzysze nie wstają przed trzecią po południu.

- A co właściwie robią? - zaciekawił się Nick.

Odrzekłam, że naprawdę nie wiem. Nie potrafiłam uwierzyć, iż wszyscy uprawiają seks przez całe przedpołudnie. Przypuszczałam, że siedzą w tych swoich klubach do późnej nocy, a potem są zupełnie wyczerpani.

Nick powtórzył, że jestem bardzo interesującą osobą i zapytał, czy nie zjadłabym z nim późnego lunchu. Wyjaśniłam, że muszę wrócić na trzecią, ponieważ nasz bufet serwuje owoce morza.

Poklepał mnie po ręce jak bliską znajomą.

- Cóż, proszę mi obiecać, że wróci tu pani jutro rano i wybierzemy się dokądś, gdy single będą odsypiać noc.

Odparłam, że to wspaniały pomysł.

Podczas lunchu Alma powiedziała, że ostatniej nocy zbliżyli się z Toddem i było świetnie. Nie wnikałam, co dokładnie oznacza „zbliżyli się”. Pokiwałam tylko entuzjastycznie głową. Sharon nie wiedziała, czy powinna być bardziej czy mniej przystępna dla Glenna. Bardzo trudno było to rozstrzygnąć. Doradziłam jej najlepiej, jak umiałam. Zamiast piłki wodnej odbył się konkurs mokrego podkoszulka, ale nie zauważyłam większej różnicy. Przy kolacji Todd oznajmił, że Alma to zdzi-
ra, a Glenn zdawał się dostrzegać wyłącznie jedną z półnagich dziewcząt z obsługi. Poszli do kolejnego klubu, ja zaś położyłam się do łóżka i słuchałam muzyki dobiegającej z każdego zakątka Bella Aurora.

Nie mogłam się doczekać spotkania z Nickiem następnego dnia. A potem sprawy potoczyły się miłym, spokojnym torem.

Codziennie wybieraliśmy się dokądś razem, Nick i ja. Czasami jeździliśmy autobusem do różnych małych miejscowości oddalonych od morza i dwa razy opuściłam lunch o trzeciej, ale na kolację nigdy się nie spóźniłam.

- Czy mógłbym któregoś wieczoru przyjść do ciebie na kolację? - zapytał Nick.

Nikt dotychczas nie przyprowadził gościa, więc odparłam, że muszę się dowiedzieć.

- Oczywiście zapłacę i przyniosę wino - dodał.

- Powiem im - zapewniłam.

Jedna z półnagich dziewcząt z obsługi oświadczyła, że zazwyczaj się na to nic zezwala, ale w moim wypadku nie ma problemu. Więc zaprosiłam Nicka.

- Trochę się denerwuję, zupełnie jakbym miał poznać twoją rodzinę - wyznał.

Opowiadałam mu wcześniej o Toddzie, Glennie, Sharon i Almie i ich uczuciowych komplikacjach. Im natomiast nie wspominałam o Nicku.

Tego wieczoru, gdy przyszedł na kolację, Glenn, zamiast zając się jedzeniem, całował półnągą dziewczynę z obsługi, Sharon płakała, a Alma oznajmiała wszystkim, że Todd to cienias.

- Co to znaczy? - spytałam.

Szmondak - odparła Alma, nie wyjaśniając mi tym niczego.

Nick szybko zorientował się w sytuacji.

- To przez ten klimat i trunki - poinformował Sharon.

- Zabierz Glenna choć na jeden dzień do jakiejś milej, cieniastej wioski, z dala od wódki i skwaru, żebyście mogli pogadać bez tych wszystkich ciał naokoło. Zobaczysz, że będzie dobrze.

Następnie doradził Toddowi, żeby przestał zachowywać się jak skończony osioł, bo wróci do domu zupełnie przegrany, a ta miła dziewczyna nazywa go „cieniasem” tylko dlatego, że naprawdę jej się spodobał. Odtąd Nick przychodził na kolację co wieczór, prócz ostatniego dnia, kiedy umówiliśmy się tylko we dwoje, by porozmawiać o naszych wspólnych zainteresowaniach.

Miał mały samochód, lecz autostrady budziły w nim obawę i **jeździł** tylko bocznymi drogami. Zaproponował, że mógłby mnie odwiedzić w Rossmore, a wówczas pokazałabym mu te słynne lasy, którymi wszyscy tak się przejmują z powodu nowej autostrady.

- I mógłbym poznać twoje kuzynki - dodał ostrożnie.

- N i e zyskasz ich aprobaty. Nie akceptują nikogo i niczego - przestrzegłam.

Uznał, że to wspaniale.

- O czym mógłbym z nimi rozmawiać? - zapytał.

- Będą cię przesłuchiwać - wyjaśniłam. - A gdy już się wszystkiego dowiedzą, namieszają ci w głowie swoimi poglądami na temat nowej obwodnicy jako hańby narodowej i poproszą o pisanie w tej sprawie listów do gazet.

- C z y to rzeczywiście hańba narodowa? - chciał wiedzieć Nick.

- Nie, ta obwodnica jest koniecznie potrzebna, Rossmore już

i tak przypomina parking, tyle że bez wjazdu i wyjazdu. Powinni byli ją zbudować dawno temu.

- A ta święta studnia?

- Pogańskie miejsce kultu. Głogi podobno kryją w sobie jakąś magiczną moc i farmerzy nie chcą ich ścinać. Histeryczne brednie najwyższego rzędu.

Nick stwierdził, że jestem ogromnie interesująca. I czy to nie było wspaniale - mieszkał w Dublinie niedaleko mnie, kilka przystanków autobusem. Zawsze chciał bliżej zgłębić tajniki ogrodnictwa, ale myślał, że już za późno, ja zaś chciałam ryśować, ale nie wiedziałam, od czego zacząć; ponadto przebywanie we własnym towarzystwie jest miłe, lecz przebywanie z drugą osobą jeszcze miłsze.

Nazajutrz, w dzień wyjazdu, Glenn i Sharon szli obok siebie, a Todd dźwigał walizkę Almy.

Kierując nas do autobusu, półnaga dziewczyna z obsługi zapytała, czy przyjadę na następne wakacje dla singli. Popatrzyłam na nią spod ronda mojego kwiecistego kapelusza i odparłam, że w przyszłym roku mogę już nie być odpowiednią kandydatką na turnus dla samotnych.

Część 2 - *Chez Sharon*

No cóż, powrót z tych wakacji był koszmar. Słowo daję, prawdziwy koszmar. Kiedy pchaliśmy wózki z bagażami przez dublińskie lotnisko, czułam, jak rośnie mi gula w żołądku. Byłam stuprocentowo pewna, że już po wszystkim, ot, wakacyjny romans. On powie: „No to do zobaczenia” albo zadzwoni i zakończy sprawę. Nie będzie już takich cudownych dni jak w Bella Aurora. Tylko rozpacзлиwa praca i deszcz, a nikt nie podobał mi się tak jak Glenn nigdy w życiu, choć mam dwadzieścia trzy lata, czyli już niemało.

W każdym razie wszyscy wykrzykiwali słowa pożegnania, wymieniali pocałunki i umawiali się w tym czy tamtym klu-

bie, a Glenn po prostu stał i patrzył na mnie. Za wszelką cenę pragnęłam powiedzieć coś innego niż zdanie wirujące w mojej głowie, takie jak: „nic zostawiaj mnie, Glenn” albo „wszystko się ułoży, nawet kiedy będziemy musieli wrócić do pracy i w ogóle...”. Potrafiłam myśleć tylko o okropnych rzeczach które ograniczają swobodę - o rzeczach odstraszaających każdego faceta.

Więc oznajmiłam w końcu: „no to jesteśmy” - co nie zabrzmiało zbyt błyskotliwie. No bo przecież oczywiście byliśmy tam, a nie gdzie indziej.

Glenn tylko się uśmiechnął.

- A n o jesteście - potwierdził.

- Bawiliśmy się świetnie. - Miałam nadzieję, że nie zabrzmiało to zbyt emocjonalnie, zbyt natarczywie.

- T a k , ale to jeszcze nie koniec, prawda? - spytał z niepokojem Glenn.

- M o w y nie ma - odparłam, zdając sobie sprawę z własnego szerokiego, głupkowatego uśmiechu.

I wtedy podeszła Vera, żeby się pożegnać.

- Nick wraca w przyszłym tygodniu, wykupił wakacje o tydzień dłuższe niż nasze, a ja chciałam zaprosić kilka osób... urządzić coś w rodzaju zjazdu. Przyjdziecie? Todd i Alma obiecali, że przyjdą. Masz mój adres, więc to będzie **chez** Vera, w przyszły piątek, dobrze? Około ósmej?

- Sze-wera? - powtórzyłam niemądrze.

Ona jest strasznie miła, ta Vera, nigdy by z nikogo nie zrobiła durnia.

- To taki niedorzeczny zwrot. Oznacza... w czymś domu. *Chez moi*, w moim domu, *chez vous*, w twoim domu... Tak się mówiło w naszym kółku chyba ze sto lat temu. - Zerknęła ze skruchą spod tego swojego groteskowego kapelusza, ubrana jak zwykle w spłowiałe dżinsy.

Pomachała nam i odeszła, żeby złapać autobus. Śmieszna babka, ale wszyscy za nią przepadaliliśmy - no i też w końcu miała coś z tych wakacji.

Glenn zapowiedział, że jego brat wraca z kilkoma kumplami za godzinę z Santa Ponsa i umówił się z nimi w barze. Podwiozą go *chez* Glenn. Czy mogłabym zaczekać, żeby podwieźli mnie *chez* Sharon?

Zaczekałabym z największą chęcią, by dodać naszemu wakacyjnemu romansowi irlandzkie tło, porównywalne z tamtym błękitnym niebem. Ale za nic nie mogłam pozwolić, żeby zobaczył, jak wygląda *chez* Sharon. Glenn nie jest wybredny, absolutnie, ale nasz dom trzeba byłoby pucować przez miesiąc, zanim pozwoliłabym mu go zobaczyć. To nic zadzieranie nosa ani nic w tym rodzaju, to kwestia przetrwania.

W ogrodzie jest pełno mleczy i kawalków starego żelastwa, których jakoś nie da się nigdzie wynieść. W kuchennym oknie tkwi deska od ostatniego razu, kiedy tata wyrzucił przez nie różne rzeczy i mało prawdopodobne, by wstawili szybę w czasie mojej nieobecności. Farba na ścianach się łuszczy. Wszelkie szanse, jakie miałam u Glenna, od razu by wyparowały, gdyby zobaczył, jak się mieszka *chez* Sharon.

Więc odmówiłam - nie, bardzo się spieszę, wkrótce się skontaktujemy — wsiadłam do autobusu i przepłakałam całą drogę do domu.

Mama szykowała kolację. Sprawiała wrażenie zmęczonej, jak zawsze, odkąd sięgałam pamięcią.

- Tylko nie zdenerwuj dzisiaj taty - tak brzmiały jej pierwsze słowa.

- Znowu się urżnął? - spytałam.

— Nie wiodło mu się ostatnio, Sharon, bądź tak dobra i nie pogarszaj sytuacji. Miałś cudowne wakacje, a my co mieliśmy?

Na to pytanie nie było odpowiedzi.

Moja mama nie miała nic prócz wyzwisk i okropnej pracy polegającej na sprzątanii biur od czwartej rano do ósmej, a potem jeszcze zmywaniu naczyń w całodobowym barze serwującym śniadania. Ja miałam dwa tygodnie słońca, sangrii i pysznej zabawy i poznałam fantastycznego faceta. Nie zamierzałam pogarszać sytuacji.

Z przyklepionym do twarzy uśmiechem powitalam tatę, który wszedł, pomstując na jakiegoś konia i fałszywego przyjaciela, że go okłamał co do konia.

- Tobie to dobrze, Sharon, jeździsz sobie za granicę - powiedział, spoglądając na mnie z urazą.

- Wiem, tato, miałam wielkie szczęście - odparłam i zobaczyłam wyraz ulgi na twarzy mamy.

W rzeczywistości wcale nie miałam szczęścia, tylko ciężko na to pracowałam. Przez trzydzieści siedem tygodni odkładałam dwadzieścia euro tygodniowo z pieniędzy, które zarabiam w pralni chemicznej. Wszystko po to, żeby zafundować sobie te wakacje i kilka nowych ciuchów.

Tata nigdy nic nie odłożył. Mama owszem, ale wydawała wszystko na nas, na dom i przyzwoite koszule dla ojca na wypadek, gdyby znalazł sobie jakąś pracę.

Moi młodszy bracia przyszli na herbatę i podarowałam wszystkim duże pudełko włoskich herbatników, które specjalnie przywiozłam. Tata maczał ciastka w herbacie, bo zęby ma w kiepskim stanie i nie lubi gryźć.

Przypuśćmy, że zaprosiłabym Glenna do tego domu? Do pokoju, w którym ubrania suszą się na oparciach krzeseł, a na podłodze leżą porozrzucane gazety, otwarte na stronie z wynikami wyścigów. A stół nawet nie jest przykryty obrusem. Zadrżałam na samą myśl.

Następnego dnia uwijałam się z powrotem w pralni, w roboczym uniformie, i było tak, jakbym wcale nie wyjeżdżała na wakacje. Dziewczyny, które ze mną pracowały, skomentowały moją opaleniznę, a jakże, ale klientki nic nie zauważyły. Obchodziło je tylko, czy uda się wywabić plamę po czerwonym winie z białej koronkowej bluzki, żeby nie został ślad, albo czy można usunąć smar z drogiej spódnicy, w której ktoś nieostrożnie na czymś usiadł.

W pewnej chwili podniosłam głowę i zobaczyłam przy ladzie Glenna.

- Pięknie wyglądasz w żółtym kolorze - powiedział, a ja po-

myślałam, że może wszystko jeszcze będzie dobrze. Nie zapomniał o mnie, nie zamierzał machnąć na mnie ręką.

Pracował u swojego wuja, przedsiębiorcy budowlanego, całkiem niedaleko ode mnie. Moglibyśmy się widywać codziennie, zauważył. Kwestię, gdzie mamy się spotykać, spróbujemy rozstrzygnąć później. Był jednym z sześciorga dzieci, więc u niego w domu brakowało miejsca, a za żadne skarby nie chciałam go dopuścić bliżej niż na kilometr, gdy mowa o *chez* Sharon.

No a potem nawet klientki zaczęły zwracać na mnie uwagę - mówiły, że jestem zawsze uśmiechnięta i w dobrym humorze. Moje koleżanki z pracy powiedziały im, że się zakochałam, i wszystkie były zachwycone. W świecie tłustych plam, mokrych plam oraz tkanin kurczących się, zaledwie człowiek na nie spojrzal, przyjemnie było choć przez chwilę pomyśleć o miłości.

W następnny piątek pojechaliśmy do Very. Mieszkała w bardzo eleganckiej dzielnicy i nie przypuszczam, by odwiedzali ją wcześniej tacy ludzie jak Glenn i ja lub Todd i Alma. Vera ma dwupiętrowy dom, o wiele za obszerny dla niej i jej rudego kota Rotariusza. Oczywiście nie można wykluczyć, że wprowadzi się do niej Nick. Błyskawicznie przypadli sobie do serca i odkąd wrócił, najwyraźniej składał jej codzienne wizyty. Zaśmiewał się z jej dowcipów i oznajmił nam, że to cudowna kobieta. Słowo „cudowna” wymówił z zamkniętymi oczami.

Nick, jak się okazało, wynajmował mieszkanie kilka przystanków autobusowych dalej. Na pewno chętnie by się przeniósł do takiego dużego domu. Dotrzymywaliby sobie towarzystwa i mogliby się nawet pobrać.

Vera przyrzadziła dla nas spaghetti bolognese, Nick upiekł wspaniały tort Pawłowa z mnóstwem truskawek i wszyscy świetnie się bawili z wyjątkiem Almy, która wyznała mi szepcąc, że Todd zaproponował, by na razie nie angażowali się za bardzo - co było złą wiadomością. A potem, kiedy powiedział, że musi wcześniej wyjść, oświadczyła, że wyjdzie razem z nim, co wydało mi się złym pomysłem, zupełnie jakby mu się na-

rzucała. Był wyraźnie zirytowany, a biedna Alma jeszcze bardziej się zdenerwowała.

W każdym razie zajęłyśmy się z Verą zmywaniem, podczas gdy Glenn pomagał Nickowi przyciąć pędy dzikich róż i jeżyn, które zaczynały już zarastać drzwi na tyłach domu.

- Wygląda na to, że pasujecie do siebie - zauważyłam, wycierając talerze.

- Tak, on jest bardzo dobrym człowiekiem - potwierdziła Vera z wyraźnym zadowoleniem.

- Więc jak, zamieszkacie razem? - spytałam. Verze można zadać tego rodzaju pytanie, choć ona chyba dobiega dziewięć - dziesiątki czy coś takiego.

- Nie, nic, to nie wchodzi w rachubę - odparła nieoczekiwanie.

Pożałowałam swojej ciekawości.

- Nie miałam na myśli seksu - spróbowałam złagodzić przykrość. - Myślałam o dotrzymanyu sobie towarzystwa.

- Seks nie stanowi problemu, zapewne znowu się z sobą prześpimy, kiedy wy pójdziecie - odpowiedziała Vera rzeczowym tonem.

Zastanowiłam się, na czym w takim razie polega problem. Czyżby Nick miał żonę, inną kobietę, którą gdzieś ukrywał? Albo dzieci niepozwalające mu zamieszkać z Verą?

Najprawdopodobniej nie. To wszystko wiązało się z ustabilizowanym trybem życia. Starzy ludzie, jak się wydaje, nie pragną zmieniać niczego w swoim życiu, a właściwie nic potrafią, choćby nawet chcieli. Chodzi o przestrzeń i o to, by rzeczy znajdowały się zawsze na swoich miejscach.

- Nie obchodziłoby mnie, gdzie leżą moje rzeczy, gdybym była z facetem, za którym szaleję - oznajmiłam.

- Tak, ale ty zapewne nie masz aż tylu rzeczy i nie zajmowały swojego miejsca tak długo, jak nasze.

- Co to takiego? - zapytałam.

- Och, głupio mówić, Sharon, ale nie znoszę, gdy Nick rusza moje zbiory zasuszonych kwiatów i pudełka z wycinkami,

które zamierzam wkleić pewnego dnia do albumu. No a on ma bzika na punkcie tych swoich tubek z (arbami, już prawie do końca powyciskanych, podartych szkicowników i pudel z listami i wycinkami, które kiedyś wyrzuci, ale jeszcze nie teraz. Te go się nie da pogodzić, Sharon, zaczęlibyśmy się klócić już po tygodniu. O wiele ważniejsze jest to, co mamy. Nie możemy ryzykować, że utracimy wszystko, zamieszkawszy razem.

Rozmawialiśmy o tym, Glenn i ja, po wyjściu od Very. Wydawało nam się marnotrawstwem, że dwoje miłych ludzi nie przeżyje wspólnie czasu, jaki im jeszcze pozostał. Westchnęliśmy. Nie można mieć wszystkiego. My pragnęliśmy z całego serca zamieszkać razem i nie mieliśmy żadnych problemów z utrwalonymi nawykami. Brakowało nam tylko pieniędzy, co wykluczało znalezienie mieszkania.

- C z y nie mógłbym się wprowadzić do ciebie, Sharon? Do twojego pokoju? Ty przynajmniej masz własny pokój, a ja swój dzielę z bratem - nalegał Glenn.

- Nie, Glenn, uwierz mi. Nie da rady. Mój tata to pijus i hazardzista.

- Za to mój jest maniakiem religijnym. Mówiłem ci, że to nie ma znaczenia.

- Mialoby, gdybyś u nas zamieszkał.

- Mógłbym dawać pieniądze na utrzymanie.

- A c h , nie, Glenn, poszłyby tylko na alkohol dla mojego taty.

- W i ę c co zrobimy? - Wydawał się przygnębiony.

- Coś wymyślimy - odparłam tonem, w którym było o wiele więcej pewności, niż naprawdę czułam. Obserwowałam życie mojej mamy i postanowiłam przenigdy nie dać się wciągnąć w coś podobnego. Gotowała, prała i sprzątała po tacie i chłopcach w każdej chwili wolnej od czyszczenia podłóg w biurach i mycia zatłuszczonych talerzy.

- Jestem całkiem szczęśliwa, Sharon - mówiła, gdy protestowałam. - To znaczy, kocham go i musimy pamiętać, że nie zostawił mnie, kiedy spodziewałam się ciebie.

Dozgonna wdzięczność za to, że uznał dziecko, które w końcu było również jego dzieckiem. Dwadzieścia cztery lata powtarzania „dziękuję” i nazywania tego miłością.

Od czasu do czasu spotykałam się z Alną. Powiedziała, że Todd z całą pewnością kogoś ma, ale ona go kocha i zrobi wszystko, żeby go odzyskać. Widywał się z inną kobietą, Alna o tym wiedziała, ale to, co do niego czuła, nazywała miłością.

Rozmawiałam także z Verą, która mówiła, że kocha Nicka i że w późnych latach życia udało jej się poznać cudownego człowieka - lecz jednocześnie gotowa była z niego zrezygnować z powodu kilku zielników z kwiatkami i tubek z farbą. Wydawało mi się to bardzo dziwną definicją miłości. A Glenn i ja naprawdę kochaliśmy się nawzajem, pragnęliśmy dla siebie wszystkiego co najlepsze i nie mieliśmy szans, by gdziekolwiek razem zamieszkać.

Jakoś nie wydawało mi się to słuszne ani sprawiedliwe. Ale usłyszałam raz w radiu jakąś staruszkę, która mówiła, że sami musimy zadbać o własne szczęście, że nie przyjdzie do nas za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a są ludzie, którym świetnie ułożyło się w życiu i dostali wszystko, czego chcieli. Powiedziałam Glennowi, że to właśnie musimy zrobić. Sprawić, żeby coś się zdarzyło.

Nie mogłam powiedzieć, żeby tryskał pomysłami - ale tak samo było ze mną.

Zagadnęłam Verę, czy jej zdaniem cała ta święta studnia w Rossmore zdołałaby tu w czymś pomóc. Odparła, że to mało prawdopodobne. Jeżeli święta Anna w ogóle istniała i jeśli wysłuchiwała próśb, co wydawało się jeszcze bardziej wątpliwe, zapewne niezbyt chętnie odniosłaby się do sytuacji, w której para ludzi żyje w grzechu i często uprawia pozamałżeński seks. Oświadczyłam, że jestem wystarczająco zdesperowana, by spróbować, na co Vera zaproponowała, że pojedzie ze mną, wskaże mi drogę i przy okazji odwiedzi swoje wiedzimowate kuzynki.

Spacer do studni był uroczy, już na miejscu jednak poczułam się nieco zawstydzona. Nie chodzi o to, że wiedziałam,

kim jest ta święta Anna, albo spodziewałam się mszy czy coś w tym rodzaju. Ale tam była prawie setka ludzi. Niektórzy z dziećmi w wózkach albo o kulach, inni z kolei wyglądali bardzo źle. I wszyscy rozpaczliwie prosili o łaskę. Pomyślałam sobie, że przecież nie mogę poprosić o mieszkanie dla Glenna i dla mnie, żebyśmy... no cóż, to nie wydawało się właściwe.

Więc powiedziałam coś takiego: „Jeśli nadarzy się okazja i sprawa jakoś wypłynie, byłoby miło. Ale właściwie powinnaś się najpierw zająć tymi innymi ludźmi...”.

Powtórzyłam to Verze w drodze powrotnej, a ona odrzekła, że może uzyskam, co chcę, bo jestem znacznie lepsza niż większość osób, z nią samą włącznie.

Zapytałam ją o kuzynki i odparła, że są jak lasice. Lasice o małych mózdkach, ostrych zębach i paskudnych głosach. Potrafiły rozmawiać tylko o cenach gruntów i rekompensatach, jakie ludzie dostaną za zakłócenie spokoju. Kiedy wysiadłyśmy z autobusu, Glenn i Nick już na nas czekali - jeden na motocyklu, drugi w swoim małym aucie.

— Tęskniliśmy za wami, dziewczyny - powitał nas Glenn i miałam nadzieję, że święta Anna słucha. To taki porządny chłopak, każda święta mogłaby życzyć swojej podopiecznej, by z nim zamieszkała. Postanowiłam poczytać o świętej Annie i sprawdzić, jak wyglądało jej życie prywatne.

Kiedy poszliśmy we czwórkę na piwo, spytałam Glenna, o czym rozmawiali z Nickiem. Głównym tematem była najwyraźniej suterena w domu Very.

Nick stwierdził, że jego zdaniem, mimo groźnej bliskości rudego kota Rotariusza, może się tam kryć szy-czy-u-er, a Glenn przypuszczał, że nawet więcej niż jeden. Nick zastanawiał się, czy można jakoś to pomieszczenie wyszykować, na co Glenn zaproponował, że poprosi wuja, by rzucił okiem i oszacował koszty.

Zrozumiałam, że starszankowie wciąż rozważają różne możliwości wspólnego życia. W końcu jednak sprawa upadła, bo się okazało, że porządny remont kosztowałby majątek, a Verze tak naprawdę nie podobał się pomysł, żeby Nick mieszkał

pod schodami, i obydwójce gędzili, jacy to są starzy i pewnie będą potrzebowali opieki na jeszcze starsze lata.

Boże, aż się w człowieku wszystko przewraca! Ci dwoje mieli w sobie dwadzieścia razy więcej życia niż ludzie dwa razy od nich młodszy, a teraz nagle zaczęli mówić jak pacjenci szpitala geriatrycznego. Sprawiała to myśl o zmianie, przedtem byli szczęśliwi ze swoimi zielnikami i tubkami zaschniętej farby.

Sarna myśl o wspólnym życiu w domu Very wytrąciła ich z równowagi. Strata, po prostu utrata wszystkiego.

1 właśnie *chez* Vera mieściła się widoczna z ulicy, pierwszorzędną, choć zaszczurzona suterena, którą Glenn i jego wujek mogli wyremontować dla nas w ciągu trzech weekendów. Nic byliśmy wybredni - wszystko dałoby się załatwić.

Trudno było skupić się na pracy w pralni, gdy tak wiele myśli kłębiło mi się w głowie. Zdałam sobie sprawę, że jakaś kobieta mówi coś od długiej chwili, a ja zupełnie nie zwracam na nią uwagi. Chodziło o strój pożyczony od siostry, w którym wystąpiła na weselu i jakiś kretyn oblął ją kawą po irlandzku. Czy istniał jakikolwiek sposób, by całkowicie wywabić płamę? Siostra była istną diablicą, zwłaszcza gdy mogła uznać, że ktoś zniszczył jej ciuchy.

- Nikogo by to nie obeszło, ale mnie obchodzi, bo zajmuję się rozwiązywaniem cudzych problemów, udzielam w gazecie porad czytelnikom, a nic wiem nawet, jak stawić czoło własnej siostrze.

Natychmiast zawarłam z nią układ: jeśli rozwiąże mój obecny problem, ściągnę kierowniczkę i razem usuniemy tę płamę. Opowiedziałam o Verze i Nicku, którzy się kochają, lecz jedno nienawidzi przedmiotów należących do drugiego, a także o Glennie i o mnie, że moglibyśmy się razem wprowadzić do tej zaszczurzonej sutereny.

Kobieta zapytała, ile jest w domu sypialni. Cztery, odrzekłam.

- To dla nich za dużo, przecież w ich wieku nie mogą się **spodziewać** tupotu dziecięcych stópek. Niech każde ma swój pokój, a twój facet zrobi półki i regaly na te wszystkie zielniki i tub-

ki z farbą. Wyremontujcie suterenę, powiedzcie tym dwojgu, że zadbacie o dom, odstraszyście włamywaczy, dacie kotu Rotariuszowi jeść i pić, gdy oni wyjadą na wakacje we dwoje, i zaopiekujecie się nimi na starość. To chyba oczywiste, prawda?

O dziwo, miała rację.

A co jeszcze dziwniejsze, znalazł się jakiś niezwykle rozpuszczalnik, który wywabił płamę z pożyczonej kreacji!

Glenn i jego wujek błyskawicznie zamontowali półki w dwóch pokojach, a Vera i Nick - jak to mądrze przewidziała redaktorka od porad osobistych - nie mieli nic przeciw wspólnej sypialni, łazience, salonowi i kuchni, dopóki ich bezcenne drobiazgi pozostawały w bezpiecznym miejscu.

Potem zabraliśmy się do sutereny, Rotariusz zaś przyglądał się wyniośle usuwaniu rozmaitych gryzoni. Należał do kotów, które nigdy nie podejmują wysiłku bez potrzeby. Po co masz atakować duże i potencjalnie groźne stworzenia, jeśli ludzie mogą to zrobić za ciebie? Zagadnęłam Verę o prywatne życie świętej Anny i dowiedziałam się, że miała męża o imieniu Joachim. Spytałam, czy była z nim szczęśliwa.

- Mniej więcej jak każda kobieta w małżeństwie - odparła Vera, dla której małżeńskie doświadczenia były zupełnie obce.

Chyba dostrzegła moje rozczarowanie. Oczekiwałam lepszego zakończenia.

- Och, no dobrze - burknęła. - Chyba byli szczęśliwi. Gdyby musieli złożyć dzieci w ofierze albo dosięgła ich morowa zaraz, wiedzielibyśmy o tym.

Mieliśmy w suterenie mnóstwo miejsca. Wyglądała fantastycznie i urządziliśmy tam sobie wspaniałe gniazdko. Mama podarowała nam kilka rondli i garnków z domu, a także środki czystości, które zostały jej po sprzątaniu podłóg w biurach. Od matki Glenna dostaliśmy zasłony. Mój tata dał nam w prezencie kosiarkę do trawy, żeby samemu więcej jej nie używać - choć i tak przedtem nie używał jej nadmiernie. Tata Glena natomiast zaoferował stawkę na charta-pewniaka, który miał wygrać pięć do jednego.

Nick oddał nam swoje łóżko, bo teraz zamierzał przenieść się do Very. Alma wręczyła bukiet kwiatów i wygłosiła przemówienie na temat Nic Niewartych Mężczyzn. Todd odszedł w siłą dal.

Glenn jest wspaniały, kiedy przyjeżdża do domu moich rodziców, zwanego niegdyś *chez* Sharon. Pomaga mojemu tacie we wszystkim, czego tata nie zdążył zrobić w ciągu tygodnia. Glenn i ja zamierzamy się pobrać w przyszłym roku, kiedy odłożymy dość pieniędzy na przyzwoity ślub. Vera uznała, że gdyby ślub wypadł w lecie, mógłby się odbyć w ogrodzie, a ona byłaby moją druhną. Dodała, że tylko żartuje, na co powiedziałam od razu, że to świetny pomysł i bardzo bym chciała. Zapewniłam, że ja też mogę zostać jej druhną, choćby przy studni Świętej Anny, kiedy wreszcie dogadają się z Nickiem w tej sprawie. Ale tylko ją to rozśmieszyło.

Oni najwyraźniej nie zamierzają się pobrać. Niezła para starsuszków, nie ma co. A ludzie się śmieją, kiedy mówimy, że poznaliśmy Vcrę i Nicka na wakacjach dla singli.

- Zabawna jesteś z tymi swoimi fantastycznymi opowieściami - uznają.

Jak gdybym potrafiła coś podobnego wymyślić.

4

Przyjaźń

Część I - Malka

Poznałam Rywkę Fine, niech pomyślę... och, całe wieki temu, w latach sześćdziesiątych, w kibucu na pustyni Negew. Byłam pierwszą mieszkanką Rossmore, która odważyła się wyprawić aż na Bliski Wschód, żeby zbierać pomarańcze i skubać kurczaki. Pamiętam, jak biedny kanonik Cassidy powiedział wtedy, że choć wspaniałą rzeczą jest podróż do Ziemi Świętej i kroczenie śladami naszego Pana, muszę uważać, by nie stracić wiary, gdy poznam tak wielu wyznawców innych religii.

Z początku nie przypuszczałam, że Rywka i ja zostaniemy przyjaciółkami - sprawiała wrażenie nadąsanej, nawet chimerycznej, podczas gdy ja byłam wszystkim zachwycona i z każdym rozmawiałam. Pochodzili z różnych krajów: Maroka, Rumunii, Turcji, Niemiec. Wszyscy nauczyli się hebrajskiego. Mało kto znał angielski, więc musiałyśmy sobie jakoś radzić, Rywka i ja, zyskując wiedzę, że *tapoosim* znaczy „pomarańcze”, a *toda raba* oznacza „dziękuję”. Próbowałam zapamiętać dziesięć słów dziennie, ale w tym skwarze, przy ciężkiej pracy w kuchni i w ogóle okazało się, że to za dużo, i poprzestałam na sześciu.

Dzieliłyśmy kwatery, więc dowiedziałyśmy się sporo o sobie nawzajem. Znalazła się w kibucu, ponieważ jej rodzice mieszkający w Nowym Jorku czuli się winni, że nie wyemigrowali do Izraela, i zależało im, by mogli mówić: „Nasza córka

wyjechała jako ochotniczka na pustynię". Ja zaś znalazłam się tam, ponieważ uczyłam łaciny dwóch małych żydowskich chłopców w Rossmore i ich rodzice, państwo Jacobs, zafundowali mi w dowód wdzięczności wycieczkę do Izraela. Były to wakacje życia, wyszukali nawet dla mnie ten kibuc, żebym w nim popracowała, bo kuzyn pani Jacobs kiedyś spędził tu lato i podobało mu się to zajęcie.

Ja również uznałam, że to wspaniałe miejsce. Zakochałam się w Shimonie, który przyjechał z Włoch, a on zakochał się we mnie i zamierzaliśmy wspólnie zająć się uprawą mieczyków, gdy dobiegnie końca jego obowiązkowa służba wojskowa.

Przypuszczam, że Rywka mogła być trochę zazdrosna, ponieważ Shimon nieustannie przychodził i wałęsał się wokół naszej kwatery. Nie żebyśmy spali ze sobą czy coś w tym rodzaju. Wiem, wiem, ale po prostu w tamtych czasach nie robiło się tego. Chyba się baliśmy. W każdym razie tak właśnie sprawy wyglądały.

Rywka zapytała, czy rzeczywiście zamierzam pracować na farmie i uprawiać mieczyki, na co odparłam, że taką mam nadzieję, muszę tylko wrócić najpierw do Rossmore i przekonać swoją rodzinę, co nie będzie łatwe. Kanonik Cassidy z pewnością sprzeciwi się małżeństwu z niechrześcijaninem. Potem będziemy musieli stawić czoło jego bliskim - co również zapowiada się niełatwo, zważywszy, że zgodnie z żydowską wiarą dziedziczy się narodowość po matce, więc tamci nie będą zachwyceni, że syn przywozi im dziewczynę, która nie jest Żydówką.

A potem Rywka zakochała się w Dovie, koledze Shimona, dzięki czemu zrobiło się weselej i mogliśmy w czwórkę wybierać się na przejażdżki. Rywka nie miała wówczas długofalowych planów i nie zamierzała zostać z Dovem w Izraelu. Powiedziała, że musi wrócić do Nowego Jorku i wyjść za mąż za dentystę albo lekarza. Prosta sprawa. Nie, nie mogła zabrać Dova z sobą, kiedy on skończy służbę wojskową. Dov pochodził z Algierii, jego krewni mieszkali w lepiance. Nie, Rywce to nie przeszkadzało, ale jej matce i owszem, mogło. Wyższe sfery.

To było cudowne lato. Zrywaliśmy pomarańcze, skubaliśmy kury i odgarnialiśmy jedno drugiemu włosy z czoła. Splukiwaliśmy z Rywką włosy sokiem cytrynowym i obydwie schudłyśmy okropnie, bo nie znosiłyśmy margaryny, której oni używali, więc jadłyśmy tylko pomarańcze i kawałki pieczonego kurczaka. Gdyby tamci wszyscy ludzie z Rossmore mogli mnie teraz zobaczyć, myślałam co jakiś czas.

I nagle, szybciej, niż nam się wydawało, pobyt w kibucu dobiegł końca i ja musiałam wracać do domu, do Rossmore i Świętej Ity, gdzie uczyłam, a Rywka - do Nowego Jorku, by podjąć pracę w biurze podróży. Byłyśmy już wtedy bliskimi przyjaciółkami i nie chciałyśmy się żegnać na zawsze. Nikt inny by nie zrozumiał, co przeżyłyśmy tego lata, jak bardzo przepadałyśmy za potańcówkami w piątki i czerwonymi skałami na pustyni. Wiedziałyśmy obydwie, że opowieści o Shimonie i Dovie wydadzą się naszym koleżankom opisem niemądrych wakacyjnych romansów, a na rodziców podziałają jak płachta na byka.

Przyrzekłyśmy sobie, że będziemy w kontakcie i dotrzymanyśmy przyrzeczenia.

Napisałam do Rywki poplamiony łzami list, gdy dowiedziałam się od mojego ukochanego, że mieczyki nie mają przyszłości. Rywka odpisała ze złością, że skontaktował się z nią brat Dova, który napisał, że Dov nie czyta po angielsku i prosi, by przestać mu się narzucać. Opisałam Rywce, jak moja mama chciała mi opłacić lekcje golfa, w nadziei że poznam prawnika albo lekarza w jakimś ośrodku sportowym. Rywka odpowiedziała, że jej matka zabiera ją na tydzień w góry, do miejsca, które wygląda jak targ małżeński. Musiała się prezentować jak najlepiej, gdyż miał to być wóz albo przewóz.

Z pewnością przewóz. Bez wątplenia nie był to czas zbierania plonów.

Rywka została kierowniczką agencji, ale w sferze matrymonialnej nic nie drgnęło. Był to niewątpliwie ciężki stres dla całego domu. Podobny przeżywała moja mama. Wybuchło kilka awantur, podczas których padły słowa trudne do wybaczenia.

„W twoim wieku, Maureen, byłam już zamężna i w ciąży”, a potem: „Nie sądzisz chyba, że jak skończysz dwadzieścia pięć lat, będziesz lepiej wyglądała?”. Odparłam, że wolałabym umrzeć w nieświadomości niż wystawiać się na pokaz, by mnie oglądali ci prymitywni, ciemni karierowicze, którzy i tak woleli picie i golfa od damskiego towarzystwa. Tata powiedział tylko, że pragnie dożyć swych dni w spokoju, nic więcej.

U Rywki, jak mi pisała, sprawy zaczęły przybierać naprawdę poważny obrót.

Jej matka zaczęła szukać męża dla córki przez ogłoszenia zamieszczane w odpowiednim czasopiśmie. A ja wiedziałam, że jeśli w tym roku będę musiała spędzić letnie wakacje w domu, to oszaleję.

Moja mama **najprawdopodobniej** chciałaby mnie wysłać do studni Świętej Anny, żebym wymodliła sobie męża, a ja gotowa byłam udusić własną matkę gołymi rękami i pójść do więzienia, co z pewnością nic pozwoliłoby dożyć dni w spokoju mojemu cichemu i łagodnemu tacie. Dlatego wysłałam podanie o pracę nauczycielki na letnim obozie dla amerykańskich dzieci.

Zamierzałam najpierw zatrzymać się na tydzień u Rywki w Nowym Jorku.

— Co to za imię: Rywka? - spytała mama.

- T a k się nazywa - odparłam buntowniczym tonem, zupełnie jak sześciolatnia dziewczynka.

- A l e skąd się wzięło takie imię? Otrzymała je podczas chrztu? - Mama popadła w jeden z tych swoich nastrojów. Byłam zbyt znużona, by jej tłumaczyć, że Rywka raczej wcale nie została ochrzczona.

- Nie wiem - burknęłam ponuro.

Puściłam wodze wyobraźni, podczas gdy mama walczyła kwestię, że mimo całego wykształcenia tak naprawdę o niczym nie mam pojęcia. Mężczyznom podobają się kobiety bystre, czujne i ożywione - nie takie roztargnione marzycielki jak ja.

Ucieszyłam się w duchu, że mama nie wie, jaka byłam czujna i ożywiona na pustyni Negew z Shimonem. Choć wyszło

mi to na dobre. Tak czy inaczej miałam stąd wkrótce wyjechać i spotkać się w Nowym Jorku z Rywką.

Czekała na mnie na lotnisku i uściskałyśmy się z zachwytem. W drodze do domu powiedziała mi, że bardzo jej przykro, ale napomknęła matce, że jestem Żydówką, więc czy nie mogłabym udawać, że faktycznie jestem? Tylko przez ten tydzień.

Uznałam, że to idiotyzm. Przecież nie za mnie Rywka miała wyjść za mąż!

- Po prostu ułatwi mi to życie, stoczę o jedną walkę mniej - prosiła.

Ale trafiła. Ja miałam w domu identyczną sytuację. Westchnęłyśmy nad naszymi znikniętymi matkami.

— Więc powiedziałam jej, że masz na imię Małka - wyznała.

— Małka? - wykrzyknęłam.

- To po hebrajsku znaczy „królowa” - wyjaśniła Rywka, jakby ten fakt robił jakąś różnicę.

- No jasne - odparłam.

Lata sześćdziesiąte miały być dekadą zmian, patrzenia w przyszłość. Ale nie dla mnie i nie dla Rywki. Ja nie mogłam się przedstawić jej matce jako Maureen, ona, by zadowolić swoją, musiała zostać ochrzczona.

Mówi się trudno.

Bardzo mi się przydała wcześniejsza praca u państwa Jacobs i pobyt w Izraelu. Przynajmniej miałam pojęcie, czym jest seder i Pascha, Jom Kipur i Rosz ha - Szana. Wiedziałam, że zamiast Gwiazdki jest Chanuka, że potrawy mięsne i mleczne muszą być podawane oddzielnie i nawet są do nich specjalne osobne naczynia, że nie jada się zwierząt, które mają racice.

Pani Finec była bardzo urodziwa i świetnie ubrana. Zanim się wszystkim przejmowała, przed czym Rywka ostrzegала mnie wcześniej. Ale o jednym nie zostałam uprzedzona. Matka Rywki wprost uwielbiała córkę.

Powiedziałam to Rywce, gdy znalazłyśmy się same w oszalałej, pełnej falbanek sypialni.

— Może - odparła — lecz co za pożytek z takiej duszącej miłości? Wolalabym wcale nie być kochana.

Przetrwałyśmy pierwsze dni bez poważniejszych **proble-**mów. Pani Fine chciała wiedzieć, czy moja mama prowadzi koszerłą kuchnię. Przytaknęłam, a w pewnej chwili nawet opisałam synagogę, do której Jacobsonie chodzili w Dublinie, choć nigdy w niej nie byłam. Musiałam przemilczeć fakt, że uczę w szkole zakonnicy z klasztoru Świętej Ity i zamiast tego opowiadałam o szkole średniej dla młodzieży z niewielkiej, lecz aktywnej społeczności żydowskiej w Rossmore. Tak naprawdę w Rossmore mieszkały tylko trzy żydowskie rodziny, nie należało jednak martwić pani Fine tą wiadomością.

Spodobałam się im i byli zadowoleni, że - podobnie jak ich Rywka - mieszkam z rodzicami. Uważali, że młodym dziewczętom nie wypada przeprowadzać się do własnych garsonier.

Młodym dziewczętom! Wzdychałyśmy z Rywką chórem, znalazzły się sam na sam. Jakbyśmy były młode! Żalotne stare panny, chodzące po świecie niemal od ćwierć wieku, a mimo to niemające mężów ani nawet narzeczonych.

Kiedy zwracali się do mnie „Malko” lub wymawiali głośno to imię, obawiałam się, że nie reaguję dostatecznie szybko, ale Rywka zapewniła, że świetnie sobie radzę i znowu przeproszała za to, co już w tamtych czasach wydawało się niedorzeczną farsą.

A później nadszedł czas pożegnania i po długiej, męczącej podróży pociągiem dotarłam na obóz letni, gdzie ponownie nazywano mnie Maureen, nie Malką, do czego zaczęłam się ostatnio przyzwyczajać. Odbywało się tam znacznie więcej zajęć sportowych, niż przypuszczałam, urządzano mnóstwo pieszych wycieczek krajoznawczych i rozgrywki baseballowe, a ponadto musiałam nieustannie pocieszać dziewczynki, które uważały, że matki ich nienawidzą, ponieważ wysłały je na lato z domu.

- Mamy nas nie nienawidzą - tłumaczyłam wciąż od nowa.
- Po prostu myślą, że to, co robią, jest dla nas najlepsze. Mylą się, ale naprawdę nic zdają sobie z tego sprawy.

Chyba naprawiłam kilka nadszarpniętych więzi i ukoilałam kilka strapiionych serc, ale nauczycielkom zawsze tak się wydaje. Może te dziewczynki nie zwróciły najmniejszej uwagi na moje słowa.

Robiłam to również listownie.

Rywka opowiadała nieustannie w listach, że jej matka **na**prawdę była mną zachwycona i odkąd wyjechałam, wciąż powtarza, że Małka to i Małka tamto. Matka ma takie pogodne usposobienie, Małka nigdy nie podjadała między posiłkami i interesowała się ludźmi mieszkającymi w sąsiedztwie, a nie lekceważyła ich tak jak Rywka.

Odpisałam, że moim zdaniem życie jest przede wszystkim grą. Postąpiłam jak oszustka, udając, że należę do ich społeczności. Dali się nabrać. Płynęła stąd pewna nauka, musimy odgrywać przed ludźmi przedstawienie, udawać spokojniejsze, szczęśliwsze, bardziej opanowane, niż w rzeczywistości jesteśmy.

Rywka napisała mi, że dużo o tym myślała i doprawdy niewykluczone, iż odkryłam tajemnicę wszechświata.

Mniej więcej tydzień później, kiedy nasz obóz rozgrywał serię meczów z innym obozem, spotkałam Declana, nauczyciela z małej wsi położonej niedaleko od Rossmore i zakochaliśmy się w sobie do szaleństwa.

Tak bardzo, że zapragnął przyjechać do mnie i poznać moich rodziców, gdy tylko wrócimy do Irlandii. Mimo że nie był lekarzem ani prawnikiem, tylko nauczycielem jak ja, okazał się dla mamy wymarzoną zięciem: katolik, z porządnej rodziny i o dobrych manierach.

Oświadczył mi się przed Bożym Narodzeniem.

Wcale nie byłam pewna, czy chcę zamieszkać na wiejskim **odludziu** i pozwolić się wchłonąć jego licznej, rozgałęzionej rodzinie; ale wszyscy odnieśli się do mnie bardzo serdecznie, a w tamtych czasach żaden szanujący się mężczyzna nie zmieniał stylu życia ze względu na żonę czy cokolwiek innego.

Więc tak właśnie postąpiłam - wyszłam za niego, by zamieszkać na wiejskim odludziu. Zawiadamiałam Rywkę

o każdym kolejnym posunięciu, a traf chciał, że poznała Maa, który nie był wprawdzie dentystą, lecz za to wiodło mu się w interesach, był właścicielem kilku biur podróży i jej matka zupełnie straciła dla niego głowę, więc Rywka także zamierzała wyjść za mąż. Najpierw przyjechała do Irlandii na mój ślub - cudownie było ją zobaczyć, a mama tak się przejmowała tym, co na siebie włoży, oraz faktem, że na weselu pojawi się wuj Declana, który był sędzią, iż nie wypytywała Rywki o jej prawdziwe imię i nawet nie zauważyła, że pani Fine napisała na prezencie ślubnym: „Dla drogiej Małki”.

Rywce w Rossmore wszystko **się** myliło. Uparcie nazywała rzeźbę w kościele „Sercem **Świątých**” zamiast „Najświętszym Sercem”. Zdumiewała ją długość ślubnego nabożeństwa, błogosławieństwo papieskie, a także **fakt**, iż wiele kobiet podczas uroczystości okrywało głowy chustami i mantylami, zamiast wystąpić w kapeluszach.

Nie potrafiła pojąć, dlaczego **na** weselu pije się tak dużo **al**-koholu i czemu tylu ludzi koniecznie chce odśpiewać swoje piosenki...

Ale i tak było to wielkie wydarzenie, Declan ścisnął moją dłoń i nigdy sobie nie wyobrażałam, że mogę być tak szczęśliwa.

W podróż poślubną pojechaliśmy **na** dwa tygodnie do Hiszpanii, a po powrocie zamieszkaliśmy w jego stronach, w górskiej okolicy, gdzie niewiele się działo. Jako kobieta zamężna nie mogłam już uczyć, więc czas bardzo **mi** się dłużył. Każdy dzień wyglądał tak samo, tyle że w niedzielę jedliśmy obiad u matki Declana, a jego siostry wpadały do mnie raz w tygodniu, żeby zapytać, czy nie jestem w ciąży.

Listy od Rywki były dla mnie **na** tym pustkowiu jedyną **formą** kontaktu ze światem. Doradzała **mi**, jakie książki warto przeczytać, proponowała, żebym założyła coś w rodzaju **am**-atorskiej biblioteki objazdowej i odwiedzała osoby, które nie **mogą** ruszyć się z domu. Wszystkim spodobał się ten pomysł. Nawet Declan przyznał, że natchnął mnie jakiś dobry duch.

Nie chciał jednak pojechać ze mną na wesele Rywki. Za daleko, za drogo, no i nie wiedziałby, jak się zachować wśród tych wszystkich żydów z ich zwyczajami. Nie, naprawdę wolął to sobie darować. Cóż, bywają sytuacje, kiedy nie można wygrać. Pocieszylam się myślą, że jeśli mam znowu zostać Malką, łatwiej mi to przyjdzie bez Declana. Tak też się stało.

Wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż u nas - baldachim w rozległym ogrodzie państwa Fine, śpiewy i melorecytacje po hebrajsku, rozbijanie kieliszków i szklanek, mające coś wspólnego ze zniszczeniem jakiejś świątyni, ale nie mogłam się o to dopytywać, będąc Malką, która powinna od dawna wiedzieć, w czym rzecz.

Max był bardzo pogodny i życzliwy. Szepnął mi, że zna moją małą tajemnicę. Nie miałam pojęcia, o co mu chodzi. Czy **wiedział**, że poszłam do lekarza w Dublinie po pigułkę antykoncepcyjną, ponieważ nie chciałam zająć w ciążę, zanim biblioteka zacznie funkcjonować jak należy? Czy wiedział, że matka Declana i jego trzy apodyktyczne siostry okazały się dla mnie sto razy gorsze niż moja własna matka i dokładałam wszelkich starań, żeby się z nimi nie spotykać?

Nie - okazało się, że wiedział, iż tak naprawdę nie jestem Malką i nie mam w sobie ani kropli żydowskiej krwi.

- Rywka i ja nie mamy przed sobą żadnych tajemnic i nigdy nie będziemy mieli - oznajmił.

Z bliżej nieokreślonych przyczyn poczułam się trochę nieswojo. Co wydawało się oczywiście absurdalne. Dlaczego miałabym czuć się nieswojo przy Maksie? Był łagodny i **uprzejmy**, kochał Rywkę. Szczerze mówiąc, był oferumą.

Nadal pisywałyśmy do siebie. Przez jakiś czas. **Potem** Rywka zaczęła dzwonić do mnie z pracy. Powiedziała, że to prostsze, szybsze, bardziej bezpośrednie. Rzeczywiście, ale było też o wiele droższe. W żaden sposób nie mogłam sobie pozwolić na rozmowy z zagranicą. Ale Rywka zapewniła, że nie mam się czym martwić, ona może telefonować za darmo z biura.

którym kieruje. Nie przeszkadzało jej, że ja, ze swojej strony, nic zdołam się odwzajemnić.

Brakowało mi naszych długich, szczegółowych listów, ale niczego nie trzymała w tajemnicy - przeciwnie, przytaczała każdy szczegół ze swego skądinąd wyczerpującego życia. Rywka, jak się wydawało, stosowała nieustannie jakieś uciążliwe diety. Traciła minuty międzynarodowych połączeń na opowiadanie o jakimś ważnym przyjęciu dobroczynnym i o tym, że musi zrzucić sześć kilogramów w dwa tygodnie, żeby się zmieścić w sukience. Mówiła, że ostatnio jest ciągle zmęczona.

Ja natomiast opowiedziałam jej, jakie **Declan** ma koszarne siostry i że powinnam zostać kanonizowana za życia za to, że mu nie wyjawiałam, iż są trzema stukniętymi nietoperzycami.

- A zostaniesz? - spytała z zaciekawieniem.

- Czym zostanę?

- Kanonizowana za życia - wyjaśniła Rywka. Musiała być naprawdę bardzo zmęczona. Nawet żydzi wiedzieli, że to tylko takie powiedzenie i że świętym zostaje się dopiero po śmierci.

A potem obie przeżyłyśmy kryzys w tym samym czasie.

W wypadku Rywki nie nastąpił aż taki znowu wielki kryzys, była po prostu śmiertelnie zmęczona podczas jakiejś konferencji w Meksyku i usnęła, gdy wszyscy myśleli, że stroi się na uroczysty bankiet, w trakcie którego Max miał odebrać nagrodę za życiowe osiągnięcia. Musieli ją budzić, więc przyszła na przyjęcie półprzytomna i wyglądała okropnie. W ten sposób uraziła Maxa, przemysł turystyczny oraz państwo Meksyk. Boże, można by pomyśleć, że wybuchła trzecia wojna światowa.

W porównaniu z tym, co mnie się przydarzyło, przeżycia Rywki były niczym. *Zilch, nada*, jak mawiają w Meksyku.

Moja uroczą szwagierka uznała za swój obowiązek donieść Declanowi o tym, co znalazła w naszej lazienkowej apteczce, do której zajrzała, doprawdy, przypadkiem. Biedny Declan nie mógł wiedzieć, że zażywam pigułki na poronienie. Tak to szwagierka ujęła: zapobiegały poczęciu i uśmiercały nienarodzone dziecko. Żadna nie chciała wspominać o tym matce - by-

laby zbyt wstrząśnięta i mogłaby nie przeżyć takiej wiadomości. Declan bardzo się zdenerwował i zarzucił mi, że ukrywam przed nim różne rzeczy. Odparłam, iż moja płodność to wyłącznie moja sprawa, na co on, że wcale nie, to nasza wspólna sprawa i powinnam się z nim skonsultować, bo gdzie tu uczciwość i równouprawnienie w naszym małżeństwie, jeśli ja się tak zachowuję?

Cząstka mnie zgadzała się z nim, lecz, niestety, nie powiedziałam tego głośno; oznajmiłam natomiast, że jego siostry to stado wścibskich hien i nienawidzę ich niemal równie mocno, jak jego matki. Nie wyraziłam się pozytywnie ani rozsądnie i na długi czas relacje między nami bardzo ochłodły. Siostry obnosiły pełne wyższości uśmiechy. Wrzuciłam pigułki w ogień, ale Declan powiedział, że nie chce mnie zmuszać do urodzenia dziecka, więc nie uprawialiśmy seksu, co siostry zdawały się odgadywać i uśmiechały się coraz częściej.

Coraz częściej zatem wozilałam w góry swoją objazdową bibliotekę, Declan zaś spędzał coraz więcej czasu na rozmowach o hokeju na trawie i wlewaniu w siebie piwa u Callaghana w towarzystwie tego okropnego Skunksa Slattery'ego. Szczególnie mówiąc, nie był to szczęśliwy okres.

Próbowałam opowiedzieć o tym wszystkim Rywce, ale uważała, nie bez powodu, że siostry Declana urwały się z domu wariatów, i ona nic z tego nie rozumie, choć się stara.

A ja bardzo się starałam zrozumieć, dlaczego moja przyjaciółka musi brać udział w tych wszystkich imprezach, kiedy jest taka zmęczona. Jakoś przeoczyłam jej regulamin i wiedziałam, że chciałaby mi go objaśnić, lecz zabrakło jej słów.

Podczas rozmów telefonicznych ciągle udzielałam jej porad.

- Powiedz mu, że naprawdę jesteś zmęczona.

Ona zaś udzielała porad mnie.

- Powiedz mu, że naprawdę jest ci przykro.

W końcu Declan wrócił do naszego wspólnego łóżka. Nie było tak samo jak przedtem, ale czuliśmy się mniej samotni i domu nie przytłaczała już ciężka atmosfera. Tymczasem Ryw-

ka odkryła jakiś cudowny suplement witaminowy, który dodawał jej energii - i, niesamowita rzecz, obydwie w tym samym czasie zaszłyśmy w ciążę.

Urodziła im się córka, której dali na imię Lida, po matce Masha, ja zaś miałam nadzieję, że nam także urodzi się dziewczynka, nazwiemy ją Ruth i zostaną z Lidą przyjaciółkami na całe życie. Declan stwierdził, że to nieco naciągany pomysł i on sam wolałby syna, który zagra w okręgowej reprezentacji hokeja na trawie.

Brendan, nazwany tak po ojcu Declana, urodził się dwa tygodnie później niż Lida i gdy Rywka przestała pracować w biurze, zaczęłyśmy znowu pisać do siebie o bólach porodowych, karmieniu piersią, nieprzespanych nocach, paluszkach, rączkach i nóżkach. Jakbyśmy w zawołowany sposób dawały sobie nawzajem do zrozumienia, że życie nie jest tak piękne, jak nam się wcześniej wydawało.

Ale nigdy nie mówiłyśmy tego otwarcie. Czemu miałybyśmy tak mówić? Miałyśmy przecież nasze dzieci.

Zapewne powinnam była zauważyć, jak późno w nocy Declan wraca do domu i że nic jest podpity, co wydawałoby się naturalne po czterech godzinach u Callaghana. Powinnam była zauważyć, że Skunks Slattery często mnie pyta, jak się miewa Declan - dziwne, skoro popijali razem co wieczór — ale nie zauważyłam, bo pochłonął mnie bez reszty Brendan, mój mały aniołek. Pracowite dni upływały mi na wożeniu furgonetką zczynającego chodzić Brendana, by podziwiali go wszyscy czytelnicy z małych wiosek. Staralam się też z całych sił trzymać chłopca jak najdalej od jego okropnych ciotek.

Mijały kolejne miesiące. Nadal jeździliśmy w każdą niedzielę do matki **Declana** i każdy przywoził jakieś danie, kiedy zaczęła podupadać na zdrowiu. Czula się szczęśliwa, ilekroć widziała dzieci przy sobie, więc pogodziłam się z tym. Rywka często przysyłała mi amerykańskie przepisy. Gdy matka Declana wreszcie umarła, była to bardzo spokojna śmierć, coś w rodzaju wyśliźnięcia się do innego świata.

Wieczorem po jej pogrzebie Declan poinformował mnie opanowanym głosem, iż oczywiście muszę wiedzieć, że on spotyka się z inną. Na imię jej Eileen, jest sekretarką w szkole i po zakończeniu roku szkolnego zamierzają wyjechać do Anglii. Brendan miał wtedy siedem lat. Dostatecznie duży, by regularnie odwiedzać tatę, zauważył Declan mimochodem. I dodał uspokajająco, że Eileen będzie dla Brendana jak druga matka.

Patrzyłam na Declana, jakbym go widziała po raz pierwszy w życiu. To wszystko wydawało się nierzeczywiste, zupełnie jak w chwili, kiedy człowiek mdleje albo nagle uderza w coś głową i doznaje wstrząsu. Odparłam, że muszę nazajutrz pojechać z Brendanem pociągiem do Dublina, a o wizytach i innych sprawach porozmawiamy po moim powrocie. Miałam synka wpisanego w paszporcie od dwóch lat, bo myślałam wówczas, że odwiedzimy Rywkę i Lidę w Ameryce, ale Maxowi akurat coś wypadło i nie mogliśmy polecieć.

Zostawiłam Declanowi kartkę z wiadomością, że wypłaciłam z naszego konta pieniądze na podróż do Nowego Jorku i drobne wydatki w trakcie pobytu; mógł tymczasem załatwić sprawy związane z domem i poinformować znajomych o zaistniałej sytuacji. Żeby nie myślał, że na zawsze zabieram jego dziecko w siną dal, ponieważ wrócę.

Nie ma więc potrzeby zawiadamiać Interpolu.

Powstrzymałam się od napisania, jakim jest draniem i jak bardzo wytrącił mnie z równowagi, a także od jakiegokolwiek wzmianki na temat prześlicznej Eileen.

Rywka zapewniła, że z największą chęcią mnie zobaczy.

- A co z Maxem? - spytałam bojaźliwie.

- Rzadko bywa w domu, nawet nie zauważy twojej obecności - odparła.

Gdy doszło do spotkania, padłyśmy sobie w ramiona, zanosząc się głębokim, spazmatycznym szlochem. Płakałam po raz pierwszy od tamtego wieczoru, kiedy Declan powiedział mi o wszystkim. Oplakiwałam (o, co mogłoby się jeszcze wydarzyć. Ale nic, nie zamierzałam przyjąć go z powrotem, nawet

gdyby błagał mnie na kolanach. Możliwe, że miał rację - między nami nic już nie było i to od dawna.

Dwoje siedmiolatek bawiło się rozkosznie zabawkami Lidy. Mój jasnowłosy synek i jej śliczna córeczka z ciemnymi loczkami. Udzielaliśmy sobie nawzajem rad, jak zawsze. Rywka powiedziała, że muszę nakłonić Declana do sprzedaży domu, a potem się wyprowadzić. Mój ojciec już nie żył, więc powinnam zamieszkać z matką.

- Ale nie mogę wrócić do jej domu, tak długo próbowałam się z niego wyrwać - zajęczałam żałośnie.

- Przecież tam nie zostaniesz, na tym odludziu, z dala od Rossmore, z siostrami eksmęża i tą okropną Eileen, żeby wszyscy plotkowali na twój temat. Pora zebrać się na odwagę, Malka, tak czy inaczej. Wracaj do Irlandii, możesz nawet się przeprowadzić do Dublina i zabrać mamę, znaleźć jakieś miejsce dla siebie. Zacznij od nowa.

Owszem, dla niej to było jak najbardziej w porządku, Amerykanie często robią takie rzeczy, Dziki Zachód i kryte furgony, ale to nie w Irlandii. Zamieszkać z mamą i wysłuchiwać codziennie: „a nie mówiłam?”. Nic wyobrażałam sobie tego.

Ze swojej strony doradziłam Rywce, żeby rzuciła pracę w biurze, zakłócającą jej bujne życie towarzyskie, i zajęła się turystyką jak Max - żeby stworzyła nową gałąź wakacyjnego przemysłu, o której on dotychczas nie pomyślał. Niech babcia Lidy zacznie się częściej zajmować wnuczką. Malżeństwo Rywki jeszcze się nie rozpadło, choć wszystko wskazywało, że to może nastąpić.

Oczywiście stawiała zdecydowany opór, ale uśmiealiśmy się obydwie.

Z biegiem dni poczułam się lepiej i stwierdziłam, że od lat nie miałam w sobie takiej siły. Brendan był wszystkim zachwycony.

- Dlaczego oni mówią do ciebie „Malka”, mamusiu? - zapytał w samolocie, gdy wracaliśmy do domu.

- Ib znaczy po amerykańsku „Maureen” - wyjaśniłam.

Był w pełni usatysfakcjonowany. **Także** wtedy, gdy przeprowadziliśmy się do Dublina, a moja mama okazała się bez porównania lepsza, niż myślałam, i ani razu nawet nie bąknęła „a nie mówiłam”.

Znalazłam pracę w szkole, gdzie założyłam również prawdziwą bibliotekę, a Brendan wyrósł na dużego, silnego chłopaka. **Pilnowałam**, żeby od czasu do czasu odwiedzał ojca w Anglii i nie bez przyjemności usłyszałam, że Eileen jest bardzo stanowcza - oznajmiła Declanowi, iż pije on za dużo, a potem dyrektor szkoły powtórzył to samo.

Pisywałam do Rywki raz w tygodniu, a potem przesyłałam faksy, które szły szybciej.

Jeszcze później pojawiła się poczta elektroniczna.

Moja przyjaciółka przylatywała teraz do Europy cztery razy w roku, gdyż prowadziła dział wycieczek tropami artystycznymi w agencji turystycznej Maxa i pokazywała ludziom galerie i wystawy. Opisywali w przewodnikach Irlandię, dzięki czemu Rywka mogła mnie odwiedzać. Cóż, są u nas chyba również ładne dzieła sztuki do obejrzenia.

Rywka wspominała coraz rzadziej o mężu, a coraz częściej o Lidzie. Max umawiał się na liczne spotkania w interesach i rzadko przyjeżdżał do domu. Nie sądziłyśmy, że ma inną kobietę, ale zgodziłyśmy się, iż stracił zainteresowanie Rywką. W sumie nie miało to aż tak wielkiego znaczenia, nie większe niż Eileen z jej stanowczym charakterem albo fakt, że Declan stracił pracę w Anglii i wrócił do Rossmore, gdzie pomagał szwagrom i zarabiał tak mało, że musiał prosić Eileen o pieniądze na drinka, żeby pójść wieczorem do Callaghana. Ale Lida miała dla nas znaczenie i Brendan miał dla nas znaczenie.

Byli naszą przyszłością.

Gdy Lida skończyła siedemnaście lat, przyjechała na wakacje do Dublina. Chciała na chwilę oderwać się od matki, a my z Rywką... no cóż, rozumiałyśmy to. Mogłybyśmy na ten temat napisać podręcznik.

Powiedziała, że odkąd pamięta, jej rodzice nie spali w tym samym pokoju. Czy to naturalne? Normalne?

Odparłam, iż nie mam pojęcia o Ameryce, zapewne panują tam inne obyczaje niż tutaj. I może tak jest nawet lepiej. Ja przez całe lata spałam z mężem w jednym łóżku i nic dobrego z tego nie wynikło, bo i tak zostawił mnie dla innej kobiety.

Lida była pełna współczucia. Usiadła obok i pogładziła mnie po ręce. Stwierdziła, że mężczyzn trudno zrozumieć. Jeden powiedział jej, że jest oziębła, ponieważ nie chciała się z nim przespać. A potem dodał, że pewnie ma homoseksualne skłonności, jak jej ojciec. Nikomu tego nie powtórzyła.

Zapewniłam ją, że dobrze zrobiła, najlepiej o tym zapomnieć, facet najwyraźniej oszalał na jej punkcie i zadawał cięsy na oślepa, kiedy mu odmówiła.

Przez kilka lat utrzymywałyśmy kontakty, lecz ani ona, ani ja nie wspomnialiśmy o tym więcej.

Teraz Lida przekroczyła dwudziesty któryś rok życia i była upartą, ciemnowłosą, piękną dziewczyną. Studiowała prawo. Aż tu nagle w lecie oznajmiła, że wyjeżdża na dwa miesiące do Grecji, zanim podejmie pracę w dużej kancelarii prawniczej. Cokolwiek mówiłaby matka, nic nie może jej skłonić do podróży do Izraela. O nie, zbyt wiele rzeczy jej się w tym kraju nie podoba.

Obydwie z Rywką byłyśmy bardzo rozczarowane.

Mój Brendan również miał dwadzieścia kilka lat, jasne włosy, był spokojny i łagodny, a także - jak mi się wydawało - bardzo przystojny.

Tuż przed uzyskaniem dyplomu inżyniera i właściwym początkiem zawodowej kariery zapragnął wyjechać na długie wakacje do Włoch.

Jak bardzo życzyłyśmy sobie z Rywką, by oboje pojechali na pustynię Negew, do „naszego” kibucu! Mogliby sprawdzić, czy powstała farma z uprawą mieczyków i jakie kobiety poślubili w końcu Shimon i Dov. Mogliby zakochać się w sobie, Brendan i Lida, mając w tle te wszystkie romantyczne czerwone

urwiska i doliny. Pobraliby się i dali nam troje wnucząt, którymi podzieliłybyśmy się z Rywką. A młode małżeństwo mogłoby mieszkać przez pół roku w Ameryce, a drugie pół w Irlandii.

No cóż, na świecie zdarzają się dziwniejsze rzeczy. Nasze własne matki w średnim wieku okazały się całkiem rozsądnymi kobietami, takimi, z którymi można porozmawiać, a nie tylko odruchowo im klamać. Tego nikt nam nie przepowiedział.

I choć czasami wzdychałyśmy tęsknie, gdy w radiu puszczały melodie dla par obchodzących trzydziestą rocznicę ślubu albo odbywała się jakaś wielka uroczystość w hotelu, byłyśmy poważnie zadowolone z tego, co przyniósł nam los.

Dobiegając pięćdziesiątki, byłyśmy zadbane i lepiej ubrane niż w wieku lat dwudziestu pięciu, no i wyglądałyśmy całkiem nieźle. Gdybyśmy miały ponownie stanąć na targu małżeńskim, mogłoby nam pójść zupełnie dobrze. Ale nie musiałyśmy - obie miałyśmy pracę, która sprawiała nam przyjemność, dzieci, które uwielbiałyśmy, i przez dziesięciolecia łączyła nas przyjaźń bez sekretów i udawania, a także świadomość, że tak mocna więź zdarza się bardzo rzadko.

Czytałam kiedyś, pamiętam, że człowiek odczuwa w dwójnasób radość z posiadania czegoś, jeśli zdaje sobie sprawę, jakim jest szczęściarzem. Gdyby każdy miał na palcu olbrzymi diament albo gdyby wszystkie zachody słońca mieniły się purpurą i złotem, nie cenilibyśmy tego wcale. Tak właśnie było z nami dwiema.

Część 2 — Rywka

Od czasu do czasu wygłaszam krótkie odczyty, nic trudnego, wiecie, o czym mówię - w celach dobroczynnych lub żeby zrobić reklamę firmie Maxa. Albo nawet jedno i drugie. W każdym razie przekonałam się w ciągu tych wszystkich lat, że są dwa tematy, które zawsze niezawodnie przyciągają słuchaczy.

Pierwszy — to jak bezboleśnie zrzucić trzy kilogramy przed wakacjami, drugi zaś dotyczy pozytywnej mocy przyjaźni.

To o trzech kilogramach jest łatwe - wystarczy zalecić jedzenie na śniadanie i kolację egzotycznych owoców, jak mango, papaja i tym podobne. A na lunch nieduże porcje ryby lub kurczaka z rusztu. Od czasu do czasu wplatam zabawne opowiadki o sytuacjach, kiedy coś poszło nie tak i zjadłam pudełko ciastek z czekoladą albo kubek lodów. Słuchacze bardzo to lubią.

Ale jeszcze bardziej lubią opowieści o mojej najlepszej przyjaciółce Malce. Tak ją nazywam, choć naprawdę ma na imię Maureen. Opowiadam im, jak poznałyśmy się w kibucu i zaprzyjaźniłyśmy na całe życie, i jak miłość przychodzi i odchodzi, a przyjaźń trwa. I że przyjaźń jest na swój sposób czymś lepszym niż miłość, bo jest bardziej wielkoduszna. Nie sprzeciwiasz się, jeśli twój przyjaciel ma innych przyjaciół, nawet go do tego zachęcasz. Ale wyrażasz gwałtowny sprzeciw, gdy ukochana osoba pokocha kogoś innego, i czynisz, co w twojej mocy, by temu zapobiec.

Widziałam, że słuchacze z uznaniem kiwają głowami.

Zawsze się uśmiecham, kiedy mówię o Malce.

Spędziłyśmy razem wspaniałe chwile po tym przypadkowym spotkaniu w kibucu. Moja mama uważała ją za miłą żydowską dziewczynę i nie przypuszczała, że Malka pochodzi z miasteczka pełnego stukniętych katolików, którzy czczą jakąś studnię w środku lasu. Trzeba to było widzieć. Ceńcie przyjaźń, radziłam słuchaczkom, a następnie wyrażałam gorącą pochwałę wakacji spędzonych z przyjaciółką zamiast ze współmałżonkiem.

Jeśli małżonek nie chce oglądać wystaw, chodzić na zakupy oraz przesiadywać na rynku lub placu, obserwując nieznanym i wymyślając historyjki na ich temat - przyjaciółka to zrobi.

Gdy zaczęłam pracować w jego rodzinnym przedsiębiorstwie, Max zawsze podziwiał sposób, w jaki rozwijałam tę część firmowej działalności: zwiedzanie galerii sztuki, kursy malarstwa, kluby brydżowe dla pań czy wieczory literackie. Ale

jego podziw dla mnie i mojej działalności był bardzo **zdystansowany** i miał obiektywne powody.

Widzicie, patrząc teraz z perspektywy czasu, rozumiem, że Max nigdy mnie tak naprawdę nie kochał, nie taką miłością, o jakiej ludzie piszą, śpiewają i marzą. Nie przyszło mi do głowy, aby mógł kochać inną kobietę. Pomyślałam, że prawdopodobnie nie miał silnego popędu seksualnego, w przeciwieństwie do męża Malki tam, w Irlandii. Nie, z pewnością nie kochał innej, po prostu uważał nasz związek za coś w rodzaju partnerstwa w interesach. Taki już był.

Przez jakiś czas sądziłam, że gdybym się bardziej starała, lepiej się ubierała, trochę schudła, okazywała większą błyskotliwość, Max by mnie pokochał. Lecz, o dziwo, to moja przyjaciółka Malka przekonała mnie, że wcale tak nie musi być. **Bo** wówczas wszystkie szczupłe, zadbane, błyskotliwe kobiety byłyby bardzo szczęśliwe, a wiedziałyśmy - ponieważ widywałyśmy ich mnóstwo wokół siebie - że większość z nich jest głęboko nieszczęśliwa.

Prócz tego Malka zapewniła mnie, że jestem arcyzabawna, bystra i zdolna, używając tuzina zwariowanych irlandzkich określeń, a ja w to w końcu uwierzyłam i nabrałam nieroztropnej pewności siebie. Patrząc wstecz, myślę, że przeważnie byłam szczęśliwa.

Nie czułam się tylko szczęśliwa wtedy, gdy mama wierciła mi dziurę w brzuchu, żebyśmy wreszcie wyszła za mąż. I jeszcze w czasie, kiedy zamęczałam się pracą, nie jadłam, spędzałam w biurze dziesięć godzin na dobę i wypełniałam obowiązki towarzyskie - nie byłam wtedy zadowolona z życia.

Gdy jednak urodziła się Lida, moja prześliczna córka, poczułam się szczęśliwa i już tak pozostało. Zapisałam w specjalnym notesie wszystko, co mnie drażniło u mojej mamy albo raniło mi serce, i starałam się sama nigdy tego nie robić.

Ale świat się zmienił.

Wyobraźcie sobie, jak zwracam się do Lidy, żeby rozważyła możliwość wyjścia za mąż, zanim jej uroda przygaśnie.

Tylko to sobie wyobraźcie! To by było jak życie na innej planecie.

O dziwo, moja mama również się w tym czasie zmieniła, stała się normalna i nabrała wiele mądrości życiowej. Z pewnością nie była normalna ani mądra za moich dziewczęcych lat, kiedy obie te cechy by mi się przydały, lecz mimo wszystko cieszyłam się, że doszła do tego w starszym wieku.

Małka powiedziała to samo o swojej matce, że narodziny wnuka podziałały na nią uspokajająco. Ale ja nigdy nie uważałam pani O'Brien za aż tak niedobrą, była bardzo przesadna, owszem, a także przejmowała się, jak wszystkie kobiety w jej wieku, co pomyślą i powiedzą ludzie z Rossmore. Lecz w gruncie rzeczy wydawała się miła.

Małka jednak twierdziła, że pani O'Brien zachowywała się wcześniej okropnie, przypuszczam więc, że to pokolenie po prostu uzyskiwało z wiekiem na szlachetności.

Brendan, syn Maiki, był kochanym chłopcem - i bardzo dobrze, bo jej mąż okazał się znacznie gorszy, niż wszyscy przypuszczaliśmy. Ogromnie się ucieszyłam, kiedy przyleciała do mnie z Brendanem na kilka tygodni w tym czasie, gdy Declan, małżonek-motylek, pofrunął sobie z Eileen, szkolną sekretarką. Początkowo po przyjeździe Małka była bardzo przybita i dużo płakała. Powiedziała, że w domu powstrzymywała się od płaczu - nie chciała sprawiać szwagierkom ani swojej matce satysfakcji, okazując przygnębienie. Płakała jednak w mojej kuchni i w ogrodzie, gdy obserwowaliśmy dzieci pluskające się w sadzawce, płakała też, kiedy pewnego wieczoru poszliśmy we dwie do baru i pianista zagrał „Blue Moon”, ulubioną piosenkę jej i Declana.

- Nigdy nie przypuszczałam, że oczaruje go inna kobieta — szlochala. - Zawsze powtarzał, że jestem jedyna. Sądziłam, że jeśli go stracę, to przez picie, wydawało mi się, że walka o jego miłość toczy się między mną a lokalem Callaghana.

Poklepałam ją po ręce i podsunęłam chusteczki. Nie była to odpowiednia chwila, by informować Małkę, że jej wybranek

próbował się do mnie dobierać przez trzy wieczory przed ich ślubem.

Jeśli nie powiedziałam jej wtedy, w przeddzień ślubu, kiedy to mogło być pomocne, przydatne, mądre, ujawnianie tego później nie miałyby najmniejszego sensu.

Pomyślałam sobie wówczas, że może to po prostu przejaw dobrego humoru Declana. Nie znalazłam przecież tych ludzi ani ich kultury. Może dla niego i jego znajomych zupełnie nie miało znaczenia przyciśnięcie mnie - najlepszej przyjaciółki panny młodej — do ściany, tak że nie mogłam się wyrwać, i całowanie. Dlatego pozostawało mi albo powiedzieć od razu i zepsuć jej ślub, albo milczeć.

Wy moglibyście postąpić inaczej, lecz ja dokonałam wyboru, którego musiałam się trzymać.

I zawsze powtarzałam sobie, że gdybym wtedy wyznała to Malce, może Brendan nie przyszedłby na świat i jej życie byłoby o wiele uboższe.

Brendan był dla niej wspaniałym synem - oczywiście nie słuchał rad, ale który młody człowiek ich słucha w tych czasach? Nigdy nie sprawiał kłopotów, nawet przez cały ten czas, kiedy dorastał w Dublinie bez ojca. W wakacje znajdował sobie dorywczą pracę, żeby dolożyć się do chesnego. Pewnego lata Max zatrudnił go w biurze podróży, gdzie Brendan pracował tak dobrze, że gotowi byli mu zaproponować pełny etat. Ale powiedziałam: nie ma mowy, żeby pozbawić moją przyjaciółkę Malkę możliwości ogłaszania wszystkim: „Mam syna inżyniera!”.

Niestety, nie poznał tamtego lata mojej Lidy; wyjechała akurat do Irlandii. Natychmiast przypadły sobie z Malką do serca, i to bardzo, co mnie wcale nie zdziwiło, bo wiedziałam, że tak będzie. Ja zaś ogromnie polubiłam Brendana, który przyjeżdżał do nas na weekendy. Był spokojny i rozluźniony i nie miał żadnych kompleksów na punkcie ojca.

- T a t a zawsze przesadnie interesował się kobietami, jedna mu nigdy nie wystarczała - powiedział mi któregoś razu. -

Chyba myślał, że musi próbować z każdą, żeby udowodnić, że żyje albo coś w tym rodzaju.

Pokiwałam głową. Miał rację - właśnie to Declan starał się zrobić. Coś udowodnić.

- A ty jesteś taki sam? - zagadnęłam go półzartem.

Najwyraźniej nie był, podobnie jak dzieci alkoholików, które są abstynentami. Powtórzył mi, że zdaniem jego kolegów trzeba by mu rozpalic ogień pod tyłkiem, żeby go poruszyć.

- Przypuszczam, Rywko, że mój ojciec przystawiał się do ciebie. Prawda? - spytał.

- To było dawno temu i bez znaczenia - wyrwało mi się w odpowiedzi.

- Powiedziałaś o tym mamie? No wiesz, później, kiedy się rozstali?

- Nie - odparłam. - Sprawa wydawała mi się naprawdę bez znaczenia.

Kiwnął głową z aprobatą.

Istotnie, nie miałyśmy z Malką przed sobą żadnych tajemnic prócz tej jednej. Mówiłyśmy sobie wszystko. Nie sądzę, by cokolwiek przede mną ukrywała. Nic sądzę, ale z drugiej strony, gdyby ją zapytać, czy ja coś przed nią ukryłam, zapewniłaby, że nie.

Czego Malka mogłaby się dowiedzieć lub doświadczyć, o czym nie chciałaby mi powiedzieć? Max z pewnością nie rzucił się na nią tak, jak jej przyszły mąż na mnie. Obniżone libido - tak moja mama tłumaczyła długie nieobecności Maxa. Mogła to być prawda. Mama dodawała, że powinnam być wdzięczna. To mówi mi więcej o jej pożyciu z ojcem, niż pragnęłabym wiedzieć.

W mojej ocenie seks z Maxem nigdy nie był szczególnie porywający, zdaję sobie jednak sprawę, że on myślał to samo o seksie ze mną.

Malka zawsze twierdziła, że uwielbiała kochać się z Declanem, choć ciągle się obawiała, że zajdzie w ciążę. Każda z jego siostr miała pięcioro dzieci, co uważano tam za niezbyt liczną rodzinę.

Malka była jedyną osobą, z którą kiedykolwiek rozmawiałam o seksie, a i to niezbyt często. Gdy się pomyśli o wojnach wywołanych z powodu seksu, popełnianych morderstwach, rozbitych rodzinach i ludziach narażonych na publiczną kompromitację, naprawdę bardzo trudno to wszystko pojąć.

Z tego, co wiem, Lida uprawiała seks niejeden raz w swym młodym życiu. Już dość dawno temu poinformowała mnie, że poszła do kliniki dla kobiet, aby się zabezpieczyć. Gdy sobie wyobrażę, jak mówię coś takiego mojej mamie, robi mi się słabo. No ale cóż, czasy się zmieniają.

I kto by pomyślał, że ja, Rywka Fine-Levy, będę prowadziła własną agencję specjalizującą się w wycieczkach śladami dzieł sztuki i zyskam uznanie jako żona wspaniałego Maxa Levy'ego. W przeciwieństwie do wielu moich znajomych nigdy nie zdarzyło mi się martwić, że Max mnie zdradza. Wiedziałam, że tego nie robi. Chodziło o sposób, w jaki odnosił się do kobiet, bez zainteresowania, inaczej niż Declan, który był zawsze gotów do akcji, co zauważył nawet jego syn.

Kto by przewidział, że w końcu pokocham moją mamę, zamiast jej nienawidzić, i że chodzenie z nią na zakupy zacznie mi sprawiać prawdziwą przyjemność? Ze moja córka stanie się dla mnie ważniejsza niż życie; że aż tak blisko zaprzyjaźnię się z Malką, którą poznałam przed laty, gdy skubała kury i zamierzała przejść na judaizm, wyjść za mąż za Shimona i pracować na farmie mieczyków? Byłam wtedy zbyt bojaźliwa, żeby pozwolić temu chłopakowi z Algierii, Dovowi, dotrzeć do pierwszej bazy.

Bardzo chciałam, aby Lida pojechała do Izraela, lecz wspomnianie o tym nie miało, oczywiście, żadnego sensu.

Wyjaśniła, że jest dumna z Izraela, lecz pewne rzeczy, które się tam obecnie dzieją, budzą jej dezaprobatę i nie zamierza swymi odwiedzinami udzielać poparcia polityce tamtejszych władz.

Lida już taka była - zajmowała stanowisko w każdej sprawie i odważnie głosiła własne przekonania.

Rzecz godna pochwały, a nawet podziwu. Przeważnie jednak nie oznacza łatwiejszego życia.

Max rzadko kiedy bywał dostępny, by z nim pomówić o tych sprawach. Ilekroć próbowałam, powtarzał, że sam fakt posiadania córki wprawia go w osłupienie, co było niezbyt przydatne i odrobinę monotonne.

Chyba po blisko ćwierćwieczu powinien się już do tego faktu przyzwyczać.

Tego lata zaplanowałam więc małą wycieczkę dla siebie i Malki. Miałyśmy spędzić tydzień we Florencji i tydzień nad morzem na Sycylii, by dojść do siebie po całym tym zwiedzaniu i oblatywaniu galerii z dziełami sztuki. Przedziwna wydawała się myśl, że nasze dzieci także spędzą wakacje nad Morzem Śródziemnym i będą pływały w tych samych falach. Wiedziałyśmy jednak, że nie możemy planować spotkania z nimi, żadnego osaczenia, przez które młodzi mogliby nabrać do nas urazy. Same przeszłyśmy przez takie doświadczenia dawno temu, kiedy nasze matki były dla nas złymi, przytłaczającymi strażniczkami. Wiedziałyśmy wszystko o długiej i krótkiej smyczy, o wypuszczaniu na swobodę. Byłe tamci dwoje nie wiedzieli, że za nimi tęsknimy.

Byłam tak zajęta przygotowaniem do podróży, że nie brakowało mi Lidy. Potrafię teraz spakować bardzo szybko i przemyślnie dwie walizki. Jednym z tematów moich pogadań dla pań podczas śniadania albo lunchu jest „inteligentny sposób pakowania”. Słuchaczki za tym przepadają.

Mówię im o ułożeniu i wydrukowaniu listy najważniejszych rzeczy, do której dodaje się drobiazgi, takie jak latarka, ulubiona poszewka na poduszkę oraz mały drewniany kolek do podpierania drzwi - nie uwierzylibyście, jaki bywa użyteczny.

Tak czy inaczej zupełnie niespodziewanie, gdy pakowałam złożone sukienki w bibułkę, do drzwi zadzwonił jakiś miody człowiek, tuż po trzydziestce. Myślałam, że przyszedł do Lidy. Ale nie, chodziło mu o mojego męża.

Poinformowałam go, że Maxa nic ma, wróci dopiero wieczorem. Ja odlatuję nazajutrz do Europy, więc jemy razem kolację, co nie zdarza się często - mogę więc przekazać wiadomość. Od kogo?

Nieznajomy poprosił o zawiadomienie, że był tu Alexander i bardzo przeprasza, myślał, iż wylatuję do Florencji dzisiaj, nie jutro. Wiedział, że w tym tygodniu wybieram się na wycieczkę, a ja nawet o nim nic słyszałam! Poczulałam dreszcz niepokoju. Podziękował za herbatę, nie podał szczegółów w kwestii interesów z Maxem i pospiesznie się pożegnał.

- Przyszedł dzisiaj Alexander - powiedziałam mężowi wieczorem. - Myślał, że już poleciałam do Florencji.

Max popatrzył na mnie bez emocji.

- Bardzo mi przykro, że musiałaś się w ten sposób dowiedzieć — oznajmił.

Nie miałam pojęcia, o czym się dowiedziałam. Zielonego pojęcia, jak określiłaby to Małka. Spojrzałam na Maxa z konsternacją.

- O Alexandrze - dodał.

I wtedy nagle wszystko stało się jasne. Wszystko nabrało sensu. Długie nieobecności, dyskrecja, sposób prowadzenia mnie pod rękę w miejscach publicznych, oddzielne sypialnie.

Małka zapytała mnie później, czy dobrze to zniosłam, czy zachowałam się tak, jakbym sobie tego życzyła.

Odpowiedź brzmi: tak, zachowałam się doskonale, chociaż wyłącznie z powodu czystego wstrząsu. Przesiedziałam bezsennie w swojej sypialni całą noc, układając fragmenty w całość. Oczywiście, to wszystko tłumaczyło. Dlaczego byłam tak ślepa? Ale czegoś takiego trudno byłoby się spodziewać.

Potem, niestety, zaczęłam się niepokoić, czy inni dookoła też wiedzą. Może tylko ja jedna byłam na tyle głupia, by nie zauważyć, że mój mąż gra w przeciwnej drużynie? Zegar tykał, a gdy świt rozjaśnił niebo, doszłam do wniosku, że nie jest to ogólnie znany fakt i z pewnością nie zostałam wystawiona na

pośmiewisko. Ta myśl mi pomogła. Może nie powinna, ale pomogła. Przynajmniej nie zbląźniłam się na forum publicznym.

Ubrałam się starannie i umalowałam. Samochód miał przyjechać po mnie o dziesiątej rano.

Max wyglądał okropnie, był blady, włosy miał w nieładzie. On także nie spał przez całą noc. Popatrzył na mnie jak szczeniak, który wie, że czeka go kara.

- Co teraz zrobisz? - spytał bojaźliwie.

- Zapoznam cię z moimi planami po powrocie, Max. - Zachowywałam się chłodno, grzecznie i z pewną rezerwą.

Wszystko inne - płacz, złorzeczenia, pytania, gniew - zostawiłam na później, do chwili gdy znajdę się we Florencji z Małką.

Wiedziała od razu. Małki nie da się oszukać. Nalala nam obu po bezcłowym kielichu, a ja opowiedziałam jej o wszystkim, z najdrobniejszymi szczegółami. Nie przypominam sobie z tych wakacji ani jednego dnia, kiedy obydwie nie zanosilybyśmy się płaczem, nie postanawiały zamordować Maxa, pozwać go do sądu, obrać z wszystkiego, co posiadał. Zamierzałyśmy go „ujawnić”, ośmieszyć albo okazać szlachetność i uznać, iż to nie ma znaczenia.

Zanim dotarłyśmy na Sycylię, byłyśmy kompletnie wyczerpane. Wynajęłyśmy samochód i objechałyśmy wyspę. Plywałyśmy w błękitnym morzu i wypilyśmy więcej wina, niż kiedykolwiek wydawało mi się możliwe.

- Będę musiała pójść na odwyk, gdy już wrócę do prawdziwego życia - powiedziałam, wcale nie chcąc tak na serio myśleć o powrocie.

- Czy nie powinnaś skontaktować się z biurem? - podsunęła Małka.

Zazwyczaj mam włączony telefon komórkowy i wszędzie odbieram e-maile. W pracy, oczywiście, ku mojej irytacji, doskonale radzono sobie beze mnie.

W poczcie znalazłam e-mail od Lidy.

Tata mówi, że nie wie, gdzie dokładnie jesteś, a w biurze powiedzieli, że się zgłosisz, więc to nie moja wina, że tego nie zrobiłaś. Szukałam cię wszędzie, aby cię zawiadomić, że zmieniałam plany i mimo wszystko jadę do Izraela. Spotkałam się w Rzymie z Brendanem. Zawsze mieliśmy zamiar tam się spotkać, byliśmy w kontakcie przez ostatnie dwa lata i widywaliśmy się często. Nie wspominaliśmy o tym tobie ani Malce, żebyście nie robiły zamieszania, a prócz tego chcieliśmy być pewni, zanim cokolwiek powiemy. No i teraz jesteśmy. Zupełnie pewni.

Brendan prosi, żebyś zawiadomiła jego mamę, bo ona jest beznadziejna, jeśli chodzi o urzędnika techniczne i oczekuje gołębia pocztowego z listem w dziobie. I nie życzymy sobie żadnego gładzenia o kulturze, tradycji, historii, różnicach i tym podobnych bzdetach. Musisz jakoś załatwić sprawę z babcią i tatą. Zrobisz to, prawda? Zawsze byłaś wspaniała pod każdym względem. Brendan mówi to samo o swojej mamie. Czy możesz nam wytłumaczyć, gdzie się znajduje ta cholerna farma mieczyków? Poszukamy jej i obejrzymy sobie tych facetów, którzy mogliby być naszymi ojcami, gdyby sprawy ułożyły się inaczej.

Malka i ja umiemy ten list na pamięć. Wy też byście go umieli, może nie? List, który wszystko naprawił i wszystkiemu nadał sens.

5

Plan

Część 1 - Becca

Matka zawsze powtarzała: „Becca, możesz dokonać wszystkiego na tym świecie, jeśli masz odpowiedni plan”. Mówiła tak, gdy robiłyśmy razem zakupy na Castle Street, czekałyśmy w pralni samoobsługowej, aż wysuszą się prześcieradła i ręczniki, albo pilyśmy kawę w Skaczącej Fasolce.

Mama obmyśliła w życiu wiele różnych planów. Jak wtedy, gdy kończyłam dwadzieścia jeden lat, a ojciec nie chciał służyć o zapłaceniu za huczne przyjęcie. Mama poszła do nowego hotelu, który dopiero co otwarto w Rossmore i pokazała listę naszych gości, zawierającą mnóstwo ważnych nazwisk. Nakłoniła kierownika, by obniżył dla niej cenę o połowę z uwagi na reklamę, jaką zrobi hotelowi przyjęcie urodzinowe jej córki. Wygospodarowała pieniądze z tego, co ojciec dawał na życie. I proszę bardzo! Olśniewająca impreza z tłumem gości. Tylko dlatego, że mama obmyśliła dobry plan.

Kochana mama miała słuszość w bardzo wielu sprawach. No, może nie zawsze, gdy mowa o ojcu. Ale kto mógł przewidzieć, co on zrobi? Trzeba byłoby jakichś nadprzyrodzonych zdolności, aby to odgadnąć. Ojciec odszedł z Iris, tą absolutnie okropną, pospolitą babą, kiedy miałam dwadzieścia pięć lat, a mama dobiegała pięćdziesiątki. Okropna baba Iris nie była nawet młoda. Nosiła rozpinany sweter i spacerowała po Glo-

gowym Gaju ze swoim kundlem. Mama orzekła, że nie byłoby lak źle, gdyby chodziło o niemądrą panienkę z dużym biustem. Ale nie, Iris była w ich wieku. Upokarzające.

Z głupia frant zaproponowałam mamie, żeby poszła do studni Świętej Anny, która spełniła życzenia wielu ludzi. Sam pomysł ją oburzył. Niedorzeczne miejsce, pogańskie zabobony, którym hołdują kobiety i dziewczęta z wiejskich chałup. Żeby jej więcej o tym nie wspominała.

Powiedziała, że gdyby miała dość sił, zabiłaby Iris.

Zacząłam błagać, żeby tego nie robiła.

- Proszę cię, mamó, nie zabijaj jej. Złapią cię, aresztują i wsadzą do więzienia.

- Nie, jeśli załatwię to jak należy - odparła.

- A l e ty nie załatwiłabyś tego jak należy, mamó, a nawet przyjmując na chwilę, że tak, wyobraź sobie, jakie to byłoby okropne, gdyby ojciec usychał z tęsknoty za tą kobietą. Pomyśl, jakie to byłoby straszne.

Niechętnie zgodziła się ze mną.

- Gdybym była młodsza i mogła obmyślić odpowiedni plan, z łatwością uśmierciłabym Iris - oznajmiła spokojnie. - Ale **Becco**, kochanie, powinnam zacząć znacznie wcześniej, a wtedy wszystko poszłoby jak z płatką. Chyba masz rację, teraz roztropniej będzie dać temu spokój.

1 na szczęście tak zrobiła.

Ojciec właściwie nie utrzymywał z nami kontaktów. Od czasu do czasu pisał, że przez mamę pójdzie z torbami. Mama odpowiadała, że on i jego koszmarna Iris odebrali jej wszystko co do pensa i zostawili tylko walący się dom w Rossmore. Wzdychając ciężko, dodawała, że wynajęcie drugiego adwokata poza Mylesem Barrym oznaczałoby narażenie się na dalsze straty.

- Gdy będziesz starsza, Becco, kochanie, proszę cię, miej gotowy plan. Nie rób niczego bez planu i działaj raczej wcześniej niż zbyt późno.

Wydawało się, że to bardzo dobry pomysł, ponieważ wszystko, z czym mama zwlekała, odkładając na później, kończyło

się porażką, natomiast rzeczy zrobione wcześniej udawały się znakomicie. Słusznie powtarzała, że należy kuć żelazo, póki gorące.

Staralam się planować większość życiowych posunięć. Pracowałam w nowym eleganckim butikiu przeznaczonym dla zamóżnej klienteli i mój plan zakładał poznanie tych ludzi na gruncie towarzyskim. Czasami się udawało, czasami nie. Zaprzyjaźniłam się również z Kevinem, kierowcą furgonetki dostawczej, który dorabiał sobie na boku jako taksówkarz i często mnie podwoził - co było mile, bo cienko przędłam i nie miałam pieniędzy na taksówki.

Kevin był sympatyczny. Paskudnie kasłał i miał okropne napady hipochondrii, kiedy ból głowy wydawał mu się początkiem zapalenia opon mózgowych i tym podobnie, ale bardzo mnie lubił i powiedział, że zawsze mogę go wezwać, żeby po mnie podjechał w deszczową noc. Nigdy tego nie nadużywałam, prosiłam go jednak od czasu do czasu.

Mama często była w zlej formie, lecz prawdę mówiąc, nie zajmowałam się zbyt gorliwie nią i jej problemami, ponieważ bardzo wiele się działo w moim życiu osobistym. Widzicie, poznałam Franklina i wszystko się zmieniło.

Wiecie, jak to jest, kiedy człowiek nic potrafi opisać jakiegoś niezmiernie ważnego wydarzenia ze swojego życia, kiedy na przykład zobaczył z bliska gwiazdę filmową albo królową Anglii, albo papieża, albo prezydenta Stanów Zjednoczonych lub był świadkiem czegoś wstrząsającego? Pamięta się najrozmaitsze blahe szczegóły, lecz nie to, co stanowi istotę rzeczy.

Zupełnie jakby pewnych spraw nie dawalo się ogarnąć rozumem.

lak się właśnie stało, kiedy poznałam Franklina.

Pamiętam sukienkę, którą miałam wtedy na sobie: czerwona jedwabną, bez pleców, kupioną w sklepie z tanią odzieżą. Pamiętam perfumy, których użyłam: Obsession Calvina Kleina. Sama nie mogłabym sobie na nie pozwolić, ale - zdumiewająca rzecz - jakaś klientka zgubiła je w butikiu.

Nic przypominani sobie, dlaczego właściwie poszłam na to przyjęcie. Urządzono je na otwarcie nowej restauracji w Rossmore. Miasto było teraz takie duże i zupełnie inne niż za młodych lat mojej mamy. Ciągłe otwierano nowe restauracje, hotele, galerie sztuki. Nie miałam zaproszenia ani nic, ale wiedziałam, że jeśli zjawia się ktoś elegancko ubrany, zawsze go wpuszczają. Dlatego dwa czy trzy razy w miesiącu szłam na jakieś przyjęcie, by nawiązać kontakty z ludźmi. Dzięki temu nie płątałam się mamie pod nogami, no i nigdy nie wiadomo, kogo się spotka.

Cóż, na razie spotykałam same żaby i zaczynałam tracić nadzieję, że na którejś z tych imprez natrafię na księcia - aż wreszcie tamtego wieczoru poznałam Franklina. Wielki, podświetlony na różowo zegar wskazywał 7.43. Myślałam właśnie, że wyjdę o ósmej i pojedę do domu. Nie musiałam wzywać Kevena, przystanek autobusowy był tuż obok. I wtedy Franklin powiedział „cześć”.

Blondyn, niebieskie oczy, zwichrzone włosy, idealne zęby. Olśniewająco przystojny. A przy tym miły i swobodny w obejściu. Zaiskrzyło między nami niemal natychmiast. Odkryliśmy, że łączy nas wszystko, dosłownie wszystko. Obydwoje kochaliśmy Grecję i Włochy, przepadaliliśmy za tajską kuchnią, jazdą na nartach i powtórkami starych filmów w telewizji. Lubiliśmy duże psy, stepowanie i długie, późne śniadania w niedzielę.

Mama przeżywała wówczas stany depresyjne i bardzo nieufnie odniosła się do mojego nowego romansu.

- Każdy lubi te rzeczy, Becco, ty niemądra dziewczyno. Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei, kochanie, on tylko stwierdził oczywisty fakt. Wyobrażasz sobie kogoś, kto nie lubi Włoch, „Sierżanta Bilko” i „Armii tatuśka” albo nart? Bądź rozsądna, kochanie. Proszę cię!

A potem poznała Franklina i, jak wszyscy, zachwyciła się nim.

Był dla niej czarujący. Chłonęła każde jego słowo. „Teraz wiem, po kim Becca odziedziczyła swoje cudowne kości po-

liczkowe". „Musi pani być niesamowicie inteligentna, żeby tak dobrze grać w brydża". „Proszę mi pozwolić mówić do pani Gabrielle, jest pani o wiele za młoda, żebym zwracał się per pani King".

Gdybym była cyniczna, powiedziałabym, że to zwyczajne wciskanie kitu, Franklin po prostu wiedział, co się mówi starszym paniom. Ale nie jestem cyniczna - jestem pogodna i optymistyczna z natury, więc nie powiedziałam nic. Uśmiechałam się tylko.

Ponieważ Franklin, biedactwo, nie miał chwilowo odpowiedniego lokum, zamieszkał u nas. Przez pewien czas udawaliśmy, że sypia w pokoju gościnnym, lecz wkrótce cały ten pokój wypełniły jego rzeczy, on sam zaś wprowadził się do mnie.

Franklin nie miał pracy, nie w ścisłym sensie, ale razem z Wilfredem, swoim przyjacielem, doskonalił pewien pomysł, koncepcję. Zamierzali prowadzić jakieś interesy. Miały coś wspólnego z telefonami komórkowymi i bardzo trudno było wyjaśnić, a także zrozumieć, na czym cała rzecz polega. Ale Franklin i Wilfred przypominali dwóch zdolnych uczniów obmyślających szkolny projekt. Ponosił ich entuzjazm.

Mama wciąż powtarzała, że powinnam mieć plan, jak go zatrzymać, ponieważ takie skarby jak Franklin nie trafiają się codziennie. Przede wszystkim powinnam poświęcać więcej uwagi obowiązkom domowym i gotować dla niego. Powinnam również ładniej się ubierać, pożyczać stroje z butiku, potem dawać je do oczyszczenia w pralni chemicznej i odnosić z powrotem. Pokazać, ile mam ukrytych zalet.

Byliśmy wszyscy bardzo szczęśliwi razem. Mama uczyła nas - Franklina, Wilfreda i mnie - grać w brydża, a potem robiłam kolację. To były cudowne cztery miesiące.

Osiągnęliśmy z Franklinem wspaniałe porozumienie. Mieliśmy obydwójce po dwadzieścia dziewięć lat, a co za tym idzie, pewną przeszłość za sobą, lecz żadne z nas nigdy nic kochało nikogo ani w jednej dziesiątej tak mocno, jak siebie nawzajem.

Uzgodniliśmy, że jeśli z jakichś przyczyn nasza miłość osłabnie albo któraś z nas pozna kogoś innego, nie będziemy się zwodzić ani kłamać. Powiemy to sobie szczerze i otwarcie. Na sama myśl wybuchnęliśmy śmiechem! Było rzeczą wręcz nieprawdopodobną, by coś podobnego się wydarzyło.

A potem pewnego wieczoru Franklin zawiadomił mnie, że poznał dziewczynę imieniem Janice i połączyło ich uczucie, więc zgodnie z obietnicą i naszym porozumieniem natychmiast mi o tym mówi. Uśmiechnął się tym swym zniewalającym uśmiechem.

Miał taki wyraz twarzy, jakby oczekiwał pochwały za poinformowanie mnie o tej cholernej Janice. Jakby w ten sposób dowiódł własnej uczciwości i wiarygodności. Zaciśnęłam zęby i zmusiłam się do uśmiechu. Zabolaly mnie od tego kości policzkowe, ponoć takie same jak u mojej matki.

- Może ci się tylko wydaje, że coś do niej czujesz - powiedziałam. - A kiedy ją bliżej poznasz, przekonasz się, że jest inaczej. — Podziwiałam samą siebie za kamienny spokój.

Franklin wyjaśnił jednak, że naprawdę wie. Ze jest zupełnie pewien.

- Czy nie powinieneś zaczekać z tą pewnością, aż się z nią prześpisz? - Byłam bardzo dumna ze sposobu, w jaki prowadziłam z nim rozmowę.

- Och, już to zrobiłem - odparł.

- Tego chyba nie uwzględniliśmy w naszej umowie, pójszcia z kimś do łóżka, zanim sobie powiemy? - Miałam nadzieję, że mój głos nic brzmi tak twardo i metalicznie, jak mi się wydawało.

- A l e ciebie tam nie było, więc nie mogłem zapytać - zauważył takim tonem, jakby to była najlogiczniejsza rzecz pod słońcem.

- Gdzie konkretnie mnie nie było? - chciałam wiedzieć.

- W hotelu. Wilfred i ja umówiliśmy się tam na spotkanie z inwestorami i kilka osób akurat grało w brydża, więc się przyłączyliśmy i tam poznałem Janiec.

Zrozumiałam, że niszczycielskiej broni dostarczyła moja własna matka. Dlaczego uparła się nauczyć **Franklina** gry w brydża? Gdyby nie to, nigdy by nie spotkał Janiec. Nasze życie ułożyłoby się idealnie.

Wiedziałam, że muszę obmyślić jakiś plan. A dopóki nie będę go miała, należało zachować spokój.

- Cóż, jeśli sprawa tak się przedstawia, to trudno - oświadczyłam z szerokim uśmiechem. - Naprawdę wierzę, że będziecie z Janiec bardzo szczęśliwi.

- Jesteś cudowna! - wykrzyknął. - Wiesz, wspomniałem Janiec o naszej umowie, a ona powiedziała, że na pewno jej nie dotrzymasz. Wiedziałem jednak, że tak postąpisz, każde z nas by tak postąpiło. I miałem rację. - Stał przede mną rozpromieniony, szczęśliwy, że jego wiara okazała się uzasadniona.

Czy on oszalał? Nie widział, co się ze mną działo - że moje życie straciło blask? Nie słyszał, jak coś z trzaskiem przeskakuje mi w głowie i zrywa się wicher, który dmie ze wszystkich stron? Może to był wstrząs. Albo załamanie. Albo początek obłędu. Nigdy przedtem tak się nie czułam, zupełnie jakbym miała zemdleć. Jakby świat na przemian zbliżał się i oddalał.

Nie mogłam jednak zemdleć, nie mogłam ujawnić żadnych oznak słabości. Był to punkt zwrotny w moim życiu. Musiałam obmyślić plan, w jaki sposób odzyskać Franklina, nie dopuszczając, by się dowiedział, że mój świat wali się w gruzy.

Oznajmiłam, że bardzo się spieszę, mamy w pracy kryzysową sytuację i po prostu muszę pędzić. Życzyłam mu wiele szczęścia z Janiec i umknęłam. Nie paliłam od pięciu lat, ale teraz kupiłam paczkę papierosów. Potem otworzyłam sobie drzwi, weszłam do butik, usiadłam przy stole na zapleczu i załapałam się łzami.

Był tam Kevin. Zawsze dużo palił. Przysiadł się do mnie i poklepał po ręce.

Zanim zdążyłam się odezwać, zaczął mówić o swoich kłopotach.

- Ja też nie jestem w najlepszej formie, Becco - powiedział i zauważyłam, że twarz ma wychudłą i mizerną.

- Co się stało, Kevin? - spytałam uprzejmie, choć guzik mnie to obchodziło.

Pewnie zepsuła się furgonetka, w taksówkarskim interesie panował zastój albo zabrakło mu dwóch trafnych numerów do wygranej w Lotto - no i co z tego? Kogo to mogło obchodzić w chwili, gdy Franklin zostawiał mnie dla Janiec i następował koniec świata?

- Mam zaawansowanego raka, Becco. Operacja byłaby bezcelowa, tak mówią specjaliści. Zostały mi najwyżej dwa miesiące.

- Och, Kevin, bardzo mi przykro! - powiedziałam szczerze. Na całe pół minuty zapomniałam o Franklinie, Janiec i planie. — Teraz w szpitalach są doskonali lekarze - pocieszyłam go. — Dadzą ci mnóstwo różnych środków przeciwbólowych.

- Nie zamierzam czekać, Becco. Nie potrafiłbym budzić się co rano, zadając sobie pytanie: czy to już dzisiaj?

- Więc co zrobisz?

- Wjadę rozpedzoną furgonetką prosto w ścianę. Bęc! - odparł. - To o wiele szybsze, żadnego wypatrywania, niepokoju, oczekiwania na nadejście tej chwili.

I wtedy właśnie zrodził się mój plan.

Mój umysł zaczął nagle pracować bez wytchnienia - poczułam, że potrafię ogarnąć sto rzeczy jednocześnie. Był to plan tak śmiały, że niemal szalony. Ale wiele przemawiało na jego korzyść. Rozwiązałby wszystko za jednym zamachem.

Jeżeli Kevin zamierzał się zabić, mógł zabrać z sobą Janiec.

Jeżeli i tak musiał umrzeć i bał się czekania, czemu nie mieliby oboje razem opuścić tego świata?

Staralam się być bardzo, ale to bardzo przebiegła. Nie mógł się o niczym dowiedzieć. Nie mógł podejrzewać, co zamyślałam.

- Sądzę, że masz całkowitą rację, Kevin, ja bym postąpiła tak samo na twoim miejscu. No cóż, oczywiście kiedyś przyjdzie kolej i na mnie. I to właśnie zrobię. Odejdę, kiedy zechcę, nikt nie będzie decydował za mnie.

Kompletnie go to zaskoczyło. Spodziewał się, że zacznę go prosić, by zmienić zdanie.

- A l e wiesz co? Myślę, że powinieneś użyć do tego taksówki, nic własnej furgonetki. Taksówki często się rozbijają. Wypadek będzie wyglądał bardziej naturalnie dla prowadzących dochodzenie. To ważne, jeśli chodzi o polisę ubezpieczeniową na życie. Dla twojej matki czy kogoś innego.

- Rozumiem - powiedział powoli. - Więc mogliby nie zapłacić, gdyby uznali, że to samobójstwo?

- Tak mi się wydaje.

- Bardzo miło z twojej strony, że się tak przejmujesz, Beco. Widzę, że ciebie też coś zdenerwowało. Co?

- O c h , nic takiego, w porównaniu z twoimi problemami to zupełnie bez znaczenia. Pokłóciłam się z mamą, jakoś się pogodzimy.

- A l e między tobą a Franklinem wszystko w porządku? - zapytał.

Myślę, że Kevin zawsze trochę się we mnie podkochiwał. Oczywiście nigdy nic dałam po sobie poznać, że cokolwiek zauważyłam. I teraz za nic nie mógł się dowiedzieć o postępkach Franklina.

Uspokoiliam go.

- W najlepszym porządku, ani chmurki na horyzoncie - odparłam. Sama myśl o tym sprawiła, że przestałam płakać. Kevin podał mi chusteczkę i otarłam oczy. Teraz już wszystko musiało być dobrze.

Mogłam poświęcić trochę czasu na okazanie Kevinowi życzliwości.

- Chodź, zjemy razem chińską kolację - zaproponowałam, a jego twarz przybrała wyraz rozczulającej wdzięczności.

- Franklin nic będzie miał pretensji? - spytał.

- Franklin pozwala mi robić, co chcę - odparłam.

- Też bym tak postępował, gdybyś była moją dziewczyną - rzekł Kevin.

Poszliśmy do restauracji, gdzie podczas długiego i okropnie przygnębiającego posiłku opowiadał mi o diagnozie lekarzy

i swojej chęci skończenia z tym wszystkim. Kiwałam współczująco głową i przyznawałam mu absolutną słuszość. Nie słuchałam go wcale. Siedziałam i rozmyślałam o swoim planie. Kevin zrobi to dla mnie. Kevin doprowadzi sprawę do końca.

Będę udawała zachwyconą tą okropną Janiec, zostanę jej przyjaciółką.

Później dam jej numer Kevina jako solidnego taksówkarza. Oczywiście Kevin nie zechciałby zabrać z sobą Bogu ducha winnej pasażerki, zabić jej, że się tak wyrażę. Dlatego będę musiała mu opowiedzieć jakąś historyjkę, że Janiec również cierpi na jakąś straszną nieuleczalną chorobę i poprosiła mnie o pomoc w zaaranżowaniu szybkiego odejścia z tego świata. Ta rola zapowiadała się jako trudna do odegrania. I musiałam ją nie tylko odegrać, lecz także napisać. Ale trzeba było to zrobić. Na tym polegał mój doskonały plan. Nikt nie będzie mnie o nic podejrzewał, ponieważ zamierzałam wcielić się w Bohaterkę Pozytywną, pełną życzliwości i dobroci.

- Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił, Becco - powtórzył Kevin z tuzin razy przy chińskiej kolacji.

- Ja też nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie - zapewniłam go szczerze.

Wilfred, przyjaciel i wspólnik Franklina, nie posiadał się ze zdumienia.

- Jesteś naprawdę zadziwiającą istotą - oznajmił. - Myślałem, że obejrzymy cały spektakl pod tytułem „Furia kobiety wzgardzonej”, ale bardzo się myliłem.

Zaśmiałam się perliście.

- Zawarłiśmy z Franklinem porozumienie, Wilfredzie.

Dostrzegłam, że patrzy na mnie z podziwem, i obdarzyłam go uśmiechem, który - miałam nadzieję - złamie mu serce, podobnie jak Franklinowi.

Mama bardzo się zdziwiła, gdy jej powiedziałam, że nie ma najmniejszego sensu próbować zatrzymać Franklina, jeśli on

nic chce zostać. Pokręciła głową i stwierdziła, że zawsze byłam jeszcze bardziej niezrównoważona od niej, więc zaskakuje ją moje rozsądne podejście.

Poinformowałam Franklina, że nie musi się spieszyć z wyprawą. Ale oczywiście teraz, gdy sytuacja uległa zmianie, będzie spał w pokoju gościnnym. Sama często wychodziłam z domu. Przeważnie umawiałam się z Kevinem. To wydawało się uczciwe. Zasadniczą częścią planu miało jednak być zawarcie znajomości z Janice.

Pierwszy cios spadł, gdy się przekonałam, że moja rywalka ma **dopiero** dziewiętnaście lat.

Ponadto nie interesowała się strojami, nie mogłam więc jej zaofiarować tanich ciuchów z butików. Lekceważyła gotowanie, więc nie mogłam dawać jej przepisów kulinarnych. Jak miałam ją bliżej poznać?

Rozwiązanie - często tak w życiu bywa - przyniosła gra w brydża. Poprosiłam obrzydliwą Janiec, by wyświadczyła mi przysługę i zagrała jako moja partnerka podczas wieczoru otwartego dla pań ze zbiórką pieniędzy na cele dobroczynne. Ponieważ byłam taka miła i zachowałam się niezwykle przyzwoicie, oddając jej Franklina bez słowa skargi, nie pozostało jej nic innego, tylko się zgodzić.

Nawiązałyśmy przyjacielski kontakt owego pierwszego wieczoru i powtórzyła, że podziwia mnie i moje **pokolenie** za naszą postawę wobec miłości. Wyraziła nadzieję, że i ona osiągnie kiedyś taką dojrzałość.

Z trudem powstrzymałam się od uduszenia jej przy stoliku własnymi rękami. Miałam w końcu znacznie lepszy plan.

Udało się nam nawet wygrać i umówiliśmy się na następne dobroczynne przyjęcie w hotelu Rossmore za tydzień. Pod wieloma względami była całkiem sympatyczną towarzyszką. Studentka mająca stanowczo za dużo pieniędzy i czasu, lecz o miłym sposobie bycia i - muszę przyznać - dobra brydżystka. bardzo młoda, oczywiście, i niemądra, jak ktoś w rodzaju siostrzenicy albo córki sąsiadów.

Naturalnie odczuwałam lekkie wyrzuty sumienia, pewien duchowy niepokój, jak można by to określić, na myśl o uśmierceniu dziewiętnastoletniej dziewczyny. Jestem, bądź co bądź, istotą ludzką. Każdy by chyba coś poczuł. Ale ona stała przecież między mną a moją jedyną prawdziwą miłością i nie istniał żaden sposób, by jej lub jemu to wyperswadować.

Nie było innego wyjścia.

Grałyśmy więc dalej, Janiec i ja. Spotkałyśmy się kilka razy, zanim wybrałam odpowiedni wieczór.

Franklin zaczął napomykać o wyprowadzce, uprosiłam go jednak, by został jeszcze parę dni.

- Z a w s z e możesz iść na noc do Janice - dodałam aksamitnym tonem. — Ale nie zabieraj wszystkich swoich rzeczy.

Plan mógł się powieść tylko pod warunkiem, że Franklin nadal będzie mieszkał u nas, gdy ona zginie.

W tym czasie Kevin przysparzał mi wiele kłopotów.

Zaczął mieć wątpliwości. Niepokoiło go coraz bardziej, że zabierze z sobą pasażerkę. Uważał, iż powinien to z nią najpierw omówić, zapytać o jej preferencje. Może chciałaby zażyć przed kraksą środek uspokajający? - zasugerował.

Wytłumaczyłam, że moim zdaniem Janice z całą pewnością się nie rozmyśli. Ilekroć rozważaliśmy szczegóły, była to zawsze kwestia sporna. Przypuśćmy, że ta dziewczyna rozmyśli się w ostatniej chwili? Wtedy on już nie zdoła zatrzymać auta. Będzie na to za późno.

Nic, odpowiadałam, tak się na pewno nie stanie. Powtarzałam wciąż na nowo, że Janice zaczyna już odczuwać straszne skutki choroby i wkrótce ból stanie się nie do zniesienia. A prócz tej wyniszczającej choroby nasiliły się u niej ostatnio zaburzenia osobowości. Poprosiła mnie o załatwienie sprawy, żeby nie musieć o tym myśleć ani mówić.

Kevin odparł, że po prostu chce jak najlepiej. Naprawdę był dobrym, troskliwym, uważającym człowiekiem. **Czasami** dopuszczałam do siebie myśl: o ileż łatwiejsze byłoby życie, gdybym pokochała kogoś takiego jak on. Nie traciłam jednak cza-

su na tego typu rozważania. Od chwili gdy Franklin poinformował mnie o Janice, skupiłam się na tym jednym celu.

Niekiedy Kevin zastanawiał się, czy to słuszne odbierać sobie życie. Czy ma do tego prawo?

Z tym również dałam sobie radę. Ludzie wygłaszali kazania o kochającym Bogu, który wszystko rozumie. Jeśli tak, ów Bóg zrozumie, że Kevin nie mógł siedzieć i czekać na to, co nieuniknione. Ze po prostu przyspieszył bieg wypadków. Argumenty zazwyczaj skutkowały po dziesięciu czy piętnastu minutach, lecz było to niezmiernie wyczerpujące.

W tych dniach mama, Franklin, Wilfred, ludzie w pracy i nawet biedny Kevin mówili mi, że nie jestem sobą. Ze sprawiam wrażenie wzburzonej. Rozstrojonej, jak to określiła mama. Nakładałam więc mocniejszy makijaż i szczyrzyłam zęby w uśmiechu jak z koszmarnego snu.

W końcu nadszedł ów ważny wieczór, wyznaczona data wypadku. Spotkałam się wcześniej z Kevinem i upewniłam go, że postępuje słusznie i obydwójce robimy to, co należy w stosunku do Janice. Podjechał, tak jak zaplanowaliśmy, pod drzwi hotelu, w którym odbywało się charytatywne przyjęcie brydżowe.

- O, taksówka dla ciebie, Janice! - oznajmiłam zadowolonym tonem.

- Jesteś nadzwyczajna, Becco. Wszyscy miotają się w poszukiwaniu taksówek, a ty od razu ją znajdujesz. - Jej twarz wyrażała szczery podziw.

Kevin wysiadł z auta i podszedł, by otworzyć drzwiczki od strony pasażera. Mocno uścisnęliśmy sobie dłonie.

Janiec wracała do swojego mieszkania, a później miał przyjść do niej Franklin. Był z Wilfredem na kolejnym spotkaniu w interesach. Powiedziałam, że muszę lecieć, bo mój autobus właśnie nadjeżdża, a poza tym i tak jadę w przeciwnym kierunku.

- By w a j, śliczna Becco - pożegnał się Kevin.

- Widzisz? Każdy za tobą szaleje - podkreśliła zazdrośnie **Janice**, machając mi na pożegnanie.

Pojechałam do domu, długo rozmawiałam z mamą, a potem położyłam się do łóżka. Zadzwoił Franklin z pytaniem, o której godzinie wyszłyśmy z przyjęcia, ponieważ Janice jeszcze nie wróciła. Odparłam, iż nie rozumiem dlaczego, mnóstwo ludzi widziało ją wsiadającą do taksówki kilka godzin temu. Rano **zatelefonował** znowu z informacją, że nie było jej przez całą noc.

Wyraziłam współczucie, ale przecież nie miałam pojęcia, co się mogło stać.

Po południu zadzwonił jeszcze raz, by mi powiedzieć, że uroczą Janiec, biedne małeństwo, zginęła w wypadku wraz z kierowcą taksówki - uderzyli w ścianę. Wszyscy przeżyli szok. Franklin nie wyprowadził się od nas, ponieważ był po prostu zdruzgotany i niebawem pokochał mnie na nowo. Sprawy powinny być ułożone idealnie - i ułożyłyby się idealnie, gdyby nie Kevin.

Miałam rację. On mnie rzeczywiście kochał.

I ubezpieczył się na życie na moją korzyść. Co oznaczało, że należy mi się spora suma pieniędzy. To, naturalnie, zniweczyło cały plan. Nigdy nie skojarzono by tego wypadku ze mną, gdyby nie owa polisa.

A także list pozostawiony przez Kevina, w którym dziękował mi za wszystko, co dla niego zrobiłam.

Teraz wszyscy zaczęli badać sprawę. Agenci ubezpieczeniowi, policja, wszyscy. I całe Rossmore o mnie gada. Podobno matka i siostry Janiec wybrały się do tej niedorzecznej studni w lesie, a wraz z nimi coś w rodzaju procesji. Jakby to mogło ją przywrócić do życia!

Ludzie mówią, że jestem twarda jak skala. Nic podobnego, zawsze byłam łagodna jak baranek.

Oczywiście mogą mi nie postawić żadnych zarzutów. Franklin jednak trochę się mnie obawia. Nie wspomniał o tym, lecz

w zeszłym tygodniu zaczął stopniowo wynosić z domu swoje rzeczy.

To był taki doskonały plan - gdyby tylko Kevin nie próbował okazać współczucia. Gdyby nie zapragnął dać mi czegoś, zanim jego życie dobiegnie końca.

Zamiast tego odebrał życie mnie.

Część 2 - Gabrielle

Moje znajome z klubu brydżowego były i są bardzo miłe. Naprawdę bardzo.

Spoglądają na siebie piorunująco, jeśli któraś napomknie niechcący o więzieniu, morderstwie, skazanych czy czymś w tym rodzaju. Uważają, że jestem bardzo dzielna, ponieważ co tydzień odwiedzam Beccę w więzieniu i noszę głowę wysoko, dokądkolwiek idę w Rossmore. Właściwie to wcale nie takie trudne być pewną siebie. W rzeczywistości wszystko zależy od wyglądu zewnętrznego. Zawsze o tym wiedziałam, tylko nigdy nie miałam dość pieniędzy, by dobrze wyglądać.

Mój były mąż, cholerny Eamon, zostawił mnie bez grosza, kiedy odszedł z tą okropną, wulgarną kobietą, Iris. Utrzymanie domu kosztowało majątek, zawsze więc pilnie potrzebowałam gotówki. Dlatego właśnie byłam bardzo wdzięczna brukowcom.

Wiem, rzecz jasna, że musimy udawać, iż uważamy je za paskudztwo i wpuszczamy za próg tylko ze względu na gospośnię czy coś w tym guście, ale dziennikarzy ogromnie interesowało to, co zrobiła biedna Becca i, prawdę mówiąc, byłam nimi w skrytości ducha zachwycona. Jedna z gazet kupiła historię o dzieciństwie mojej córki pod kątem „Co sprawiło, że stała się taka, jaka się stała?”. Inna wzięła tekst o jej pracy w butikach z eleganckimi strojami. Powinnam dostać premię od tej zadzierającej nosa damulki, która prowadzi interes - założę się, że dzięki mnie podwoiła obroty.

Potem ukazał się kawalek o tym, jak Becca się zmieniła, kiedy jej ojciec, cholerny Eamon, odszedł z domu. Tu z przyjemnością pomagałam w pisaniu. Nigdzie nie wspomniano o mojej współpracy, ale to ja przekazałam im wszystkie informacje i zdjęcia. Powstał wspaniały cykl artykułów.

Oczywiście nie podobały mi się tytuły w rodzaju: „Psychika morderczyni”, z drugiej strony jednak gazety dobrze się dzięki nim sprzedawały, a dla wielu ludzi biedna, niemądra Becca była właśnie kimś takim.

Podczas każdych odwiedzin pytała mnie, skąd reporterzy znają te wszystkie szczegóły. Zapewniałam ją, że nic mówiłam im nic nowego, o wszystkim wiedzieli już wcześniej. A czego nie wiedzieli, to zmyślali. Jak tę bujdę o biednej Becce pielgrzymującej do studni Świętej Anny w Głogowym Gaju i modlącej się, by Franklin ją pokochał.

- Nigdy tego nie zrobiłam, mamó, przecież wiesz - szlochała.

Pocieszałam ją i uspokajałam. Oczywiście, każdy wie, że to bzdury wyssane z palca przez dziennikarzy...

Bardzo dobrze mi zapłacili za tę historię. Gazety uzyskały pozwolenie sfotografowania całej tej ohydnej kaplicy. I jak się sprzedawały! Becca najwyraźniej nie miała o tym pojęcia, ja zaś dodałam jej otuchy i przypominałam, że udało mi się uchronić Franklina przed wścibstwem dziennikarzy - za co była mi, naturalnie, bardzo wdzięczna. Zamierzała go poślubić po wyjściu z więzienia, więc nie chciała, by wcześniej przyciągał uwagę mediów i budził niezdrową sensację.

Gorąco prosiła, żeby ją odwiedził, aż wreszcie wytłumaczyłam jej, że przed więzieniem nieustannie kręcą się reporterzy i jeśli go zauważą, przypadnie cała pilnie strzeżona prywatność. Becca dostrzegła w tym sens.

Pracownicy służby więziennej są naprawdę całkiem życzliwi. Mają na względzie dobro osadzonych - co musi być dość trudne, zważywszy, z jakimi ludźmi zazwyczaj się stykają. Oczywiście Becca jest inna i nie sposób tego nie zauważyć. Po

pierwsze, jest damą, po drugie, nie ma mentalności przestępczyni. Dalece przewyższa całą resztę, a mimo to odnosi się miło i uprzejmie do wszystkich, co stanowi prawdziwe świadectwo dobrego wychowania.

W wolnym czasie uczy się haftu od jednej ze strażniczek, sympatycznej kobiety o imieniu Kate. Twierdzi, że to bardzo odprężające, nawet terapeutyczne zajęcie. Podarowała mi absolutnie ohydną poduszkę własnej roboty; powiedziałam, że położyłam ten prezent na honorowym miejscu w salonie. Biedna, kochana Becca! Myśli, że lada dzień wróci do domu. Wzniosła się ponad całe swoje okropne położenie, odmawiając przyjęcia go do wiadomości. W jej wypadku jest to skuteczny sposób.

Zaczęła dużą kapę na łóżko ze splecionymi imionami „Franklin” i „Rebecca”.

Muszę zawsze pamiętać, żeby się zanadto nie wystroić, kiedy idę do niej w odwiedzin, ponieważ po latach pracy w butiku Becca rozpozna markowe ciuchy na kilometr. Wie, że nie byłoby mnie stać na żakiety od Prady czy Josepha. Mam coś, co nazywam wizytowym kostiumem więziennym, żeby nie dostrzegła związku między publikacjami w brukowcach a nową garderobą matki.

W miarę jak płyną tygodnie i miesiące, Becca także wygląda coraz lepiej. Chodzi wyprostowana, nic poprawia ciągle włosów i nie bawi się nimi jak przedtem, ma teraz prostą, sztywną fryzurę. Jedną ze strażniczek, Gwen, przyjaciółką tej sympatycznej Kate, uczyła się fryzjerstwa i nadal dorabia sobie w salonie piękności, a także regularnie strzyże włosy więźniarkom. Same nie mogą tknąć nożyczek, nie wolno im, oczywiście. Co jest idiotyzmem, jeśli chodzi o Beccę, no bo jaką krzywdę mogłaby wyrządzić komukolwiek, używając nożyczek?

Wydaje się teraz mniej nerwowa niż dawniej w prawdziwym świecie, znacznie spokojniejsza. Bardzo się interesuje cieniem i dobieraniem nici, a także tym, czy ją wybiorą do dru-

żyny koszykarskiej. Becca! Zainteresowała się sportem i haftowaniem! Kto by przypuszczał? Zresztą kto mógłby przypuszczać, że coś takiego w ogóle się wydarzy?

Czasami reporterzy pytają mnie, czy choć trochę współczuję nieszczęsnej Janice, która podążyła nieświadomie ku własnej śmierci, zaplanowanej przez Beccę, lecz przypominam im, że nic mogą się na mnie powoływać; moje opinie i mój oczywisty, jakże głęboki, smutek nie mają tu nic do rzeczy. A potem, zanim zwrócą się w swoich materiałach przeciw mnie, podsumam im kolejne zdjęcie albo smaczną plotkę o imprezach, na które chodziła Becca — wystawach, otwarciach, przyjęciach, bankietach - choć nigdy jej na nie nawet nie zaproszono. I gazety drukują nową historyjkę, przedstawiającą Beccę jako balowiczkę o swobodnym stylu życia.

Wyobraźcie sobie tylko!

Wiecie, co się mówi o wpływie instytucji na ludzi, którzy w niej przebywają. Uważam, że to absolutna prawda. Becca ostatnio nie ma prawie żadnych zainteresowań poza tym okropnym miejscem. Opowiada mi o wstrętnych lesbijskich romansach między więźniarkami, a zdarza się, że między więźniarkami i strażniczkami. Jediną rzeczą, która wiąże ją ze światem zewnętrznym, jest przyszłość z Franklinem.

To oczywiście cudowne, że myśli o wszystkim tak pozytywnie, ale naprawdę sprawia wrażenie, jakby straciła kontakt z rzeczywistością, jeśli nie zdaje sobie sprawy, jak długo będzie tu przebywała. Nigdy też nie wspomniała o potworności swego czynu. Jakby zbywała go machnięciem ręki.

A jednak stało się coś strasznego. Zabija narzeczoną Franklina - czy też doprowadziła do jej śmierci, co na jedno wychodzi. „Morderstwo z premedytacją i zimną krwią”, jak to określił sędzia, gdy wydawał wyrok skazujący po jednomyślnym werdykcie przysięgłych. Becca nigdy nie zająknęła się słowem o Janice ani o tym nieszczęśniku Kevinie, który prowadził samochód, ani w ogóle o czymkolwiek na temat tamtego wieczoru.

A ja nic chciałam sprawiać jej bólu. Biedactwo, jej życie ułożyło się zupełnie inaczej, niż sobie zaplanowała.

Dlatego ilekroć zaczynała mówić o Franklinie i przyszłości, nie robiłam nic, żeby ją zniechęcić. Gdy tylko zrozumiała, że on nie może jej odwiedzić, przestała o niego pytać.

Doznałam dużej ulgi.

Ogromnej, prawdę mówiąc. Coraz trudniej przychodziło mi wymyślanie odpowiedzi. Próbowalam opowiadać Beccę o klubie brydżowym, ale straciła całe zainteresowanie rozgrywkami i prawie nie zareagowała na wzmiankę o moim licytowanym szlemie. Przypuszczam, że nie w pełni dociera do niej fakt, iż Wilfred, Franklin i ja regularnie grywamy razem, dobierając kogokolwiek na czwartego. Z drugiej strony jednak, brydż może stanowić temat nieco drażliwy, bądź co bądź Franklin poznał Janiec przy stoliku, potem grała z Beccą i w ogóle.

Może więc lepiej nie wspominać o brydżu.

Kłopot w tym, że jest całe mnóstwo spraw, o których lepiej nie wspominać. Wypowiadałam się w kwestii, czy nitka jest karmazynowa, czy amarantowa i jak trudno strażniczce Kate utrzymać dwoje dzieci z jej skromnej pensji, a potem wysłuchuję historii o końcu romansu Glorii i Aillis oraz ile potrzeba dyplomacji, żeby się dostać do drużyny koszykarskiej.

Dowiaduję się także o kobietach, które są prostytutkami, handlują narkotykami albo zamordowały swoich mężów w obronie własnej. Takie życie ma w sobie coś niesamowitego. Cholerny Eamon, mój były mąż, zapytał, czy Becca nie życzyłaby sobie jego odwiedzin, na co odparłam, że z pewnością nie. Przed tą całą historią w niczym jej nie pomógł i teraz tylko by ją jeszcze bardziej wytrącił z równowagi. To go usadziło.

Kate od czasu do czasu bierze mnie na stronę i zapewnia, że Becca bardzo dobrze się adaptuje i zyskała dużą popularność wśród współwzięniarek. Jakby fakt, iż te okropne kobiety polubiły moją córkę, mógł mi sprawić przyjemność! Ale Kate ma dobre chęci, to nie jej wina, że dorastała w trudnych

warunkach i z tego, co mówiła Becca, ona też jest ofiarą, tak jak ja - porzucił ją mąż. Właściwie gdy się nad tym zastanowić, oni wszyscy to dranie.

Zaczęłam przynosić Kate drobne prezenty. Nic wielkiego, jakiejś pachnące mydło, ilustrowany magazyn albo słoiczek tapenady. Nie sądzę, żeby wiedziała, biedactwo, co to takiego, ale była zadowolona. Zresztą, jak mówię, nie jej wina, że nie wychowała się w porządnym domu. I okazywała wiele życzliwości mojej Becce.

Franklin odetchnął z ulgą, gdy zdecydowałam, żeby lepiej nie jeździł w odwiedzinach. Z dużą ulgą, jak przypuszczam. Ale Wilfred, który zawsze był uprzejmy i starał się postępować właściwie, zapytał, czy on też nie powinien zobaczyć się z Beccą. Po namyśle odparłam, że raczej nie, bo cóż miałby jej do powiedzenia? I jemu także ogromnie ulżyło. Dostrzegłam to. Swoją drogą nie chciałam, żeby Wilfred się tam plątał i paplał, co mu ślina na język przyniesie, jeszcze by coś chlapnął. Chciał tylko być uprzejmy.

Nadal pozostawał współnikiem Franklina w świadczeniu owych tajemniczych usług, związanych z **telefonami** komórkowymi i polegających na rozładowywaniu, doładowywaniu albo przeladowywaniu czegoś w komórkach. To zupełnie niezrozumiała dla mnie sprawa.

Później matka tej nieszczęsnej Janice zapytała, czy może odwiedzić Beccę, ale poprosiłam Kate, żeby powiedziała zwierzchnikom, iż byłoby to niewskazane. Owa biedna kobieta należała do Powtórnie Narodzonych Chrześcijan albo innej podejrzanej sekty. Wydawało jej się, iż pomoże mojej córce odzyskać spokój, jeśli powie, że jej wybaczyła, lecz prawdę mówiąc, Becca już zapomniała o Janice, więc wyraziłam dezaprobatę i Kate musiała przekazać wiadomość, ponieważ do wizyty nie doszło.

Życie płynęło dalej na swój zabawny sposób, dni układały się podobnie, choć wszystko uległo zmianie. Grywaliśmy w brydża dwa razy w tygodniu, len cholerny **Eamon** telefo-

nowal za każdym razem, gdy pojawiło się coś nowego w brukowcach — jego koszmarna żona najwyraźniej nie czyta nic innego.

- Skąd oni wiedzą takie rzeczy? - wykrzykiwał do słuchawki.

Wzruszałam ramionami i mówiłam, że nie mam pojęcia. Nie widywałam się z nim, więc nie mógł wiedzieć, jak elegancko się ubieram i że kupiłam sportowy samochód. Że codziennie przychodzi sprzątaczką, a ogrodnik raz w tygodniu. Zresztą Eamonowi nic do tego. Niewiele go obchodziło, co z nami będzie, kiedy porzucił żonę i córkę.

Co tydzień jechałam taksówką w pobliże więzienia, prosiłam kierowcę, żeby zaczekał obok przystanku autobusowego za rogiem i dołączałam do innych odwiedzających. Otwierałam torebkę do sprawdzenia i poddawałam się rewizji osobistej przed spotkaniem z Beccą. Nie chciałam, by ktoś ją poinformował, że czeka na mnie taksówka. Zastanawiałaby się, skąd wzięłam na to pieniądze. Koniec końców robiłam to dla jej dobra, dla jej spokoju i dzięki temu mogłam ją odwiedzać raz w tygodniu bez nadmiernego stresu i napięcia.

- Kate jest dla mnie bardzo dobra, marno - powiedziała pewnego dnia.

- Tak, istotnie. - Nie rozumiałam, do czego zmierza.

- Zastanawiałam się, czy nie zaprosiłabyś jej kiedyś na herbatę, gdy będzie miała wolny dzień.

- Kochanie, to nie jest najlepszy pomysł.

- Proszę cię, mamo.

Becca straciła kontakt z rzeczywistym światem. Jak mogłam zaprosić tę smutną, ubogą kobietę, która zajmowała mieszkanie komunalne i pracowała jako strażniczka więzienna, do mojego domu?

- Przykro mi, Becco, to wykluczone - odparłam stanowczo.

Wydawała się bardzo rozczarowana, poznałam po wyrazie jej twarzy. Ale jej prośba była naprawdę absolutnie niemożliwa do spełnienia. Becca nic już nie mówiła, zaczęła tylko na nowo i ze

zdwojoną energią machać igłą. Wróciwszy do taksówki, próbowałam zastanowić się, po co właściwie zawracam sobie głowę odwiedzinami. Moja córka nie okazywała mi ani odrobiny wdzięczności za wszystko, co zrobiłam. Czy nie wystarczyło, że ciągle kupowałam drobne prezenty dla Kate? Ani słowa podziękowania. Może ta kobieta nic Bece nie powiedziała.

Skąd miałam cokolwiek wiedzieć? W końcu Kate była tylko strażniczką więzienną. Ze też Becca chce, żebym przyjmowała tę kobietę w domu! Nie mogłam pozwolić jej zobaczyć, jak mieszkamy.

Gdy taksówka odjeżdżała, wydało mi się, że widzę stojącą w pobliżu Kate, która przyglądała mi się z namysłem; musiał to być jednak wytwór mojej wyobraźni. Gdyby mnie zobaczyła, podeszłaby i zagadała, nie stałaby z boku, patrząc. Ale jeśli to rzeczywiście była ona, to chyba nie wspomni Bece o taksówce. Otrząsnęłam się i nakazałam sobie nie poddawać się urojeniom. Doprawdy, to okropne więzienie u każdego wywołałoby urojenia.

Gdy wróciłam do domu, chłopcy czekali na mnie ze szkocką i napojem imbirowym. Kochane chłopaki. Zawsze pytają o Beccę, a ja odpowiadam, że to zbyt straszne, by o niej mówić, i muszę teraz wziąć długą kąpiel. Już sama wizyta w takim miejscu sprawia, że człowiek czuje się zbrukany. Leżę w ciepłej, pachnącej wodzie i popijam schłodzonego drinka. Życie stało się o wiele lepsze niż dawniej. Zadziwiające, jak posiadanie wystarczającej sumy pieniędzy łagodzi ostre kontury rzeczywistości.

Nie muszę się już więcej martwić o potrząskane dachówki ani kupno torebki pasującej do nowego kostiumu, ani zamówienie dobrego wina, kiedy idziemy gdzieś na kolację. Uznałam, że mam prawo do jedwabnego szlafroka i odnowionej sypialni. Tego wieczoru postanowiłam włożyć naprawdę elegancką suknię, która kosztowała tyle, ile nasz pierwszy samochód. Wyglądała bardzo pięknie, ale potrzebowałam lepszych butów. Może uda mi się wymyślić jeszcze jedną histo-

ryjkę dla tych koszmarnych gazet. Coś w rodzaju „Ściegi prowadzące ku przyszłości" i opis narzuty haftowanej przez **Becce**. Tak, to by było dobre, skierowałoby podejrzenie na pewne osoby z więzienia. Na przykład na tę Kate z gębą jak cholewa.

Przyjrzałam się sobie w lustrze.

Wyglądałam całkiem niezłe jak na swój wiek. A w nowych butach będę się prezentować doskonale.

Franklin stał u podnóża schodów. Wilfred pojechał pierwszy, żeby zająć dla nas stolik. Specjalna kolacja w nowej restauracji. Na mój koszt. Jak zawsze, na mój koszt. Nie bądź taką zgorzkniałą babą, Gabrielle, skarciłam się w duchu. Firma chłopców jest jeszcze w powijakach, nie zdążyła odnieść sukcesu. Nie zarabiają, biedacy, zbyt dużych pieniędzy.

- Wyglądasz prześlicznie - powiedział Franklin. To była prawdziwa przyjemność stroić się dla ludzi, którzy potrafią to docenić. Cholerny Eamon nawet by nic zauważył, co mam na sobie.

- Dziękuję — zagruchałam.

- C z y ona nigdy o mnie nic pyta? - zagadnął niespodziewanie.

- Nie, no cóż, przecież zgodziliśmy się wszyscy, że lepiej będzie dla niej nie nawiązywać kontaktu, dopóki... wiesz... dopóki nie wyjdzie.

- A l e, Gabrielle... - Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

- O n a wyjdzie stamtąd dopiero za wiele lat.

- W i e m - odparłam. - Zdziwiłbyś się jednak, jaka jest silna. Ty czy ja załamałibyśmy się w takim miejscu, ale nie **Becca**. Jest dzielna jak lwica.

Popatrzył na mnie tkliwie.

- Dzięki tobie o wiele łatwiej mi to wszystko znieść - wyznał z oczyma przepelnionymi wdzięcznością.

- C h o d ź m y, Franklinie, nie spóźniajmy się za bardzo - powiedziałam.

Zeszliśmy po schodkach i minęliśmy nowe ogrodzenie z kutego żelaza, oplecione pnącym groszkiem i gałązkami wicio-

krzewu. Tuż zanim wsiedliśmy do auta, wydało mi się, że dostrzegam przed nami na chodniku Kate.

To musiało być przywidzenie.

Co ona by robiła w tej okolicy?

Nazajutrz znowu miałam takie wrażenie. Było to, rzecz jasna, niemożliwe. Narastał we mnie jednak pewien niepokój, postanowiłam więc podarować jej jakiś drobiazg i pogawędzić z nią chwilę podczas następných odwiedzin. Być może ta niemądra Becca zaprosiła ją już na herbatę do mojego domu. A teraz Kate jest zła, ponieważ nie potwierdziłam zaproszenia.

Absurdalne, lecz skąd mogę wiedzieć, co sobie myślą tacy ludzie jak ona?

Przyniosłam Becce róże z ogrodu, a Kate — bukietek groszków. I obszytą koronką chusteczkę do nosa z literą K. Przyjęła kwiaty i chusteczkę w milczeniu, skinęła głową i natychmiast odeszła, nie wdając się w żadną pogawędkę.

- Czy wszystko w porządku, Kate?

- W jak najlepszym, dziękuję - odparła, sięgając po płaszcz, który wisiał na drzwiach pokoiku strażniczek, i zaraz potem wyszła. Było to bardzo zagadkowe.

Becca wyglądała tak samo jak zwykle, ale dostrzegłam w niej jakąś czujność, nieufność. Przypatrywała mi się badawczo.

- Zawsze rozmawiamy o mnie - powiedziała. - A tutaj naprawdę niewiele dzieje się nowego. Opowiedz mi, jak spędzasz dni i noce, mamo.

Byłam nieco zbита z tropu. Nie spodziewałam się tego. Dotychczas mówiłam wymijająco, ona zaś nigdy się nie dopytywała.

- O c h, przecież mnie znasz, Becco, kochanie. Zajmuję się raz tym, raz owym, trochę gram w brydża, od czasu do czasu przypominam twojemu cholernemu ojcu o zobowiązaniach finansowych. Dni jakoś mijają.

Ujęła moją dłoń i uniosła ją, przyglądając się bacznie paznokciom.

- Niektóre muszą mijać w salonie piękności - zauważyła.

- A c h ,kochanie, chciałabym, ale to tylko tani lakier i pomalowałam je sama.

- Rozumiem. A twoje włosy? Pewnie sama je przycinasz kuchennymi nożyczkami.

Byłam bardzo poirytowana. Tych dwóch rzeczy nie mogłam przed nią ukryć. Kunsztowne i drogie strzyżenie i czesanie co pięć tygodni u Fabiana. Cotygodniowy manikiur w Pompadours.

- O czym ty mówisz? - zapytałam.

- O niczym szczególnym, mamó. Tutaj człowiek uczy się nie mówić nic, póki nie jest zupełnie pewien, co chce powiedzieć.

- To uczyniłoby świat bardzo cichym miejscem - zaszczybiałam.

- N i e ,niezupełnie, po prostu pewniejszym miejscem.

Spróbowałam zmienić temat.

- Kate chyba się dzisiaj spieszyła, niemal przebiegła obok mnie.

- Pracuje tylko pół dnia - powiedziała Becca.

- T a k ,i wiem, że chciałaś, abym zaprosiła ją na herbatę, kochanie, ale jesteś trochę oderwana od rzeczywistości. To byłoby niewłaściwe. Mam nadzieję, że się nic gniewasz.

- Nie, w porządku, rozumiem cię i ona również.

- No cóż, to dobrze - powiedziałam niepewnie.

- C z u j e s z się osamotniona, mamó? Przez to, że ojciec cię zostawił, ja trafiłam tutaj i w ogóle?

Nic mogłam pojąć, dlaczego zadaje takie pytania.

- C ó ż , „osamotniona" to nie jest odpowiednie słowo. Ostatnio wcale nie myślę o tym draniu Eamonie. Tęsknię za tobą, kochanie, chciałabym, żebyś wróciła do domu. I wrócisz. Nadejdzie taki dzień.

- Dopiero za wiele, wiele lat, mamó. - Jej głos brzmiał rzeczowo.

- Będę na ciebie czekała - oznajmiłam stanowczo.

- Szczerze w to wątpię, mamó. Naprawdę.

Wciąż sprawiała wrażenie absolutnie spokojnej, lecz nie był to jej normalny sposób mówienia. Zapadła między nami cisza.

Wreszcie, po chwili, która wydawała się bardzo długa, Becca przerwała milczenie.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytała.

- Nie wiem, o czym mówisz... - zaczęłam, bo rzeczywiście nie wiedziałam. Tak wiele rzeczy mogła mieć na myśli. Czy chodziło o taksówkę? Czy wtedy naprawdę widziałam Kate, która potem opowiedziała mojej córce, że dom jest cały odmalowany? Ze wszędzie wyraźnie czuje się pieniądze, nieuczciwie zdobyte pieniądze? Czy może opowiedziała jej o czymś jeszcze?

Wstałam, jakbym zamierzała wyjść, lecz Becca błyskawicznie wyciągnęła rękę i przygwoździła mój przegub do stołu. Jedna ze strażniczek ruszyła w naszą stronę, ale Becca zapewniła ją z uśmiechem, że wszystko jest w najlepszym porządku.

- Moja mama zamierza właśnie coś mi powiedzieć. Jest to dla niej nieco trudne, musi znaleźć słowa.

Rozmasowałam nadgarstek.

- Widzisz... - zaczęłam znowu.

- Nie, mamo, nie widzę. Słyszę natomiast, że mieszkasz z Franklinem. Oto co usłyszałam.

Lekko podniosłam głos.

- Robię to dla ciebie, Becco, kochanie. Wilfred i Franklin musieli znaleźć dach nad głową, ja mieszkam w dużym, rozsypanym się domu, więc dlaczego nie mieliby wprowadzić się do mnie?

- Z tego, co słyszałam, dom już się aż tak nic rozsypuje - zauważyła Becca.

- Kochanie, nie bądź niemądra. Oni mają tam tylko swoje pokoje.

- Czy sypiasz z Franklinem? - zapytała spokojnie.

- Jak możesz tak mówić?

- Powiedziała mi o tym Kate, a także Gwen.

- Gwen?

- Jedną ze strażniczek, robisz sobie u niej co tydzień maniur. Ubierasz się wtedy zupełnie inaczej niż dzisiaj...

Tym razem zaniemówiłam. Ja tak, ale nie Becca.

- To obrzydliwe, jest od ciebie młodszy o trzydzieści lat.

- Dziewiętnaście - sprostowałam z ożywieniem.

- On odejdzie - powiedziała.

- Być może - zgodziłam się. - Pewnego dnia, być może, tak.

- Wcześniej, niż myślisz - oświadczyła moja córka.

I przedstawiła mi swój plan. Przypomniała, jak zawsze jej powtarzałam, że każdy powinien mieć jakiś plan. Jej polegał na skontaktowaniu Kate z brukowcami. Kate i Gwen uważały, że to nieuczciwe, jak Becca została potraktowana, i dały znać fotoreporterom, żeby zaczęli się na mnie i Franklina.

„Morderczyni zdradzona przez własną matkę” - ta historia zapowiadała się znacznie lepiej niż wszystko, co ja im do tej pory sprzedalam. Kate mogła się spodziewać, że naprawdę dobrze jej zapłacą.

Becca wydawała się bardzo spokojna i opanowana, mówiąc mi o tym. Nagle zadałam sobie w duchu pytanie, czy gdybym odłożyła na bok zasady i zaprosiła tę przekłętą kobietę na popołudniową herbatę, to wszystko by się nie wydarzyło. Ale nigdy się tego nie dowiemy...



Przyjęcie w święto bankowe

Część 1 - Barbara

Zawsze byłam osobą, która da się lubić, i grałam w biurze pierwsze skrzypce, dlatego uznałam za oczywiste, że uczestniczę w przyjęciu urządzanym w święto bankowe. Zupełnie nie przyszło mi do głowy, że pojedą beze mnie. Bez Barbary, duszy towarzystwa. Przecież to ja pierwsza powiedziałam im o tym hotelu w miasteczku o nazwie Rossmore, kawał drogi stąd, na prowincji, gdzie był duży basen i patio, a gościom pozwalano piec na ruszcie własne steki albo drób. Znalazłam witrynę internetową, wydrukowałam wszystkie informacje i pokazałam ludziom w biurze.

Więc myślałam, naturalnie, że biorę w tym udział.

A później usłyszałam, jak rozmawiają na ten temat, kto z kim będzie mieszkał w pokoju i o której godzinie spotkają się na drinku przed wyruszeniem na miejsce pociągiem. W pobliskim lesie znajdowało się coś w rodzaju studni życzeń, przy której ukazywała się jakaś święta, i zamierzali sprawdzić, czy uda im się ją przyłapać w trakcie ukazywania.

I wtedy nagle dotarło do mnie, że w tym nie uczestniczę.

Na początku sądziłam, że to jakieś nieporozumienie, wiecie, czasami tak się zdarza. Każdy myśli, że ktoś inny już mi powiedział. Nie mogli przecież jechać beze mnie. Ale kiedy

człowiek zostaje pominięty, wyczuwa to instynktownie i właśnie doznałam takiego uczucia.

W pierwszej chwili ogarnęła mnie przemożna wściekłość. Jak oni śmieli wykorzystać mój pomysł, nie uwzględniając mojej osoby? Potem zrobiło mi się przykro. Dlaczego mnie nie lubią? Z jakiego powodu mnie pominęli? Musiałam opanować łzy żalu nad samą sobą. A następnie znienawidziłam ich wszystkich. Myślałam, że są moimi przyjaciółmi. Tymczasem oni śmiali się ze mnie za plecami. Miałam nadzieję, że spędzą naprawdę okropny weekend, a hotel okaże się kompletnie do niczego. Życzylam im ulewnego deszczu i żeby patio roilo się od paskudnych stworzeń, które powłają im w ubrania i włosy.

Wyjeżdżali w piątek, w porze lunchu, pociągami o drugiej. Wszyscy rano przyszli do biura z torbami podróżnymi. Co wydawało się naprawdę zdumiewające, to że rozmawiali zupełnie bez skrępowania w mojej obecności. Nie czuli nawet zakłopotania, choć ukradli mój pomysł i zostawili mnie z niczym. Nie zniżali głosów, nie odwracali się, po prostu omawiali wyjazd tak, jakbym wcześniej wiedziała, że mnie on nie dotyczy.

W piątek rano Rosie, jedna z sympatyczniejszych koleżanek, zwierzyła mi się ze swoich wielkich nadziei na zawarcie bliższej znajomości z Martinem z działu sprzedaży.

- Myślisz, że mam u niego jakieś szanse, Bar? - zapytała.

- Nie rozumiem, dlaczego mnie o to pytasz - odparłam zimno.

Rosie sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- No bo jesteś super, wszystko wiesz - wyjaśniła. Widziałam, że nie natrzęsa się ze mnie. Tym dziwniejszy wydawał się fakt, że nie chce, bym się do nich przyłączyła.

- Sądzę, że masz duże szanse spodobać się Martinowi - powiedziałam. - Tylko trzymaj go z daleka od Sandry, czasami postępuje jak modliszka.

- Och, Bar, jesteś po prostu cudowna, szkoda, że z nami nie jedziesz, mogłabyś udzielać mi rad. Dlaczego nie chcesz pojechać? Ten jeden raz?

- N i c zostałam zaproszona. - Wzruszyłam ramionami, starając się nic pokazać po sobie, ile to dla mnie znaczy.

Rosie wybuchnęła śmiechem.

- Jakbyś potrzebowała zaproszenia! Przecież nie chciałaśjechać, wiedzieliśmy od razu ze sposobu, w jaki mówiłaś o tym miejscu i drwiłaś z niego. Wiadomo, że masz w planach coś o wiele lepszego.

- Nigdy nie drwiłam z Rossmore, sama je zaproponowałam!
- wykrzyknęłam oburzona.

- No, może nie drwiłaś, niezupełnie, ale wszyscy wiedzieli, że to nie w twoim guście. Trochę poniżej twojego poziomu, Bar. Nie w snobistycznym sensie, ale tak się rzeczy mają.

- Nie wierzę — powiedziałam.

- W i ę c zapytaj, kogo chcesz - doradziła Rosie.

Tak też zrobiłam. Zagadnęłam modliszkę Sandrę.

- N i e przypuszczam, żeby ci się tam podobało — stwierdziła. — To miejsce w sam raz dla nas, zwyczajnych ludzi, ale nie dla ciebie, Bar.

- Dlaczego nie dla mnie? - spytałam głosem jak stal.

- Ty masz więcej klasy, jesteś elegantsza niż my... Nikt nie wyobraża sobie ciebie spędzającej weekend w dżinsach, przy grillowaniu kielbasek.

Oslupiałam.

Owszem, dobrze się ubieram, dbam o wygląd i uważam się za osobę zadbaną. Chodziłam na lekcje wymowy, żeby poprawić akcent. Ale zbyt elegancka, żeby pojechać na wycieczkę z kolegami z biura? Wolne żarty. Przecież oni wszyscy nie mogli patrzeć na mnie z tak nabożnym podziwem, by nie ośmielić się mnie włączyć? Nie mogli, prawda?

Nie zamierzałam jednak okazać, jak bardzo jestem zaskoczona i wytrącona z równowagi. Za nic.

- W każdym razie baw się dobrze, Sandro - powiedziałam pogodnie. - Masz kogoś konkretnego na oku?

- Właściwie nie. Ten Martin z działu sprzedaży jest dość przystojny. Ale zobaczymy.

Sandra mogła zdobyć każdego mężczyznę, jakiego zechciała, Rosie nie miała tyle szczęścia. Mimo własnego rozczarowania postanowiłam wyrównać ich szanse.

- Ja nie traciłabym na niego czasu, słyszałam, że jest nudny jak flaki z olejem, gdy się go bliżej pozna - oświadczyłam.

- Dzięki, Bar. - Sandra mocniej pociągnęła usta błyszczącym. - Dobrze znać twoją opinię. A swoją drogą, co robisz w święto?

- J a ? Och, nic specjalnego - odparłam z zakłopotaniem.

- Nic wierzę.

- Urządzam proszony lunch - dobiegł mnie mój własny głos.

- Och, Barbaro, ty to jesteś nie z tej ziemi! Na ile osób?

- Dwanaście ze mną włącznie. - Czy ja oszalałam? Nawet nie znam dwunastu osób. A choćbym знаła, nie umiałabym nic dla nich ugotować.

- Dwanaście! Jesteś niesamowita. Będiesz miała zdjęcia w przyszłym tygodniu?

- Bardzo możliwe - odrzekłam smętnie. Zawsze mogę powiedzieć, że aparat się zaciął. Byłam nie tylko żaloszna i niemile widziana, lecz także stuknięta i nieuczciwa. Wspaniały początek świątecznego weekendu.

Pomachałam im na pożegnanie, gdy wychodzili z biura, żeby zdążyć na pociąg o drugiej. Ludzie, których uważałam za przyjaciół - seksowna Sandra, niewinna Rosie, ten miły, łagodny Martin z działu sprzedaży i kilkoro innych, przekonanych, że się wywyższam i zadzieram nosa. Przyjrzałam się sobie w lustrze w damskiej toalecie. Błada twarz okolona kosztowną fryzurą, dobrze skrojony żakiet, który co wieczór czyściłam gąbką i szczotką. Pod spodem nosiłam tanie T-shirty, codziennie w innym kolorze. Nie było we mnie nic arystokratycznego ani snobistycznego. Prawda?

Weszły dwie sprzątaczkę z wiadrami i mopami. Powitały mnie miłymi, szerokimi uśmiechami, ukazując mnóstwo złych zębów. Nie były Irlandkami, ale ostatnimi czasy w Irland-

dii pracowało wielu obcokrajowców i nie wiedziałam, skąd one pochodzą. Dopisywał im niezwykle humor, mimo czekających je trzech godzin pucowania i szorowania.

A ja śmiem użalać się nad sobą, ja, mająca dobrą pracę w dziale marketingu, duże mieszkanie z wyjściem do ogrodu, płaskoekranowy telewizor i żakiet od znanego projektanta mody!

- Cieszy się na ten świąteczny weekend? - zapytałam.

- Nie za bardzo - odparła jedna.

- Niedziela często smutna i samotna w dużym mieście - dodała druga.

Rozumiałam jej uczucia.

- Czy chcielibyście przyjść do mnie na lunch? - usłyszałam własny głos.

Popatrzyły na mnie z otwartymi ustami.

- Zjeść z panią lunch? - spytały w osłupieniu.

- No, tak. W niedzielę około pierwszej, w moim domu. Zapiszę wam adres.

Wyjęłam mały, oprawiony w skórę notes. Dwie kobiety w żółtych roboczych kombinezonach wpatrywały się we mnie, jakbym wypisywała im zaproszenie na lot na księżyc.

- A ha, chciałabym też poznać wasze imiona, żeby was przedstawić innym gościom.

- Będą inni goście? - Wydawały się przestraszone.

- O tak, razem około dwunastu osób - oznajmiłam radośnie.

Poinformowały mnie, że są siostrami, pochodzą z Cypru i noszą imiona Magda i Eleni.

Nikt ich dotychczas nie zaprosił do domu, wyznała Eleni podekscytowana. Magda była zaniepokojona całą tą historią.

- Chce pani może, żebyśmy posprzątały dom? - zapytała.

Ze wstydu ledwo mogłam mówić.

- Nie, nie, będziecie moimi gośćmi - wymamrotałam.

- Zrobimy bakławę... piękny grecki deser - powiedziała Magda, gdy wszystko się ostatecznie wyjaśniło.

Zostawiłam je rozprawiające z ożywieniem po grecku. Nic równie cudownego nie przydarzyło im się jeszcze w nowym kraju.

W drodze powrotnej do biura, zanim zdążyłam się zastanowić nad tym, co właśnie uczyniłam, spotkałam mojego szefa Alana, spiętego, nerwowego pracoholika, liczącego sobie - jak przypuszczałam - około czterdziestu pięciu lat. Nie wiedzieliśmy nic o jego prywatnym życiu, jeśli pominąć wybuchy, w trakcie których oznajmiał, że z całego serca nienawidzi byłej żony. Teraz właśnie nastąpił jeden z takich wybuchów.

- To bardzo zła i przewrotna kobieta - poinformował mnie Alan w korytarzu. - Podła i nikczemna.

- Co znowu zrobiła? - spytałam. Alan był całkiem przystojny i potrafił być miłym kompanem, pomijając jego głędzenie o ekszonie.

- Zwalila mi na głowę, i to na cały weekend, Harry'ego oraz dwóch jego dziesięcioletnich kolegów. Z zakazem kupowania hamburgerów i tym podobnie. Najwyraźniej mam im zapewnić domową kuchnię.

- Och, przyjedź z nimi do mnie w niedzielę około pierwszej — zaproponowałam, od niechcienia zapisując adres.

- Nie mogę, Bar - powiedział, choć widać było, że chciałby.

- C z e m u nie? - Wzruszyłam ramionami. - Będzie dwanaście osób i mnóstwo domowego jedzenia. - Zaczęłam się zastanawiać, czy naprawdę nie zwariowałam.

- W i ę c ja przyniosę wino — oznajmił gorliwie Alan, rozplywając się z wdzięczności.

W moim pokoju, zbierając rzeczy, ostatni raz rzuciłam okiem na terminarz. Nie spojrzę nań aż do wtorku, lepiej więc sprawdzić, czy nie ma tam czegoś, o czym powinnam pamiętać. W niedzielę wypadaly urodziny ciotki Dorothy, starszej siostry mojego ojca. Na wszystkich patrzyła z dezaprobatą i rzadko się zdarzało, by wygłosiła jakąś przychylną uwagę.

Miałam jeszcze czas, żeby wrzucić kartkę z życzeniami do skrzynki - wówczas ciotka nie mogłaby mi wytknąć, że ją za-

niedbuję, gdy spotka się następnym razem z moimi rodzicami. A potem pomyślałam, że jeszcze lepiej będzie zaprosić ją na lunch. Zapowiadał się tak absurdalnie, że jej obecność nie mogła już pogorszyć sytuacji.

Kiedy zadzwoniłam, ciotka Dorothy była w ponurym nastroju. Trzy przyjaciółki, z którymi grywała w brydża, zapomniały o jej urodzinach. Ona zawsze pamiętała o ich urodzinach, ale one nie, ani słowem nie zająknęły się o uczczeniu tego dnia.

- A może byś im odplaciła dobrem za zło, ciociu, i zaprosiła je na lunch u mnie w domu? - podsunęłam, zdając sobie sprawę, że jestem kompletnie obłąkana.

Ciotce Dorothy pomysł niezmiernie się spodobał. Wprawił swoje znajome w zakłopotanie, nawet je upokorzył, w każdym razie narobił im wstydu.

- Co mogłabym przynieść, moja droga? - spytała niemal uprzejmym tonem.

Zastanowiłam się przez chwilę. Nie zaplanowałam nawet, co będziemy jedli, ale z pewnością przyda się sałatka. Wyszukałam taką propozycję.

- Dla pięciu osób? - chciała wiedzieć ciotka.

- Nie, właściwie to dla dwunastu - wyjaśniłam przeprasającym tonem.

- N i e zmieścisz u siebie dwunastu osób! - burknęła.

- Zjemy w ogrodzie - odparłam. I odłożyłam słuchawkę.

Podliczyłam gości i wyszło mi, że jest nas jedenaścioro. Brakowało tylko jednego. Wtedy wszedł Larry, pracownik ochrony. Miał właśnie pozamykać wszystko przed weekendem. Naturalnie zaprosiłam go na lunch, on zaś, naturalnie, zgodził się z największą przyjemnością i zapowiedział, że przywiezie furgonetką jakieś deski i zmontuje stół w ogrodzie.

Tak zatem miało wyglądać moje przyjęcie.

Po drodze do domu wstąpiłam do księgarni, gdzie wypatrzyłam książkę o najłatwiejszych sposobach podejmowania gości. W sobotę wybrałam się na zakupy i nabyłam trzy tanie obru-

sy, kilka paczek chipsów i sos do maczania, baloniki w jaskrawych kolorach oraz składniki „Łatwego pasztetu drobiowego w cieście” i „Prostego specjału wegetariańskiego”. To plus grecki deser, sałatka ciotki Dorothy i wino dostarczone przez Alana powinno wystarczyć dla wszystkich.

W nocy z soboty na niedzielę spałam dobrze. W ogóle nie myślałam o koleżankach i kolegach na hotelowym patio w Rossmore, przypiekających na ruszcie jagnięcinę i kielbaski w chmarze komarów, a potem oglądających w lasach święte posągi.

Larry dotrzymał słowa i zjawił się z deskami, a ponadto przywiózł furgonetką pół tuzina składanych krzeseł, wypożyczonych z biurowej przybudówki. Nie ustaliłam, jak posadzić gości: niech siadają, gdzie chcą.

O wpół do pierwszej zaczęłam się zastanawiać, czy ktokolwiek z nich przyjdzie. Również o pierwszej stawili się wszyscy, Alan zaś przywiózł dość wina, by wystarczyło dla połowy okolicy. Gwar rozmów rozbrzmiewał wszędzie.

Magda i Eleni oprócz deseru przyniosły oliwki.

Syn Alana, Harry, i jego dwaj koledzy okazali się nadzwyczaj zainteresowani możliwością zarobku.

- Ile nam pani zapłaci za podawanie do stołu? - spytali na wstępie.

Popatrzyłam bezradnie na Alana.

- Najwyżej dwa euro na każdego, nie więcej - ocenił.

- Pięć — powiedziałam, po czym usadowiłam się wygodnie, podczas gdy chłopcy odwalali za mnie całą robotę.

Ciotka Dorothy radośnie wodziła rej w gronie przyjaciółek.

- O, Barbara ma szeroki krąg znajomych - oświadczyła z dumą i uroniła łzę, kiedy nakłoniłam wszystkich, by zaśpiewali jej „Happy Birthday”.

Magda wyznała, że Eleni zawsze chciała poznać takiego silnego, czynnego mężczyznę jak Larry, i robiła, co mogła, żeby ich zbliżyć. Harry z kolegami skończyli zmywanie i zainteresowali się, czy nie wypielić za opłatą rabatek z kwiatkami.

- Jedno euro dla każdego — powiedział Alan.

- Trzy euro dla każdego - poprawiłam.

Magda i Eleni uczyły Larry'ego tańca z „Greka Zorby”; ciocinka Dorothy i jej przyjaciółki śpiewały „Piosenkę o zmierzchu”. Alan zwrócił się do mnie:

- Wiesz, zawsze mi się podobałaś, ale uważałem, że zadzierasz nosa. Nigdy w życiu bym nie pomyślał, że jesteś taka. Jesteś absolutnie cudowna.

Więc zapomniałam o ludziach, którzy nie zaprosili mnie na świąteczne grillowanie na patio w hotelu, który właściwie sama dla nich wyszukałam, a Alan zapomniał o swojej byłej żonie.

I wydaje mi się, że ktoś robił jakieś zdjęcia, chociaż to naprawdę nie ma znaczenia. Ponieważ i tak nikomu nie mógł umknąć z pamięci ten dzień.

Część 2 - Ktoś z biura taty

Mnóstwo ludzi w szkole ma rozwiedzionych rodziców. Właściwie to rozumiała sprawa, człowiek nie zawsze chce tego samego przez cały czas. Chcę powiedzieć, że już mi się nie podobają rzeczy, które mi się podobały, jak miałem siedem lat, nie teraz, kiedy mam dziesięć. Te okropne konsole do gier, które wtedy lubilem, były oczywiście w porządku w tamtych czasach, a teraz po prostu mnie nudzą.

Dlatego potrafię zrozumieć, że mama i tata mieli dość siebie nawzajem i zapragnęli odmiany. Nic osobistego. Przynajmniej nie powinno tak być. Ale nie w tej rodzinie. Mama nieustannie powtarza, jaki tata jest wredny i jak to przez niego musimy żyć w nędzy.

Nie wydaje mi się, żebyśmy żyli w nędzy, jednak nie ma sensu o tym wspominać, więc nic nie mówię.

Tata z kolei bez przerwy mi tłumaczy, że moja matka niedługo wpędzi nas wszystkich w dług, co również nie może być

prawdą, bo tata jeździ dużym samochodem i zajmuje w swoim biurze wysokie stanowisko, ale nie byłoby dobrym pomysłem powiedzieć mu, że wcale nie wyglądamy jak ludzie z przytułku na obrazkach z czasów Charlesa Dickensa. Więc na ten temat też nic nie mówię.

Obydwoje powtarzają mi, że mnie kochają. Aż za często.

Mama powiada: „...jedyne, co świadczy na korzyść tego uosobienia egoizmu, to że dał mi ciebie, Harry”.

Tata stwierdza: „...a jeśli cokolwiek przemawia na korzyść tej zbzikowanej, zapatrzonej w siebie kobiety, to że dała mi wspaniałego syna”.

Nie wiem, dlaczego tak myślą, bo ciągle przysparzam im kłopotów i zmartwień, trzeba mnie gdzieś podrzucić albo skądś odebrać.

George w ogóle nie widuje swojego ojca, więc uważa, że w porównaniu z nim mam szczęście. Wes mówi, że jego rodzice cały czas się klóczą, więc w porównaniu z nim obaj mam szczęście. Wygląda na to, że rodzina jako taka z reguły w ogóle się nie sprawdza.

W każdym razie mama ma nowego faceta. Jest, oczywiście, okropny, stara się być dla mnie miły i udaje, że się mną interesuje, choć guzik go obchodzi. Ma na imię Kent, ale nie pochodzi z Anglii ani nic w tym rodzaju. Po prostu tak go nazwali.

George mówi, że skoro Kent ma taki drogi samochód, musi być nadziany i powinniśmy wyciągnąć z niego ile się da, póki jest pod ręką. Doradził mi, żebym powiedział, że oszczędzam na nowego iPoda albo telefon komórkowy, albo aktualizację programu komputerowego. Najlepiej skupić się na czymś, co pozwoli Kentowi dojść do wniosku, że przestanę mu zawracać głowę, w związku z czym odpali mi dychę czy coś takiego.

Z początku miałem tremę, ale poszło jak z płatka. Ze swojej strony dotrzymałem warunków umowy: schodziłem mu z drogi, a gdy znalazłem się w jego towarzystwie, byłem bardzo uprzejmy. Kiedy mama zapytała, czy Kent mi się podoba, otworzyłem szeroko oczy, co jest niezłą metodą, jeśli człowiek tro-

chę mija się z prawdą, i odparłem, że to świetny facet. Mama powiedziała, że jestem dobrym synem, naprawdę bardzo dobrym, i zwilgotniały jej oczy, więc czym prędzej czmychnąłem.

George twierdzi, że matki tak mają: wychodzą za mąż za takich ludzi, czy oni się nam podobają czy nie - jego matka właśnie to zrobiła. Doradził mi, żebym sobie ułatwił życie i mówił, że Kent jest po prostu niezrównany, a przy tym zadbał o jego wkład w rozmaite przedsięwzięcia. Wes dodał, że bardzo by chciał, aby jego rodzice się rozstali i znalazł się ktoś, kto mu kupi odtwarzacz MP3.

W każdym razie zamierzaliśmy popracować nad Kentem, żeby w święto bankowe zabrał nas wszystkich trzech do parku tematycznego. Istniało mnóstwo rzeczy, które starsi mogli tam robić, na przykład siedzieć w restauracji, podczas gdy my moglibyśmy sobie pojeździć. Miałem już przygotowany bajer, lecz niespodziewanie Kent zwrócił się do mnie bardzo poważnym tonem, że zamierza zabrać moją mamę na długi weekend do pięknego hotelu na skraju głogowego zagajnika. Nie chciałem jechać do pięknego hotelu na skraju zagajnika. Ani trochę. Upomniałem się jednak w duchu, że muszę być grzeczny. Zupełnie jakbym słyszał głos George'a, stojącego obok mnie i szepczącego mi ostrzeżenia do ucha.

- C z y nie byłoby dla ciebie za drogo, gdybyśmy pojechali wszyscy, Wes, George i ja? - zapytałem.

Coś w rodzaju skurczu przemknęło przez jego twarz na myśl o zabraniu nas trzech do pięknego hotelu nad rzeką, na skraju zagajnika.

- No cóż, Harry, rzecz w tym, że chciałbym pojechać tylko z twoją mamą, bo widzisz, mam zamiar zadać jej pewne pytanie.

Poinformowałem, że mama jest w kuchni i mógłby zaraz do niej pójść, aby zadać swoje pytanie, ale nie, to pytanie należało zadać w odpowiedniej scenerii. Widziałem, jak park rozrywki znika w mglistej dali, najwyraźniej nie było to miejsce sprzyjające pytaniom.

Tyle że już wcześniej zaprosiłem Wesa i George'a na nocleg. Trzeba było to jakoś rozwiązać. Czy istniała nadzieja, że pozwolą nam zostać samym? Nie, to nic wchodziło w rachubę. Mieliliśmy pojechać do taty.

- A l e to nie jest jego weekend... - zacząłem.

- W i ę c będzie - uciał Kent.

Z kuchni dobiegał głos mamy krzyczącej do słuchawki:

- Z a w s z e byłeś egoistą, Alanie, to nie podlega dyskusji, ale **żeby** nie chciać zabrać na dodatkowy weekend własnego syna... większość mężczyzn byłaby zachwycona, tylko nie ty! To bez znaczenia, dokąd wyjeżdżam i z kim. Nie jestem już twoją żoną, Alanie Black, za co dzień w dzień dziękuję Panu Bogu. Małżeństwo naprawdę nic budzi we mnie ani odrobiny entuzjazmu. Więc słuchaj uważnie. Harry i jego koledzy będą u ciebie w piątek. Nieważne, czy masz w domu dość łóżek, wezmą z sobą śpiwory i muszą się prawidłowo odżywiać, żadnych dań barowych na wynos, słyszysz?...

Z pewnością słyszała ją prawie cała okolica.

Kent kręcił się nerwowo, czekając, aż mama skończy rozmowę. Miał zakłopotaną minę.

- Wszystko w porządku, Kent, oni tak zawsze, to w sumie nieważne - wyjaśniłem.

- Nie podoba mi się, że małżeństwo nie budzi w niej entuzjazmu. Ani trochę mi się to nie podoba - wyznał zmartwionym tonem.

Zrozumiałem chęć spędzenia święta w zapadłej dziurze o nazwie Rossmore. Zastanowiłem się nad tym przez chwilę. Kent był i tak lepszy niż inni.

- O, moim zdaniem chodzi jej o małżeństwo z tatą. Nie sądzę, żeby tak ogólnie miała coś przeciw. - Pokiwałem głową jak mędrzec, który rozumie wszelkie problemy tego świata.

- Po prostu Rossmore przy tej pogodzie byłoby idealnym miejscem... nic chcę powiedzieć czegoś niewłaściwego. - Przygryzł usta.

- Rossmore? Czy to tam tak się spierają o drogę, która ma iść przez jakiś las? Nauczycielka w szkole zorganizowała debatę na ten temat: część z nas miała być za drogą, a część przeciwna... - Mówilem to tylko tak sobie, żeby go zabawić, ale wydawało się, że sprawilem mu prawdziwą przyjemność.

- Tak, w telewizji nadali obszerny reportaż. **Twoja** marna powiedziała, że to takie romantyczne miejsce, więc miałem nadzieję...

- W porządku, Kent, możesz dalej mieć nadzieję, na pewno wszystko będzie dobrze - pociesyłem go. - Udanego pobytu w hotelu i w lesie, i w ogóle. W porównaniu z nami będziesz miał świetną zabawę. A mój tata będzie jęczał i narzekał aż do wtorku - zakończyłem z wielce żalospną miną.

Kent z czystego poczucia winy dał mi dwadzieścia euro, żeby bym je przeznaczył, na co zechcę.

Kiedy przyjechaliśmy do domu taty, pomyślałem sobie, że ojciec wydaje się stary, posiwiały i zmęczony w porównaniu z Kentem. Kent ma na twarzy coś w rodzaju trwałej opalenizny, a tata wyglądał tak, jakby przejechał go walec. Dostaliśmy kurczaka z groszkiem.

- Na paczce jest napisane „świeży mrożony groszek” - oznajmił tata obronnym tonem i zapewniliśmy go, że wszystko bardzo nam smakuje.

Dostaliśmy jeszcze szarlotkę, upieczoną domowym sposobem w najbliższej cukierni, oraz lody.

Następnego dnia tata zgodził się zabrać nas do parku tematycznego.

- Czy ma pan jakąś aktualną laskę, żeby samemu też się trochę zabawić, panie Black? - zagadnął uprzejmie Wes.

- Aktualne co? - spytał zdumiony tata.

- Laskę. Wes miał na myśli damskie towarzystwo - wyjaśnił George.

- O, doprawdy nie - zaprzeczył mój ojciec z zakłopotaniem.

- Nie szkodzi, może tam pan sobie kogoś znajdzie - pocieszył go Wes.

Nie przyciskaliśmy taty o pieniądze, tak jak przyciskalibyśmy Kenta, ale był w miarę hojny, no i miałem tę kasę od Kenta, więc bawiliśmy się świetnie.

W niedzielę okazało się jednak, że musimy jechać na lunch do kogoś z biura taty. Zapytałem, czy on ma duży dom, ten pan, a tata odparł, że to nie pan, tylko pani. Wes i George wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Wiedziałem, że grubo się mylą. Tata jeździ do pracy, potem wraca i zrzędzi, i klóci się z mamą przez telefon. Nie ma żadnych znajomych kobiet. Musiało to być spotkanie w interesach.

Zastanawialiśmy się, czy nie moglibyśmy się wymigać od tego lunchu, ale wyglądało na to, że nie. Zapytaliśmy, czy ona ma dzieci, może poznamy jakieś panienki, na co tata odparł, że nie wie, kto tam będzie, ale w panienki szczerze wątpi. Wyruszyliśmy więc bez wielkich nadziei.

Tata wiozł wino, całe skrzynki. Pomyśleliśmy, że ci wszyscy ludzie muszą niezłe pociągać. To, co ujrzeliśmy po przybyciu na miejsce, niezbyt dobrze wróżyło. Zobaczyliśmy jakąś potwornie starą kobietę o imieniu Dorothy, siedzącą na krześle. Jej twarz przypominała torebkę, która nieustannie otwiera się i zamyka, a wokół siedziały inne staruszki, także z minami pełnymi dezaprobaty. Dwie cudzoziemki rozstawiały półmiski z oliwkami, a jakiś facet o imieniu Larry rozkładał krzesła, powtarzając bez przerwy: „O mój Boże, przyjechał pan Black, zobaczcie te krzesła”. Niby dlaczego mój tata nie miałby sobie pooglądać krzesel, jak każdy inny? Gdzie miał usiąść? Naprawdę ci wszyscy ludzie byli kompletnie stuknięci.

Tata z Larrym urządzili barek na podręcznym stoliku, a Larry ciągle powtarzał, jaki jest zaskoczony widokiem pana Blacka.

— Jak mamy tu zachować się uprzejmie przez cały dzień? - spytałem George'a, który zawsze wie, jak należy postąpić.

- Najlepiej znaleźć panią domu i od niej zacząć - ocenił **George.**

Była w kuchni. Znacznie młodsza niż wszyscy inni, których tu widzieliśmy, chociaż podstarzała, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Sądząc z wyrazu twarzy, była zmartwiona. Miała na imię Barbara.

- Chcielibyśmy pomóc - powiedział George.

- Nie bierzemy drogo - dodał Wes.

- Myślałam, że jesteście gośćmi - zmieszala się Barbara.

- Oczywiście, że jesteśmy, i moi koledzy o tym nie zapomnieli, bardzo nam miło, tylko zastanawialiśmy się, czy nie potrzebuje pani pomocy w obsłudze. Mamy już pewne doświadczenie.

George robił do mnie okropne miny, ale go nie zrozumiałem. Pomyślałem, że mnie dodatkowo zachęca.

- Obsługiwaliśmy kilka przyjęć... - podjąłem. I wtedy zauważyłem, że z tyłu stoi mój ojciec.

- Nielegalnie, jak przypuszczam - podsumował.

- Raczej nieformalnie, panie Black - sprostował George.

- A zatem nie więcej niż dwa euro na każdego i muszą pracować jak należy - oznajmił tata.

Stawkę w wysokości pięciu euro zaproponowała Barbara, która zaznaczyła, że będziemy musieli harować w pocie czoła. Tata poszedł nalewać wino gościom, a my wysłuchaliśmy poleceń.

Mieliśmy okropnie skakać koło tej kobiety, która siedziała tak sztywno na krześle. Powiedzieć, że to przyjęcie na jej cześć, i nazywać ją ciocią Dorothy.

- Przecież ona nie jest naszą ciocią - zaproponował zgodnie z logiką George.

- W i e m, ale to tak zwany tytuł honorowy - odparła Barbara. Co nam niczego nie wyjaśniało.

- T a k czy inaczej chyba by sobie nie życzyła, żeby Wes mówił do niej „ciociu”, prawda? - Chciałem uzgodnić wszystko do końca. Wes był czarny.

Barbara albo tego nie zauważyła, albo uznała za nieistotne.

- Nie bardzo wyglądam na jej krewnego - powiedział Wes.

- Żaden z was nie jest jej krewnym. Już wam mówiłam, że to tytuł honorowy. Chcecie się o wszystko wyklócać czy zamierzacie mi pomóc?

Ciotka Dorothy orzekła, że jesteśmy przemiłymi, uczynnymi chłopcami i w porównaniu z resztą dzisiejszej młodzieży stanowimy rozkoszny wyjątek. Wes oznajmił, że to dla nas zaszczyt uczestniczyć w tym przyjęciu i zawrzeć znajomość z gościem honorowym, na co wszystkie okropne przyjaciółki ciotki Dorothy aż się zatrzęsły z gniewu i zazdrości. W kuchni poinformowałem o tym Barbarę i spytałem, czy jest coś jeszcze do załatwienia, a ona poprosiła, czy mógłbym spróbować wytłumaczyć Magdzie i Eleni, że to my jesteśmy tu odpłatnie wynajęci do pomocy, a nie one.

- Dlaczego uparły się to robić? - zapytałem z urazą.

- Ponieważ ludzie mają świra, Harry. Większość z nich jest kompletnie stuknięta. Zauważysz to, jak będziesz starszy.

- Już zauważyłem - odparłem, a Barbara zaśmiała się razem ze mną, jakby była moją koleżanką.

Podszedłem do tych dwóch stukniętych kobiet z Grecji czy skądś tam, nakloniłem je, żeby usiadły, i napelniłem im kieliszki.

- Wy dzisiaj nie pracujecie, my pracujemy - powtórzyłem kilka razy, dopóki nie zrozumiały.

George wyszukał atlas i poprosił, żeby nam pokazały, w której części Cypru mieszkają. Najwyraźniej nikt ich o to wcześniej nie pytał, więc były zachwycone. Okazało się też, że nikt z obecnych nie jest wegetarianinem, co zdenerwowało Barbarę, ponieważ przypuszczała, że połowa gości nie jada mięsa, ale zaproponowałem, żeby nakładać na każdy talerz obie potrawy, pół na pół, bo wtedy wszyscy się najedzą. Bardzo jej się to spodobało.

- Jesteś absolutnym skarbem - oświadczyła. - Co się stało, że nie mogłeś zostać ze swoją mamą w len weekend? Osobiście bardzo się z tego cieszę, ale po prostu jestem ciekawa.

- Pojechała do miejsca o nazwie Rossmore, gdzie Kent ma

jej zadać jakieś pytanie - wyjaśniłem. - Nie wiem, co to za pytanie, ale wydaje się, że musi zostać zadane nad rzeką i w pobliżu jakiegoś glogowego zagajnika czy lasu.

Kiwnęła głową, jakby rozumiała, o co chodzi.

- Może on chce się jej oświadczyć - zasugerowała. - Takie rzeczy często się mówi nad rzeką.

- Nawet przyszło mi to na myśl, ale jeśli tylko chodzi o coś takiego, nie mógł jej zapytać w domu, w kuchni? - zastanowiłem się. Pomyślałem, że Barbara miała rację: wszyscy dostawali coraz większego świra.

- Harry, zrobiłbyś dla mnie coś jeszcze? Powiedz Larry'emu, że pan Black, to znaczy twój tata, nie rozpoznałby tych krzesel, nawet gdyby podeszły i ugryzły go w nos. Powiedz mu, żeby przestał się denerwować.

- Trudno mówić dorosłemu, żeby przestał się denerwować - zauważyłem. — Od lat próbuję to powiedzieć mojemu tacie, a on nie tylko nie przestaje, ale złości się, że jestem bezczelny.

- No dobrze, posiekaj natkę pietruszki i posyp nią półmiski, a ja pogadam z Larrym, jak będę ich rozsadzać.

Wes i George weszli do kuchni.

- Oni wszyscy są stuknięci - stwierdził Wes.

- To oczywiste, ona o tym wie, sama mi mówiła. Nie wyzeraj tej pietruszki — rzuciłem.

- Może są z jakiegoś zakładu. - George popadł w zadumę.

- W i ę c co my tu robimy i twój tata też? - chciał wiedzieć Wes.

Na to pytanie nie było odpowiedzi.

Pasztet drobiowy w cieście okazał się naprawdę smaczny, wszyscy go chwalili i mówili, że sos jest przepyszny, na co Barbara odpowiadała, że to nic specjalnego. Wiedziałem, że użyła zupy grzybowej z puszek, pół butelki wina oraz gotowego mrożonego ciasta, bo pomagałem jej zawiązać worek ze śmieciami. Ale się nie odzywałem. Tata okrążył stół, napelniając kieliszki, i zaproponował, że on i Larry zdejną marynarki, jeżeli panie nic mają nic przeciw temu. Larry przestał się denerwować i za-

czął się zalecać do jednej z Cypryjek. Ciotka Dorothy odprężyła się wyraźnie i powtarzała każdemu, że nie ma to jak stare piosenki. A kiedy uprzętaaliśmy talerzyki po deserze, George, który zawsze mówi, co trzeba, oznajmił Barbarze, że przyjęcie bardzo się udało i na pewno jest z siebie zadowolona.

Opowiedział nam potem, że złapała go za kłapy i przez jedną przerażającą chwilę myślał, że zamierza go ucałować, więc wykrzyknął, że rabatki są w okropnym stanie i za kilka dodatkowych euro możemy je wypielić. Wtedy go puściła i umowa została zawarta.

Wes orzekł, że jasna sprawa, ci wszyscy ludzie z Barbarą włącznie są z jakiegoś zakładu i bardzo ładnie ze strony mojego taty, że poświęcił całe popołudnie na zajmowanie się nimi. Ale ja popatrzyłem na tatę siedzącego przy stole w koszuli z krótkimi rękawami i śpiewającego „Anglicy mają w sobie iskrę szaleństwa” i jakoś nie wydawało mi się, żeby cała ta impreza była zakrojoną na szeroką skalę akcją dobroczynną.

Później stuknięte kobiety zaczęły tańczyć grecki taniec, ciotka Dorothy śpiewała stare piosenki, jej przyjaciółki wtórowały przy refrenie, a my okopywaliśmy grządki za pomocą motyczek i rydli wyszukanych dla nas przez Barbarę. Wszystko razem było, szczerze mówiąc, dość okropne.

Ale zjedliśmy niezły lunch, wypiliśmy resztki białego wina zostawione przez gości, gdy przerwali się na czerwone, i cały ten dzień przyniósł nam przyzwoity dochód. Tata ani trochę nie narzekał, a ta kobieta, która najwyraźniej nazywa się Bar, a nie Barbara, okazała się bardzo sympatyczna. Pod koniec była, oczywiście, na rauszu, ale naprawdę miła. I widziałem, jak trzymała tatę za rękę, kiedy zaczął śpiewać „Bye, bye, Miss American Pie”, a wszyscy przyłączyli się podczas refrenu.

Powiedziałem Wesowi, że mama nigdy by w to nie uwierzyła.
- Nic będzie zainteresowana - orzekł Wes.

Wydawało mi się to dziwne, ponieważ zawsze ją interesowało, co tata, a raczej „ten drań Alan”, jak go nazywała, robi lub mówi.

— Nie teraz, gdy już usłyszała to pytanie - wyjaśnił George.

A ja z niewiadomego powodu poczułem się wspaniale. To mogło mieć coś wspólnego z resztkami białego wina, które wypiliśmy. Albo z faktem, że pozmywaliśmy starannie naczynia i zostawiliśmy wysprzątaną kuchnię oraz wypielone rabatki. Myślę jednak, że chłopaki mogą mieć rację i Bar jest teraz laską mojego taty.

Jeżeli o mnie chodzi, nie mam absolutnie nic przeciw temu.

7

Ostatnie słowo

Część 1 - Doktor Dermot

Nie da się zaprzeczyć, że znam wszystkich w tej okolicy. Jeżeli mają lat trzydzieści pięć albo mniej, sprowadzałem ich na ten świat, a jeżeli są w jakimkolwiek innym wieku, osłuchiwałem ich, leczyłem z odry i świnki, zszywałem naderwane uszy, wyjmowałem odłamki szkła z pokaleczonych kolan.

Doon to mała miejscowość położona trzydzieści kilometrów od Rossmore, przy wąskiej, wyboistej drodze, ale nie jeździmy do miasta zbyt często. Mamy tu wszystko, czego nam potrzeba, a ja znam historię każdego mężczyzny, kobiety i dziecka w tym cichym wiejskim zakątku.

Zamykałem oczy ich rodzicom i dziadkom, przekazywałem dobre i złe nowiny, znajdowałem słowa, których inni nie znajdują. Ci ludzie są mi coś winni, na litość boską. Dlatego poczułem się zdradzony i zawiedziony, gdy wszyscy runęli tłumnie do tego nowego lekarza.

Doktora Jimmy'ego White'a.

Bezczelnego chłystka, który od samego początku zwracał się do mnie per „Dermot”. Każdy tutaj mówi mi „doktorze Dermot”, lecz - oho, to nie dotyczy doktora Jimmy'ego White'a. O, jest bardzo gorliwy i zależy mu, żeby się przypodobać, biega nieustannie to tu, to tam. Oczywiście odwiedza pacjentów w domach o każdej porze dnia i nocy i oczywiście posiada te-

lefon komórkowy, dzięki czemu można go łapać wszędzie. Jest skrupulatny, wysyła chorych w głąb kraju na USG, badania krwi, prześwietlenia. Ci prości ludzie widzą w tym coś w rodzaju magii.

Nawet szpital w Rossmore nie jest dość dobry dla doktora Jimmy'ego White'a. O nie, on wysyła pacjentów do specjalistów, do klinik w Dublinie, ni mniej, ni więcej. Woli się skonsultować niż zaufać wieloletniemu doświadczeniu i komuś, kto zna tutejszych mieszkańców na wylot od pokoleń.

Jak ja.

Nie daję po sobie poznać, że jestem wytracony z równowagi czy coś w tym rodzaju. Skądże znowu. Zawsze dobrze mówiłem o doktorze Jimmym Whicie. Bardzo inteligentny miody człowiek, powtarzałem, trzyma się reguł z podręcznika i rzeczywiście często zagląda do książek medycznych, czego nie będzie musiał robić, gdy posunie się w latach i zyska pewne doświadczenie. Ale jest, oczywiście, nader skrupulatny, zawsze wszystko sprawdza, żeby się upewnić.

Ludzie myśleli, że go lubię i podziwiam, ja zaś zdołałem zasiać ziarna wątpliwości - na przykład, dlaczego zaglądał do książek, zasięgał opinii innych lekarzy, wysyłał próbki krwi do analizy, a pacjentów na rozmaite badania.

Był pewien gadatliwy Amerykanin, który nazywał się Chester Kovac - musiał się tarzać w forsie, skoro mieszkał w hotelu. Jego dziadek, niejaki O'Neill, pochodził z tych okolic, choć teraz nikt go już nie pamięta. Jasne, cały kraj aż się roi od O'Neillów. Powtórzyłem mu kilka razy, że młody lekarz musi gdzieś nauczyć się zawodu, ale trudno byłoby patrzeć, jak popelnia błędy na mieszkańcach tej parafii. Chester oświadczył, że z pewnością jest to wykształcony przedstawiciel środowiska lekarskiego, na co odparłem, że tak, oczywiście, jednak wykształcenie nie zastąpi doświadczenia. Chester kiwał głową, jakby dokładnie rozumiał, o co mi chodzi.

A potem oznajmił, że kupuje kawałek ziemi w Doon i zamierza wybudować dom. Chciał się poradzić, jakich usług po-

trzebuje ta miejscowość. Czego nam brakuje, gdzie dostrzegamy luki... Miał prawdziwie zatroskany wyraz twarzy. Aż do przesady. Cała ta nadwrażliwość, na którą nie ma tutaj miejsca. Udawałem, że mnie to interesuje, czasami człowiek musi to robić w takich małych miejscowościach. Gadanie o budownictwie socjalnym i przystępnych cenach. Wiecie, co oni zwykle opowiadają - płaczą za przeszłością i twierdzą, że gdyby tylko biedny dziadek posiadał dom, nie musiałby emigrować.

Kiwałem głową, popijając piwo z kufła. I myślałem sobie, że gdyby jego dziadek nie ruszył tyłka i nie wyniósł się tam, gdzie mógł zarobić na życie, Chester nie paradowałby teraz w garniturach z domu mody i szytych na miarę butach. Ale lepiej tego nie mówić. Niech żyje swoim marzeniem. Och, i zamierzał wybudować salę koncertową oraz jakiś ośrodek. Tutaj, w Doon, ni mniej, ni więcej! Wspaniale, powtarzałem, zanim udało mi się ponownie poruszyć temat doktora White'a oraz luk w jego wykształceniu.

Przez pewien czas radziłem sobie jakoś z rywalem i obydwaj mieliśmy dość zajęć. Ja w każdym razie na pewno. Ale później nagle sprawy przybrały zły obrót.

Wszystko przez tę głupią Maggie Kiernan, która spodziewała się dziecka i doprawdy, zachowywała się tak, jakby żadna kobieta na świecie nie rodziła dzieci, tylko ona jedna. Jej ciąża nie miała końca, nawet w porównaniu z mamutami. Maggie przychodziła dwa razy w tygodniu, była chora, a potem już nie, dziecko się poruszało - czy to normalne? Nie poruszało się, czy to oznacza, że nie żyje? Potrzebowała prywatnego zespołu złożonego z ginekologów i położnych, oczekującego rozwiązania u niej w domu.

Trzy tygodnie przed terminem zatelefonowała o drugiej w nocy z informacją, że właśnie zaczyna rodzić. Doradziłem jej, żeby wypila filiżankę herbaty, a rano o tym jeszcze porozmawiamy. Upierała się, że z całą pewnością już rodzi, i czy nie mógłbym przyjechać? Sześć kilometrów pod górę! Czy

ona zwariowała? Próbowałem ją uspokoić, ale trzasnęła słuchawką.

Dopiero nazajutrz, tuż przed południem, usłyszałem całą historię. Maggie wezwała doktora Jimmy'ego White'a, który oczywiście do niej pojechał. I zgadnijcie, co? Dziecko prawie się urodziło, lecz nastąpiły komplikacje, Jimmy zadzwonił po karetkę, która podjechała tą górską drogą, i gdyby nie towarzyszył Maggie do izby przyjęć szpitala w Rossmore, dziecko by umarło, ona sama by umarła i połowa sąsiadów też by umarła z czystego współczucia.

Usłyszałem o tym z piętnaście razy tamtego przedpołudnia - o biednej Maggie Kiernan, jaka musiała być przestraszona i czy to nie łaska boska, że młody doktor White przyszedł jej z pomocą. A przy tym niewypowiedziane wyrzuty, że ja zawiodłem Maggie Kiernan.

Byłem zirytowany, rzecz jasna, lecz nie okazywałem tego. Wychwalałem natomiast doktora Jimmy'ego White'a, wyrażałem troskę o Maggie i powtarzałem, że noworodki mają własne zdanie, ale czy życie nie byłoby łatwiejsze, gdyby tylko dawały nam znać wcześniej? Niczego nie wyjaśniałem ani nie przeproszałem. I wydawało mi się, że w końcu do nich dotarło. Nadal byłem ich mądrym, pocziwym doktorem Dermotem.

Każdej soboty, w porze lunchu, przychodzi pewna niezamężna dama, Hanna Harty, żeby sprawdzić moje książki rachunkowe. Jest dyplomowaną księgową, uosobieniem dyskrecji, i prowadzi rozliczenia wielu osób. Pięć tygodni po tym całym zamieszaniu z Maggie Kiernan Hanna odchrząknęła znacząco i powiedziała mi prosto z mostu, że tracę coraz więcej pacjentów na rzecz tego nowego, młodego doktora White'a. A zatem tracę również znaczną część dochodów.

W pierwszej chwili nie uwierzyłem. Hanna zawsze miała skłonności do czarnowidztwa. Plotkowano, że przed laty, dawno temu, zastawiała na mnie sidła. Nie sądzę jednak, aby to była prawda.

Z pewnością w żaden sposób jej nie zachęcałem. Długo opiekowałem się jej starą matką. To znaczy, właściwie Hanna opiekowała się swoją starą matką, lecz ja je odwiedzałem i pocieszałem, a jeśli akurat jadły kolację, zapraszały mnie do stołu.

Sam nigdy się nie ożeniłem. Kiedyś pewna kobieta przypadła mi do serca, ale powiedziała, że jestem zbyt niefrasobliwym i że nie mogłaby się związać na stałe z małomiasteczkowym lekarzem. No cóż, jestem, kim jestem. Nie zmienię się dla nikogo, więc niewiele myślałem o niej i jej słowach.

Wysłuchałem uważnie, co mówi Hanna, i niecałe pół godziny po otrzymaniu informacji o zmniejszeniu się naszych wpływów kasowych ruszyłem do akcji.

Wpadłem do Foleyów na krótką pogawędkę. Stary ojciec rodziny był na ostatnich nogach; niewiele już mu życia pozostało. Ale dodałem mu otuchy, zapewniłem, że ma serce i konstytucję jak lew i jest w wyśmienitej formie. Gdy wychodziłem, wszyscy Foleyowie czuli się podniesieni na duchu. Powiedziałem sobie po raz kolejny, że na tym właśnie polega zadanie lekarza - pocieszać ludzi, dodawać im otuchy, popychać naprzód. Nie przerażać ich na śmierć statystykami, badaniami i analizami.

W drodze do domu spotkałem młodego doktora White'a.

- Cała ta sprawa z Maggie Kiernan... - zaczął niezręcznie.

- T a k ? - Mój głos brzmiał oziębło.

- No cóż, nic chciałbym, żebyś sobie pomyślał, że wpycham się na chama na twój teren czy coś w tym rodzaju... - bąknął, przestępując z nogi na nogę.

- A ma pan takie odczucie? - Wciąż przemawiałem lodowatym tonem.

- No, formalnie rzecz biorąc, to oczywiście twoja pacjentka, ale musiałem zadecydować, czy chodzi tu o nagły wypadek czy nie. I uznałem, że tak.

- Uważa pan zatem, że postąpił słusznie, doktorze White?

- B a r d z o bym chciał, żebyś mi mówił Jim. Ja zwracam się do ciebie per „Dermot”.

— Wiem, zauważyłem - odparłem z jednym ze swoich uśmiechów.

- Wystarczy tu pracy dla nas obu, Dermot - zapewnił z porozumiewawczym mrugnięciem. - Żadnemu z nas nie grozi śmierć głodowa.

- Jestem o tym głęboko przekonany, doktorze White - odparłem, wyruszając w dalszą drogę.

Znalazłszy się w domu, usiadłem i zastanowiłem się głębiej. Zadzwoiła Hanna Harty z propozycją, że podrzuci mi stek i cynaderki, które właśnie upiekła. Od śmierci matki nic zapraszała mnie na kolacje, czego mi brakowało zwłaszcza w weekendy, kiedy człowiekowi doskwiera samotność.

Mam **gospodynię**, zmęczoną życiem kobietę, która utrzymuje w domu porządek, pierze i prasuje. Robi oczywiście zakupy i przyrządza sałatki, ale nigdy nie gotuje smacznych dań, jak Hanna. Odparłem, że posiłek w towarzystwie Hanny będzie **dla** mnie zaszczytem i otworzę butelkę czerwonego wina. Gdy Hanna wkroczyła z naczyniami w moje progi, zauważyłem od razu, że tego dnia wybrała się do fryzjera. Miała na sobie elegancką białą bluzkę, spiętą broszką z kameą. A nawet, co najbardziej niezwykle, była umalowana.

Czy to możliwe, że nadal żywiła nadzieję co do naszej **wspólnej** przyszłości?

Najlepszym posunięciem było zignorowanie całej tej **oprawy**, na wypadek gdyby istotnie kryło się za nią coś więcej. Prawienie komplementów nie miało sensu. Byłoby to proszenie się o kłopoty. Rozmawialiśmy o osławionej obwodnicy Rossmore, czy jej budowa kiedykolwiek dojdzie do skutku. Mówiło się o niej od lat. Czy robiło to jakąś różnicę naszemu cichemu zaściankowi, czy też władze po prostu zamierzały zlekceważyć naszą wyboistą drogę do Rossmore? Nikt nie potrafił odpowiedzieć.

Posiłek upłynął w milej atmosferze, a ponieważ Hanna przyniosła talerz niezłych serów, otworzyłem drugą butelkę wina.

- C o , na miłość boską, zamierzasz zrobić w sprawie tego młodego doktora White'a, Dermot? - spytała prostu z mostu. Jej twarz wyrażała niepokój. Naprawdę ją obchodziło, co się ze mną stanie, kiedy większość pacjentów mnie zdradziła i przeszła do opozycji. Poklepałem Hannę po ręce.

- Ja bym się tym nie przejmował, moja droga - zapewniłem.
- W takiej sytuacji zawsze należy zachować spokój i czekać, aż się wszystko wyklaruje.

- A l e to może się nie wyklarować, Dermot. Wiesz, pracuję w kilku różnych miejscach i widzę, że ludzie się przenoszą. Pan Brown z banku zamierza zasięgnąć porady doktora White'a w sprawie zapalenia płuc, na które zachorował jego ojciec. Pan Kenny, notariusz, martwi się, że jego matka nie może chodzić, i pomyślał, że młody doktor White zapisze jej jakieś lepsze środki, nowocześniejsze lekarstwa. Nie możesz siedzieć beczynnie i patrzeć, jak marnuje się twoja ciężka praca, cała twoja praktyka lekarska. - Wydawało się, że troska o mój los rzeczywiście wytrąciła ją z równowagi. Albo troska o własny los, jeśli Hanna istotnie wymarzyła sobie przyszłość ze mną.

- Nie, Hanno, nie zamierzam siedzieć beczynnie i patrzeć. Myślałem właśnie o wyjeździe na mały urlop.

- Jak to urlop? Teraz? W tej sytuacji? Dermot, ty chyba postradałeś rozum! - wykrztusiła.

Lecz odmówiłem odpowiedzi. Uśmiechnąłem się tylko.

- W i e m , co robię, Hanno - powtórzyłem kilkakrotnie.

W następnym tygodniu odbyłem kilka wizyt domowych. Doszedłem do wniosku, że stary Foley ma przed sobą około dwóch tygodni życia; że matce pana Kenny'ego powinno się pozwolić przeżyć w spokoju ostatnie miesiące, nie wmuszając w nią nowego lekarstwa, które by tylko zachwiało jej równowagę, i że ojciec pana Browna wkracza w ostatnią fazę zapalenia płuc, które zabierze go bezboleśnie z tego świata.

Następnie oznajmiłem, że wyjeżdżam na krótki urlop. Zachęciłem Brownów, Foleyów i Kennych, by zwracali się do tego milego młodego doktora White'a, kiedy mnie nie będzie.

Nie, oczywiście, że nie mam nic przeciw temu, przecież życie polega na wzajemnych ustępstwach, a ten miody człowiek ma wszelkie kwalifikacje. Doskonale zaopiekuje się pacjentami.

Zapakowałem kije do golfa i włożyłem do bagażnika, po czym pojechałem do oddalonego o dwieście kilometrów przyjemnego, cichego hoteliku nad morzem. Łatwo było tam znaleźć partnerów, więc grywałem codziennie.

Wieczorami zasiadałem do brydża w hotelowym salonie, a rano, po śniadaniu, otwierałem gazetę na stronach z nekrologami.

Najpierw przeczytałem o śmierci starego Foleya, potem pani Kenny, wreszcie zaś pana Browna. Pożegnałem się spieszenie ze znajomymi od brydża i golfa i wróciłem prosto do domu.

Odwiedziłem pogrążone w smutku rodziny, kręcąc głową w oszołomieniu nad ich wielką stratą. Napomykałem, że nie potrafię tego pojąć - pan Foley był w znakomitej formie, kiedy wyjeżdżałem, wciąż pełen życia, podobnie jak pani Kenny i pan Brown. Jakie to smutne i co za ironia losu, że wszyscy oni zmarli właśnie wówczas, kiedy ja, który znałem ich od tak dawna, byłem akurat daleko. Kręciłem mądrze głową i powtarzałem, że to dla mnie absolutna zagadka.

Wszystko razem nie trwało długo. Szczerze mówiąc, znacznie krócej, niż się spodziewałem. Ludzie zaczęli gadać.

Mówili, jakie to dziwne, że trzy zupełnie zdrowe osoby zmarły właśnie w trakcie dziesięciodniowego urlopu doktora Dermota. Mówili, że szkoda zbyt pochopnie gonić za nowym, zamiast trzymać się tego, co znane i wypróbowane. Człowieka, który znalazł ich za młodu i na starość, zdrowych i chorych, przez całe życie. Stopniowo wracali do mnie, nawet ci, którzy prosili o historie chorób, by zanieść je doktorowi White'owi. Niektórych irytowała skąpa dokumentacja i nic przyjmowali do wiadomości, że mam to wszystko w głowic. Wiedziałem, które dziecko przechodziło świnkę, a które odrę, na litość boską. W moim wypadku nie było potrzeby używania komputerów i sporządzania opisów choroby.

Rozmawiając z tymi ludźmi, byłem bardzo wielkoduszny, nie okazywałem cienia urazy czy pretensji. Wszyscy odczuli wielką ulgę i chcieli nawet wysuwać oskarżenia pod adresem doktora White'a. Ale tutaj również postąpiłem szlachetnie. Nic chciałem słyszeć ani słowa przeciw temu chłopcu. Nazywałem go chłopcem i uśmiechałem się pobłaźliwie, mówiąc, że jest bardzo młody i musi popełniać błędy. Nie mogli się nadziwić mojej wielkoduszności.

Odwiedził mnie przed wyjazdem. Wizyta kurtuazyjna, powiedział, po to, by mnie zawiadomić, że wyjeżdża. Już o tym wiedziałem, lecz udawałem zaskoczonego. Życzyłem mu wszystkiego dobrego i dodałem, że przykro mi tracić takiego kolegę.

- Znajdzie pan bardziej odpowiednie miejsce - zapewniłem,

- Tak, niewątpliwie - odparł.

- I ma pan miły sposób bycia, a o to przede wszystkim chodzi — uzupełniłem, żeby go pochwalić.

- O to między innymi chodzi, Dermot - sprostował.

Skrzywiłem się, jak zawsze, gdy zwracał się do mnie w ten familiarny sposób. Ale nie sądzę, by to zauważył. Zaproponowałem mu drinka, lecz odmówił.

- To, oczywiście, nie potrwa długo, Dermot, bo nie może. Chcesz, żebym ci udzielił pewnej rady przed wyjazdem?

Aby sprawić mu przyjemność, odparłem, że chcę. Bądź co bądź, wykurzyłem go z miasteczka. Mogłem sobie pozwolić na uprzejmość.

- Kiedy zjawi się tu następny młody człowiek, wejdź z nim w spółkę, sprzedaj dom, wynajmij gabinet w klinice Chestera, przejdź częściowo w stan spoczynku, ożeń się z Hanną Harty i zamieszkać w tym jej dużym domu. To będzie lepsze niż poważny proces sądowy o błąd w sztuce lekarskiej albo oskarżenie o zaniedbania ze strony któregoś z twoich starych przyjaciół.

Po czym wstał, bezczelny szczeniak, i wyszedł, nie oglądając się nawet.

Przez chwilę zastanawiałem się nad tym, co powiedział. Nie było to nic mądrego. Ani trochę. I o co mu chodziło z tą kliniką Chestera? Chester organizował coś w rodzaju centrum medycznego, niedorzeczne miejsce z kosztownymi urządzeniami, żeby ludzie tracili tam czas i pieniądze. Zamierzał nawet przeznaczyć jakieś sale na aromaterapię czy inne bzdury w stylu New Age. I wybrał sobie na to zupełnie zwariowany czas! Akurat kiedy ma powstać nowa droga, którą pacjenci zaczną jeździć prosto do Rossmore. Projekt był skazany na niepowodzenie, zanim jeszcze przystąpiono do jego realizacji. Nie miałem się czym przejmować.

Ludzie z tej okolicy mocno stali na ziemi i nie daliby się nabrać na takie plewy w imię Danny'ego O'Neilla, nieudacznika, którego nikt nie pamiętał. Jedno natomiast stało się oczywiste i było znacznie istotniejsze: łączono moje nazwisko z nazwiskiem biednej Hanny Harty. Należało to zdusić w zarodku. Miała mi nazajutrz przyrzucić wymyślnego lososia w cieście. Lepiej do niej zadzwonić i powiedzieć, że nie znajdę czasu.

Wszystko szło teraz tak dobrze, że szkoda byłoby komplikować sytuację.

Część - Plan Chestera

Wielokrotnie obiecywałem mojemu irlandzkiemu dziadkowi Danny'emu O'Neillowi, że pojadę do Irlandii, lecz nie udało mi się to za jego życia. Snuł opowieści o swoim domu w Doon, niedaleko Rossmore. I o rozległych lasach, Głogowym Gaju, gdzie znajdowała się święta studnia czyniąca cuda. Jednak jakoś tam nie dotarłem, gdy dziadek jeszcze żył. Zbyt wiele miałem innych zajęć, takich jak zdobywanie wykształcenia i zarabianie na życie.

Mój ojciec, Mark Kovac z Polski, był cieślą, ale zachorował na gruźlicę, a że nigdy nie należał do silnych mężczyzn, więc jako najstarszy musiałem utrzymywać rodzinę. Mówiłem ma-

mie, że życie byłoby odrobinę łatwiejsze, gdyby nie uznali za stosowne mieć dziewięciorga dzieci. Na to ona pytała tylko ze śmiechem, które z rodzeństwa odesłałbym z powrotem. Pracowaliśmy ciężko, dostawaliśmy dobre stopnie w szkole i każde z nas znajdowało sobie płatne zajęcie, gdy tylko robiliśmy się dość wysocy, by ustawiać towary na półkach w supermarkecie albo składać tekturowe pudła w schludne sterty.

Ponadto miałem trochę szczęścia i spotkałem bankowca, który pożyczył mi pieniądze na założenie przedsiębiorstwa budowlanego, dzięki czemu mogłem zatrudnić wszystkich swoich braci i siostry, a tatę umieściłem w zarządzie. Był uszczęśliwiony, widząc na ciężarówkach napis „Przedsiębiorstwo Budowlane Mark Kovac i Rodzina”.

Nie musiałem wpisywać w nazwie własnego imienia, wiedziałem, że firma jest moja, a imię ojca wyglądało jakoś poważniej. Dodawało nam wiarygodności, podkreślało rodowód.

Rodzice i krewni mojego taty wyjechali z pewnej polskiej wioski, która przestała istnieć, ale ojciec mamy bez przerwy opowiadał o tym przepięknym miejscu w Irlandii. Więc gdy skończyłem pięćdziesiąt lat, postanowiłem zafundować sobie trzymiesięczne wakacje.

Nigdy się nie ożeniłem. Nie miałem czasu. Brzmi to chyba dość rozpaczliwie, lecz ja tak nie myślałem. Byłem zbyt zajęty rozkręcaniem interesu, a gdy firma już prosperowała, uświadomiłem sobie, że trochę za długo zwlekałem. Moi bracia się pożenili, siostry powychodziły za mąż i wszyscy mieli dzieci, więc życie rodzinne kwitło wokół mnie, jeśli tylko zapragnąłem w nim uczestniczyć.

W pewnej chwili jednak mój lekarz stwierdził, że cierpię na nadciśnienie i powinienem bardziej na siebie uważać. Na pogrzebie dziadka nasłuchałem się irlandzkiej muzyki i rozmów o Rossmore, lasach i tym wszystkim, a potem zacząłem rozmyślać o jego kraju i doszedłem do wniosku, że może nadszedł odpowiedni czas, by pojechać do Irlandii i tam odpocząć od pracy w firmie.

Jednocześnie, ponieważ nie należałem do osób, które potrafią siedzieć beczynnie, mogłem się zastanowić nad sposobem uhonorowania dziadka O'Neilla. Wybudowaniem czegoś, co pokaże ludziom z rodzinnej miejscowości Danny'ego, że jego życie i podróż do Ameryki były coś warte.

Wszyscy uznali, że to dobry pomysł, i zapewnili, że Przedsiębiorstwo Budowlane Mark Kovac i Rodzina da sobie jakoś radę beze mnie.

- I może nawet znajdziesz tam sobie irlandzką dziewczynę - dodała matka.

Pomyślałem, że musiałaby to być raczej leciwa dziewczyna, abym się jej spodobał, lecz nie powiedziałem. Z biegiem lat stwierdziłem, że wolę uśmiechać się do ludzi i zgadzać się z nimi niż mieć ostatnie słowo. Ostatnie słowo wcale nie jest aż takie ważne.

Przyjechałem zatem do miejscowości, z której pochodził dziadek Danny O'Neill. Bardzo dobre miejsce, żeby zwolnić tempo życia. Nikt w Doon nie pamiętał mojego dziadka, co mnie rozczarowało.

Wiedzieli, gdzie stał rząd niskich domków, w jednym z których mieszkał, ale dawno już zostały wyburzone, ponieważ popadły w ruinę. Uplłynęło tak dużo czasu, a poza tym O'Neill to w Irlandii bardzo pospolite nazwisko.

Postanowiłem, że mój dziadek zostanie upamiętniony. Postaram się o to. Wybuduję mu pomnik, nie taki, który tylko sprzyja próżności, lecz coś, co bardzo się przyda jego rodzinemu miasteczku. Zacząłem pytać o radę. Propozycje padały liczne i zróżnicowane. Ludzie myśleli o małym teatrze. Albo galerii sztuki. Albo niedużym parku, w którym dzieci mogłyby się bawić, a staruszkowie posiedzieć wieczorami. O sali parafialnej albo muzeum. Każdy miał inny pomysł.

Pewna starsza pani zasugerowała, że powinienem pomodlić się przy studni w lesie niedaleko Rossmore i wtedy stanie się dla mnie jasne jak słońce, co mam zrobić. Więc pojechałem tam i wszedłem do lasu, zostawiwszy samochód na jego skra-

ju. Spotkałem dużego, przyjaźnie nastawionego psa, który mi towarzyszył, i wydawało się, że zna drogę do studni, gdyż skręcał we właściwą stronę przy każdym z małych drewnianych drogowskazów. Potem usiadł z szacunkiem na zewnątrz, kiedy wchodziłem do wilgotnej, ciemnej groty.

Studnia była niezwykła. To jedyne określenie. Jestem religijny jak każdy, to znaczy, jako syn irlandzkiej katoliczki i polskiego katolika nie bardzo mogłem tego uniknąć, prawda? Ale nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

Ludzie zawieszali swoje prośby w widocznych miejscach na ścianach, zostawiali małe dziecięce buciki i skarpetki z przyczepionymi karteczkami zawierającymi modlitwy o wyleczenie albo różańce z błaganiami o zdrowie dla ukochanej matki.

Pod wieloma względami wydawało się to groteskowe, lecz także bardzo wzruszające. Zbiór wątłych nadziei, zgromadzonych na niewielkiej przestrzeni, nie wzbudził we mnie jednak dobrego samopoczucia ani wrażenia świętości. Posąg wcale nie natchnął mnie mądrością. Zamiast tego poczułem się nieswojo i zapragnąłem pójść sobie stamtąd. Gdy wyszedłem, natknąłem się znowu na tego dużego psa - był to chyba collie albo jakiś inny owczarek; czekał na mnie niczym na zaginionego przyjaciela. Podrapałem go za uszami i pogrążony w myślach ruszyłem z powrotem przez las.

Wtem przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Zbuduję lecznicę, żeby ludzie z okolicy nie musieli klękać w tej zimnej, wilgotnej grocie i modlić się do nieżyjącej od dwóch tysięcy lat świętej o wyzdrowienie ukochanej osoby. Może, pomyślałem w głębi ducha, właśnie tak działa ta studnia: gdy się od niej oddalisz, twój problem zostaje rozwiązany.

Pies radośnie truchtał obok mnie.

Teraz nie miał najmniejszego zamiaru mnie zostawić.

Zabrałem go na najbliższy posterunek policji. Przyjrżeli mu się z namysłem. Nie miał obroży i nie był zbyt dobrze utrzymany. Ktoś go wywiózł do lasu i porzucił.

Byłem oburzony.

Taki ładny, przyjazny pies.

- A może pan się nim zaopiekuje? - zaproponował młody **policjant**.

- No to chodź - zwróciłem się do psa, a on skwapliwie wskoczył do auta.

Postanowiłem nazwać go Złoty. Tak jak polska waluta. Regował tak ochoczo, jakby to było jego pierwotne imię.

Po powrocie do Doon zdecydowałem ostatecznie, że powinno tam powstać centrum medyczne. Dotychczas, jeśli ktoś potrzebował specjalistycznego leczenia, USG albo rentgena, musiał tłuc się wyboistą drogą do Rossmore. Owszem, słyszałem o tej całej obwodnicy, którą zamierzano zbudować. Ale przez następne dziesięciolecia mogły to być tylko mrzonki. Poza tym w Rossmore pacjenci i tak nie mieli dostępu do wszystkiego, czego potrzebowali - czasami musieli odbywać dalekie podróże do Dublina, co przysparzało im dodatkowych stresów.

Czy nie byłoby wspaniale mieć takie możliwości na wyciągnięcie ręki?

Ludzie z tej okolicy byli bardzo mili i łatwo się z nimi rozmawiało. Zatrzymałem się w miejscowym hotelu, a Złoty spał w obszernej przybudówce. Poznałem Ciarana Browna z banku, Seana Kenny'ego, tutejszego notariusza, rodzinę Foleyów oraz Maggie Kiernan, która opowiadała każdemu, jak usilnie pragnie mieć dziecko, i w końcu je urodziła. Poznałem też bardzo dystygowaną damę, Hannę Harty, księgową i uosobienie dyskrecji w tym rozplotkowanym środowisku. Gdy więc kupiłem kawalek ziemi za pośrednictwem Seana Kenny'ego, ten zasugerował, abym poprosił Hannę o zajęcie się papierami, a nikt się niczego nie dowie o moich sprawach.

W miasteczku było dwóch lekarzy: opryskliwy facet nazwiskiem Dermot i o wiele młodszy, bystrzejszy Jimmy White. Niestety, zarejestrowałem się u doktora Dermota, zanim jim-

my White przyjechał do Doon, musiałem się więc go trzymać. Dermot, powolny i leniwy, zerknął tylko na przepisane mi lekarstwa i kazał je dalej zażywać. A potem wyjechał na urlop. Po pewnym czasie dostałem zadyszki. Zasięgnąłem porady Jimmy'ego White'a, który wysłał mnie na badania wysiłkowe i ultrasonografię. Kardiolog zmienił mi beta-blokery i znowu poczułem się świetnie.

To był niedobry czas dla wszystkich. Najpierw zmarł stary Foley, a potem matka Seana Kenny'ego i ojciec Ciarana Browna, w odstępie dziesięciu dni. Chodząc na pogrzeby, wydeptaliśmy ścieżkę na cmentarz.

Biedny Jimmy White był zrozpaczony.

- Coś takiego musiało się przytrafić podczas mojej wachty - zwierzył mi się pewnego wieczoru. - Miejscowi uważają, że Dermot pozjadał wszystkie rozumy i że ci staruszkowie by nie umarli, gdyby on tu był.

- Niemożliwe - zaproponowałem. - To znaczy, byli przecież starzy i słabi, przyszedł ich czas.

- Powiedz to Foleyom, Brownom i Kennym - odparł ponuro.

- Pewnie, że wybrali niefortunny moment - zauważyłem współczująco.

- Tak, lub może, jak myślę w chwilach paranoi, wybrano go za nich - wysunął sugestię.

Popatrzyłem na niego, Jimmy zaś wyjaśnił pospiesznie, że nie, oczywiście to zupełnie nieprawdopodobne, nawet doktor Dermot nie mógł ich zabić na odległość za pomocą wudu. Sam zacząłem się nad tym zastanawiać. Może ten szczurowaty konował faktycznie zaczekał, aż staruszkowie będą gotowi do ostatniej podróży.

Czyżbym popadał w taką samą paranoję jak Jimmy?

Tak czy inaczej miałem mnóstwo zajęć. Znalazłem firmę budowlaną, która luźno traktowała zawodowe obowiązki. Bardzo luźno. Finn Ferguson często powtarzał, że stwarzając czas, Bóg stworzył go mnóstwo. Pozwolenia na budowę stanowiły

istny koszmar; kompletowanie ekipy wyglądało zupełnie inaczej niż w Stanach. Każdy zdawał się wykonywać kilka prac jednocześnie, o czym napomykałem z westchnieniem tej miłej Hannie Harty, która zawsze myślała pozytywnie i udzieliła mi wielu praktycznych rad.

Może powinienem powiedzieć majstrowi Finnowi Fergusonowi, że gdyby jego żona zapragnęła wybrać się do Ameryki na zakupy, moje siostry zaopiekują się nią i zaprowadzą do odpowiednich sklepów. Poszło jak z płatka i kobieta wróciła nic tylko z trzema walizkami rzeczy, lecz także z informacją, że Przedsiębiorstwo Budowlane Mark Kovac i Rodzina to potężna amerykańska firma. Finn przestał odtąd traktować mnie jak niewydarzonego starego Chestera i zaczął mi mówić „proszę pana”. Nadal od czasu do czasu wypijał ze mną piwo i przynosił kość dla Złotego. Opowiadał, że martwi go ta nowa droga, która ma powstać w okolicach Rossmore.

Kiedy już jakaś duża firma otrzyma kontrakt na budowę obwodnicy i wyrobi sobie pozycję w mieście, małe przedsiębiorstwa, takie jak Finna Ferguson, tracą dotychczasowe zlecenia. Ludzie dadzą się skusić wielkim kompaniom z ich potężnymi dźwigami i maszynami do robót ziemnych, a on splajtuje. Uświadomiłem mu, że powinien się w czymś wyspecjalizować. Zdobyć renomę dobrego fachowca od jednego, konkretnego typu budynków.

Po otwarciu Ośrodka Zdrowia imienia Danny'ego O'Neila zostaną wydane piękne, kolorowe prospekty na błyszczącym papierze, które Finn oczywiście będzie mógł wykorzystywać w celu pozyskania następnych klientów.

To, jak zauważyłem z dużą ulgą, sprawiło, że podejście Finna do budowy stało się mniej niefrasobliwe.

- Wiesz, porządny z ciebie gość, Chester, znaczy, proszę pana - oznajmił. - Mnóstwo ludzi tak mówi. Słyszałem, jak panna Harty rozmawiała z kanonikiem Cassidym, kiedy tu przyjechał w zeszłym tygodniu, i powiedziała, że pan jest aniołem, na którego ta okolica zawsze czekała.

Lubiłem Mannę i byłem rozczarowany, widząc, że podoba jej się doktor Dermot. Zagadnałem ją raz, czy kiedykolwiek się zakochała, na co odparła, że nie, lecz w wieku pięćdziesięciu dwóch lat raczej nie przypuszcza, by spotkało ją to szczęście. Jej matka zawsze powtarzała, że doktor Dermot jest dobrą partią i Hanna poświęciła dużo czasu próbom złowienia go. Ale to niezależny mężczyzna i ma swoje przyzwyczajenia.

- A może jest trochę samolubny? - podsunąłem.

Nie tędy droga, Chester. Hanna Harty stanęła w obronie doktora. Pracował niestrudzenie dla tego miasteczka. Nikt nie mógłby go uważać za egoistę.

Powiedziałem, że jako osoba postronna właściwie niewiele wiem. Ale wiedziałem. On był egoistą. Dostrzegałem to coraz wyraźniej.

Przyjmował ode mnie drinka w hotelu, sam jednak nigdy nie postawił. Słyszałem od Hanny, jak to przyrządza mu steiki i cynaderki w cieście albo piecze kurczaka, bo mężczyźni są pod tym względem beznadziejni. W hotelu mieściła się bardzo przyzwoita restauracja, ale on nigdy nie zaprosił tam Hanny, chociaż mógł. Niewątpliwie odnosił się bardzo arogancko do młodego Jimmy'ego White'a, do tego stopnia, że Jimmy wyznał mi, iż będzie musiał zwinąć namiot i wynieść się stąd. Nie miał tu żadnych szans.

Tymczasem realizacja moich własnych planów wciąż postępowała. Finn, majster budowlany, pokochał mnie jak brata i zwerbował pracowników z całego kraju do postawienia Ośrodka Zdrowia imienia Danny'ego O'Neilla w Doon. Budynek rósł w oczach z dnia na dzień.

Ludzie nie mogli uwierzyć, że będą mieli na wyciągnięcie ręki aparaty rentgenowskie, kardiomonitor, basen terapeutyczny, a także kilkanaście gabinetów lekarskich przeznaczonych dla tych, którzy zechcą je wynająć. Gazety pisały o medycynie przyszłości. Odbieraliśmy już pytania od stomatologów, grupy praktykującej jogę i medytację oraz od kilku specjalistów za-

interesowanych możliwością udzielania porad ambulatoryjnych dwa razy w tygodniu. Chodziło przede wszystkim o to, by przybliżyć pacjentom opiekę medyczną, zamiast zmuszać ich do dalekich podróży i dokładać im zmartwień. Miałem nadzieję na zatrudnienie Jimmy'ego White'a, ale wyjechał, niestety, przed uruchomieniem ośrodka.

Hanna Harty przekazała większość dokumentów firmie buchalterskiej, nadal jednak prowadziła moje osobiste księgi. Lubilem nasze wspólne narady.

Finn przychodził do hotelu na drinka w piątki około szóstej i opowiadał mi o wszystkim, co się wydarzyło w ciągu tygodnia, a później dołączała do nas Hanna Harty, kontrasygnowała czekiki dla Finna i jedliśmy we dwoje kolację.

Zawsze w owe wieczory miała włosy starannie uczesane w salonie piękności. Lubiała mówić o doktorze Dermocie, ja zaś słuchałem cierpliwie, bo na ogół jestem wyrozumiały. Zwykle widywała się z nim w soboty, przypuszczam więc, że wytworna fryzura była na jego cześć. Zauważyłem jednak, że doktor Dermot coraz częściej nie mógł przyjść na sobotnie spotkania.

Musiał wziąć udział w konsylium. Musiał rozegrać partię golfa z osobami, które liczyły na niego. Miał gości, znajomych z zagranicy, bawiących przejazdem. Znajomych, których imion nie wymieniał i których nikomu nie przedstawiał.

Hanna zaczęła się zastanawiać, czy Dermot przypadkiem jej nie unika. Cmoknąłem z niedowierzaniem i zapewniłem, że nie, a to właśnie pragnęła usłyszeć.

- Oczywiście nadal prowadzisz mu księgi?

- No tak, ale ostatnio zostawia papiery na tacy i nie pojawia się osobiście. - Była bardzo zmartwiona.

- M o ż e jest zajęty pilnymi przypadkami.

- A c h , Chester, przecież znasz Dermota - odparła. Dla niego nigdy nie ma nic pilnego. Chyba się obawia, że ludzie łączą nasze nazwiska.

- Ale naprawdę powinien być z tego dumny - powiedziałem.

Zacisnęła wargi, jej oczy wypełniły się łzami i smutno pokręciła głową. Miałem ochotę pójść do tego irytującego doktora Dermota, złapać go za chude ramiona i potrząsnąć nim ile sił. Dlaczego robił przykrość takiej przyzwoitej kobiecie jak Hanna Harty? Każdy normalny mężczyzna byłby dumny, mogąc jej towarzyszyć. A może nawet spędzić z nią życie.

Zaledwie ta myśl przemknęła mi przez głowę, pojawiła się następna: Hanna Harty jest o wiele za dobra dla tego małego szczura. Sam chętnie widywałem się częściej z taką kobietą. Dziwiło mnie, dlaczego nie uświadomiłem sobie tego wcześniej.

Miałem nadzieję, że nie uważa mnie wyłącznie za powiernika, przez co nigdy nie dostrzeże we mnie mężczyzny. Cóż, nie dowiem się tego, póki nie przyspieszę trochę biegu rzeczy. Zaproponowałem więc, żebyśmy nazajutrz, gdy odbierze papiery doktora Dermota, wybrali się we dwoje na przejażdżkę.

- Jeśli go nie będzie, naturalnie - zastrzegła Hanna.

Nie było go, zatem pojechaliśmy zwiedzić stary zamek i wódzopad w pobliżu. W następnym tygodniu obejrzelśmy wystawę dzieł sztuki, a jeszcze tydzień później byliśmy razem na weselu córki Finna Fergusona. Hanna nieporównanie mniej mówiła o doktorze Dermocie, a jej nazwisko zaczęto zdecydowanie łączyć z moim, kojarzyć z moim czy jakkolwiek to tutaj określano.

Trzymiesięczny pobyt przeciągnął się do pół roku. Pomimo wzmoczonych starań Finna, kierującego pracami, budowa zdawała się przedłużać w nieskończoność. Coraz rzadziej myślałem o powrocie do Ameryki i przedsiębiorstwa Kovaców. Zatrzymywało mnie tutaj mnóstwo spraw. Pragnąłem, by imię naszego dziadka patronowało znakomitemu ośrodkowi, sercu tej społeczności, którą tak kochał i za którą tak tęsknił w Ameryce.

Zawiadomilem braci, że najprawdopodobniej zostanę tu na stałe. Ucieszyli się i zapewnili, że doskonale dadzą sobie radę beze mnie i że już dawno zrozumieli, iż zaangażowałem się

głęboko w różne sprawy w Irlandii. Nie wiedzieli jednak, jak mocno jestem zaangażowany.

I nic mieli pojęcia o istnieniu Hanny Harty.

Bardzo mi pomogła w wielu kwestiach: znalazła projektanta, by opracował kojący wystrój wnętrz, nakloniła zięcia Finna do zajęcia się architekturą krajobrazu, urządziła kolacje, na które zapraszała Ciarana Browna z banku i jego żonę oraz prawnika Seana Kenny'ego z żoną. A także Maggie Kiernan z mężem, gdy udało im się znaleźć opiekunkę do dziecka.

Kilka razy próbowała też zaprosić doktora Dermota, lecz nigdy nie miał czasu. Później już się do niego nie zwracała.

Pewnego dnia zagadnął mnie o ośrodek. Nie zmienił się wcale, nadal był ogromnie z siebie zadowolony. Słyszał, że w otwarciu ma uczestniczyć jakiś minister. Sama myśl o tym wydawała mu się zabawna. Czy wysocy urzędnicy państwowi nie mają nic lepszego do roboty?

Przypomniałem mu, że przy kilku okazjach proponowałem, by przeniósł do ośrodka swój gabinet. Pomyślałem, że mając specjalistyczną aparaturę na miejscu, mógłby wreszcie zacząć wysyłać pacjentów na badania i analizy, których potrzebują. Ale mnie nie słuchał.

Wyśmiał nawet ten pomysł, mówiąc, że ma własną w pełni wystarczającą praktykę lekarską i uprzejmie dziękuje.

Uprzedziłem, że złożę propozycje innym lekarzom, na co życzył mi powodzenia w wyciąganiu pieniędzy od idiotów i nieudaczników. Oczywiście nie robiłem nic podobnego. Ośrodek Zdrowia imienia Danny'ego O'Neilla miał zapewnić mieszkańcom tej okolicy właściwą opiekę medyczną, żeby nie było z nimi tak, jak z moim dziadkiem i jego licznym rodzeństwem rozproszonym po całym świecie. Żadne nie cieszyło się dobrym zdrowiem, rozpoczynając nowe życie w nowym kraju.

Dopiero gdy się okazało, że prawdziwy minister istotnie zamierza przyjechać i otworzyć ośrodek, doktor Dermot objawił pewne zainteresowanie.

- Przypuszczam, że ta lecznica stanie się dla ciebie żyłą złotą, Chester - zauważył ze swoim zwykłym drwiącym uśmiechem.

Nie było warto z nim się spierać. Nie należał do ludzi zdolnych zrozumieć, że włożyłem w to przedsięwzięcie własne pieniądze, zaprosiłem innych do współuczestnictwa i zebrałem zespół. Wyjaśnienie, że nie robiłem tego dla zysku, nie mieściło mu się w głowic.

- Ach, wie pan, jak to jest. - Wzruszyłem ramionami. Nauczyłem się kilku takich nic nieznaczących zwrotów, odkąd przyjechałem do tego kraju.

- Bynajmniej nie wiem, jak to jest, bo o wszystkim, co się tutaj dzieje, dowiaduję się ostatni - burknął doktor. - Dzisiaj rano pewna pacjentka powiedziała mi, że masz jakieś zamiary względem panny Harty. O tym też wcześniej nic słyszałem.

- Istotnie, darzę Hannę Harty głębokim podziwem, pańska pacjentka nic została błędnie poinformowana - oznajmiłem z emfazą.

- C ó ż , dopóki jest to podziw okazywany z daleka, nikomu nie przeszkadza.

Dawał mi sygnał ostrzegawczy, uzurpując sobie prawa do kobiety, którą dotychczas ignorował i upokarzał. Poczulem, jak żółć podchodzi mi do gardła. Ale udało mi się zająć w życiu daleko dzięki temu, że potrafiłem zapanować nad sobą. Nie mogłem teraz narażać na szwank wszystkiego, co osiągnąłem. I zdałem sobie sprawę, że wzbiera we mnie prymitywna wściekłość na tego człowieka jako rywala.

Zbyt często jednak widywałem, jak wiele ludzie tracą z powodu gniewu. Nie zamierzałem folgować złości.

- M u s z ę już iść, doktorze Dermot - powiedziałem głosem, który mnie samemu wydał się zduszony.

Obdarzył mnie pełnym wyższości i niezmiernie irytującym uśmiechem.

- Ależ oczywiście - zgodził się, unosząc szklankę. - Oczywiście.

Cały rozdygotany przeszedłem przez plac. Złoty przyłączył się do mnie dla towarzystwa albo żeby dodać mi otuchy - nie byłem pewien. Jeszcze nigdy nie czułem takiej wrogości wobec innego mężczyzny. Nigdy w życiu. Oznaczało to, że żadnej kobiety nie darzyłem dotychczas tak silnym uczuciem. Nie miałem jednak pojęcia, czy ona czuje coś choć trochę podobnego. Spokojna, łagodna, dystyngowana Hanna — może myślała o mnie tylko jak o sympatycznym znajomym.

Jakim ja muszę być żalonym osobnikiem. Nie wiem nawet, czy ta kobieta choć odrobinę mnie lubi.

Uświadomiłem sobie, że zmierzam prosto do eleganckiego, okrytego bluszczem domu, w którym mieszkała samotnie. Jej dziadkowie też zapewne tam mieszkali, kiedy mój biedny dziadek pakował swoje skromne manatki i opuszczał nędzną rudere, która teraz miała się stać częścią Ośrodka Zdrowia imienia Danny'ego O'Neilla.

Hanna była zaskoczona, gdy mnie zobaczyła. Nigdy przedtem nie zdarzyło mi się przyjść bez uprzedzenia. Ale zaprosiła mnie do środka i nalala kieliszek wina. Wydawała się raczej zadowolona niż zirytowana na mój widok. Dobry znak.

- Zastanawiałem się, Hanno... - zacząłem.

- Nad czym się zastanawiałeś? - Przechyliła głowę na bok.

Jestem zupełnie beznadziejny w takich sprawach. Niektórzy mężczyźni wiedzą, co powiedzieć, znajdują właściwe słowa. Z drugiej strony jednak Hanna nie знаła takich mężczyzn, no bo podobał jej się ten wredny doktor. Musiałem po prostu być szczery i uczciwy.

- Zastanawiałem się, czy potrafisz wyobrazić sobie przyszłość z kimś takim jak ja - rzekłem otwarcie.

- Z kimś takim jak ty, Chester... czy z tobą? - Teraz już trochę kpila.

- Ze mną, Hanno - odparłem krótko.

Odsunęła się nieco ode mnie w tym swoim wytwornym salonie.

- Jestem dla ciebie o wiele za stara - powiedziała smutno.

- Jesteś o dwa i pół roku starsza ode mnie - uściśliłem.

Uśmiechnęła się, jakbym był brzdącem, który wygłosił rozbijającą uwagę.

- No tak, ale zanim się urodziłeś, ja już się tu kręciłam i przypatrywałam światu.

- M o ż e czekałaś, żebym się wreszcie przyłączył? - podsunąłem z nadzieją.

- Cóż, jeśli czekałam na ciebie, Chester, to czekanie zajęło mi dużo czasu - oświadczyła.

1 wtedy zrozumiałem, że wszystko będzie dobrze. Cała złość na doktora Dermota minęła. O co miałem się na niego wściekać?

Gdyby nie on, może nigdy nie przeszedłbym na drugą stronę ulicy, by rozmówić się z Hanną. Może znowu przepuściłbym okazję, jak mi się zdarzało w przeszłości.

- Czy będę musiała zamieszkać w Ameryce? - spytała.

- Nie, wolalbym zostać tutaj. Chciałbym zobaczyć, jak działa ośrodek, przekonać się, czy w ogóle powstanie ta szosa wokół Rossmore i czy zasypią studnię Świętej Anny. Fascynuje mnie to miejsce i życie tutaj, z tobą, byłoby... no cóż, byłoby spełnieniem moich najśmielszych marzeń.

Wydawała się bardzo zadowolona.

- Mam jednak nadzieję, że pojedziesz do Ameryki poznać moją rodzinę - dodałem.

- Będą przerażeni, jak mnie zobaczą - powiedziała, nerwowo przyglądając włosy.

- Pokochają cię, a moja mama będzie uszczęśliwiona. Mówiła, że może znajdzie sobie tu dziewczynę - wyznałem.

- O, nieco podstarzała ta dziewczyna - zauważyła.

- Proszę cię, Hanno... - zacząłem, a ona podeszła, żeby zaciągnąć zasłony w dużym wykuszowym oknie z widokiem na plac.

Zanim to zrobiła, dostrzegłem doktora Dermota wychodzącego z hotelu. Przystanął i spojrzął na okna Hanny, po czym odwrócił się i ruszył w stronę własnego pustego domu. Niewie-

le życia zawodowego mu pozostało. Po otwarciu w Doon Ośrodka Zdrowia imienia Danny'ego O'Neilla raczej nie będzie zapotrzebowania na staroświeckie, nieudolne porady medyczne Dermota. A teraz utracił kobietę, która mogła uczynić znośnymi jego ostatnie lata.

Wiem, wszyscy zawsze mówili, że mam zbyt łagodne usposobienie i myślę o każdym jak najlepiej.

Ale naprawdę żał mi było tego faceta.



Droga, lasy i studnia — 2

Ksiądz Flynn wyjechał na stację po swoją siostrę Judy. Nie odwiedzała rodzinnych stron od dziesięciu lat i ten czas odcisnął wyraźne piętno na jej twarzy. Brian był wstrząśnięty jej bladością i mizernym wyglądem. Judy miała pewnie trzydzieści dziewięć, może czterdzieści lat. A sprawiała wrażenie, jakby przekroczyła pięćdziesiątkę.

Dostrzegła brata i mu pomachała.

- Bardzo ładnie z twojej strony, że po mnie przyjechałeś! — Uścisnęła go.

- Przykro mi tylko, że nie mogę ci zaoferować noclegu. To okropne, musisz płacić za hotel, choć masz w Rossmore matkę i dwóch braci.

- Czy mama w ogóle mnie rozpozna, Brian?

- O tak, na swój sposób - odparł.

- Co dokładnie masz na myśli?

Zapomniał już, jak bezpośrednio potrafi być jego siostra.

- Nie wiem, Judy, chyba mówię takie rzeczy, aby uniknąć konkretnej odpowiedzi, po prostu.

Z czułością ścisnęła go za ramię.

- Zawsze byłeś kochany - powiedziała. - Przykro mi, że tak długo nie przyjeżdżałam. Bez przerwy przeszkadzały mi w tym jakieś duperele.

- Ale pisywałaś regularnie i troszczyłaś się o mamę - przypominał.

Judy poweselała.

- A teraz zabierz mnie na wycieczkę po Rossmore, niech zobaczą, co się zmieniło, i pokaż mi najlepszego fryzjera.

- Jest taki bardzo elegancki salon U Fabiana, choć właściciel wcale się tak nie nazywa. Chodziłem z nim do szkoły i nosił wtedy zupełnie inne nazwisko, ale podobno klienci zjeżdżają się do niego ze wszystkich stron.

- Dobrze. Zapamiętam. Bo widzisz, oprócz wiary w pomoc świętej Anny zamierzam przygotować drugi kierunek ataku: sprawić sobie nowe stroje i zmienić uczesanie. Zadbaj o siebie, jak to mówią.

- Szukasz męża właśnie tutaj? - Brian Flynn nie posiadał się ze zdumienia.

- A n o tak. Czemuż by nie? Przez te dziesięć lat w Londynie niespecjalnie mi się powiodło.

- Zrobiłaś karierę zawodową.

Judy była ilustratorką książek dla dzieci.

- Tak, ale nie proszę świętej Anny o karierę - odparła żywo.

- Mój Boże, spójrz tylko na ten ruch. Przypomina mi Hyde Park Corner.

- Może to już nie potrwa długo. Wiele się mówi o nowej drodze, przede wszystkim żeby ciężarówki przestały jeździć przez miasto. I żeby ruch tranzytowy nie blokował naszych uliczek.

- Czy to dojdzie do skutku, czy tylko tak gadają?

- Myślę, że dojdzie do skutku. Rzecz jasna, jeśli uwierzyć w połowę tego, co piszą w gazetach. Trwa debata, ludzie wysuwają mocne argumenty za i przeciw.

- A twoim zdaniem byłoby to dobrze czy źle?

- Nie wiem, Judy, naprawdę nie wiem. Ma przebiegać przez Głogowy Gaj i prawdopodobnie przez studnię Świętej Anny.

- W i ę c przyjechałam w samą porę - oznajmiła Judy z pośpęną determinacją, która sprawiła, że jej brat Brian poczuł się bardzo nieswojo.

Judy patrzyła ze zdumieniem, jak co druga osoba pozdrowia Briana na zatłoczonej Castle Street, gdy zaparkowali sa-

mochód i ruszyli w stronę hotelu. Jakaś kobieta zeszła po schodach prowadzących do redakcji miejscowej gazety i uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Witaj, Lilly - powiedział ksiądz Flynn.

- To zapewne siostra księdza - odrzekła uradowana.

- Dobrze, że on nie ma żadnej damy serca - powiedziała Judy. - Wiedziano by o tym w dziesięć sekund.

- Wykluczone, ksiądz Flynn to święty człowiek - zaprotestowała zgorzozona Lilly Ryan.

I wtedy Judy ją poznała. Kobietę, której dziecko zaginęło przed wielu laty. Judy pamiętała, jak setki ludzi wyruszyły w głąb **Głogowego** Gaju szukać ciała lub modlić się przy studni. Poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Poczula się niezręcznie, co - jak przypuszczała - musiało odbić się na jej twarzy. Lilly Ryan jednak zdążyła do tego przywyknąć przez dwadzieścia lat. Dwie dekady, podczas których ludzie przestępowali z nogi na nogę i bali się wspomnieć o tej wielkiej stracie, żeby nie powiedzieć czegoś niewłaściwego.

- Próbuje zebrać się na odwagę i złożyć wizytę matce - wyznała Judy. - Obawiam się, że rodzina zrzuciła najcięższą robotę na Briana.

- Niech pani to zrobi w pierwszej kolejności - doradziła Lilly. - Łatwiej jest od razu stawić czoło temu, co najtrudniejsze.

- Chyba ma pani rację - zgodziła się Judy. - Brian, czy mógłbyś zostawić mój bagaż w hotelu? Pójdę do mamy teraz.

- Pójdę z tobą - zaproponował.

- Nie, wolę to zrobić sama. Powodzenia, Lilly.

Odprowadzili Judy spojrzeniem, gdy skręciła w boczną uliczkę, przy której mieszkała pani Flynn.

- Lepiej ją dogonię... - zaczął Brian.

Lilly przypomniała mu jednak, że Judy chciała zrobić to sama. Wzruszył zatem ramionami i zaniósł walizkę siostry do hotelu. Postanowił usiąść w jednym z głębokich foteli i zachełkać na powrót Judy, a potem postawić jej mocnego drinka, którego niewątpliwie będzie potrzebowała.

Pani Flynn w istocie nie miała pojęcia, kim jest Judy, i nie poznała jej mimo ponawianych prób przypomnienia. Uważała ją za pielęgniarkę środowiskową i z niecierpliwością czekała, aż sobie pójdzie.

Judy rozejrzała się, zdesperowana, po pokoju, lecz ani na ścianach, ani w ramach na starym biurku nie było żadnych fotografii. Biedny Brian robił, co w jego mocy, by utrzymać w tym domu jaki taki porządek i raz w tygodniu zabierał brudne rzeczy do pralni, ale Judy wyczuła zapach stęchlizny i zauważyła, że jej matka jest bardzo zaniedbana. Od lat Judy wysyłała raz w miesiącu czek bratu i wiedziała, że Brian przeznaczał te pieniądze na zakupy dla mamy. Lecz żelazko stało nieużywane, a na fotelu piętrzyła się sterta gazet. Pani Flynn nie była zwolenniczką domowych wygod.

- Na pewno mnie pamiętasz, mamó. Jestem Judy, twoje drugie dziecko. Młodsze niż Eddie, starsze niż Brian.

- Brian? - Spojrzenie matki było pozbawione wyrazu.

- Przecież pamiętasz Briana, przychodzi co rano, żeby dać ci śniadanie.

- Wcale nie, to z Posiłków na Kólkach. - Głos matki brzmiał stanowczo.

- Nie, mamó, oni przynoszą lunch. Brian codziennie rano gotuje dla ciebie jajko.

- To on tak twierdzi. - Matka nie dawała się przekonać.

- A pamiętasz Eddiego?

- Oczywiście, że pamiętam, myślisz, że jestem niespełna rozumu czy coś takiego? Nie chciał mnie słuchać, ożenił się z tą Kitty, zupełnie do niczego, ona i cała jej rodzina. Nic dziwnego, że stało się to, co się stało.

- Stało się to, że Eddie porzucił ją dla młodszej.

- Niech ci Bóg przebaczy, kimkolwiek jesteś! Żeby mówić takie rzeczy o naszej rodzinie! To Kitty wyrzuciła mojego syna i zagarnęła jego dom, zwróć uwagę. - Usta matki zacisnęły się w wąską kreskę.

- Co na ten temat mówi Brian?

- N i e znam żadnego Briana.
- A czy nie masz też córki?
- Mam, robi w Anglii jakieś rysunki. Nigdy się ze mną nie kontaktuje.

Więc tak wyglądało podziękowanie za cotygodniowy list albo kartkę, za comiesięczny czek dla Briana. Nigdy się nie kontaktuje!

- Jestem twoją córką, mam, jestem Judy, na pewno mnie poznajesz.

- Nie opowiadaj głupstw, moja córka to młoda dziewczyna, a ty jesteś kobietą w średnim wieku, jak ja.

Wracając do hotelu, Judy doszła do wniosku, że wizyta u eleganckiego fryzjera, takiego jak ten Fabian, już dawno była jej potrzebna. Przystanęła nawet przed nowym salonem piękności o nazwie Pompadours. Nie od rzeczy byłoby także zafundować sobie manikiur i serię zabiegów kosmetycznych. Judy odłożyła znaczną sumę pieniędzy na ten wyjazd, a święta Anna mogła potrzebować drobnej pomocy przy umieszczaniu jej na rynku matrymonialnym.

Brian okazał się doskonałym przewodnikiem. Nic tylko poszedł z nią do Fabiana i Pompadours, gdzie umówiła się na wizyty, ale pokazał jej również bardzo wytworny butik.

- C z y to nie tutaj pracowała Becca King? - spytała Judy.
- Na miłość boską, nie wspominaj o Becce King - poprosił, rozglądając się na boki.
- O rety, dlaczego?
- Siedzi w więzieniu. Nakloniła jednego z dostawców, żeby zamordował nową ukochaną jej chłopaka.
- Mój Boże, a ludzie mówią, że życie w Londynie jest ryzykowne! - powiedziała Judy ze zdumieniem w głosie.

Brian Flynn zaprowadził siostrę na spotkanie z kanonikiem. Josef i Anna przygotowali na cześć gościa zgrabne kanapeczki. Wszystko na plebani i aż lśniło, a staruszek wyglądał świeżo i czysto. W przeciwieństwie do jej matki dobrze pamiętał Judy. Przy nim przystępowała do pierwszej komunii, był

świadkiem bierzmowania, którego biskup udzielał dziewczętom ze Świętej Ity i choć dawno zapomniał o jej dziecięcych grzechach, to właśnie on słuchał jej spowiedzi.

- Nie miałem jeszcze przyjemności dawania ci ślubu - powiedział kanonik Cassidy, popijając herbatę i zagryzając wykwintną kanapkę.

- Nie, ale to już niedługo - odparła Judy. - Zamierzam odprawić nowennę do świętej Anny. Będę się modliła w jej grocie przez dziewięć dni, żeby znalazła dla mnie dobrego męża.

- Żadna kobieta nie nadaje się do tego lepiej niż święta Anna - potwierdził kanonik z nienaruszoną, prostą wiarą i pewnością.

Ksiądz Flynn zazdrościł mu z całej duszy.

- Powinam teraz pójść zobaczyć się z bratową - westchnęła Judy.

- N i e rób sobie zbyt wielkich nadziei - ostrzegł Brian.

- Jak myślisz, co byłoby dla niej najmniej irytującym prezentem? - zapytała.

- N i e c h się zastanowię. Kwiaty to godna pożałowania strata pieniędzy, od słodyczy dzieciom psują się zęby. Czasopisma są pełne bzdur, książkę można wypożyczyć z biblioteki. Zanieś jej bochenek chleba i pół funta szynki, może zrobi ci kanapkę.

- Jest aż tak źle?

- Gorzej - odparł ksiądz Flynn.

Nie był w dobrym humorze. Dowiedział się, że za dziesięć dni ma się odbyć publiczne zebranie, wielkie zebranie protestacyjne, a on zostanie poproszony o zabranie głosu. Wielu mieszkańców mówiło mu, że z napięciem oczekują jego słów. Tymczasem on nic mógł znaleźć tych właściwych.

Po prostu nie potrafił się zdobyć na to, by stanąć i potępić plany mające na celu poprawę ruchu drogowego oraz jakości życia wielu ludzi tylko dlatego, że zniszczono by przy tym absolutnie okropny posąg, który budził niebezpiecznie bałwochwalcze uczucia wśród parafian.

Czy kanonikowi Cassidy'emu łatwiej się żyło, kiedy był wikarym? Czy może sprawy zawsze tak wyglądały? Może

w wypadku księdza wszystko wiązało się ze sferą jego działalności?

Pocieszał się jednak z właściwym sobie optymizmem, że ta droga to na razie tylko pogłoski. Nie było dotychczas oficjalnego potwierdzenia. A do zebrania pozostało jeszcze dziesięć dni. Miał mnóstwo czasu, by wymyślić, co powiedzieć. Tymczasem musiał się zmierzyć z wieloma innymi, bliższymi sercu problemami.

Na przykład takimi, jak rozmawiać z Judy, jeśli święta Anna nie ześle jej męża. Jak powinni stawić czoło pogłębiającym się kłopotom zdrowotnym matki. Jak długo jeszcze kanonik Cassidy może pozostać z tytułem proboszcza na plebanii. Albo jak nazajutrz odwiedzić po raz kolejny Aidana Ryana w więzieniu i spróbować go przekonać, że jego żona nic jest nikczemnicą, która sprzedała ich dziecko.

A przede wszystkim, co może się wydarzyć podczas popołudniowego spotkania pełnej gniewu Kitty ze zgorzkniałą, zmęczoną życiem Judy.

Westchnął ciężko i przegarnął palcami swoje rude, nastroszone włosy, otaczające głowę niczym zwariowana punkowa aureola.

Jak się okazało, Kitty i Judy dogadały się znakomicie. W swoim czasie.

Judy postanowiła ofiarować bratowej w prezencie fryzurę u Fabiana. W pierwszej chwili Kitty parsknęła szyderczym śmiechem i oznajmiła, że Fabian nie jest dla takich kobiet jak one. Judy wyjaśniła, że prosi ją o towarzystwo w ramach solidarności.

- Żeby potraktować mnie protekcyjnie - mruknęła drwiąco Kitty.

- W c a l e nie. To, że Eddie zachował się wobec ciebie skandalicznie, nie oznacza, że Brian i ja też tak postępujemy. Nic było mnie tu od lat i chciałam ci przynieść wielkie pudło czekoladek, ale pomyślałam, że możesz uznać słodczyce za szkodliwe dla dzieci, ze względu na zęby, więc postanowiłam podarować ci coś, czego sama sobie nie kupisz.

- Musisz mieć pieniędzy jak lodu. - Kitty wciąż chowała urazę.

- Nie, ale bardzo ciężko pracuję i długo oszczędzałam na ten przyjazd do domu.

- No i co cię tu w końcu sprowadziło? - Kitty nie dała się jeszcze przekonać.

- Chcę wyjść za mąż, Kitty. Po prostu. W Londynie nie mogę znaleźć nikogo prócz żonatych mężczyzn, a nie muszę ci mówić, jaka to niemądra droga. Poznałaś ją od drugiej strony. Więc pomyślałam, że może jeśli będę przez dziewięć dni chodziła do studni Świętej Anny... - Zawiesiła głos.

- Kpisz sobie ze mnie. Przyjechałaś z tego swojego Londynu, żeby się z nas wyśmiewać.

- Tak się składa, że nie, naprawdę życie jest zbyt krótkie, nie warto go sobie rujnować. Jeśli jednak tak chcesz myśleć, to nic już nie poradzę.

Z jakiegoś powodu te słowa poskutkowały. Kitty odezwała się tonem, jakim nie mówiła od dawna.

- Jeśli podtrzymujesz propozycję, bardzo chętnie zmienię fryzurę. Ta mała zdzira Naomi, z którą odszedł twój brat, ma włosy jak szurcze ogony. Coś takiego może dodać mi energii...

Gdy ksiądz Flynn wrócił na plebanie, czekała tam na niego nowa delegacja. Z prośbą o poparcie dla drugiej strony coraz głębszego konfliktu. Grupa zatroskanych obywateli zamierzała zorganizować pochód ze świecami przez miasto, w ramach kampanii na rzecz budowy drogi mającej położyć kres niebezpiecznemu ruchowi samochodowemu, który przetaczał się przez Rossmore. **Ten** ruch stał się już przyczyną licznych wypadków, a wśród nich i śmierci pięcioletniego dziecka. Chcieli, by ksiądz Flynn pomaszerował na czele procesji.

Świetnie, powiedział do siebie, po prostu świetnie. Nawet nie udzieliłem jeszcze odpowiedzi tamtej grupie.

A potem czoło mu się wygładziło. Może to jest wyjście - oznajmić, że Kościół w żadnym razie nie powinien się wtrą-

cać do lokalnej polityki. Salomonowa mądrość czy unik słabeo człowieka? Tego mógł się nigdy nie dowiedzieć.

Właściwie pragnął, by wszystko ostatecznie się wyjaśniło. Te mętne pogłoski były bardzo niepokojące. Codziennie dolewano oliwy do ognia domysłów. Ludzie mówili, że ktoś widział przedstawicieli dużych firm budowlanych na obiedzie w hotelu Rossmore. Oznaczałoby to, że decyzja w sprawie drogi już zapadła - pozostawała tylko kwestia, kto ją wybuduje.

Farmerzy posiadający ziemię w bezpośrednim sąsiedztwie lasu zadzierali nosa. Ziemia, która kiedyś ledwo pozwalała związać koniec z końcem, teraz wreszcie nabierała jakiejś wartości. Sztuka polegała na tym, by szybko sprzedać parcelę jakiemuś spekulantowi. Zwłaszcza gdy miało się kilka hektarów nieobjętych nakazem wywłaszczenia, lecz wysoce wartościowych z uwagi na położenie. Wyglądało na to, że dokądkolwiek człowiek się udał, wszędzie słyszał glosy. A każdy z uczestników dyskusji miał coś innego do powiedzenia.

Właściciel warsztatu samochodowego ubolewał nad swoim losem. Droga, jeśli powstanie, ostatecznie dobije jego firmę. Już i tak klientom trudno było zaparkować w pobliżu, a powrót na szosę przypominał rosyjską ruletkę.

Właścicielka małego pensjonatu na obrzeżach miasta zaczęła szykować nowe łazienki i powiększać salę śniadaniową, gdy tylko wydano pozwolenie na budowę nowej trasy. Przewidywała niekończącą się kolejkę inżynierów, ekspertów i specjalistów poszukujących kwater niedaleko terenu budowy.

W telewizji odbywały się debaty na temat oplakanego stanu irlandzkich dróg; nowo wzbogacony kraj nie pozostanie zbyt długo zamożny, jeśli eksporterzy z Europy zastaną tu tylko zakorkowane uliczki rodem z Trzeciego Świata i będą mieli wieczne opóźnienia w dostarczaniu towarów do miejsca przeznaczenia. Turystyka ucierpi, jeśli goście nie zdołają dotrzeć na czas tam, gdzie chcą, bo będą się wlec wynajętym samochodem za traktorem albo jakąś wielką, ocieżalą maszyną rolniczą.

Przedsiębiorstwa w rodzaju pralni wprost nie mogły się doczekać obwodnicy. Turyści i tak nic zwiększali ich obrotów. A właściciele salonu **fryzjerskiego** U Fabiana uważali, że ich sytuacja się poprawi, jeśli klienci będą mieli gdzie parkować samochody.

Ale centrum ogrodnicze na obrzeżach miasta nie chciało drogi. W tej niewielkiej firmie zatrzymywały się osoby podróżujące ze wschodu na zachód - aby rozprostować nogi, zajrzeć do kafejki i być może załadować samochód roślinami kwiatkowymi lub ozdobnie zapakowanymi azaliami dla tych, do których jechali w odwiedzin. Po przeprowadzeniu obwodnicy nikt by już tędy nie przejeżdżał.

Byli też tacy ludzie, jak pracownicy hotelu albo Skunks Slatery czy panna Gwen z Pompadours, którzy po prostu nie wiedzieli.

Zyski i straty równoważyły się wzajemnie.

Przedsiębiorcy utraciliby przejeżdżną klientelę, ponieważ nikt już by koło nich nie przejeżdżał. Mogło to jednak oznaczać, że miejscowi zyskają silniejszą motywację, by dokonywać zakupów, zadbać o urodę lub zjeść lunch w hotelu, wiedząc, że wystarczy dla nich miejsca i nie rozjedzie ich na drodze niecierpliwego kierowcy ciężarówki.

Ale były także setki ludzi, którym pomogła święta Anna. Nie mogli uwierzyć, że ich krajanie i krajanki gotowi są odwrócić się plecami do patronki i pozwolić, by zburzono jej grotę. Mówiono o takich, którzy zamierzają kłaść się przed buldożerami, gdyby wjechały do lasu, i zablokować wszystkie maszyny do robót ziemnych.

Przynajmniej tyle mogli zrobić, żeby podziękować swojej świętej za wszystkie cuda, jakie się zdarzyły za pośrednictwem jej studni. Tak naprawdę nie miało znaczenia, że owe cuda nie zostały uznane i potwierdzone przez Rzym, jak te z Fatimy czy Lourdes. Tutejsi mieszkańcy wiedzieli swoje. I wiedzieli też przybysze z dalekich stron.

Czyż nie przybywali tłumnie zza morza?

A mimo to zachłanni, lasi na zysk ludzie gotowi byli zignorować owo błogosławieństwo, które tak licznym rzeszom dało tak wicie, aby tylko przyspieszyć ruch aut i zarobić jeszcze więcej, niż już zarobili.

Kanonik był zupełnie nieświadom zaistniałych problemów i oświadczył jedynie, że trzeba się modlić o wskazówki w tej i każdej innej sprawie. Josef i Anna zwrócili uwagę księdzu Flynnowi, że ich zdaniem staruszek potrzebuje całodobowej opieki.

- Nie chodzi mi o dodatkowe godziny pracy, proszę księdza - wyjaśnił Josef - Po prostu ksiądz powinien wiedzieć. No i oczywiście ciągle się obawiam, że pewnego dnia usłyszę, iż kanonik przenosi się do domu spokojnej starości i nic będzie już dla mnie zajęcia. Mam nadzieję, że nie jest to z mojej strony egoizm, ale chcę być przygotowany.

Ksiądz Flynn odrzekł, że dobrze go rozumie i że istotnie trudno coś konkretnego przedsięwziąć. Kanonik wydawał się zadowolony z obecnego życia i szkoda byłoby go stąd zabierać. Jego istnienie traciło sens poza plebanią. Oczywiście, jeśli naprawdę potrzebował troskliwszej opieki, należało mu ją zapewnić.

- Po prostu myślałem o znalezieniu pracy przy budowie drogi - wyjaśnił Josef

- Chcesz powiedzieć, że szosa rzeczywiście powstanie?
- Ksiądz Flynn był zdumiony.

- Mam polskich przyjaciół, którzy mówią, że tak. Zatrzymają się u nas i nie uwierzyłby ksiądz, ile pieniędzy zarobią przy tej budowie. - Na twarzy Josefa malowały się rozmarzenie i nadzieja.

- T a k , ale to tylko pieniądze, Josefie.

- Za te pieniądze moi bracia na Łotwie mogliby kupić sklepik. My tutaj mamy wszystko, czego nam potrzeba, a oni mają tak niewiele.

Bez konkretnej przyczyny ksiądz Flynn pomyślał o swoim przyjacielu Jamesie O'Connorze, który otrzymał święcenia tego samego dnia co on. James zrezygnował z kapłaństwa, ożenił się z Rosie, miał dwóch synków. Pracował jako informatyk

i twierdził, że to wspaniała, łatwa robota, którą zostawiało się za sobą po powrocie z biura do domu.

Żadnego stawania w obronie tego, czego nic da się usprawiedliwić, ani milczenia w sprawach, które człowieka obchodzą. Zupełnie co innego niż praca w parafii. Ksiądz Flynn pomyślał, że to by mu się bardzo podobało.

Naprawdę bardzo.

Skunks Slattery uniósł głowę, gdy do jego sklepu weszła Kitty Flynn w towarzystwie eleganckiej kobiety, której nigdy przedtem nie widział.

- Jak się masz, Skunks? - zagadnęła Kitty. - Weźmiemy parę ilustrowanych czasopism, bo wybieramy się do Fabiana, by odmienić swój wygląd.

- Powodzenia, Kitty. Nigdy nie jest na to za późno, że tak powiem - odparł Skunks niezbyt szarmancko.

- Pochlebstwa to jego specjalność - zauważyła Kitty.

- N i e przedstawiś mnie przyjaciółce? - spytał Skunks.

- To nie jest moja przyjaciółka, Skunks, tylko szwagierka. Nie pamiętasz jej?

- Kitty też potrafi człowiekowi pochlebić - włączyła się Judy. - Jestem Judy Flynn, nawiasem mówiąc. Siostra Briana i Eddiego.

- Bardzo mi miło, jestem Sebastian Slattery - oznajmił Skunks.

- W c a l e nie! - Kitty posprzeczałaby się nawet z własnym cieniem. - Jesteś Skunks, zawsze nim byłeś i będziesz.

Skunks i Judy wymienili strapione spojrzenia, podczas gdy Kitty buszowała w ilustrowanych magazynach.

- Zdumiewające, że dotychczas pani nie spotkałem, czy zostanie tu pani na dłużej?

- Tyle, ile będzie trzeba - odparła Judy tajemniczo.

Do księdza Flynnna podeszła Naomi. Zazwyczaj trzymała się od niego z daleka. Naomi przywykła do omijania ludzi - ist-

niała dość liczna grupa osób, których musiała unikać. Osób takich jak Kitty, żona Eddiego, dzieci Eddiego, jego matka oraz, rzecz jasna, jego brat Brian, miejscowy ksiądz.

- Przepraszam cię, Brian - zaczęła.

Ksiądz Flynn omal nie padł trupem z wrażenia.

- Tak... ehm... Naomi. - Czego, na litość boską, mogła chcieć ta dziewczyna?

- Brian, zastanawiałam się, czy nie wyjaśniłbyś mi, w jaki sposób Eddie może uzyskać unieważnienie małżeństwa.

- To byłoby bardzo trudne, Naomi — odparł.

- Nie, ja wiem, że to da się załatwić, pytanie tylko jak. - Utkwiła w nim wielkie oczy dziewiętnastolatki.

- Nie ma takiej możliwości - oświadczył. - Unieważnienie oznacza, że małżeństwo nie istniało, ja zaś muszę podkreślić, iż małżeństwo Eddiego i Kitty jak najbardziej istniało, a jego owocem jest czwórka dzieci.

- To nie było prawdziwe małżeństwo - zaoponowała.

- Było, Naomi. Zawarte, jeszcze zanim się urodziłaś. W mojej obecności. Nie możesz mówić, że taki fakt nie nastąpił, skoro nastąpił. Czy wypomniałem ci choć słowem, że żyjesz z Eddie? Nie. To twoja sprawa, twoja i jego, ale nie mieszaj do tego Kościoła i reguł prawa kanonicznego, proszę.

- On wtedy nic wiedział, czego chce, miał dopiero dwadzieścia lat, na miłość boską. Co dwudziestoletni chłopak może wiedzieć o posiadaniu żony i dzieci? Nie powinno mu się było na to pozwolić.

- Co cię do tego skłania, Naomi? - Głos Briana brzmiał spokojnie. Sprawa nie wydawała się o wiele gorsza niż wszystko, co ostatnio działo się wokół niego. Miło byłoby jednak wiedzieć, dlaczego po dwóch latach ta dziewczyna zapragnęła legalizacji związku oraz aprobaty Kościoła i państwa.

- Po prostu zależy mi na jawnym i uczciwym postawieniu sprawy... - zaczęła.

- Naprawdę? - Ksiądz Flynn miał pewne wątpliwości.

- Poza tym, widzisz, moi rodzice odkryli, że już nie **Studu-**

ję, a myśleli, że uczęszczam do college'u i zrobili się trochę dokuczliwi. . .

- Tak, z pewnością.

- No więc powiedziałam im, że zamierzam wyjść za mąż za Eddiego i teraz znowu są uszczęśliwieni, szykują się do wesela, dlatego trzeba to jakoś zorganizować, rozumiesz.

Ksiądz Flynn popatrzył na nią błędnym wzrokiem. Wydawało mu się, że jest mistrzem pocieszających, pozbawionych znaczenia frazesów. W tej sytuacji jednak nie przychodziło mu na myśl ani jedno słowo.

Raz w tygodniu Neddy Nolan przywoził ojca w odwiedzinach do kanonika. Dwaj starszacy rozgrywali partię szachów, a Josef podawał im kawę i herbatniki.

- Proszę księdza kanonika, czy nie powinniśmy wszyscy głosować przeciw tej drodze, jeśli nadarzy się sposobność? - zapytał Marty Nolan.

- Nic sędzę, byśmy mieli taką sposobność. - Kanonik Cassidy nie do końca orientował się w sytuacji.

- Ale wic ksiądz kanonik, co mam na myśli. Głosowanie nogami. Żeby pójść na plac, na zebranie i w ogóle, może nawet z transparentami. Czy nie jesteśmy tego winni świętej Annie?

- Czemu nie zwróci się pan do księdza Flynnna? To on pracuje głową w tej parafii - odparł starszek.

- Zwracałem się, proszę księdza kanonika, ale powtórzył tylko, żebyśmy robili, co nam sumienie dyktuje. - Marty Nolan z rozczarowaniem pokręcił głową. - To na nic, no bo przypuścimy, że każdemu jego sumienie dyktuje co innego. Do czego byśmy wtedy doszli? Potrzebujemy wskazówek, przewodnictwa.

- W i e pan co, panie Nolan, myślę, że czasy przewodnictwa dawno minęły. Nigdy nie przypuszczałem, że dożyję chwili, kiedy wypowiem te słowa, lecz zdaje się, że to prawda.

- Mamy z tym wielkie zmartwienie - wyznał Marty Nolan. - Ludzie chcą kupić naszą ziemię. Za niebywale pieniądze. Wiem, że Neddy nic sypia po nocach i zastanawia się, co robić.

- Przecież niczego jeszcze nie zatwierdzono. Dlaczego ktoś chce kupić waszą ziemię? - Kanonik był skonsternowany.

- Nie jestem pewien, proszę księdza kanonika, może oni wiedzą coś, czego my nie wiemy. Ale Neddy ma problem. No bo jego własna matka została uleczone dzięki tej studni. Tego się nic kupi za żadne pieniądze.

- A gdzie jest teraz Neddy? - zapytał kanonik, prawdopodobnie próbując zmienić temat. Udało się.

- A c h , ksiądz kanonik wie, jaki z niego wieczny marzyciel. Wędruje po Rossmore z rękoma w kieszeniach, zainteresowany wszystkim, a nie rozumie niczego.

- No cóż, wracajmy lepiej do naszych szachów - podsunął kanonik. - Mój ruch czy pana?

Neddy Nolan wszedł tymczasem do kancelarii prawniczej Mylesa Barry'ego.

- Nigdy nie byłem zbyt bystry, Myles - zaczął.

- Tego bym nie powiedział. Czy nie dałeś sobie świetnie rady, nie ożeniłeś się ze wspaniałą dziewczyną? Nie jesteś za przyjaźniony ze wszystkimi w Rossmore?

- Tak, ale może to już nie potrwa długo. Przychodzą do mnie najrozmaitsi ludzie i proponują, żebyśmy im sprzedali naszą farmę.

- No cóż, to chyba dobrze?

- Nie bardzo. Muszą mieć poufne informacje czy jakkolwiek to nazwać. Muszą wiedzieć, że droga naprawdę powstanie i będzie przebiegała przez naszą ziemię. - Wydawał się bardzo zadowolony.

- Wiem, Neddy, ale czy nie uważasz tego za szczęśliwy traf? Żadna rodzina nie zasługuje na to bardziej niż wy. - Myles nie potrafił zrozumieć, w czym problem.

- N i e mogę sprzedać naszej ziemi spekulantom, ludziom, którzy wykupują parcele to tu, to tam, bez konkretnego celu, chyba że chodzi o przyparcie władz do muru przez zajęcie każdego dostępnego kawałka. A potem, w odpowiednim czasie, od-

sprzedadzą cały teren z potężnym zyskiem rządowi i przedsiębiorcom budowlanym. Nie chcemy być wplątani w coś takiego.

- Cóż, nie... nic... - Myles Barry zastanawiał się, do czego to wszystko zmierza.

- Po prostu paru z nich wspomniało, że zwrócili się w tej sprawie do ciebie - dodał z niepokojem Neddy.

Myles Barry grał na zwłokę.

- To prawda, Neddy. Ale wiesz, to nie jest sprzeczne z prawem złożyć komuś ofertę kupna ziemi. Wyznaczasz cenę, oni ją płacą, lokujesz pieniądze w banku, a oni później odsprzedają ziemię za wyższą sumę, ponieważ mają do zaoferowania mnóstwo małych parceli tu i ówdzie. Albo odmawiasz, a we właściwym czasie przyjmujesz niższą sumę od rządu i na tym koniec. Takie są zasady. Na czym polega problem?

- Na tym, że tu wszystko kręci się wokół zysków - odparł Neddy.

Myles westchnął i postanowił mówić prosto z mostu.

- Rzeczywiście, niektórzy klienci prosili mnie o złożenie ci oferty, powiedziałem im jednak, że będziesz potrzebował własnego adwokata i może agenta od nieruchomości, żeby ci doradzali, ja zaś nie mogę występować w roli pośrednika wywierającego na ciebie presję.

- Czy mógłbyś zostać naszym adwokatem, Myles? Znam cię od wieków, chodziłeś do szkoły z moim bratem Kitem. - Wyraz twarzy Neddy'ego był rozbrajająco szczerzy.

- Mógłbym, Neddy, ale radzę ci poszukać kogoś bardziej dynamicznego. Może w jakiejś dużej kancelarii w Dublinie. Tu chodzi o grube pieniądze. Powinieneś zatrudnić zespół rzetelnych profesjonalistów.

- Czy chodzi ci o to, że nie chcesz sprawić tym ludziom zawodu, Myles, zmieniając barwy i reprezentując mnie? - chciał wiedzieć Neddy.

- N i e, konflikt interesów nie wchodzi w grę. Nikt nie wymienił żadnej konkretnej sumy. Nic widziałem dokumentów ani wniosków. Powiedziałem tylko, że niczego się nie podej-

muje, dopóki nie będziesz miał przedstawiciela prawnego - odparł Myles.

- Więc mógłbyś to zrobić, gdybyś chciał? - Neddy był przytłaczająco bezpośredni.

Myles Barry, oczywiście, mógł. Ale zyskałby znacznie więcej, gdyby reprezentował konsorcjum miejscowych przedsiębiorców. Nie było mowy o obciążeniu Neddy'ego Nolana i jego ojca stosownymi opłatami. Zwłaszcza jeżeli sprawy rzeczywiście miały się tak, jak na to wyglądało i Nolanowie zamierzali wytrwać. Ziemia musiała w końcu zostać wykupiona, jeśli rozpocznie się budowa drogi, co wydawało się wielce prawdopodobne. Ci przedsiębiorcy, którzy się do niego zwracali, nie wyszukaliby farmy Nolanów, gdyby nie informacje od radnych. Dali Mylesowi do zrozumienia, że spełnią każde rozsądne żądanie Nolanów.

Oczywiście, że to spekulacja. Na takich jednak zasadach działała gospodarka. Ludzie podejmowali ryzyko; wygrywali albo przegrywali. Tylko Neddy Nolan miał co do tego systemu jakiegokolwiek wątpliwości.

Myles siedział i patrzył na łagodnego człowieka po drugiej stronie biurka. Człowieka, który osiągnął to, co posiadał, bardzo ciężką pracą. Byłoby wspaniale, gdyby komuś takiemu trafiły się mocne karty w tej rozgrywce.

Myles Barry doskonale zdawał sobie sprawę, że kiedy pogłoski staną się rzeczywistością, zrobi się gorąco. Cathal Chambers z banku opowiedział mu o dwóch miejscowych radnych, którzy ledwo wiąźali koniec z końcem, a mimo to przychodzili ostatnio do banku z grubymi plikami banknotów i chcieli je zdeponować na rachunkach oszczędnościowych. Było to tak jawne kupowanie głosów, że Cathal aż się zdumiał.

Co jednak mógł zrobić prócz powołania się na prawo bankowe, zgodnie z którym należało wyjaśnić pochodzenie wpłacanej gotówki? Radni popatrzyli mu prosto w oczy i poinformowali, że wygrali te pieniądze w pokera. Głosowanie w sprawie drogi miało się odbyć najpierw na szczeblu lokal-

nym, później zaś centralnym. I wynik wydawał się z góry przesądzony.

Myles Barry spojrzal na Neddy'ego. Ten człowiek potrzebował kogoś, kto zadba o jego interesy. Wy pływał na niebezpieczne wody. Ale nie życzył sobie waźniaków z Dublina, kancelarii, które odstraszyłyby każdego, kto by próbował go oszukać. Nie - on chciał faceta, który chodził do szkoły z jego bratem Kitem, odsiadującym obecnie wyrok w angielskim więzieniu wedle uznania jej królewskiej mości.

- Jasne, Neddy - westchnął Myles. - To dla mnie zaszczyt zostać twoim adwokatem.

Judy Flynn udała się do Głogowego Gaju sama. Włożyła najładniejszą, granatową jedwabną sukienkę z granatowo-białym szalem. Włosy ze świeżo zrobionymi pasemkami miała elegancko uczesane i błyszczące. Chciała pokazać się świętej Annie od najlepszej strony.

W grocie kilka osób mamrotało modlitwy przed posągiem. Judy uklękła i od razu przystąpiła do rzeczy.

— Będę z tobą zupełnie szczerą, święta Anno. Naprawdę nie wiem, czy istniejesz, czy nie, a jeśli istniejesz, czy zajmujesz się takimi przypadkami jak mój. Ale warto spróbować. Zamierzam tu przychodzić każdego ranka przez dziewięć dni i modlić się o pokój na ziemi albo cokolwiek innego, co uznasz za potrzebne. To całkiem okazały zapas modlitw. W zamian skieruj moje kroki ku mężczyźnie, za którego mogłabym wyjść za mąż i mieć z nim dzieci. Widzisz, cały czas robię ilustracje do książek dla dzieci, ale własnych dzieci nie mam. I chyba dzięki tym ilustracjom w pewnym sensie wierzę w czary, to znaczy w czarodziejski świat, w którym zdarzają się cuda. Czemu więc nie miałabym znaleźć tutaj męża?

Aha, zapewne zechcesz się dowiedzieć, dlaczego dotychczas go nie znalazłam. To proste. Szukałam w niewłaściwym miejscu. W wydawnictwach, reklamie, mediach, tego typu kręgach. Nieodpowiednia baza operacyjna. Chciałabym, żeby to był ktoś

z miasteczka, bo wtedy nie czułabym się tak wyobcowana i winna, że stąd wyjechałam. Mogłabym pomóc mojemu bratu Brianowi opiekować się mamą, mogłabym pomóc Kitty - na pewno już tu była i prosiła cię o wstawiennictwo, żeby mój brat Eddie do niej wrócił. Nie rób tego, i tak się nie uda.

Nie sądzę, aby w małżeństwie najważniejsze były pozory i eleganckie stroje, lecz wypada się przed tobą przyznać, że w tej chwili wyglądam najlepiej, jak potrafię. Czasami bywam trochę niecierpliwa i porywcza, ale wydaje mi się, że dobrze nad tym panuję. To na razie wszystko. Odmówię różaniec w tej intencji i wrócę tu jutro. Stawiam sprawę najuczciwiej, jak tylko można.

Eddie Flynn wyszedł z hotelowego baru. Czasy były bardzo niespokojne. Miał widoki na korzystną transakcję handlową z grupą ludzi, którzy wiedzieli, co robią. To powinno mu przynieść trochę pieniędzy. A bardzo ich teraz potrzebował!

Mała Naomi lgała rodzicom ile wlezie, opowiadając, że jest studentką drugiego roku college'u w Dublinie. A ostatnio nakłamała jeszcze, że małżeństwo Eddiego zostanie anulowane i będą mogli wziąć ślub. To wykluczone, absolutnie niemożliwe. Dziewczyna musiała mieć nic po kolei w głowie.

Pod wieloma względami byłoby mu łatwiej, gdyby został z Kitty. Przynajmniej wieczorem, gdy wracał do domu, zawsze zastawał na stole posiłek i mógł pobawić się z dziećmi. Teraz wszystko wydawało się niezręczne i sztuczne, dzieci uważały go za coś w rodzaju szczura, który uciekł z ich okrętu. Kitty pozwalała mu zabierać je do kina w połowie tygodnia, a Naomi lubiła spędzać weekendy poza domem. I wszyscy się go czepiali, że zbyt rzadko odwiedza mamę.

Był już tym zmęczony. W domu czekała Naomi ze zdjęciami ślubnych sukien i listą osób, które zaproszą na wesele. Najwyraźniej odbyła wysoce niezadowolającą rozmowę z Brianem na ten temat i doszła do wniosku, że powinni zwrócić się bezpośrednio do kanonika, bo staruszek z pewnością okaże się

bardziej życzliwy. Zresztą czy nie był, formalnie rzecz biorąc, przelożonym Briana?

Po drugiej stronie drogi Eddie dostrzegł Kitty. Czy to rzeczywiście jego była żona? Nosiła taką samą puchową kurtkę, ale jej włosy wyglądały zupełnie inaczej i miała zrobiony makijaż. Eddie cofnął się w cień i patrzył. Tak, to Kitty. Ale jakaś odmieniona. Czyżby ufarbowała włosy?

Wyglądała o całe lata młodziej.

Zauważył, że wdala się w ożywioną rozmowę z tą biedną Lilly Ryan - tą, której przed laty ktoś porwał dziecko, a potem mąż zaczął ją katować. Eddie odprowadził Kitty spojrzeniem. Nie przyznałby się do tego nawet sam przed sobą, lecz życie byłoby dla niego znacznie łatwiejsze, gdyby teraz wracał do domu, do Kitty, na herbatę.

Marsz protestacyjny przeciw budowie nowej drogi przemierzyl całe miasto i skierował się w stronę Głogowego Gaju. Niektórzy uczestnicy nieśli transparenty z hasłami „Ratujcie naszą Świętą”, inni wypisali „NIE dla nowej drogi”. Przyjechali dziennikarze z telewizji i ogólnokrajowej prasy.

Ksiądz Brian Flynn wiedział, że będzie musiał złożyć jakieś oświadczenie. Nie mógł siedzieć i gapić się jak manekin. Ale robiło mu się słabo na myśl, że go pokażą w wiadomościach.

- Mam takie okropne włosy, wyglądają jak szczotka klozetowa — wyznał siostrze.

- Idź do tego Fabiana, on jest genialny - doradziła Judy.

- Zwariowałaś? Za to, co on sobie liczy, można by wykarcić całą rodzinę przez tydzień.

- Przecież ty nic masz rodziny na utrzymaniu. No, zgódź się, Brian, ja funduję! - poleciła i nie było odwołania.

Wszedł do salonu, czując się tak głupio, jak jeszcze nigdy w życiu. Nie widział, co tak naprawdę wyczynia facet zwany Fabianem, ale nadał mu o wiele bardziej normalny wygląd.

Brian udzielił zatem wywiadu i oznajmił, że studnia Świętej Anny stanowi obiekt miejscowego kultu i zawsze jest to bar-

dzo smutne, gdy burzy się spokój wiernych i uraża ich uczucia religijne.

Tydzień później nastąpił kolejny wywiad, podczas zebrania przy świecach, gdzie domagano się działań, które zmniejszą natężenie ruchu w Rossmore. Tym razem ksiądz Flynn powiedział dziennikarzowi, że głęboko ubolewa nad śmiercią dziecka i że władze mają obowiązek uczynić, co w ich mocy, by nigdy więcej nie zdarzały się takie wypadki.

- Na pewno każdy, kto widział obydwie te wywiady, uzna mnie za kompletnego błazna - zwierzył się siostrze.

- N i e , pomyśleliby tak, opowiedział się po jednej ze stron, a zaraz potem wycofał i przyznał rację przeciwnej - odparła Judy.

Okazała się, wbrew jego obawom, bardzo spokojną towarzyszką. Wyznała, że owszem, pewnie ma źle w głowie, ale czerpie z tej zwariowanej starej studni ogromną pociechę. Odmalowała również kuchnię matki i podarowała staruszce małego kotka, który ją rozweselał - acz nie do tego stopnia, by rozpoznała Judy.

Brat i siostra co wieczór wypijali razem drinka w hotelu Rossmore. Raz zauważyli Eddiego i pomachali, żeby się do nich przyłączył. Żadne nie wspomniało o Naomi, Kitty ani mamie.

Odbyli przemilą pogawędkę.

- Chyba wszyscy stajemy się coraz dojrzalsi - zauważyła później Judy.

- Oby tak było - rzekł ksiądz Flynn. Przewidywał naprawdę poważne problemy po ujawnieniu wyników głosowania rady miejskiej, co miało nastąpić lada dzień.

Głosy za i przeciw drodze, głosy z lasu, zbierały dopiero siły - nikt jeszcze niczego nie widział.



Rozmowy z Mercedes

Część 1 - Helen

Ach, więc jesteś, Mercedes. Zdrzemłam się trochę. Śniło mi się, że znowu jestem w Rossmore i idę zatłoczoną główną ulicą. Często mi się to śni. Ale ty nie wiesz, gdzie leży Rossmore - w Irlandii, za morzem. Do Irlandii leci się samolotem z Londynu niecałą godzinę. Powinnaś tam kiedyś pojechać. Spodobałoby ci się tam, jesteś religijna, a ten kraj jest bardzo katolicki.

W każdym razie był.

Zawsze cię lubiłam, Mercedes, o wiele bardziej niż dzienne pielęgniarki - masz więcej czasu dla chorych, podasz mi filiżankę herbaty. Słuchasz. Inne nie słuchają, każą tylko obudzić się, usiąść albo wstać, rozchmurzyć się. Ty nigdy tak nie mówisz.

Masz przyjemnie chłodną dłoń, pachniesz lawendą, a nie środkiem odkażającym. Okazujesz mi zainteresowanie.

Powiedziałaś, że masz na imię Mercedes i marzysz, aby poślubić lekarza. Chciałabyś też posyłać więcej pieniędzy swojej matce. Ale minęły tygodnie, zanim dowiedziałam się o tobie choć tyle, Mercedes, ponieważ skłonna jesteś mówić tylko o mnie i o tym, jak się czuję.

Wolałabym, żebyś zwracała się do mnie „Helen” zamiast „proszę pani”. I proszę cię, nie nazywaj mnie „panią Harris”. Jesteś taka życzliwa, interesujesz się moją rodziną, która przy-

jeżdżą w odwiedziny. Moim wysokim, przystojnym mężem Jamesem, wytworną teściową Natashą i wspaniałą, piękną córką Grace.

Zadajesz mi mnóstwo pytań na ich temat, a ja ci odpowiadam, bo sprawia mi to przyjemność. Tak często się uśmiechasz. Nie jesteś wścibska i twoje pytania nie brzmią tak, jakby zadawał je ktoś z policji. Takie wrażenie natomiast robi na mnie David. Znasz Davida, chłopaka Grace. Przypuszczam, że to wyczuwasz, gdyż często wypraszasz go w delikatny sposób, kiedy tu przychodzi. Wiesz, że on mnie niepokoi.

Ale z tobą mogłabym rozmawiać bez końca.

Przepadasz za opowieścią o tym wieczorze sprzed dwudziestu siedmiu lat, gdy poznałam przystojnego Jamesa Harrisa. Poszłam na przyjęcie w sukience pożyczonej od współlokatorki. Zauważył, że ma taki sam kolor jak moje oczy i że z pewnością jestem wyczulona artystycznie. W rzeczywistości była to jedyna na nas trzy sukienka dostatecznie elegancka, żeby mogła w niej wystąpić.

To absolutna prawda, tak samo jak to, że bardzo się bałam pierwszego spotkania z jego matką Natashą. Ich dom okazał się taki wielki i imponujący, jej pytania były tak dociekliwe. Nigdy przedtem nie jadłam ostryg - przeżyłam poważny stres. I powiedziałam ci prawdę o wielu innych rzeczach, o tym, jakie dobre były zawsze dla mnie opiekunki w domu dziecka, gdzie się wychowałam, i jak nalegały, że upieką mi tort weselny. W pierwszej chwili Natashą się sprzeciwiła, ponieważ myślała, że zrobią to po dyletancku, ale nawet jej tort sprawił miłą niespodziankę.

Często odwiedzałam sierociniec. Powiedziano mi, że byłam jedynym dzieckiem, które nie pytało o swoich rodziców. Inne dzieci bardzo chciały poznać szczegóły i dowiedzieć się, czy to możliwe, że matki mogą kiedyś po nie wrócić.

Ja jednak nie pragnęłam nic wiedzieć. Tu był mój dom. Ktoś pozbył się mnie, Helen, niewątpliwie z jakiegoś ważnego powodu. O co miałam jeszcze pytać? Czego się dowiadywać?

Nie powiedziałam siostrom zakonnym, że jestem tak ciężko chora, Mercedes. Nie mogłyby tego znieść. Skłamałam, że wyjeżdżamy z Jamesem za granicę i skontaktuję się z nimi później. Zapisałam im coś w testamencie i zostawiłam list z podziękowaniami. Jest ważne, żeby dziękować ludziom za to, co robią. Naprawdę. Inaczej mogłyby się nigdy nie dowiedzieć, jak wysoko ktoś ich ceni. Na przykład ciebie. Często ci dziękuję, bo jestem szczerze rada, że spotkałam kogoś, kto tak potrafi słuchać i tak się interesuje moją historią.

Ty sama tak ciężko pracujesz i tyle oszczędzasz, więc dobrze rozumiesz, jak ciężko ja również pracowałam, kiedy uczęszczałam na kursy dla sekretarek tu, w Londynie. Inne dziewczęta spędzały mnóstwo czasu na popijaniu kawy i oglądaniu wystaw sklepowych, ale ja bardzo się przykładałam do nauki i pracy.

Mieszkałam z dwiema dziewczynami, które uwielbiały gotować i dzięki nim sama zaczęłam robić to z przyjemnością.

W soboty pracowałam w stoisku z kosmetykami w dużym sklepie i oprócz pensji dostawałam darmowe próbki oraz robiono mi pokazowy makijaż; w niedzielę pomagałam w centrum ogrodniczym, gdzie wiele się nauczyłam, i układałam kompozycje kwiatowe, także w skrzynkach na oknach, u ludzi mieszkających w sąsiedztwie. Zanim znalazłam dobrą pracę w City z godziwą pensją, byłam znacznie lepiej wykształcona niż większość dziewcząt, które razem ze mną opuszczały sierociniec. Gdy tam przyjeżdżałam, siostry zawsze mi powtarzały, że wyglądam jak prawdziwa dama, że są ze mnie dumne i mogłabym poślubić nawet księcia, gdybym go sobie upatrzyła.

Ja jednak upatrzyłam sobie na męża Jamesa Harrisa.

Czytywałam powieści o ludziach takich jak James, lecz nie wierzyłam, że oni naprawdę istnieją.

Był dżentelmenem w całym tego słowa znaczeniu. Nigdy nie podnosił głosu, zawsze zachowywał się uprzejmie, a gdy się uśmiechał, ten uśmiech rozświetlał mu twarz. Powzięłam

mocne postanowienie, że za niego wyjdę i pracowałam nad tym wytrwale, jak nad wszystkim innym w życiu. Nie ukrywałam niczego, co dotyczyło mojej przeszłości. Nie chciałam, żeby jego matka przeprowadziła dochodzenie i dowiedziała się sarna o malej Helen z domu dziecka, więc przedstawiłam wszystko szczerze i otwarcie. I to mi się opłaciło. Zgodziła się w końcu na nasz ślub i sądzę, że na swój sposób darzyła mnie pewnym szacunkiem.

Byłam piękną panną młodą. Pokazywałam ci zdjęcia? Oczywiście, że tak. Chciałam po prostu jeszcze raz na nie popatrzeć.

Czekaliśmy tylko na dziecko.

Dziecko, które odziedziczy cały pokaźny majątek Natashy. Jeżeli jesteś bardzo zamożna, Mercedes, nie mówisz o pieniądzach, lecz o majątności. No więc po trzech latach małżeństwa nadal nie zachodziłam w ciążę. Byłam zaniepokojona, James zmartwiony, a Natashą wściekła.

Poszłam do lekarza w odległej części Londynu i poddałam się badaniom.

Okazało się, że nie mam owulacji, w związku z czym powinnam podjąć leczenie.

Wiedziałam doskonale, że James się temu sprzeciwi. Gdyby się potwierdziło, że jest w pełni zdolny zostać ojcem, lecz jego żona nie może począć dziecka, wszystko zmieniłoby się między nami. Gdyby Natashą się dowiedziała, nastąpiłby koniec naszego świata.

Zdawałam sobie sprawę, że nie istnieje taka możliwość, abyśmy obydwoje z Jamesem zgłosili się jak normalna para mająca kłopot z poczęciem do placówki stosującej metodę *in vitro*. Nie było też mowy, żebym sama poddała się w tajemnicy sztucznemu zapłodnieniu. Najwyraźniej obowiązywały tu inne zasady.

Dla Jamesa rodzicielstwo zastępcze nie wchodziłoby w rachubę, więc poruszanie tego tematu nie miało sensu. Ani adopcja, nawet gdyby była możliwa w Anglii. I wolałam nawet nie myśleć o minie Natashy na samą sugestię sprowadzenia do na-

szego domu dziecka z zagranicy. Mały Harris z Afryki! Albo Harris Azjata! Nie rozśmieszajcie mnie.

Nie, Mercedes, to bardzo miło z twojej strony, ale ja się wcale nie denerwuję, ani trochę. Wiem, że jesteś na to wyczulona, zwłaszcza kiedy David, chłopak Grace, wypytuje mnie o różne rzeczy. Ale teraz tak nie jest. Po prostu próbuję ci to wszystko wytłumaczyć. Chcę ci o tym opowiedzieć, odczuwam taką potrzebę. Czy możesz uważać moją opowieść za list pisany do ciebie? List do Mercedes od Helen.

Owszem, napiję się herbaty, bardzo ci dziękuję, moja droga. Zawsze można na ciebie liczyć.

A zatem, jak mówiłam, musiałam się zastanowić, co dalej.

Działo się to dwadzieścia trzy lata temu, byłaś wtedy małym brzdącem i biegałaś sobie w słońcu na Filipinach. Tam jest gorąco, prawda? A ja byłam tutaj, w Londynie, i odchodziłam od zmysłów ze zmartwienia.

Zawsze potrafiłam znaleźć wyjście z sytuacji; wówczas też postanowiłam się nie poddawać. Jedna z dziewcząt z pracy pojechała na wakacje do Irlandii, do Dublina, a w trakcie wycieczki oglądała miejscowość o nazwie Rossmore. Małe miasteczko, bardzo ładne, ze starym zamkiem, otoczone lasem głogów, gdzie znajdowała się nawet studnia życzeń. Właściwie była to studnia pewnej świętej. Jesteś katoliczką, Mercedes, więc wiesz, o co chodzi. Ludzie chodzili tam pomodlić się do świętej, a ona spełniała ich prośby. Zostawiali różne przedmioty, żeby jej podziękować.

Ciekawa byłam, o co prosili.

O wszystko, jak się wydawało - święta miała pełne ręce roboty. Modlono się o mężów i o uleczenie. I bardzo często o dzieci. Na ciernistych gałązkach wisiało mnóstwo dziecięcych buczków i tym podobnych rzeczy, przywiązanych przez ludzi pragnących własnego dziecka. Wyobraź sobie!

Ja sobie w każdym razie wyobraziłam. Moja wyobraźnia pracowała dniami i nocą. Pomyślałam, że tam poszukam swojego dziecka.

Ci wszyscy ludzie nic gromadziliby się nadal w tym miejscu, gdyby ich modlitwy nie odnosiły żadnych skutków. Dlatego następnym razem, kiedy James wyjechał w podróż służbową, zwolniłam się na dwa dni z biura, poleciałam po kryjomu do Irlandii i dotarłam autobusem do Rossmore.

To było po prostu niesamowite. Naprawdę bardzo dziwne. Całkiem współczesne miasteczko z przyjemnymi sklepami i dobrymi restauracjami, odwiedziłam nawet elegancki salon fryzjerski. A zaledwie kawalek drogi dalej zabobonne sceny rodem z Trzeciego Świata. Przepraszam cię, Mercedes, bez obrazy, ale wiesz, co mam na myśli.

Zobaczyłam dziesiątki ludzi, każdy opowiadał własną historię. Jakaś starsza kobieta modliła się do świętej Anny. Była to właśnie jej grota, świętej Anny, matki Marii, która urodziła Jezusa, ty na pewno wiesz, o kogo chodzi. Mieliśmy jej figurę w sierocińcu.

Tak czy inaczej ta kobieta błagała o wyleczenie z nalogu syna narkomana. Obok dziewczyna modliła się, żeby jej chłopak się nie dowiedział o niemądrej przygodzie, którą miała z innym mężczyzną. Jakiś chłopiec powtarzał, że po prostu musi zdać ten egzamin, bo cała rodzina na niego liczy. Czternastoletnia dziewczynka prosiła, aby jej ojciec przestał pić.

Zamknęłam więc oczy i przemówiłam do tej świętej. Powiedziałam jej, że wrócę do swojej dawnej religii, o której jakoś zapomniałam, odkąd poznałam Jamesa i Natashę, jeśli sprawi, żebym zaszła w ciążę.

Było tam bardzo spokojnie i wszystko wydawało się możliwe. Nie wątpiłam, że moja prośba zostanie wysłuchana. Czas do odjazdu autobusu spędziłam na rozglądaniu się po Rossmore. Ruch panował wówczas niewielki, mogłam spacerować bez obawy. Przypuszczam, że teraz jest zupełnie inaczej. Ludzie znali się nawzajem, każdy pozdrowiał co drugą osobę mijaną na Castle Street, głównej ulicy miasta. Zauważyłam same rodziny. Pomyślałam sobie, że kiedy przyjadę tu pewnego dnia z moim dzieckiem, my także będziemy rodziną. Wrócę do Rossmore, by podziękować świętej Annie za pomoc.

Wiele z tych osób zostawiało przed sklepami malutkie dzieci w wózkach, które były zbyt duże i nieporęczne, by je wprowadzić do środka. Przechodnie zatrzymywali się przy nich i podziwiali pulchne bobasy. Całe ich tuziny. Niebawem ułożę w wózeczku nasze dziecko, Jamesa i moje. Wnuczátko Natashy. I nigdy nie spuścimy go z oczu.

Mijały jednak miesiące bez jakiegokolwiek interwencji ze strony świętej Anny. Ogarniał mnie gniew na wspomnienie bezcelowej podróży do tamtej studni i czułam coraz silniejszą irytację. Ciągle myślałam o tym miasteczku, w którym kobiety tak po prostu zostawiały niemowlęta bez opieki na głównej ulicy. Zostawiały je jakby nigdy nic, zupełnie beztrósko, a tymczasem tak wiele z nas, bezpłodnych kobiet, aż do bólu marzyło o dziecku.

Wtedy właśnie przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Pojadę do Irlandii, znajdę taki wózek i przywiozę nasze dziecko do domu. Nie miało znaczenia, czy będzie to chłopiec, czy dziewczynka. Gdybym je sama urodziła, i tak nie moglibyśmy wybrać płci, więc takie działanie wydawało się nawet bardziej naturalne.

Musiałam tylko wszystko dokładnie zaplanować.

Nie potrzebowałam paszportu ani niczego w tym rodzaju, żeby pojechać do Irlandii, lecz łatwiej zostać zauważoną w samolocie lub na lotnisku niż na promie. Postanowiłam zatem odbyć podróż drogą morską.

Zawiadomiłam Jamesa, że jestem w ciąży, ale nie poszłam do ich lekarza rodzinnego, ponieważ wolałam klinikę, w której pracują same kobiety. Odniósł się do mnie w łagodny i pełen zrozumienia sposób. I był, oczywiście, niezmiernie uszczęśliwiony moją wielką nowiną.

Poprosiłam, żeby na razie nie mówił nic matce. Wyjaśniłam, że potrzebuję czasu. Zgodził się, aby to była nasza tajemnica, dopóki nie zyskamy pewności, iż wszystko jest na dobrej drodze. Po trzech miesiącach powiedziałam, że wolałabym teraz spać sama. Przystał na to niechętnie.

Przeczytałam o wszystkich objawach ciąży i zachowywałam się odpowiednio. Poszłam do pracowni kostiumów teatralnych i wypożyczyłam specjalnie wymodelowaną formę, imitującą brzuch ciężarnej kobiety. Wytłumaczyłam, że musi wyglądać jak należy pod nocną koszulą, w której gram na scenie. Wzbudziłam duże zainteresowanie i musiałam udzielać wymijających odpowiedzi na wypadek, gdyby ktoś zechciał przyjść do teatru i mnie zobaczyć!

Natasha nic posiadała się z radości. W każdą niedzielę, gdy przychodziła na lunch, nie tkwiła już na krześle jak przymurowana, lecz pomagała mi nawet sprzątnąć ze stołu.

- Helen, moja kochana, nie masz pojęcia, jaka jestem szczęśliwa z tego powodu - powiedziała, kładąc dłoń na moim brzuchu. — Kiedy dziecko zacznie kopać, jak myślisz?

Odrzekłam, że zapytam w klinice.

Zdawałam sobie sprawę, że będę musiała wyjechać mniej więcej w czasie rzekomych narodzin dziecka. To stwarzało problem, ale go rozwiązałam. Wyznałam Jamesowi i Natashy, że bliskie macierzyństwo budzi we mnie tęsknotę za sierocińcem, jedynym domem, jaki pamiętam. James chciał jechać ze mną, lecz mu wytłumaczyłam, że wolałabym odbyć tę podróż sama. W dodatku był to pracowity okres w handlu antykami i mój mąż musiał pilnować interesów w Londynie. Miałam wrócić za tydzień, na długo przed terminem porodu. Po wielu perswazjach wreszcie zgodzili się mnie puścić.

Już wcześniej rozpoczęłam urlop macierzyński. Kierowałam biurem, mogłam robić, co chciałam.

Rzeczywiście pojechałam do sierocińca, gdzie wszyscy byli zachwyceni moją ciążą. Zwłaszcza że zjawiłam się w chwili, gdy moja biologiczna matka, jak mnie poinformowano, leżała umierająca w szpitalu i koniecznie chciała mnie zobaczyć choć raz. Żeby się wytłumaczyć.

Odparłam, że nie potrzebuję żadnych tłumaczeń.

Dała mi życie - i bardzo pięknie. To mi wystarczyło. Poradziłam sobie jakoś.

Siostry i pracowniczki domu dziecka były zgorszone. Miałam dobrą pracę, zamożnego męża, piękny dom, a teraz jeszcze spodziewałam się dziecka. Dlaczego nie mogłam okazać serca nieszczęsnej kobiecie, której nie powiodło się tak jak mnie?

Pozostałam jednak niewzruszona. Zaprzętało mnie zbyt wiele własnych spraw. Zamierzałam pojechać do innego kraju i wykraść dziecko dla siebie i Jamesa. Przywieźć dziedzica Natashy **Harris**. Czemu miałabym wysłuchiwać zwierzeń i wyrazów skruchy obcej osoby, które pojawiły się o wiele za późno?

Pojechałam dalej i zaparkowałam samochód przy terminale promowym. Włożyłam perukę, zerwałam z siebie sztuczny brzuch i wrzuciłam do bagażnika. Kupiłam tani płaszcz przeciwdeszczowy, kocyk oraz lalkę-dzidziusia naturalnej wielkości - i byłam gotowa. Nie wykorzystywano wówczas telewizji przemysłowej na tak szeroką skalę, chciałam jednak mieć pewność, że gdyby podniosła się wrzawa, nikt nie zwróci uwagi na kobietę z niemowlęciem wsiadającą na pokład promu do Anglii, ktoś inny bowiem niewątpliwie sobie przypomni, że widział ją płynącą w przeciwną stronę. Usiadłam na świeżym powietrzu, tuląc lalkę.

Podeszły do mnie jedna czy dwie inne matki, żeby zerknąć na dziecko, ale wyjaśniłam przepraszająco, że mała nie lubi obcych. Widzisz? Już wtedy myślałam o córce.

A potem pojechałam autobusem do Rossmore. Wciąż mocno przytulałam do siebie lalkę. W mieście panował sobotni ruch - przemierzylam całą Castle Street, aż rozbolewały mnie nogi.

Zrobiłam zakupy: talk, pieluchy, kremy łagodzące podrażnienia. Teraz również widziałam mnóstwo wózków stojących przed sklepami. Ktoś mógłby powiedzieć, że zostawili je niewinni, ufní mieszkańcy bezpiecznego miasteczka. Ja mówiłam sobie co innego. Karygodnie beztroscy, zaniedbujący swoje obowiązki rodzice, którzy nic zasługiwali na dzieci - oto co o nich myślałam.

Musiałam zachować ostrożność.

Mój autobus odjeżdżał o trzeciej. Prom odpływał dwie godziny później. Musiałam zabrać dziecko tuż przed odjazdem autobusu, nie wcześniej, żeby nie dać policji czasu na poszukiwania.

To dziwne. Mogłabym niemal naszkicować portrety ludzi przechodzących wówczas tamtą zatłoczoną ulicą. Był tam stary ksiądz, wiesz, ubrany w sutannę, czyli coś w rodzaju czarnej szaty do kostek, jaką kiedyś nosili. Ściszał każdemu dłoń. Wydawało się, że połowa mieszkańców wyszła na zakupy i pozdrowia się nawzajem. Stałam na schodach hotelu Rossmore, gdy zobaczyłam maleńkie dziecko w wózku. Spało sobie spokojnie, a obok siedział mały yorkshire terier na smyczy, przywiązany do uchwytu. Przeszłam na drugą stronę ulicy i w kilka sekund było po wszystkim, lalka znalazła się w koszu na śmieci, a dziecko w moich ramionach, owinięte kocykiem. Miało zamknięte oczy, słyszałam jednak serduszko bijące tuż przy mojej piersi. To, co się stało, wydawało się absolutnie w porządku, jakby było mi przeznaczone. Jakby w pewien osobliwy sposób sama święta Anna przyprowadziła mnie do tego dziecka.

Wsiadłam do autobusu i po raz ostatni spojrzałam na Rossmore. Autobus doturlał się do przystani i wkrótce potem znalazłam się z moją córeczką na promie. Musiałam już być daleko, zanim ktokolwiek podniósł alarm. Komu zresztą przyszłoby do głowy, żeby od razu przeszukiwać promy? Zapewne siedziałam już w samochodzie, gdy tamci się zorientowali, iż mają do czynienia z uprowadzeniem w całym znaczeniu tego słowa.

Ja zaś zrobiłam to, co postanowiłam: przywiozłam moje dziecko.

Córeczkę, której zamierzałam nadać imiona Grace Natashą. Najprawdopodobniej miała od dwóch do czterech tygodni. To podle zostawiać takie maleństwo własnemu losowi, uznałam w duchu. Bardzo dobrze się stało, że po nią przyjechałam, by

ofiarować jej lepsze życie. Nikt mnie teraz nie odszuka, powiedziałam sobie, podgrzewając jej pierwszą butelkę z mieszaną dla niemowląt na maszynie spirytusowej w samochodzie.

I tak się cudownie złożyło, Mercedes, że miałam rację.

Bo widzisz, doskonale wszystko zorganizowałam.

Przykleiłam z powrotem sztuczny brzuch, zostawiłam dziecko w aucie i wynajęłam pokój w podrzędnym pensjonacie. W środku nocy udałam, że obudziły mnie bóle porodowe i uparłam się, iż pojedę sama do szpitala. W rzeczywistości pojechałam do mojego sierocińca.

Powiedziałam siostrze, że urodziłam sama bez pomocy lekarza i będę potrzebowała ich opieki przez kilka dni, dopóki nie otrząsnę się z szoku.

Jedna z pracownic stwierdziła, że nie mogłam urodzić tego dziecka, bo przecież byłam u nich parę dni wcześniej. A to niemowlę miało dwa tygodnie, nie trzy dni. Inna chciała mi sprowadzić lekarza. Ale ja spędziłam z tymi kobietami siedemnaście lat życia i umiałam z nimi postępować. A nie zapominaj, że mnie kochały. Przez owe wszystkie lata nie sprawiłam im najmniejszego kłopotu. Pamiętałam o nich i przyjeżdżałam w odwiedziny. Przekazywałam nawet datki na fundusz rozbudowy. Nie zamierzały zadawać podchwytliwych pytań biednej, małej, osieroconej Helen, której matka była umierająca.

Wiedziały - oczywiście, że wiedziały. Te kobiety miały do czynienia z dziećmi w dzień i w nocy. Może powinny były to zgłosić władzom, owszem. Ale zapewne myślały, że kupiłam dziecko. I wiedziały również, że ukrywam to przed mężem i teściową, osobami z wielkiego świata. Dlatego pogodziły się z moim kłamstwem.

Spaliłam fałszywy brzuch, perukę i tani płaszcz w piecu, kiedy nikt nie widział. Siostry zadzwoniły do Jamesa z informacją, że ma córkę, on zaś powiadomił Natashę, że ma wnuczkę. Nawet zgłosili narodziny w urzędzie. James płakał przy telefonie. Powiedział, że kocha mnie bardziej niż kiedykolwiek i będzie się opiekował nami obydwoma do końca życia. A Grace

spala, zadowolona z siebie i wszystkich wokół i przez dwadzieścia trzy następne lata ani razu nie sprawiła nikomu kłopotu.

Jest do mnie bardzo podobna, nie pod względem fizycznym, wiem, ale w sposobie bycia. Sama widziałaś. Jest moją córką w każdym znaczeniu tego słowa.

Silna dziewczyna o mocnym charakterze. Zupełnie jak jej matka.

Jak ja.

Nie, Mercedes, nie dopytywałam się o jej rodzinę w Irlandii. Wychodzą tam inne gazety i w ogóle, więc nie musiałam nawet o tym czytać.

Oni wszyscy tam i tak mają mnóstwo dzieci. Wcale nie myśle o tym aspekcie sprawy.

Nie, oczywiście, że nic nie powiem Grace, za żadne skarby świata. Nigdy w życiu.

Ma teraz chłopaka, Davida, naturalnie wiesz o tym. James za nim nie przepada, nie mówi tego, ale ja widzę. Mnie też nie bardzo on się podoba, lecz Grace go wybrała, dlatego milczę i tylko się uśmiecham.

Tak się składa, że David jest Irlandczykiem. Niesamowite, prawda? A Grace nigdy nie była w Irlandii. Od tamtego czasu. W każdym razie jeszcze nie. Wczoraj jednak David napędził mi stracha, gdy ni stąd, ni zowąd zaczął opowiadać o wielkim dramacie, jaki rozgrywa się w Irlandii w związku z planowaną obwodnicą Rossmore. Najwyraźniej wzbiera tam fala protestów.

- Rossmore? - spytałam, czując, jak krew ścina mi się w żyłach.

- Tak, zapadła miejscina na głębokiej prowincji. Lepiej ją omijać. Nikt nie znajdzie w niej nic pociągającego. - Mówił o tym miasteczku lekceważąco.

Obrzuciłam spojrzeniem jego twarz - czyżby coś wiedział? Przypuśćmy, że pochodzi z Rossmore? Przypuśćmy, na jedną straszną chwilę, że to jego siostra zniknęła z wózka? Czy mogły się tak zdarzyć, że David i Grace są rodzeństwem?

Zrobiło mi się bardzo słabo. Pamiętasz, byłaś w pobliżu, jak zawsze.

Nie zemdlalam, choć obawiałam się tego. Czułam, że powracam do rzeczywistości. Zadałam sobie pytanie, dlaczego wspomniał akurat o tym mieście? Czyżby był z nim jakoś związany? Może tropił mnie od lat. Musiałam się dowiedzieć.

- Czy byłeś tam kiedyś, Davidzie? - zapytałam, nie osmielając się zgadywać, co może odpowiedzieć.

Lecz nie, odrzekł, że prawdopodobnie przejeżdżał tamtędy w drodze na zachód kraju, ale się nie zatrzymał. Rozmawiali z Grace o Rossmore, ponieważ jest tam coś, co może, choć nic musi, mnie zainteresować. Zawiesił głos. Starł się po prostu prowadzić rozmowę.

Grace popatrzyła na niego z uwielbieniem.

— Zaraz ci wyjaśnię, mamó, o czym mówiliśmy. David opowiedział mi o czymś w rodzaju groty, kaplicy ze studnią życzeń. I wiesz, ludzie leczyli się tam z chorób... - Jej spojrzenie było pełne nadziei.

- Nie, Grace. Dziękuję, Davidzie, ale czuję się doskonale — odparłam. - Naprawdę doskonale. Takie miejsca w niczym nie pomagają, chyba to rozumiesz.

- A le podobno na swój sposób pomagają, mamó. Ludzie odzyskują siły, pewność siebie, dobre samopoczucie. Ci, którzy tam jeżdżą, czerpią stamtąd, ile mogą.

- Zaczernęłam, ile mogłam... - urwałam, widząc, że wszyscy na mnie patrzą. - Zaczernęłam, ile mogłam, z życia i zawsze byłam bardzo silna. Czuję się doskonale - powtórzyłam stanowczym tonem.

Grace uniosła moją wychudzoną rękę i ucałowała.

Natasha przepiše na wnuczkę wszystko, co posiada, za dwa lata, gdy Grace osiągnie dwudziesty piąty rok życia. Otrzyma wówczas cały majątek Harrisów. A co by dostała, gdybym ją wtedy zostawiła w tym wózku z psem przywiązany do uchwytu? Oczywiście, kiedy to wszystko odziedziczy, mnie już nie będzie, ale to bez znaczenia. Zapewniłam jej bardzo do-

bry start w życiu. Zrobiłam dla niej wszystko - wszystko, co może zrobić matka. Dla niej, dla jej ojca, jej babki.

Nie mam się o co obwiniać. Nigdy w życiu nie okłamałam Jamesa - tylko ten jeden raz, a zrobiłam to z miłości. Nasze małżeństwo było cudowne i w głębi serca wiem, że nigdy mnie nie okłamał. Nigdy. I tak, jak powiedziałam, nie mam się o co obwiniać.

Prześtań płakać, Mercedes, bardzo cię proszę. To ty masz mi dodawać siły, a nie ja tobie. I bez roztkliwiających się pielęgniarzek życie jest dla nas wystarczająco ciężkie.

O, tak, już lepiej.

Taki uśmiech lubię.

Jak myślisz, znajdzie się jeszcze filiżanka herbaty?

Część 2 - James

Mamusia zawsze dzwoni do mnie o dziewiątej rano. Mnóstwo ludzi uważa to za dziwactwo, ale na mnie działa raczej uspokajająco. Oznacza, że nie muszę pamiętać o telefonie do niej i że jestem na bieżąco ze wszystkim, co się dzieje w jej świecie, a co jest zawsze interesujące. Pełno tam pisarzy, prawników, bankierów i polityków.

Zawsze prowadziliśmy z Helen bardzo spokojny tryb życia, więc to zajmujące słyszeć wiadomości z pierwszej ręki o ludziach, których zna się przeważnie tylko z gazet. Helen nie odbiera telefonu o tej porze, bo obydwoje wiemy, że dzwoni mamusia. Nie żeby Helen nie chciała z nią rozmawiać czy coś w tym rodzaju, porozumiewają się doskonale i moja żona odnosi się do mamusi w czarujący sposób. Od samego początku uznała, że mamusia powinna uczestniczyć w naszym życiu, przyjeżdżać raz w tygodniu na obiad lub kolację. Wiedziała, jak z nią postępować. Jeśli mamusia ma jakąś wadę, to tylko odrobinę snobizmu - ale, mój Boże, czyż Helen tego nie przezwyciężyła?

Popatrzyła tylko na mamusie wielkimi, jasnoblękitnymi oczyma.

- Bardzo przepraszam, pani Harris, ale muszę panią poprosić o pomoc. W sierocińcu nigdy nie jadaliśmy ostryg...

Nie miały też miseczek do obmywania palców ani *amuse-bouches*, ani innych bzdur, którymi mamusia zabawiała się w tym czasie. To było absolutnie rozbijające i mamusia bardzo szybko przekonała się do Helen - po, tak to ujmijmy, początkowych zastrzeżeniach. Naprawdę podziwiała dziewczynę tak szczerą i bezpośrednią jak Helen.

Wiedziała również, że nigdy nie byłem zakochany i nigdy więcej nikogo nie pokocham. Dałem wyraźnie do zrozumienia, że ożenię się z Helen, niedługo po naszym pierwszym spotkaniu, kiedy miała na sobie niebieską sukienkę, dokładnie tego samego koloru, co jej oczy. Nosi mnóstwo rzeczy w tym kolorze - szale, tuniki. A także szlafroki i koszule nocne. W nich zazwyczaj widuje się ją ostatnimi czasy.

Moi krewni, wujowie i kuzyni zawsze pragnęli, żebym pracował w City, jak mój ojciec. Ale ja nie miałem na to najmniejszej ochoty. Sam taki pomysł przyprawiał mnie o mdłości. Uparłem się, że znajdę pracę w handlu antykami. Zaliczyłem kursy z historii sztuki, a niedługo po tym, jak ożeniłem się z Helen, sprawy nabrały rozpędu. Helen nauczyła mnie ubierać się elegancko, zamiast w lekko przedpotopowe ciuchy, które zwykle nosiłem, a także prezentować własną osobę z większą energią. I wygłaszać krótkie prelekcje na temat osiemnastowiecznych mebli. Zachęcała mnie, żebym zawiadamiał prasę, kiedy mam do sprzedania coś interesującego. Reszta, jak mówią, jest historią.

Moje sklepy z antykami znajdują się w całym kraju, występuję też regularnie w telewizji jako ekspert.

Poszedłem własną drogą i jestem z tego bardzo dumny. Tak, jak z małżeństwa z Helen. Kilka dni temu obchodziliśmy dwudziestą szóstą rocznicę ślubu. Helen udawała nawet dzisiaj w szpitalu, że wypija łyk szampana. Przynieśliśmy specjalne-

kryształowe kieliszki. Wyglądała równie pięknie jak w dniu, gdy braliśmy ślub.

A potem poszliśmy na kolację: mamusia, Grace i ja. Na szczęście Grace nie nalegała, żeby nam towarzyszył ten jej nieokrzesany David. Pojechaliśmy do małej francuskiej restauracji, w której często bywaliśmy przed chorobą Helen.

Mamusia wzniosła toast. „Za jedno z najszczęśliwszych małżeństw, jakie znałam” - oznajmiła dźwięcznym głosem. Uśmiechnąłem się łagodnym, znaczącym uśmiechem.

Ta sama kobieta ponad ćwierć wieku temu pomstowała i płakała, zaklinając mnie, żebym nie żenił się z dziewczyną, o której nic nie wiemy, bez rodzinnej historii, bez przeszłości, oddaną do sierocińca.

Grace zgodziła się co do naszego związku. Dodała, że marzy o tym, by jej małżeństwo z Davidem było przynajmniej w połowie tak udane. Rodzice wszystkich jej znajomych nieustannie się kłócili i walczyli o przewagę. Ona nigdy tego nie widziała. Nie przypominała sobie żadnych sprzeczek.

- Ja też nie - powiedziałem po prostu.

Nie czułem smaku jedzenia, równie dobrze mogła to być siekana tektura. Wezbrało we mnie poczucie niesprawiedliwości. Dlaczego nasze małżeństwo zbliżało się do końca? Następnego roku, a może już w następnym miesiącu będziemy mówili o mojej świętej pamięci żonie. Z jakiego powodu Helen, która nigdy nie skrzywdziła nawet muchy, musiała umrzeć, podczas gdy inni, których życie przepelniała wrogość i chciwość, spokojnie żyli sobie dalej? Dlaczego siedziałem przy tym stole i wygłaszałem komunały w obecności mojej matki i córki, kiedy chciałem się znaleźć przy łóżku Helen, trzymać ją za rękę i mówić jej, że to był cudowny czas i że dla mnie nie istniała przeszłość przed nią, a po jej odejściu nie wyobrażam sobie przyszłości?

Rozmawialibyśmy o rzeczach nieistotnych, jak rozsądzenie geranium w kępkach blisko siebie i że powinienem raz w tygodniu oddawać marynarki do czyszczenia chemicznego,

a koszule do chińskiej pralni, a także o tym, że mam nosić wytworne spinki do mankietów, nawet jeśli ich zakładanie zajmuje co najmniej trzy minuty. Bardzo ją kochałem i nigdy nie pomyślałem o innej kobiecie. To prawda - nigdy nie pomyślałem.

Ta Filipinka, o wielkich, smutnych oczach, Mercedes, zapewniała mnie, że Helen była dzisiaj zadowolona. Dużo mówiła o rodzinie, wyciągnęła fotografie z naszego ślubu i zdjęcia Grace jako małej dziewczynki. Helen chciała, żebym spróbował prowadzić, jak to nazwała, normalne życie. Żebym zjadł dobrą kolację w towarzystwie swojej matki i córki i był szczęśliwy. Jakby choć w przybliżeniu istniała taka możliwość. Zauważyłem, że obydwie zerkają na mnie z ukosa, mamusia i Grace - uznałem to za sygnał ostrzegawczy. Muszę być bardziej pogodny. Tylko że męczy mnie już robienie pogodnych min dla innych.

Ale tego właśnie Helen najbardziej sobie życzyła. Powiedziała, że w taki sposób mogę jej pomóc - muszę się trzymać i robić dobrą minę. Muszę pamiętać, by regularnie zapraszać matkę na kolację, muszę być uprzejmy dla Davida, irytującego chłopaka Grace, i nie mówić, że mogła znaleźć kogoś lepszego, nawet jeśli tak myślę. Więc zdobyłem się na wysiłek, nakazałem sobie myśleć o tym, co jem, i znowu zacząłem robić dobrą minę.

Obydwie zaliczają się do niezwykle urodziwych kobiet. Moja matka nie wygląda na swoją siedemdziesiątkę z hakiem - nawet ja nie wiem dokładnie, ile ma lat. Tak, moja matka Natasha Harris przynosi chlubę swojemu fryzjerowi, salonowi piękności oraz własnemu dobremu smakowi w dziedzinie ubiorów. Miała na sobie liliową suknię i żakiet, zaprojektowane dla kogoś młodszego o czterdzieści lat, lecz pasujące do niej doskonale.

Grace ze swoimi jasnymi włosami i ciemnymi oczyma zawsze była uderzająco piękna. A dzisiaj, w czerwonej sukience na wąskich ramiączkach, wyglądała olśniewająco. Była o wie-

le za dobra dla tego chłopaka, zbyt ładna i inteligentna, ale nie zamierzałem drażnić tego tematu.

Ciągle mówiła o Davidzie. Zawsze o nim mówi. On również pracuje w City.

Podobno jest bystry. W tym sensie, że ma wrodzony spryt. Jak bukmacher na torze wyścigowym, nie jak księgowi, bankierzy i eksperci w dziedzinie finansów, wśród których Grace poruszała się z tak dużą swobodą.

Nie, doprawdy, młody David należy do innego gatunku.

Bez wątpienia jednak Grace go kocha. Nigdy przedtem nie przyprowadziła nikogo do domu i teraz musiał to być ten młody gbur.

- David odwiedził dzisiaj mamę. - Grace wymawiała jego imię takim tonem, jakby sprawiało jej to wielką przyjemność. - Zauważył, jakie to niezwykle, że zupełnie nie jestem podobna do żadnego z was, że wystarczą dwie minuty spędzone na słońcu, żebym się spiekła, a wy obydwójce możecie siedzieć miesiąc i wasza skóra nabierze po prostu złotobrazowego odcienia. David przypomina kubek w kubek swojego ojca, są jak bliźniacy, mają takie same nosy i usta, takim samym gestem odgarniają włosy z czoła.

Powstrzymałem się od komentarza, że to musi być niefortunne dla nich obu. Wykrzesalem z siebie nikle zainteresowanie, by zachęcić Grace do dalszych wynurzeń na temat ukochanego.

- Tak, pytał mamę, czy jej zdaniem nie jest dziwne, że tak się różnię wyglądem od was obojga.

- I co na to twoja mama? - zapytałem, starając się nadać głosowi ton ciepła i ożywienia. Ledwo mogłem mówić. Jak ten gówniarz śmie przesłuchiwać umierającą kobietę? Jak śmie zakłócać jej ostatnie tygodnie, a może nawet dni swoimi niedorzecznymi pytaniami?

- Och, wiesz, jaka jest mama, przyznała mu słuszność, a potem poczuła się gorzej i zawołała Mercedes.

- To nie wina tego chłopca, uprzedzano nas, że ból u He-

len może pojawiać się i znikać - powiedziała moja matka. O dziwo, Natasha zawsze stawiała w obronie tego szczeniaka.

- A później wszystko było w porządku, tatusiu, czuła się świetnie podczas naszej małej uroczystości z okazji rocznicy, prawda? - Duże, ciemne, piękne oczy Grace wpatrywały się we mnie badawczo.

- Tak, czuła się świetnie - odparłem z wysiłkiem.

W ciągu następnej godziny zdobyłem się na jeszcze większy wysilek. Uśmiechałem się do mojej matki i córki, i opowiadałem im historyjki o szczęśliwszych czasach. Robiłem taką minę, jakby mnie obchodziło, czy po kolacji napijemy się armaniaku czy koniaku. A potem wreszcie mamusia znalazła się z powrotem w swojej rezydencji, córka zaś w swoim mieszkaniu, do którego niewątpliwie przyjdzie ten David, tak podobny do ojca, i będzie spał w jej łóżku.

Byłem wolny.

Nareszcie wolny, żeby pójść do Helen.

Wpuszczali mnie o każdej porze.

Dlatego właśnie wspaniale jest mieć dość pieniędzy na prywatne leczenie. Mogłem ot tak, po prostu pchnąć duże, bezszelestnie otwierające się drzwi do holu, który bardziej kojarzył się z luksusowym hotelem niż ze szpitalem. Nocna recepcjonistka powitała mnie uprzejmie.

- Jeżeli śpi, to obiecuję, że nie będę jej przeszkadzał - powiedziałem z wystudiowanym i niezbyt szczerym uśmiechem.

Często rozmawialiśmy z Helen o tym, że życie to właściwie gra. Ze przeważnie musimy udawać. Narzekaliśmy na to i zapewniliśmy się nawzajem, że przynajmniej nigdy nie udawaliśmy przed sobą nawzajem. Ale to robiliśmy. Oczywiście, że tak. Największe udawanie rozegrało się między nami dwójgim.

Nigdy nie powiedziała mi prawdy o Grace, a ja nigdy jej nie powiedziałem, że wiem. Ze zawsze wiedziałem.

Wiedziałem od dnia, gdy raz wszedłem do jej pokoju podczas tak zwanej ciąży, kiedy powiedziała, że woli spać sama.

Rzucała się przez sen, bo znowu śniło jej się coś złego, więc położyłem dłoń na jej czole, by ją uspokoić, i dostrzegłem biały skrawek odzieży pod nocną koszulą. Uniosłem przykrycie i zobaczyłem pod nim prześliczny kremowozłoty peniuar, zsunęty na bok razem ze sztucznym piankowym brzuchem.

Doznałem przemożnego szoku. Helen, moja żona, skłamała. Ale tuż po tym ogarnęła mnie fala miłości i współczucia, biedactwo, biedna dziewczyna, jak bardzo musiała się obawiać mojej matki, a także mnie samego, że posunęła się do takiego czynu. I co zamierzała zrobić, kiedy przyjdzie jej czas - a raczej kiedy nam powie, że przyszedł jej czas?

Prawdopodobnie umówiła się z kimś, że kupi dziecko. Ale dlaczego mi o niczym nie powiedziała? Chętnie dzieliłbym z nią to wszystko. Dlaczego mi nie powiedziała?

Wróciłem tamtej nocy do swojego pokoju bardzo zaniepokojony. Co ona zamierzała zrobić beze mnie u boku? Wiedziałem, że sama nic da sobie rady, nie doprowadzi do końca swego zwariowanego planu, jakkolwiek on był.

Ale wiedziałem też, że muszę czekać. Musiałem pozwolić jej działać dalej. Nic nie mogło być dla niej gorsze niż upokorzenie, którego doznałaby, widząc, że odkryłem jej podstęp.

Mijał czas; Helen była blada i niespokojna, co mamusia składała na karb ciąży. Tylko ja wiedziałem, że istniał poważniejszy powód. Doznałem wielkiej ulgi, gdy wreszcie usłyszałem, że chce na koniec odwiedzić swój sierociniec, ten, w którym się wychowała. Zapewne stamtąd zamierzała wziąć dziecko i będzie udawała, że to nasze.

Zaskoczyło mnie, a nawet zgorszyło, że ta naprawdę szacowna instytucja zaaprobowała podobny podstęp. To było wbrew prawu, wbrew wszystkiemu, co tam głoszone. Siostry zawsze były skrupulatne, jeśli chodzi o dzieci powierzone ich opiece. Z pewnością znalazłyby jakiś legalny sposób, aby Helen adoptowała dziecko, a nie uczestniczyłyby w oszustwie. Ale wiedziałem, że będą troszczyć się o Helen.

Niektóre z tych kobiety pracowały tam w czasach, gdy ona sama była niemowlęciem.

Były więc skłonne żywić dla niej wyłącznie współczucie i zrozumienie.

Gdy zatem się dowiedziałem, że nasze dziecko przyszło na świat przed czasem i że to zdrowa, śliczna dziewczynka, odechnąłem z ulgą. Wszyscy służyli pomocą, więc prześliznąłem się nad całą procedurą rejestracji narodzin, swobodnie wypełniając dokumenty i podpisując je w odpowiednich miejscach, nic zadając pytań, nie podnosząc żadnych kwestii.

Trzymałem na rękach czyjąś małą córeczkę i nawet ja, nieznający się na tym mężczyzna, jak można by powiedzieć, zauważyłem, że Grace jest starsza, niż twierdziła Helen. Pomagałem trzymać znajomych z dala od matki i dziecka, dopóki z upływem czasu nie zatarła się różnica. Powtarzałem wszystkim, że ja również byłem bardzo dużym noworodkiem, a moja matka - która ma skłonność do wdawania się ze mną w ostre spory, gdy poruszane są takie tematy — o dziwo, przyznała mi słuszność i dodała, że urodziłem się wręcz olbrzymi.

Helen nie chciała opowiadać o porodzie, nawet tak bliskim osobom jak moja matka i jej przyjaciółki, które błagały o szczegóły. Powiedziała, że pamięta wszystko jak przez mgłę, ale teraz, gdy już trzyma w ramionach swoją małą Grace, to, co zaszło, wydaje jej się nieważne i czyż jej się nie poszczęściło, że miała wokół siebie życzliwe osoby, które umiały jej pomóc. Nikt nie widział w tym nic niezwykłego.

Nikt.

No bo niby dlaczego miałby widzieć?

Przez ostatnie pół roku przyglądali się Helen, która zaokrąglala się stopniowo i oczekiwała narodzin dziecka. Tylko ja jeden wiedziałem, a nie zamierzałem nikomu mówić.

Poszedłem wysłanymi wykładziną korytarzami do pokoju Helen. Miałem do powiedzenia jeszcze tylko jedno - to, że nie zdradzę jej tajemnicy do końca życia. Ze nie ma najmniejsze-

go znaczenia, co mówił ten głupi, nietaktowny David, gdyż i tak nikt się nie dowie, iż Grace nie jest naszą rodzoną córką. Ale nie mogłem tego oznajmić tak prosto z mostu. Dać do zrozumienia, że o wszystkim wiem.

Pomyślałem, że usiądę, spojrzę na nią i będę wiedział.

Będę wiedział, co mam powiedzieć.

W pokoju panował półmrok, świeciła się tylko mała lampka, a na ścianę padał wielki cień tej Filipinki Mercedes, siedzącej obok łóżka. Trzymała Helen za rękę. Helen miała zamknięte oczy.

- P a n Harris! - Mercedes zdumiała się na mój widok.

- Czy ona śpi? - zapytałem.

Najwyraźniej spała; dopiero co zażyła swoją mieszkankę leków. Pielęgniarka z ośrodka opieki paliatywnej była tu pół godziny wcześniej.

- W y d a j e mi się, że David wytrącił ją wczoraj z równowagi.

- Nie mówiła nic o tym, panie Harris.

Ja jednak w głębi serca wiedziałem, że Helen jest zaniepokojona. Jej twarz wyrażała wielką obawę, kiedy David głądził o jakimś miejscu w Irlandii z lasem życzeń albo magiczną studnią czy czymś w tym rodzaju. Potrafię czytać w twarzy Helen jak w książce. Pielęgniarka zachowała niezmacony spokój.

Widziała i słyszała wszystko, lecz mówiła bardzo niewiele.

Musiałem się dowiedzieć.

- C z y wspominała o czymś? O czymkolwiek? - Mój głos brzmiał tak, jakbym dostał rozstroju nerwowego, musiałem jednak wiedzieć, czy ten chłopak przysporzył mojej żonie zmartwienia. Teraz, pod sam koniec.

- N i e , nie, opowiadała mi tylko o szampanie, który pan przyniósł na rocznicę ślubu.

Mercedes spoglądała na łóżko, jakby chora mogła ją usłyszeć mimo wszystkich leków.

A zatem świat Helen nie został wywrócony do góry nogami, nie czuła obawy, że wyjdzie na jaw tak długo strzeżona tajemnica. Mogłem odetchnąć swobodnie.

Zapytałem, czy mógłbym posiedzieć z żoną sam na sam. Okazało się, że nie. Wymagała całonocnego dozoru. Stan jej płuc budził obawy.

- Proszę, Mercedes, chcę z nią porozmawiać, gdy się obudzi - nalegałem błagalnym tonem.

- Panie Harris, gdy chora się obudzi, przejdę na drugą stronę pokoju i nie będę słuchała, co pan do niej mówi - odparła.

Więc usiadłem przy łóżku i siedziałem tak dwie godziny, głaszcząc chudą, białą dłoń Helen.

Musieli się spodziewać, że umrze dziś albo jutro, jeśli wyznaczyli całodobowy dyżur.

A potem Helen otworzyła oczy i uśmiechnęła się do mnie.

- Myślałam, że jesteś na kolacji. - Z trudem wymawiała poszczególne słowa.

- Byłem, było wspaniale - zapewniłem.

Opowiedziałem jej, że rozmawialiśmy o różnych sprawach i wszyscy byli bardzo zadowoleni, a ja najbardziej. Powtórzyłem, co mówiła nasza córka: że David zauważył, czy to nie dziwne, iż Grace ma ciemne oczy, podczas gdy my obydwójce mamy jasne, a ja powiedziałem, że mój ojciec także miał ciemne oczy. Czarne jak węgle, więc Grace musiała odziedziczyć je po nim. Mamusia przytaknęła i nawet dodała, że Grace mogła się wdać w kogoś z rodziny Helen. A przecież nie znamy nikogo z nich. Więc David zgodził się z nami i zaczął mówić o czymś innym.

Helen przyglądała mi się długo i badawczo.

- Nadal go nie lubisz - wychrypiała.

- Ale ż lubię - skłamałem.

- Nie oszukasz mnie, mój drogi, nigdy się nie okłamywaliśmy, ani razu, pamiętasz?

- Wiem.

I wtedy powiedziałem jej moje ostatnie kłamstwo.

- Nie chodzi o to, że czuję do niego szczególną niechęć, kochanie. Po prostu bardzo kocham naszą małą dziewczynkę i nikt nigdy nic będzie dla niej wystarczająco dobry. Jest moja

córką, płynie w niej moja krew i nic mnie nie przekona, że z kimkolwiek innym może być tak szczęśliwa, jak z nami.

Uśmiech Helen wyglądał cudownie. Mógłbym wpatrywać się weń w nieskończoność, lecz w jej twarzy zaszła jakaś zmiana i Mercedes ruszyła ku drzwiom, by wezwać jedną z sióstr.

Przed wyjściem zwróciła się do mnie:

- Jest pan wspaniałym człowiekiem, panie Harris. Bardzo ją pan uszczęśliwił swoimi słowami.

1 choć to kompletny absurd, gdy się lepiej zastanowić, przez chwilę miałem wrażenie, że ta kobieta zna naszą tajemnicę. Że wie wszystko o Grace.

Ale to było, oczywiście, niemożliwe.

Helen nigdy by jej nic powiedziała.

Za żadne skarby świata.



Urodziny June

Część 1 - June

Cóż, to chyba było oczywiste od samego początku. Szesnastego czerwca kończyłam szesnaście lat i miałam na imię June. Dokąd miałybyśmy pojechać, jeśli nie do Dublina na Bloomsday? To będzie magiczny dzień, powiedziała mama.

Tak naprawdę nie wierzyłam w magiczne dni, ale ona była tak podekscytowana, że opowiadała o tym każdemu. „Moja córka będzie obchodziła szesnaste urodziny w dniu, kiedy Leopold Bloom poznał Molly”. Większość ludzi nie miała pojęcia, o czym mówiła, ale czy to kiedykolwiek powstrzymało mamę?

Planowanie zaczęło się niemal rok wcześniej, od całych godzin spędzanych na wyszukiwaniu tanich biletów w Internecie i niedrogiego zakwaterowania. Słowo daję, że musimy być jedynymi Amerykankami irlandzkiego pochodzenia, które nie mają - jak się zdaje - żadnych krewnych w Irlandii. Naprawdę nie wiem, co mama zrobiła z całą swoją rodziną. Może ich zraziła. Zbyt dużo opowiadała o tym, jak dobrze nam się powodzi po drugiej stronie Atlantyku — co było dalekie od prawdy.

Urodziła się w miejscowości o nazwie Rossmore, gdzie diabeł mówi dobranoc. Ale większa część rodziny przeprowadziła się do Dublina. Tyle udało się wydobyć od mamy przez te

wszystkie lata. Jako mała dziewczynka bawiła się w tamtejszych lasach z koleżankami i chodziły do świętej studni modlić się o mężów.

- C z y to była prawdziwa studnia życzeń? - zapytałam.

Mama wymodliła sobie mojego tatę, więc zapewne niespejnalnie wysoko ceniła tę studnię. Ludzie najwyraźniej przyjeżdżają tam po dziś dzień.

Mieszkała w Irlandii do jedenastego roku życia, więc na litość boską, musiała mieć jakichś kuzynów, przyjaciółki, ciotki, wujów. Nie było drugiego głodu ziemniaczanego, który by ich zmiotł z powierzchni ziemi czy coś w tym rodzaju. Czemu nie mogłyśmy normalnie zatrzymać się u krewnych?

Och, nie było sensu pytać o to mamy! Wzruszała tylko ramionami, mrugała i powtarzała, że wszystko jest ostatnio takie skomplikowane, a rodzina rozproszyła się po całym kraju. Nigdy jednak nie było jasne, kto, dokąd i dlaczego wyjechał. Zawsze odnosiłam wrażenie, że wyjechałyśmy tylko my, a reszta została.

Nie było też sensu próbować przypierać mamy do muru, zadając poważne pytania. Nic nie wiedziała o Rossmore i tak naprawdę nie pamiętała lat spędzonych w Dublinie. Odsuwała je od siebie, mówiła o nich wymijająco i stawała się coraz bardziej niespokojna.

Podobnie bywało ze wzmiankami o datach, wieku i tak dalej. Zawsze mamę denerwowały i w końcu gra okazywała się niewarta świeczki. Mama skończyła czterdzieści cztery lata. Wszystkim wokół powtarza, że ma trzydzieści pięć, co by oznaczało, że urodziła mnie w wieku lat osiemnastu, a miała zaledwie siedemnaście, kiedy zaszła w ciążę. Nie wiem, skąd wzięłaby czas na studia, które - jak twierdzi - zaliczyła w miastach leżących gdzieś daleko, gdzie kiedyś mieszkały koleżanki z uczelni i przyjaciółki z korporacji. Ale lepiej o to nie pytać.

Widuję tatę dwa razy w roku, gdy odwiedza wschodnie stany. Jest nadpobudliwym Włochem, ożenił się ponownie i ma

dwóch synków. Pokazuje mi zdjęcia i nazywa ich moimi przyrodnimi braćmi. Nie spotyka się z mamą, kiedy do nas przyjeżdża i zabiera mnie do motelu, w którym się zatrzymał. Jeśli mama jest w domu, patrzy z okna na górze. Ale ona zazwyczaj jest wtedy w pracy. Ludzie handlujący urządzeniami wodnymi i basenami ogrodowymi pracują, jak się wydaje, od rana do wieczora.

Tata w niczym mi nie pomaga, gdy go pytam, jak to było w Irlandii.

- Nie pytaj, Junie, nie pytaj, bo za każdym razem usłyszysz co innego — odpowiada.

- Ale, tatku, musisz przecież coś wiedzieć, to znaczy, kiedy pobieraliście się z mamą, czy nic było na weselu gości z Irlandii?

- Byli, Junie, lecz hej, nie spoglądaj w przeszłość, tylko patrz w przyszłość, zawsze to powtarzam.

Już się szykowałam, żeby mi znowu pokazać zdjęcia moich przyrodniczych braci, więc wyprzedziłam jego zagrywkę.

- No dobra, najbliższe urodziny będę obchodziła w Dublinie. Czy poznałeś jakichś krewnych mamy, gdy byłeś w Dublinie?

- Nie - odparł.

- Dlaczego? Przecież ona poznała twoich we Włoszech, prawda?

- Nigdy nie odwiedziłem Dublina, June, kochanie - wyjaśnił tata. - Zawsze chciałem tam pojechać, ale się nie udało. Najwyraźniej dziadek twojej mamy i jej ojciec powiedzieli sobie pewnego dnia kilka przykrych słów. A że jej ojciec był dumnym młodzieńcem, zabrał więc rodzinę, wyjechał do Stanów Zjednoczonych i nic pozwolił nikomu oglądać się wstecz.

- A le to się przecież działo dawno temu, tatku! - Byłam zdumiona, że jakiś spór może ciągnąć się tak długo.

- Och, wiesz, jak potrafią narastać różne sprawy - rzucił tata, jak zwykle wybacząc wszystkim.

- A kiedy umarł ojciec mamy, kiedy nie było już dziadka, czy nic nie dało się naprawić?

- Może uważała, że sprzeniewierzyłaby się pamięci ojca. W każdym razie nigdy nie byłem w Rossmore ani w Dublinie. Więc na nic ci się nie przydam. - Tata wzruszył ramionami.

- Wszystko ci opowiem, tatku - obiecałam.

- G i n a i ja chcemy ci podarować na urodziny aparat fotograficzny. Rób zdjęcia wszystkiego, co zobaczysz, pokażesz mi je przy następnym spotkaniu. Zapowiada się wspaniała wycieczka. Twoja mama, skarbie, będzie z ciebie bardzo dumna i może kogoś tam poznasz. Zapewni ci naprawdę dobrą zabawę.

Tata jest taki dobry, chciałby, żeby wszyscy lubili się nawzajem. Poczulałam nagle, jak lzy napływają mi do oczu.

- Nigdy mi właściwie nie wyjaśniłeś, dlaczego rozstaliście się z mamą? - zaczęłam bez wielkiej nadziei, że cokolwiek usłyszę.

- No cóż, rozumiesz, jak to bywa, takie rzeczy się zdarzają, nikt tu nie zawinil - odparł z szerokim uśmiechem. - I wiesz, Junie, niczego się nie osiągnie, spoglądając wstecz. Patrzmy w przyszłość, czeka cię wspaniała wycieczka do Irlandii, a potem pewnego dnia przyjedziesz na Środkowy Zachód zobaczyć się ze swoimi przyrodnymi braciszkami i...

Byłam mu winna trochę życzliwości.

- Bardzo bym chciała spotkać się z Giną, tatku, i lepiej poznać małego Marca i Carla - powiedziałam i zauważyłam, jak jego twarz rozjaśnia się na dźwięk tych imion.

- J a k tam twój ojciec? - Głos mamy był szorstki i napięty. Najwyraźniej baseny ogrodowe źle się tego dnia sprzedawały. Pragnęłam jej opowiedzieć, jaki jest życzliwy i wielkoduszny, otwarty na dobre nowiny z każdej strony. Ale uznałam, że nie warto jej niepokoić i wytrącać z równowagi. Dlatego się poddałam, podobnie jak tata, który nigdy nic nalegał na wyjazd do Dublina, i odpowiedziałam bardzo krótko.

- Był miły. - Wzruszyłam ramionami. - Nie miał zbyt wiele do powiedzenia.

- N i g d y nie miał - zauważyła mama z zadowoleniem. Nu-

cę cicho jakąś melodię, wydobyła skoroszyt z informacjami na temat naszej wyprawy. Skoroszyt, na którym widniały wielkie litery wypisane zielonym flamastrem: „16 czerwca”.

- Co będziesz tam robiła? - pytano mnie w szkole. Nie wiedziałam, jak odpowiedzieć, bo po prostu nie miałam pojęcia, co będziemy robiły. W przeciwieństwie jednak do mamy nie dbałam o to, co pomyślą inni.

- Czy ktoś urządzi dla ciebie przyjęcie? - spytała moja przyjaciółka Suzi.

Odparłam, że nie wiem. Może tak, jako niespodziankę, a może nie.

Zamierzałam i tak wyprawić przyjęcie po powrocie. Miałam nadzieję, że pojedziemy do tego miasteczka Rossmore ze studnią życzeń, ale nie chciałam wspominać o tym mamie, dopóki nie znajdziemy się w Irlandii. Wiedziałam tylko jedno: że 16 czerwca wybieramy się na pieszą wycieczkę śladami Jamesa Joyce'a. Mama zgłosiła nas jako uczestniczki.

Miałyśmy zacząć od wieży na brzegu morza, pójść do muzeum, zjeść obfite śniadanie złożone z cynaderek, wątróbki i tym podobnych rzeczy, a potem pojechać do centrum Dublinu małym pociągiem. Brzmiało dziwacznie, ale mama dawno nie była taka szczęśliwa, więc widziałam w tym dobre strony. Tak czy inaczej po wszystkich korowodach, pakowaniu, rozpakowywaniu i przepakowywaniu walizek, nadszedł wreszcie dzień wyjazdu.

Na lotnisku panował tłok, hotel z okazjnymi cenami po kolei okazał się w porządku - może nie pierwszorzędny, ale w porządku. Sklepy wydawały się małe w porównaniu z amerykańskimi, pieniądze były zupełnie inne, a ja ciągle wypytywałam mamę, czy to wszystko pamięta, a może chociaż cokolwiek z tego — na co odpowiadała, że **naprawdę** nie wie, to takie odległe czasy.

- Nie aż tak, mamo, przecież masz dopiero trzydzieści pięć lat, pamiętaj - powiedziałam, lecz tym razem nie chwyciła przynęty.

- Czuję się, jakbym miała sto trzydzieści pięć w porównaniu z tymi wszystkimi młodymi twarzami, które widzę wokół siebie. To jest teraz kraj nastolatków - burknęła niechętnie. Wydawała się zmęczona i spięta. Postanowiłam dłużej się z nią nie droczyć.

- Wyglądasz wcale nie gorzej niż cała ta młodzież, mamo, naprawdę.

- Dobra z siebie dziewczyna, June, masz w sobie wiele włoskiego optymizmu po ojcu, to ci muszę przyznać.

- A co z O'Learymi? Czy po nich też coś wzięłam? - zapytałam. Stąpałam po kruchym lodzie, ale jeśli już miałam wymówić ich niewymieniane nazwisko, to gdzie, jak nie w ich rodzinnym mieście?

- Na szczęście nie - odparła. - Jedyne, czego nie zapominają, to urazy.

- Dlatego się z nimi nie zobaczymy? - Byłam odważna jak lwica.

- To dziwni ludzie, ci O'Leary. Wszyscy pochodzimy z zapadłego kąta o nazwie Rossmore, skąd przyjechaliśmy do Dublina. A potem, obawiam się, wypowiedziano pewne słowa przy North Circular Road. - Głos mamy brzmiał ostro. - Ale wracajmy do Joyce'a.

Ustaliła, że obejrzymy sobie drzwi numer 7 przy Eccles Street, najsłynniejszy jej zdaniem adres w literaturze anglojęzycznej; a potem mogliśmy pójść do Davy'ego Byrne'a, zapoznając się po drodze z pewną częścią Joyce'owskiej kultury i czyniąc przygotowania do wielkiej wycieczki w sam Bloomsday.

- A le ty wiesz, June, o co tu chodzi? - denerwowała się mama.

Wiedziałam.

Pewnego czwartku w czerwcu 1904 roku całe tłumy dublińczyków udały się na wędrowkę, podczas której ludzie spotykali się nawzajem, przecinali sobie drogę - i choć była to tylko zmyślona opowieść, wszyscy jakoś oszaleli na jej punkcie, a teraz

się przebijają i robią to rok w rok. Wolalabym sama zwiedzić Dublin i poszukać moich kuzynów, prawdziwych O'Learych. Ale tego oferta nie obejmowała.

W Bloomsday, dzień moich urodzin, całe miasto przywdziało fantazyjne stroje. Wszyscy przebrali się za edwardian, włożyli słomkowe kapelusze i balansowali chwiejnie na wymyślnych, staroświeckich rowerach - wyglądało to trochę głupio, a trochę zabawnie. Staralam się upodobnić do ojca i postrzegać w tym wszystkim jasne strony. Staralam się być jak moja przyjaciółka, Suzi, która w każdym tłumie widzi wielu wspaniałych i dotychczas nieodkrytych chłopaków do chodzenia. Odwracałam zakłopotane spojrzenie od mamy, gdyż robiła z siebie kompletną idiotkę, popisując się swoją bardzo skąpą wiedzą na temat Joyce'a przed innymi uczestnikami wycieczki. Przenosiliśmy się z miejsca na miejsce i wszędzie było pełno reporterów fotografujących wszystko oraz ekip telewizyjnych. Wreszcie dziewczyna z mikrofonem, przeprowadzająca wywiady dla stacji radiowej, podeszła do mnie i zadała kilka pytań.

Poinformowałam ją, że obchodzę szesnaste urodziny, nazywam się June Arpino, jestem pół Włoszką, pół Irlandką i owszem, wiem coś niecoś o Jamesie Joysie, ta wycieczka dość mnie interesuje, ale tak naprawdę chciałabym odszukać moich kuzynów O'Learych.

Reporterka była miłą dziewczyną o dużych ciemnych oczach, odnosiła się do mnie bardzo przyjaźnie i zaciekała ją moja historia. Dlaczego nie wiem, gdzie mieszkają moi krewni?

Powiedziałam jej, że przyjechali do Dublina z głębokiej prowincji, z miejscowości o nazwie Rossmore. Padły pewne słowa, wyjaśniłam, trzydzieści trzy lata temu na weselu w domu przy North Circular Road. Wkrótce potem moja mama wyjechała z rodzicami do Ameryki. Może nawet z tego powodu.

Dziennikarka była tak zafrapowana tym, co mówię, że znalazłam jej szczerze, iż jestem nawet w miarę zainteresowana

wszystkim, co się przydarzyło Stefanowi Dedalusowi, Leopoldowi Bloomowi i Molly przed stu laty, ale o wiele bardziej interesuje mnie, co się przydarzyło O'Learym trzydzieści trzy lata temu, czy ktoś z nich pamięta moją mamę i czy istnieje szansa, że słowa wypowiedziane tamtego dnia zostały już zapomniane.

Dziewczyna wydawała się bardzo zadowolona z tej rozmowy i na koniec zapytała o adres naszego hotelu. Powiedziała, że bardzo miło jej się ze mną gawędziło i życzy mi powodzenia. Szesnastka to wspaniały wiek i kto może wiedzieć, co się jeszcze wydarzy przed zachodem słońca. Nie oczekiwałam zbyt wiele, po prostu dalszego ciągu wycieczki po Dublinie, ale mama dobrze się bawiła i powtarzała wszystkim, że obchodzę szesnaste urodziny.

Był to jednak całkiem fajny dzień. W wycieczce uczestniczyli sympatyczni ludzie, Szwedzi, Niemcy i nasi, Amerykanie. Fundowali mi lody i robili sobie ze mną zdjęcia. Mama uśmiechała się przez cały czas. Kiedy kupowałyśmy pocztówki w Joyce Centre, wybrałam i wysłałam po jednej do moich przyrodnych braci Marca i Carla. Nikomu to nie wyrządziło najmniejszej krzywdy, a mogło sprawić radość im, tacie i Ginie.

Potem wycieczka się skończyła i wróciliśmy do hotelu. Mamę bolały stopy ze zmęczenia i zapowiedziała, że wymoczy je w wodzie, zanim wybierzemy się dokądś na moją urodzinową pizzę. Gdy weszliśmy do holu, zastaliśmy za ladą bardzo podniekcytowanych recepcjonistów.

Przez cały dzień odbierali telefony i wiadomości. Nigdy przedtem ten tani hotel nie przyciągnął tak wielkiej uwagi. Od kilku godzin dziesiątki ludzi o nazwisku O'Leary wydzwaniali do nich, twierdząc, że pochodzą z Rossmore, a ostatnio z North Circular Road, i zostawili kilkanaście numerów, żebyśmy oddzwoniły. Część z tych ludzi zorganizowała sobie właśnie zjazd rodzinny w barze hotelowym i chcą wyprawić dla June Arpino urodzinową imprezę, jakiej nigdy nie zapomni.

Spojrzałam na mamę z przerażeniem. Popelniłam czyn niewybaczalny. Nawiązałam kontakty z ludźmi, którzy wypowiedzieli pewne słowa.

A także mówiąc, że opuściła Irlandię trzydzieści trzy lata temu, zdradziłam na antenie radia jej prawdziwy wiek. Gorzej już być nie mogło.

O dziwo, zdarzają się jednak magiczne dni.

- Przez cały dzień myślałam o słowach - powiedziała mama. - Gdy się nad tym zastanowić, u Joyce'a najważniejsze są słowa. Niektóre warto pamiętać po stu latach, inne zapominają się znacznie wcześniej. Chodź, June, poznamy twoich kuzynów - dodała, prowadząc mnie w stronę baru.

Część 2 - Lucky O'Leary

No tak, wiem, jakie to groteskowe imię, ale powiedzcie tylko, jak się go pozbyć. To znaczy, nie możesz uderzyć w dzwon i powiedzieć, że odtąd mają cię nazywać Clare, Anne, Shelley albo jeszcze inaczej, tak jakbyś chciała. Co to, to nie. Byłaś Lucky, jesteś Lucky i zawsze będziesz Lucky O'Leary. To moje przekleństwo.

Rodzice dali mi na imię Lucretia, po pewnej starej, mającej ciotce. Nie zapisała im ani pensa, więc to się na nic nie zdało, ale tata zawsze nazywał mnie swoją małą Lucky, bo uważał, że „Lucretia” to zbyt ciężkie brzemię, by obarczać nim dziecko, niezależnie od wysokości przewidywanego spadku.

Trzeba wam było słyszeć, jak mi dokuczano w szkole z tego powodu.

Jeśli dostałam złą ocenę za wypracowanie, jeśli nie znalazłam odpowiedzi, kiedy nauczyciel matematyki wyrwał mnie do tablicy albo jeśli spudłowałam podczas gry w hokeja, ktoś zawsze zauważał: „Tym razem nic miałaś szczęścia, Lucky”, jakbym jeszcze nigdy tego nie słyszała.

Tak czy inaczej szczęście zupełnie mi nie sprzyjało w moich nadziejach na letnią pracę w barze w Nowym Jorku. A można by pomyśleć, że rodzice będą zadowoleni. Nie chciałam wyjechać do śródziemnomorskiego kurortu, żeby się zalewać w trupa i uprawiać seks z każdym, kto się nawinie, co planowała połowa moich koleżanek z klasy po zdaniu końcowych egzaminów. Nie pragnęłam wielkiej i kosztownej kariery uniwersyteckiej, która by zrujnowała rodzinę. Nie prosiłam o opłacenie mi podróży do miejsca, które uznaliby za odludne i niebezpieczne.

Chciałam jedynie znaleźć się na Manhattanie i nosić białe skarpetki, miękkie buty oraz bawelnianą sukienkę w różową kratkę. Chciałam serwować naleśniki z syropem klonowym; stawiać przed gośćmi sadzone jajka i zapiekanekę z ziemniaków i cebuli. A oni mówiliby do mnie: „Cześć, Lucky”.

A może nawet zmieniałabym tam imię na jakieś normalne, irlandzkie, na przykład Deirdre czy Orla.

Nie było to takie znowu szalone marzenie, prawda? Zараbiać na życie, robiąc coś przyzwoitego, a nawet ważnego, jak podawanie ludziom śniadań. Nie zamierzałam przecież tańczyć nago na stole. Ale można by pomyśleć, że chcę odbyć samotny lot na Księżyc. Nowy Jork? Jak mogłam w ogóle rozważać zamieszkanie w tak niebezpiecznym miejscu? Nic było nawet o czym dyskutować. Nie rozumiałam, dlaczego nie mamy żadnych krewnych w Ameryce - żadnych wspaniałych kuzynów i kuzynek, do których mogłabym jeździć w weekendy na barbecue, i chodzić razem na pikniki na plaży albo mecze piłkarskie, i zobaczyć to wszystko, co tak bardzo mi się podobało na filmach.

Ale nie. Rodzina O'Learych jako jedyna w Irlandii wydawała się pozbawiona emigranckiego odgałęzienia. Nigdy nie przychodziły do nas paczki z zadziwiającymi amerykańskimi ciuchami. Nie pojawiali się żadni wujowie i ciotki w płaszczach przeciwdeszczowych kremowego koloru, mówiący z zabawnym akcentem. Mamie i tacie nawet nie przy-

chodziło do głowy, jaki zyskali skarb w mojej osobie. Chcieli, żebym pojechała z nimi do tej nudnej dziury o nazwie Rossmore.

Powinni byli dziękować Bogu na kolanach, że mam lat siedemnaście, jestem dziewicą, nie palę, a piję bardzo rzadko. Wszystko to stanowi raczej wyjątek w moim środowisku. Zdam egzaminy i nie będę urządziła histerycznych scen. Odnosiłam się w miarę sympatycznie do swojej paskudnej siostry Catriony, nawet kiedy podważyła nożem szufladę toaletki, żeby dostać się do moich kosmetyków. I do nieznośnego braciszka Justina, który zasmradzał mój pokój, przychodząc z chipsami ziemniaczanymi, bo uważał, że szansa przyłapania go jest tam mniejsza.

Kogo więc tak naprawdę życzyli sobie w charakterze najstarszej córki? Matki Teresy z Kalkuty?

W każdym razie sytuacja w domu O'Learych przedstawiała się w czerwcu dość pośpnie pod każdym względem. Wyjaśniłam bardzo uprzejmie, że nie, dziękuję, nie chcę jechać z nimi wszystkimi na cudowne rodzinne wakacje do Rossmore. Dodałam jeszcze uprzejmiej, że nie uważam, abym w ten sposób odrzucała ich wielkoduszny gest, po prostu nie uśmiecha mi się perspektywa spacerów brzegiem rzeki, przedzierania się przez cierniste głogi albo pilnowania Catriony i Justina, żeby nie skręcili karków w wesołym miasteczku. I nie, nie przypuszczam, że w ciągu dwóch spędzonych tam tygodni znajdę wspańiałych przyjaciół. Gdyby tylko rodzice się zgodzili, miałiby mnie z głowy, bo szybko bym wylądowała w jakiejś milej nowojorskiej restauracyjce, po łokcie w naleśnikach i bajglach.

Poprosili, żebym więcej o tym nie wspominała, ponieważ to po prostu wykluczone.

Poszłam więc do swojego pokoju, zamknęłam drzwi na klucz przed Catrioną i Justinem i przyjrzałam się swojej twarzy w lustrze. Nie wyglądałam najgorzej: nie jestem tłusta, owłosiona ani pryszczata czy coś w tym rodzaju. Pięknością

także nie jestem, ale mam życzliwą twarz - taką, która spodobałaby się klienteli w barze, zwłaszcza że odznaczam się dobrą pamięcią i wiedziałabym natychmiast, poznając gościa, czy życzy sobie cappuccino lub dodatkową galaretkę do grzanki.

Normalnie nie słucham radia, tylko puszczam sobie nagrania na CD. Bardzo bym chciała mieć w pokoju telewizor, choćby tani, ale tata powiedział, że nic śpimy na pieniądzach i że bym się nic wyglupiała. W każdym razie włączyłam radio na tej stacji, gdzie jakaś staruszka pomagała ludziom rozwiązywać problemy. Wiecie, jedna z tych, co to udają, że są młode, zorientowane i w ogóle na bieżąco, a przekręcają każde słowo. No więc jakaś stuknięta dziewczyna napisała, że jej matka to zwariowane, podejrzliwe stare babsko i że ona nie może nigdzie pójść ani nic zrobić. Ziewając, mruknęłam w duchu: „I komu to mówisz” - ale ciekawiło mnie, dlaczego ta dziewczyna pomyślała, że staruszka z radia proponuje coś choć trochę sensownego.

Staruszka zaczęła, że owszem, to fatalnie, iż starsze osoby i młodzież nie rozumieją się nawzajem, istnieje jednak rozwiązanie. O tak, pomyślałam, oczywiście, że istnieje. Poddaj się, machnij ręką, zrezygnuj z dyskusji, zrezygnuj z nadziei.

Czekałam, aż wyskoczy z czymś takim, ale ona powiedziała:

- T w o j a matka jest samotna, moja droga, samotna i zdeorientowana, zaufaj jej, uczynj ją swoją sojuszniczką.

Jasne, naprawdę świetny pomysł. Gdybym tylko zaczęła szukać w mojej mamie sojuszniczki, po dwóch minutach usłyszałabym od niej: „Nic próbuj mnie urabiać, dobrze?”.

- Opowiedz mamie o swoich zmartwieniach i obawach, spytaj, co ją dręczy. Może nie od razu ci się odwzajemni, moja droga, ale to przyjdzie z czasem. Matki nastolatek mogą sprawiać wrażenie pewnych siebie, lecz w gruncie rzeczy są często pełnymi niepokoju, zagubionymi istotami. Okaż jej zainteresowanie, jeśli nawet na początku udawane, później stanie się szczer-

re. Lada dzień możesz się ze swoją mamą bardzo blisko zaprzyjaźnić. Najpierw zagraj w przyjaźń, a potem zobaczysz, że gra przeobrazi się w rzeczywistość...

W jakim świecie żyją ci z radia? I pomyśleć, że ona dostaje całkiem spore pieniądze za wygłaszanie na antenie tych wszystkich bzdur. No nie, dajcie spokój.

Dalej ta sama kobieta zaczęła mówić o dwóch najlepszych przyjaciółkach, które się pokłóciły, i że poradziła tej, co napisała do audycji, żeby pierwsza wyciągnęła rękę na zgodę i powiedziała: „Słuchaj, nie chcę klótni...”. Była to, oczywiście, słuszna rada, choć pewnie gdzieś ją wyczytała. Samotne i zagubione matki. Akurat.

Posprzeczała się, mama z tatą, wszyscyśmy się tego domyślili po ich nadmiernej uprzejmości przy kolacji. Nie wiedziałam, o co poszło, i nie bardzo mnie to obchodziło.

- Zdejmij łokcie ze stołu, Catriona, i okaż trochę szacunku doskonałemu posiłkowi, który dla nas wszystkich przygotowała twoja matka...

- Nie odzywajcie się wszystkie naraz, dzieci. Wasz ojciec ma za sobą długi i bardzo ciężki dzień...

Naprawdę nie wiedziałam, o co się pokłócili tym razem, i nie chciałam się dowiedzieć. Zdarzały im się od czasu do czasu takie chwile oziębłości. Nic takiego, minie. Udałam, że niczego nie zauważam. Rzecz jasna, Catriona i Justin, którzy razem wzięci mają tyle rozumu co pchła, zauważyli i wygłosili komentarze.

- Czy klóć się z tatusiem? - zapytała Catriona.

- Nie, kochanie, oczywiście, że nie - odparła mama okropnym, piskliwym głosem.

- Zamierzasz się rozwieść, tatusiu? - chciał wiedzieć Justin.

- Nie, Justinie, jedz kolację - rzucił tata.

- Z którym z was zamieszkać? - spytał mój brat, spoglądając niespokojnie to na jedno, to na drugie.

- Bzdury opowiadasz, jak rodzice mający takiego wspaniałego syna mogliby w ogóle myśleć o rozwodzie? - Mój głos brzmiał sarkastycznie, lecz do Justina ironia nie dociera.

- A h a , no to w porządku - oznajmił pogodnie i zajął się kolacją.

Pomogłam mamie wstawić naczynia do zmywarki.

- Ładnie się zachowałaś, Lucky - powiedziała.

- Och, no wiesz. Ci mężczyźni! - westchnęłam.

Spojrzała na mnie nieoczekiwanie i wydało mi się, że ma lzy w oczach. Ale nie zamierzałam zgłupieć na tyle, by próbować się z nią zaprzyjaźnić, jak mówiła ta stara kobieta w radiu.

Następnego ranka tata powiedział, że jestem wspaniałą córką, a ponieważ wcześniej przez kilka tygodni powtarzał, jaki to ze mnie istny dopust boży, zaniepokoiłam się nieco i pomyślałam, że może faktycznie moi rodzice zamierzają się rozstać.

Więc się nie odzywałam. Coraz lepiej wychodzi mi wzruszanie ramionami.

Na drugi dzień tata nic przyszedł na kolację, a mama zamknęła się w jadalni ze swoją siostrą. Próbowałam podsłuchiwać, ale zauważyłam, że Catriona robi to samo, więc kazałam jej iść na górę i nie być wredną dziewczuchą, która podsłuchuje czyjeś prywatne rozmowy.

Tata wrócił do domu bardzo późno. Stałam pod drzwiami ich sypialni, lecz nic nie było słyhać. Martwa cisza.

Nazajutrz postanowiłam coś zrobić. Dni wlokły się monotonnie, odkąd nastąpił ten impas.

Mama pracowała w butikiu z ubrankami dziecięcymi - tylko w przedpołudniowych godzinach, żeby po południu pilnować nas w domu. Nie miałam nic do roboty, więc wstąpiłam do tego butikiu (nie pozwalała nam nazywać go „sklepem”). Przestraszyła się, jak to zwykle starsi, gdy widzą kogoś z domu. Myślała, że stało się coś złego.

Powiedziałam jej, że nic się nie stało, po prostu w sąsiedztwie otwarto nowy włoski bar i może miałyby ochotę zjeść tam ze mną lunch. Jej twarz rozświetliła się niczym latarnia morska.

Podczas lunchu mama zaczęła:

- Pewnie to dla ciebie niełatwe, Lucky, że musisz w tym roku jechać z nami do Rossmore.

Nie poinformowałam jej jeszcze, że mowy nie ma, abym spędziła tam z nimi potwornie nudne wakacje. Ale z bliżej nieokreślonych przyczyn przypomniała mi się staruszka z radia, która mówiła o samotnych i zagubionych matkach. Warto było spróbować, jeśli dzięki temu mogłabym osiągnąć swój cel.

- To b i e chyba też jest dość trudno, mam o - powiedziałam. Popatrzyła na mnie z powagą.

- C z a s a m i tak, Lucky - przyznała. Zawiesiła głos, jakby miała mi do powiedzenia coś bardzo ważnego, więc czekałam. Zastanawiałam się, co to będzie. Że tata nudzi ją śmiertelnie? Ze znalazła sobie młodego kochanka? Ze mogę polecieć do Nowego Jorku? Ale jak się okazało, nic z tych rzeczy. - Wiesz, sprawy zawsze się jakoś układają - podsumowała wreszcie. To zabrzmiało tak tępo i bezsensownie, że zupełnie nie wiedziałam, jak zareagować.

Więc w końcu powiedziałam: „Chyba masz rację, mam o” - a wtedy uśmiechnęła się do mnie i poklepała po ręce, strącając z mojego widelca całą porcję linguini. Czułam się tak, jakby nastąpił koniec świata, jeśli tylko tak potrafiła zareagować, i przez całą drogę do domu kopałam kamyk, co było głupie, ponieważ zniszczyłam sobie czubki prawie nowych butów.

Mama wybierała się na zakupy, ale znalazłam wymówkę w postaci pilnych zajęć. Obawiałam się, że jeśli z nią pójdę, zamorduję ją na środku supermarketu. Wróciłam do domu i wyciągnęłam się na łóżku, żalując, że nie jestem czterdziestotrzyletnią kobietą albo kimś jeszcze bardziej wiekowym, kto ma całe życie za sobą. Włączyłam radio, a tam akurat nadawano jakąś okropną audycję na temat Jamesa Joyce'a i różnych zwariowanych cudzoziemców, którzy przyjeżdżają do Dublina.

Jakaś reporterka przeprowadzała wywiad z młodą Amerykanką, spędzającą szesnaste urodziny na krążeniu z matką po mieście trasą wędrówki opisaney w „Ulissiesie”. No nie, pomy-

ślałam, jakakolwiek jest moja mama - a jest nieźle stuknięta - nigdy by mnie nie zmuszała do czegoś takiego.

Ta dziewczyna, June, o włoskim nazwisku Arpino czy jakoś tak, powiedziała, że ma irlandzkich krewnych, którzy się nazywają O'Leary i pochodzą z tego samego zabitego deskami Rossmore, co my, a potem mieszkali przy North Circular Road, czyli tam, gdzie rodzina taty. I nagle zaświtała mi pewna myśl. Czy to możliwe, że ona jest moją kuzynką?

Czy June Arpino i jej najbliżsi nie mogliby mnie zabrać do Nowego Jorku, żebym sobie tam znalazła pracę w restauracji?

Słuchałam w napięciu, czekając na dalsze informacje. Zatrzymała się w jednym z tych tanich hoteli, wyglądających jak wschodnioeuropejskie więzienia. Zadzwoiłam do radia i dowiedziałam się, że tej June tam nie ma, wywiad został nagrany kilka godzin wcześniej, ale podali mi numer telefonu hotelu i poinformowali, że wydzwania do nich pół kraju i wszyscy wybierają się do hotelu.

Pomyśleć tylko! Może oni wszyscy chcą, żeby załatwiła im pracę w restauracji. Ludzie są tacy dziwni.

Czemu zatem i ja nie miałabym tam pojechać? Przynajmniej się pośmieję.

Mama zapukała do drzwi mojego pokoju. Powiedziała, że szukała spódnicy dla siebie i jakoś żadna na nią nie pasowała, ale znalazła coś dla mnie. Spódnica okazała się niebrzydka, z różowego aksamitu - inna niż rzeczy, które mama zwykle kupuje, a w których wstydziłoby się chodzić dziecko z dwiętnastowiecznego sierocińca.

- C z y tata miał w rodzinie kogoś, kto wyjechał do Ameryki, kogoś z North Circular Road? - zapytałam.

- T a k , j e g o s t r y j , z p o w o d u o b r a z y a l b o i n n e g o i d i o t y z m u , n i k t n i e p a m i ę t a , o c o t a m c h o d z i ł o . 1 n i k t n i e w i e , g d z i e t a m c i t e r a z m i e s z k a j ą , w i ę c o b a w i a m s i ę , ż e n i e p o m o g ą c i , s k a r b i e , w r e a l i z a c j i t w o i c h p l a n ó w . - J e j t w a r z w y r a ż a ł a s z c z e r e w s p ó ł c z u c i e .

- C h y b a i c h o d n a l a z ł a m - p o i n f o r m o w a ł a m m a m ę i o p o -

wiedziałam jej o wszystkim. Dziwne, ale sprawiała wrażenie zainteresowanej i ucieszonej. A nawet podekscytowanej.

- Jedźmy tam - zgodziła się od razu.

Hotel okazał się od wewnątrz równie paskudny, jak na zewnątrz. W holu kłębił się tłum ludzi, a wśród nich - aż trudno uwierzyć - okropni kuzyni i kuzynki taty. Wszyscy przekrzykiwali się nawzajem w podnieceniu, otaczając kręgiem dwie Amerykanki, niewątpliwie tę June i jej matkę.

June była do mnie uderzająco podobna, wyglądałyśmy jak siostry. I miała na sobie różową aksamitną spódniczkę. Mama rozprawiała halaśliwie z kuzynkami, przytaczając rozmaite wstrząsające szczegóły osobiste, jak ten, że pokłóciła się z tatą i on jej nie przeprosił, a ona ma już powyżej uszu takich sytuacji, że zawsze przeprosza pierwsza.

Matka June wtrąciła w tym momencie, że gdyby mogła cofnąć czas, z pewnością wolałaby jakoś przeprosić ojca June niż pozwolić mu odejść z ordynarną dziewczyną i mieć z nią dwoje dzieciaków...

June i ja zaczęłyśmy rozmawiać, żeby nie musieć wysłuchiwać tych historii z zamierzonych czasów. Była ode mnie, oczywiście, młodsza o cały rok, ale ze względu na jej amerykańskie wychowanie to się w pewnym sensie wyrównywało - oni tam prędzej dorastają. I myślałyśmy obydwie, jakie to niesamowite, że jesteśmy spokrewnione, a żadna z nas nie wiedziała o istnieniu drugiej.

Mama zadzwoniła z komórki do taty, a on zjawił się pół godziny później i pierwsze, co zrobił, to przeprosił mamę za swój trudny charakter, ona zaś pocałowała go przy wszystkich. Już po chwili ściszał dłonie kuzynkom i powtarzał, że ma najlepszą żonę pod słońcem.

June okazała się po prostu świetna.

Powiedziałam jej, że w moim pokoju są dwa łóżka, gdyby chciała przenieść się do mnie. Mogłybyśmy nawet pojechać do tego zwariowanego miasteczka Rossmore ze studnią życzeń, która podobno nigdy nikogo nie zawiodła. Mama powiedzia-

ła, że chętnie zamieniłaby słówko ze świętą od tej studni, bo pierwszy mąż, który został jej zesłany, nie okazał się aż tak znowu wspaniały. Może dostała go tylko na próbę, a ten prawdziwy ciągle gdzieś tam czeka. Było to, oczywiście, niezmiernie żenujące, zważywszy na jej wiek, ale June i ja zdołałyśmy sobie jakoś z tym poradzić.

Mama June dodała, że oczywiście mogą wymienić bilety na samolot, a po spędzeniu u nas urlopu i odwiedzinach w tym całym Rossmore poleciałabym z nimi do Nowego Jorku. Znały kapitalną małą restaurację, w której mogłabym pracować. Naprawdę przyzwoity, rodzinny interes.

Mama i tata z początku mieli pewne wątpliwości, ale June szepnęła mi do ucha, abym im przypomniała, że drugą możliwością jest wyjazd na Cypr lub Majorkę i wyrzucanie ciepłych majtek do kosza na lotnisku. To w znacznym stopniu zmieniło tok ich myślenia. Nic nie zostało ostatecznie rozstrzygnięte i miałam kawalek drogi do przejścia, ale byłam pewna, że z moją nową kuzynką June uda mi się to załatwić.

Zauważyłam, że mama kieruje na mnie łzawe spojrzenie.

- Chyba się nie upiłaś, mamo? - zagadnęłam z niepokojem.

- Nie, ani trochę. Pamiętasz, co ci mówiłam dzisiaj przed południem, Lucky? - spytała okropnym głosem a la Mary Poppins.

Rozmawiałyśmy wcześniej z June o tym, jak łatwo uszczęśliwić matki, jeśli po prostu przemawia się ich językiem. Nie zdawały sobie sprawy, że powtarzamy tylko jak papugi.

- że sprawy zawsze się jakoś układają - odparłam.

Twarz mamy zajaśniała radością.

- No widzisz, pamiętasz! Naprawdę jesteś moją najlepszą przyjaciółką, Lucky. Będę za tobą bardzo tęskniła, kiedy wyjedziesz do Ameryki.

Uśmiechnęłam się do niej. Był to złożony, wielowarstwowy uśmiech.

Po pierwsze, wyrażał ogromną ulgę. Wygrałam bitwę, mogłam popracować w Nowym Jorku. O tym świadczyły słowa mojej mamy.

Po drugie, był to przyjazny uśmiech, jak doradzała nam wszystkim ta staruszka z radia. Powiedziała, że taki uśmiech może działać cuda. Ze jeśli nawet na początku będziemy udawać, z czasem nauczymy się szczerości. W dorosłym życiu zdumiewające jest to, iż czas mija szybko.

Poczułam, że teraz już nie udaję.

Kiedy odpowiadałam mamie, że ona też jest moją najlepszą przyjaciółką, mówiłam to serio. Nie grałam komedii. Naprawdę byłam szczerą.

Może faktycznie sprzyja mi szczęście i mimo wszystko nie muszę zmieniać imienia.



Powiedzcie mi dlaczego?

Część 1 - Emer

Powiedzcie mi, dlaczego musiałam sobie sprawić jeden z tych olbrzymich cyfrowych zegarów, na którym cyfry widać z przeciwnej strony hotelu Rossmore? Dlaczego nie mam małego podróznego budzika, jak normalni ludzie, zamiast tego kolosa wielkości talerza, z czerwonymi cyframi zmieniającymi się co minutę?

Wpatruję się w niego od czterech i pół minuty, w którym to czasie z 9.08 z kawalkiem zrobiła się 9.13 rano. Pamiętam jak przez mgłę, że nastawiłam budzik na 9.30. Odzywa się we mnie niejasne wspomnienie tej czynności. Doszłam do wniosku, że jeśli wstanę o wpół do dziesiątej, zdążę wziąć prysznic, wypić kawę i o dziesiątej będę już w drodze.

To naprawdę ważne, żebym dzisiaj wyruszyła z domu w dobrej formie. Czeka mnie rozmowa kwalifikacyjna w sprawie pracy, o której marzę od lat: szefowej Heartfelt Art Gallery, wspaniałej galerii, w której od dawna pragnę się zatrudnić. Uzyskałam odpowiednie kwalifikacje, ale zawsze to stanowisko zajmował ktoś inny. Teraz facet, który pełnił tę funkcję przez ostatnie trzy lata, wyjechał do Australii. I dzisiaj mam rozmowę kwalifikacyjną.

Więc powiedzcie mi, dlaczego nie poszłam do łóżka o wczesnej porze, trzeźwa i sama?

Nic mogę się poruszyć, widzicie, bo to by go obudziło.

A wtedy mógłby pomyśleć, że chcę zacząć od nowa. Muszę leżeć nieruchomo, dopóki nie wyczuję, że zaraz odezwie się budzik - po jednym przeraźliwym pisku wyłączę go, natychmiast wyskoczę z łóżka i popędzę do łazienki.

Najwyraźniej nie mam nic na sobie, więc będę musiała przedko się uwinąć. Nic będzie rozkosznych chwil z musującym napojem dla złagodzenia bólu głowy, gdy ekspres do kawy śle kojące zapachy i dźwięki. Nie, trzeba się zachowywać bardzo energicznie i rzeczowo. Jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem - zaprosić do domu kierowcę taksówki i iść z nim do łóżka.

Powiedzcie mi, dlaczego nie zostawiłam faceta w jego wozie, jak postąpiłoby dziewięćdziesiąt dziewięć procent populacji? Dlaczego i ja tego nie zrobiłam?

Przypuszczam, że mogłabym to złożyć na karb przyjęcia, na które poszłam. Podano tam absolutnie podle wino, tak cierpkie, że drapało człowieka w gardle. I żadnych przekąsek, oczywiście. Nawet herbatników albo chipsów, żeby miało w co wsiąknąć. Spływało więc po prostu do żołądka, dokonując swego zgubnego dzieła, wdzierając się z chlupotem w każdą żyłę, jelito i fragment tkanki mięśniowej, posuwając się stopniowo i bezlitośnie w górę, do mózgu, by całkowicie go sparaliżować. To była przyczyna, no i jeszcze fakt, że szczerze nienawidziłam Moniki, autorki obrazów pokazywanych na wystawie.

Zawsze jej nienawidziłam, już w czasach studiów w szkole sztuk pięknych, na długo przed tym, jak zaczęła mizdrzyć się głupkowato do Kena w moje urodziny, przy kolacji, za którą ja płaciłam. Choć wiedziała, że on mi się podoba.

A teraz nienawidzę jej uśmiechu, który pojawia się tylko na ustach, lecz nie w oczach. Nienawidzę tego, jak zwraca na siebie uwagę, jak ją fetują i podziwiają, jak wszyscy ustawiali się w kolejce, żeby kupić jej obrazy. Czerwone punkciki na każdym wskazywały, że został sprzedany. Zupełnie jakby te jej

okropne, cukierkowe bohomyzy zachorowały na odrę i dostały wysypki.

No cóż, więc dlaczego poszłam, moglibyście spytać. Czemu nie zostałam w domu i nie przygotowałam się do rozmowy? Dobre pytanie.

W tamtej chwili pójście na wystawę miało dla mnie sens. Chciałam pokazać Monice, że nie dam się odstraszyć i niech nie myśli, że jestem zazdrosna, niech nie myśli, że obchodzi mnie to, czy Ken i ona są przyjaciółmi. Albo więcej niż przyjaciółmi. Albo kimkolwiek.

Prócz tego, ze względu na rozmowę kwalifikacyjną, sprawiłam sobie nową fryzurę i nowy płócienny żakiet, który mogłam nosić pod eleganckim zamszowym płaszczem. Uznałam więc, że zaprezentuję jedno i drugie. Nie zaszkodzi, aby Ken zobaczył, jak fantastycznie wyglądam.

Pomysł okazał się doprawdy fatalny. Jeśli dziś rano Ken czuje cokolwiek w związku ze mną, jest to zapewne olbrzymia ulga, iż jego kanadyjska rozwaga i praktyczność zwyciężyły nad ewentualnym pociąganiem do mnie. Ken pławi się w uldze dzisiejszego ranka. Ja przeciwnie. Wylądowałam we własnym łóżku z taksówkarzem.

Leżę z brzegu i widzę płócienny żakiet, a na jego przodzie plamę, jakby wylało się tam z pół butelki czerwonego wina. A moja kosztowna fryzura - cóż, nie oglądałam się jeszcze w lustrze, ale z pewnością przypomina dziki gąszcz.

Jeśli pominąć to koszarne wino, cała impreza była nudna. No bo każdy widział, że obrazy są okropne. Kiedy dostanę tę pracę w galerii (teraz właściwie powinnam powiedzieć: jeżeli ją dostanę), nigdy się nie zgodzę na urządzenie takiej wystawy. Nikomu się nic podobała - wszyscy szeptali i mówili to, co wypada, i kupowali obrazy, ponieważ chcieli być w dobrych stosunkach z Tonym, który prowadzi galerię. **1** który im również może kiedyś zorganizować wystawę, jeśli dobrze to rozegrają.

Monica odnosiła się do mnie wstrętnie, nieuprzejmie i wręcz obraźliwie. Nic dziwnego, że złapałam za kieliszek. Miała klo-

pot z zapamiętaniem mojego imienia. Nie jest trudne, nawet ktoś wolno myślący poradziłby sobie z imieniem Emer. Nie wydaje mi się, aby to było imię wymagające szczególnego wysiłku, o niezwyklej wymowie czy coś w tym rodzaju.

Ale Monica jakoś nie potrafiła go opanować. Musiała łamać sobie głowę, przedstawiając mnie gościom.

- Studiowałam z tą damą w szkole sztuk pięknych, wierzcie lub nie - gruchała. Jakbym była tak stara i niedołężna, a ona tak młoda, że nikt by nie uwierzył, iż jesteśmy w tym samym wieku.

Daj spokój, Monico. Wszyscy troje mamy po trzydzieści jeden lat, ty, Ken i ja. Żadne z nas nie założyło rodziny.

Ken prowadzi zajęcia plastyczne w szkole, ty malujesz okropne cukierkowe pastele, ja pracuję w administracji. Jeszcze dziś przed południem mogłabym załapać wspaniałą pracę w jednej z najlepszych galerii sztuki w tym kraju. Oprócz pełnienia funkcji kierowniczkiby byłabym także kustoszem.

Bardzo mi zależy na tej posadzie. No więc powiedzcie, dlaczego wpakowałam się w taki paszтет?

Widzicie, nie mogę nawet wstać, żeby doprowadzić się do porządku, spróbować naprawić szkody. Poszukać innego stroju. O, mój Boże. Właśnie zobaczyłam na swoim żakiecie, obok plamy po winie, ślady spaghetti!

Tak, oczywiście musieliśmy później pójść do włoskiego baru. Zamiast wrócić do domu autobusem jak normalny człowiek, powitałam okrzykiem radości propozycję Kena, żebyśmy w kilka osób wstąpili coś zjeść. Rzecz jasna, Monica dołączyła do nas, mówiąc, że będzie fajnie, i zabrała z sobą Tony'ego z galerii oraz jakichś okropnych, hałaśliwych znajomych. Cóż, w końcu najbardziej hałaśliwą osobą okazałam się zapewne ja. Jeden z kelnerów podszedł i podarował mi butelkę wina, ponieważ kiedyś namalowałam dla jego ojca szyld do warsztatu naprawy rowerów. Monica uważała to za niesłychanie zabawne. Wyobraźcie sobie - Emer maluje szyldy do warsztatów, to cudowne, ona jest nie z tej ziemi.

Mam wrażenie, że w pewnym momencie Ken szepnął, żebym nie zwracała na nią uwagi, ona po prostu chce mi dokuczyć.

- Dlaczego? - zapytałam.

- Bo jest o ciebie zazdrosna.

A przynajmniej wydaje mi się, że tak powiedział. To możliwe, ale mogłam też sobie to tylko wyobrazić. Szczerze mówiąc, wspomnienia tego wieczoru nie są zbyt wyraźne. Gęsta mgła spowija tę jego część, gdy kelnerzy ustawili się w szeregu i zaśpiewali „Nad wodami Babilonu”, a ja im wtórowałam. I - jak sądziłam - wszyscy uważali, że jestem świetna. Ale mogli wcale tak nie myśleć.

W jaki sposób zapłaciliśmy? Czy zapłaciliśmy? O Boże, powiedz, że zapłaciliśmy.

Tak, przypominam sobie, Ken zaproponował, że weźmie od każdego dychę, i wszyscy uznali to za wspaniały pomysł, tylko ja otrzeźwiałam na moment i wtrąciłam, że powinien wziąć po piętnaście, bo inaczej nie pokryje rachunku, on zaś - chyba - odparł: nonsens i że warto dopłacić za przyjemność ponownego spotkania ze mną. Monica, która to usłyszała, wcale nic była zadowolona i powiedziała przyprawiającym o mdłości, dziecinnyim głosikiem, jakim się często popisuje, że z pewnością nikt nie będzie wymagać od niej, by płaciła, bo przecież częstowała ich wspaniałym winem w galerii przez cały wieczór. Na co Tony trochę się zirytował i zauważył, że właściwie to on częstował ich winem przez cały wieczór w galerii. Obawiam się, że powiedziałam wtedy, iż nie powinni tak się licytować, czyją zasługą jest to wino, ponieważ było obrzydliwe. Ken zapłacił szybko kartą Visa i naklonił nas do wyjścia.

Na świeżym powietrzu mocno zakręciło mi się w głowie i byłabym bardzo szczęśliwa, gdyby Ken pojechał ze mną do domu, wyłącznie po to, aby się mną zaopiekować, kazać mi wypić mleko albo wodę, cokolwiek tam powinnam wypić. Ale nie, oczywiście królewna Monica uparła się, żeby to ją odwiózł do domu, a każde z nas mieszkało w innej części miasta. Ściągnął więc dla mnie taksówkę, zapiął mój szykowny zamiszowy

plaszcz i poprosił kierowcę, by troskliwie się mną zajął, gdyż jestem kimś wyjątkowym.

Rany, taksówkarz rzeczywiście zajął się mną niezwykle troskliwie.

Nie mogę jednak winić Kena, choć bardzo bym chciała. Przecież nie prosił tego faceta, żeby poszedł ze mną do łóżka. Niestety, nie mogę obarczyć go odpowiedzialnością. Jeśli ktoś tu zawinił, to zapewne ja.

Ale dlaczego? Powiedzcie mi dlaczego? Zazwyczaj nie chodzę do łóżka z nieznajomymi - prawdę mówiąc, nie zdarzyło mi się to dotychczas ani razu w życiu. Czy miało z tym coś wspólnego rozczarowanie co do Kena? Czy ten kierowca był aż tak przekonujący? Aż tak mi się spodobał?

Pomyśl, Emer. Pomyśl i spróbuj odtworzyć drogę do domu. Myśl po cichu. Nie obudź go.

Był młody, tuż po dwudziestce, jak mi się zdaje. Szczupła twarz o ostrych rysach, odrobinę lisia. Podstępny, chytry lis, wypatrujący okazji.

- Chyba spędziła pani udany wieczór - zauważył, gdy zwałam się do taksówki i pobierałam czym prędzej, by pomachać Kenowi na pożegnanie, udając trzeźwiejszą, niż byłam.

- Spędziłam parszywy wieczór, jeśli chce pan wiedzieć - odparłam chłodno.

- Wolałaby pani robić co innego? - spytał.

- Wolałabym wcale tam nie iść. Nie pić tego podłego wina, nie rozmawiać z tą denerwującą kobietą, nie oglądać jej koszmarnych obrazów.

- Brzmi rzeczywiście okropnie - przyznał.

Nie życzyłam sobie, żeby się nade mną litował.

- A pan jak spędził wieczór? - spytałam wyniośle. Chyba mi odpowiedział, że tak samo, jak wszystkie inne i z rezygnacją wrzucił ramionami. Poinformowałam go, że ma niewłaściwe podejście do wieczorów.

Boże, dlaczego to powiedziałam, dlaczego nie pozwoliłam, żeby spędził wieczór po swojemu, jak każdy inny, zamiast iść

do łóżka z pasażerką? Ale może on to robił codziennie. Co ja o nim wiem? Prawie nic.

Wspomniał coś o konieczności zarabiania na życie, a ja go zapytałam, czy ma dziewczynę. Chyba odparł, że ma, i wymienił jakieś okropne imię, Hissie albo Missie czy coś takiego. W każdym razie nie sądzę, by za nią szalał, jeśli znalazł się tutaj.

Powiedział, że ona jest nowoczesną kobietą, wie dużo na temat związków między ludźmi, ponieważ pracuje w kwaciarni i to wszystko opiera się na poczuciu winy, niepewności i kłamstwach. Stwierdziła, że nie chce się wikłać, pozostawia mu swobodę, a on jej. Obydwoje mieli oczy otwarte i tak dalej.

Oznajmiłam, że to wszystko stek bzdur - że Hissie szaleńczo pragnie związać się z nim na stałe, tylko musi udawać, że wcale nie, taka jest moda w dzisiejszych czasach. Sama to znam, zachowuję się chłodno w stosunku do Kena, ale go kocham i gdyby to mogło pomóc, zrezygnowałabym z każdej pracy. Nie można jednak mieć wszystkiego.

- Czy w ogóle miała pani coś z tego wieczoru? - zagadnął. Starał się dodać mi otuchy.

- Owszem, śpiewałam piosenkę z kelnerami.

Zaśpiewałam mu jeszcze raz „Nad wodami Babilonu”, żeby pokazać, jak dobrze mi to wychodzi, a on zawtórował mi podczas refrenu. Potem spytał, czy znam „Stój przy swoim mężczyźnie”. Odrzekłam, że znam, lecz nie w pełni zgadzam się z przesłaniem. Mimo to, żeby nie zrobić kierowcy zawodu, odśpiewałam piosenkę razem z nim. Następnie zaproponowałam „Hey, Jude”, a potem dotarliśmy do domu.

Dlaczego, powiedzcie mi, dlaczego nie mogłam się z nim po prostu pożegnać, zakończywszy ten parszywy wieczór amatorskim koncertem na dwa głosy? O nie, nigdy nie wybieram łatwych rozwiązań. Musiałam go zaprosić i ku swemu wstydywi nie pamiętam, co było dalej.

Czy wyciągnęłam swoje kompakty? Czy możliwe, że coś jeszcze wypilałam? Wiecie, on zapewne był trzeźwy, to znaczy,

prowadził przecież taksówkę, więc oczywiście, że był trzeźwy. Czy poszliśmy prosto do łóżka?

O, gdybym tylko potrafiła sobie przypomnieć, co mnie do tego skłoniło! Mogłabym wówczas wybrnąć z tej sytuacji, czując odrobinę mniejsze zażenowanie, niż przewidywałam.

Sięgnęłam w stronę wielkiego elektronicznego zegara, zanim zaczął hałasować. Dzięki Bogu, nie obudziłam taksówkarza. Leżał niczym kłoda po drugiej stronie łóżka. Przynajmniej nie chrapał i nie rzucił się we śnie.

Gdzie zaparkował wóz? Tu w okolicy są wyłącznie podwójne żółte linie - ruch mamy przerażający. Zamierzają zbudować obwodnicę i im prędzej, tym lepiej. Ale jeszcze jej nie zbudowali, więc musiał zapewne szukać miejsca do parkowania całe mile stąd. A może zostawił taksówkę przed domem, trawiony gorączką pożądania.

Tak czy inaczej to jego problem.

Czy w ogóle podał mi swoje imię? Niewątpliwie nastąpiła taka chwila. Nie chciałam więcej o tym myśleć, wydawało mi się to zbyt straszne. Wolałam się zastanowić, w co mam się ubrać na rozmowę kwalifikacyjną. Przypuśćmy, że po prostu zapnę pod szyję zamszowy płaszcz i udrapuję na nim szal.

O Boże, mój płaszcz!

Czyżbym go zostawiła w taksówce? Nie wisiał na wyścielanym wieszaku na drzwiach, gdzie jest jego stałe miejsce. Och, nie, Boże, wiem, że nie możesz być ze mnie zadowolony. Wiem, że źle postąpiłam, biorąc sobie taksówkarza do łóżka, bardzo źle i głupio, ale ja tak często nie grzeszę, zważywszy na ogólny stan rzeczy. I modliłam się przy studni Świętej Anny. Prosiłam świętą o naklonienie Kena, by mnie pokochał, czego jeszcze nie uczyniła i teraz chyba już nie uczyni. Lecz Ty mnie wysłuchaj, Boże - czuję się jak trzy ćwierci do śmierci, na pewno zawałę tę rozmowę, zniszczyłam nowy żakiet, a teraz chcesz mi powiedzieć, że zgubiłam także mój ukochany zamszowy płaszcz?

Sprawa z płaszczem tak mnie zmartwiła, że zapomniałam o taksówkarzu i o tym, żeby go nie budzić. Usiadłam wyprostowana i zwróciłam w jego stronę udręczoną, skacowaną twarz.

Nie zobaczyłam nikogo.

Na łóżku obok mnie leżał, zwinięty w wielki kłęb, mój zamiszowy płaszcz. Ciężki, rzucający się w oczy i zajmujący pozostałe miejsce w łóżku. Udawał taksówkarza, żeby mnie przerazić na śmierć.

Radośnie wyskoczyłam z pościeli. Miałam przed sobą przyszłość: długi prysznic, płukanie ust i gardła, wyszukaniezystych ciuchów, w które mogłabym się ubrać. Muszę dostać tę pracę w galerii! A potem zaniosę poplamione rzeczy do pralni chemicznej, zadzwonię do Kena, zaproszę go dokądś, żeby uczcić nową pracę i będę go miała dla siebie.

Naprawdę, to tanie wino robi z człowiekiem straszne rzeczy. Potrafi nawet wywołać halucynacje.

Tak jakbym mogła przyprowadzić do domu nieznanomego kierowcę taksówki i pójść z nim do łóżka!

Część 2 - Hugo

Nie da się powiedzieć nic złego o prowadzeniu taksówki. Pod wieloma względami to świetne zajęcie i można pracować tyle godzin, ile się chce. Jeśli jesteś zmęczony, kończysz wcześniej, a jeśli odkładasz pieniądze na wakacje, jeździsz co wieczór przez dodatkowe trzy godziny, żeby sobie dorobić. Za każdym razem, kiedy się zatrzymujesz, różni ludzie wsiadają do twojej taksówki i trzeba być starym zrzędą, żeby kilka razy dziennie nie natrafić na kogoś, kto budzi sympatię.

Wiozłem kiedyś kobietę, która wybierała się na garden party do pałacu Buckingham w Londynie, i była tak zdenerwowana, że dwa razy musiała wysiąść z auta, ponieważ zrobiło jej się niedobrze. Wiozłem aktora, który miał kłopot z naucze-

niem się roli i powtarzaliśmy tekst wspólnie przez czterdzieści minut, przy bijącym liczniku. Wiozłem parę, która właśnie się zaręczyła, i musiałem czterokrotnie przymierzać pierścionek, powtarzając, że to największy brylant, jaki w życiu widziałem.

Co zatem może się nie podobać w takim sposobie zarabiania na życie?

Wujek Sidney, który był taksówkarzem i poniekąd wprowadził mnie w ten zawód, powiedział, że zawsze starał się wyluskać okruch wiedzy z każdego kursu; w ten sposób człowiek uzyskiwał doskonale i zróżnicowane wykształcenie, jednocześnie wykonując swoją pracę zarobkową. Wujek wracał do domu z informacjami na temat prognozowania pogody, tego, gdzie kupić warzywa za pół ceny, bo stragan właśnie się zamyka, jak poznać partnerki do brydża i załatwiać różne rzeczy przez Internet.

Chrissie, która pracuje w kwaciarni, miła dziewczyna, spotykam się z nią od czasu do czasu, mówi, że bardzo zabawnie opowiadam o życiu taksówkarza i powinienem napisać o tym książkę. Napisać książkę? Ja, Hugo? Nie, wcale nie zamierzam.

Jeśli mam być szczerzy, wolałbym zostać piosenkarzem. Wyobrażałem sobie, jak stoję na estradzie, śpiewając dla tłumów. Nie boję się ludzi, nie jestem nieśmiały ani nic takiego, ta praca i tak uwalnia człowieka od tremy. Potrafię czytać nuty i grać na gitarze, nigdy jednak nie dano mi szansy, nie miałem szczęścia.

Próbowałem, zapewniam. Zgłaszałem się do konkursów młodych talentów, wysyłałem taśmy, a potem kompaktki z nagraniami. Ale nikt ich nie chciał. Nie jestem gorszy niż całe mnóstwo ludzi, którym trafiła się okazja. Pisałem własne piosenki, wykonywałem swoje wersje cudzych. Nic nie chwyciło.

Nie trzymałem się z muzykami. Wiem, że to brzmi dziwnie. W końcu, jeśli człowieka coś zajmuje, czemu nie mieć przyjaciół, którzy dzielą jego zainteresowania? Ale ja ja-

koś nadal kolegowalem się z chłopakami, z którymi chodziłem do szkoły.

Jasne, chętnie odwiedzali kluby i lubili tańczyć z panienkami przy dobrej muzyce, jednak nie byli naprawdę muzykalni. Nigdy nie chcieli grać muzyki, stać się jej częścią, tworzyć ją. Dlatego rzadko poruszaliśmy ten temat.

Pracują tu i tam w różnych zawodach, a paru też jeździ taksówkami. Gadaliśmy o tym, kiedy się spotkaliśmy, a także o wakacjach, o drużynach, którym kibicujemy, i czasami przyrzekaliśmy sobie, że zaczniemy biegać albo ćwiczyć na siłowni, bo wszystkim nam rosną brzuchy i zadki od przesiadywania całymi dniami za kółkiem. W niedzielę kopaliśmy przed południem piłkę, a potem szliśmy na piwo. Ale jeden po drugim znajdowali sobie dziewczyny na stałe, żenili się i teraz, gdy mamy po dwadzieścia pięć lub sześć lat, tylko ja jeden nie założyłem rodziny.

Dlatego ostatnio nie bardzo mam z nimi o czym rozmawiać. Opowiadają o podniesieniu rat za dom, wymianie dachu, spoinowaniu albo szalowaniu. W pewien sposób im zazdroszczę, ponieważ tak bardzo się tym wszystkim przejmują i spędzają całe soboty na odnawianiu i przeróbkach. Niektórym urodziły się dzieci, kubek w kubek podobne do siebie nawzajem.

Kiedys też się ożenię i będę miał dzieci, ale jeszcze nie teraz - dopiero gdy poznam właściwą kobietę, taką, dla której zrobiłbym wszystko.

Mam nadzieję, że będzie związana z przemysłem muzycznym, bo nic do końca zrezygnowałem z tamtego marzenia. Prawie, szczerze mówiąc, lecz nie całkowicie. Kiedy człowiek słucha wywiadów z gwiazdami, zawsze się okazuje, że po drodze pomógł im jakiś szczęśliwy traf, poznali kogoś, kto miał znajomego, który dał im szansę.

Nadal mieszkam z rodzicami, co jednak nie oznacza, wbrew pozorom, że w wieku lat dwudziestu sześciu jestem mięczakiem i maminsynkiem.

No cóż, mieszkanie z rodzicami może wyglądać rozmaicie. Mamy w domu kuchenkę mikrofalową i dużą lodówkę z trzema osobnymi półkami, oznaczonymi „Tata”, „Mama” i „Hugo”.

Moja siostra Bella, która się wyprowadziła i mieszka z dwiema feministkami, powiedziała, że to miejsce - czyli nasz dom - jest czymś najsmutniejszym, co oglądała w życiu, smutniejszym niż program dokumentalny o niepełnosprawnych, ponieważ tamci tylko ciała mają niepełnosprawne, my zaś mamy kalekie umysły. Jesteśmy trojgiem smutnych, zaburzonych ludzi, tkwiących w potrzasku naszego żalosego stylu życia. Dreszcz ją przechodzi na samą myśl o nas, dorosłych osobach, które mogłyby żyć naprawdę.

Jeśli mam być szczery, nigdy nie wiedziałem, o co jej właściwie chodzi. Żyje nam się przecież całkiem nieźle. Co miesiąc odkładam w urzędzie pocztowym okrągłą sumkę, którą rodzice przeznaczili na czarną godzinę. Tata pracował w lecznicy weterynaryjnej dla małych zwierząt jako pomocnik. Nigdy nie został weterynarzem - nie miał odpowiednich kwalifikacji - ale polegano na nim całkowicie. Trzymał kocięta podczas zastrzyków, uspokajał psy, sprzątał po chomikach, gdy nabrudziły wszędzie, gdzie się dało. Po prostu ubóstwiał zwierzęta, lecz mama, niestety, była uczulona, dostawała wysypki, kataru i łzawiły jej oczy. Ograniczył więc kontakty ze zwierzętami do godzin pracy, a wieczorami wyprowadzał cudze psy na spacer do parku.

Mama pracowała w biurze podróży, spędzając całe dni na wyszukiwaniu dla ludzi tanich ofert wakacyjnych, i była w tym całkiem dobra. Mogła uzyskać sporą zniżkę na najrozmaitsze wyjazdy. Indie Zachodnie za pół darmo w krótkim terminie, długi weekend w Wenecji poza sezonem... Ale tata nie mógł podróżować samolotem, raz spróbował i coś dziwnego stało się z jego uszami, więc już nigdy nie powtórzył tego doświadczenia. Mama musiała więc latać na wakacje z koleżankami, a to niezupełnie to samo. Są jednak szczęśliwi, naprawdę całkiem szczęśliwi w porównaniu z większością ludzi.

Tata jest wegetarianinem, a mama stosowała zawsze jakaś zwariowaną dietę, dlatego wyznaczenie dla każdego oddzielnej półki w lodówce ma sens. Wszystko w naszym domu zostało bardzo dobrze zorganizowane.

Kupiliśmy dwa telewizory, jeden jest w kuchni, a drugi w salonie, żeby uniknąć gorących sporów, co oglądać. Raz na trzy tygodnie ktoś z nas robi pranie; nie mamy rzeczy wymagających prasowania. Moja siostra Bella to również uważała za smutne. Jakby jej życie z tymi dwiema nudnymi kobietami, które nosiły ekologiczne ubrania, jadły ekologiczną żywność i prowadziły ekologiczne rozmowy, było mniej monotonne.

Mama i tata są w porządku, a ja jeżdżę taksówką dostatecznie długo, by wiedzieć, że powodzi im się lepiej niż wielu osobom w ich wieku. Mogę śmiało powiedzieć, że z przedniego siedzenia widać mnóstwo ludzkich nieszczęść.

W każdym razie tego ranka mama powiedziała, że w weekend wyjeżdża na osiem dni do Dubaju, na co tata stwierdził, że to wspaniale, na pewno będzie zachwycona, a on mógłby w tym czasie popracować w schronisku dla chorych i rannych zwierząt - zawsze pragnął poświęcić trochę czasu biednym osiołkom z kośćmi sterczącymi pod skórą i przerażonym psom, które często miały tylko trzy łapy i udrękę w oczach. Rodzice zapytali, czy dam sobie radę, a ja odparłem, że bez problemu. W ten weekend i tak wypadła moja kolej, jeśli chodzi o pranie, więc mogą zostawić wszystko na mojej głowie.

- Bardzo dobry z ciebie chłopiec, Hugo - powiedziała mama.

- Właściwie mężczyzna — sprostował tata.

- M o ż e kiedy wrócimy, będziesz już żonaty - dorzuciła mama.

Niby miał to być żart, ale wiedziałem, że mówi poważnie. Bardzo chciała, żebym się ożenił. W pewien sposób czuję się przy rodzicach jak nieudacznik. Gdy byli w moim wieku, Bella miała już pięć lat, a ja cztery. Oprócz przyzwoitego stanu konta w banku niczym nie mogę się pochwalić.

- Nie, chyba zostanę z wami do późnej starości - odparłem.

— Mam nadzieję, synu, że tak nie będzie. Lepiej, żebyś sobie kogoś wybrał, niż mieszkał z nami, ludźmi, których wcale nie wybierałeś - oświadczył tata.

A ja poczułem z nagłym dreszczem, że nigdy nie poznam nikogo odpowiedniego dla siebie, ponieważ nie potrafię podjąć decyzji.

Zawsze brałem to, co po prostu wpadało mi w ręce. Jak wtedy, gdy wujek Sidney załatwił mi jeżdżenie taksówką albo gdy umawiałem się z dziewczyną, bo była siostrą kumpla czy koleżanką dziewczyny kumpla. Grałem w piłkę w niedzielę, bo ktoś zebrał drużynę i zarezerwował boisko, kupowałem ciuchy w sklepie, w którym pracował Gerry, mój znajomy. Zawsze coś dla mnie odkładał, kiedy mieli wyprzedaż.

- Mógłbyś wyglądać naprawdę nieźle, Hugo, gdybyś się postarał — powtórzył mi kilka razy. - Masz szczupłą, ostrą twarz, a na to kobiety lecą. Powinieneś nosić skórzane kurtki.

Ale Gerry jest wesolym grubasem, który bez przerwy mówi wszystkim coś miłego. Nie odróżnia mojej twarzy od zderzaka autobusu z Rossmore do Dublina. Więc niezbyt często sprawdzam swój tak zwany dobry wygląd, umawiając się na randki.

Dziwne, ale oprócz Chrissie nie spotkałem dziewczyny, którą chciałbym poznać bliżej. A nawet i jej nie. Cóż, nie byłem pewien.

Obydwoje postąpilibyśmy niemądrze, podsycając w sobie nadzieje, jeżeli nie jesteśmy naprawdę pewni. To znaczy, świetnie się bawiłem z Chrissie, potrafiła fascynująco opowiadać o kwiatach i w ogóle, ale być ze sobą na zawsze? Na wszystkie dni i noce? Nie wiem.

Szczerze mówiąc, ona również nie wiedziała. Zgodziliśmy się oboje, że nie ma dla człowieka nic gorszego niż ugrzęznąć w związku pozbawionym miłości. Chrissie ciągle się z czymś takim stykała. Powiedziała, że ponad sześćdziesiąt procent pannen młodych, które u niej wybierały kwiaty, sprawiało wrazenie nieszczęśliwych.

Wielu moich pasażerów także nie wydawało się zadowolonych z życia i przez cały czas się klócili. Zwłaszcza ci wyjeżdżający na wakacje. Często zachowywali się tak, jakby się nie nawidzili.

W każdym razie tego wieczoru, gdy mama odleciała nad Zatokę Perską, żeby się opalić i kupić sobie złotą bransoletkę, tata zaś pojechał karmić ranne jelonki ciepłym mlekiem z butelek i opatrywać skaleczone grzbiety osiołkom, pracowałem na dodatkową zmianę. Rozmyślałem, że byłoby naprawdę miło mieć kogoś, kto człowieka tak po prostu uwielbia i zawsze stanie po jego stronie, jak to się zdarza w filmach.

W pewnym momencie przejeżdżałem obok włoskiej restauracji, skąd właśnie wychodziła grupa klientów, w większości nieźle wstawionych. Przy takich kursach trzeba uważać. Wujek Sid radził: „Wylącz licznik, ale zwolnij i zobacz, czy potrafiać utrzymać się na nogach i czy ci zapłacą, a zwłaszcza miej oko na tych, którzy mogliby się pochorować w taksówce”.

Zatrzymał mnie sympatyczny młody gość, trzeźwy, jak zauważyłem, Amerykanin albo Kanadyjczyk. Bardzo uprzejmy.

- Czy mógłbym pana poprosić o odwiezienie tej młodej damy do domu? - Dał mi dychę, znacznie więcej, niż się należało.

„Młoda dama” poruszała się mocno chwiejnym krokiem, lecz nie wyglądała na kogoś, kto mógłby zwymiotować - coś takiego da się wyczuć, a ona nie rozaczała tego typu aury, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. W każdym razie wylądowała w taksówce na kolanach, co stanowiło kiepski początek.

Facet pochylił się i bardzo delikatnie pomógł jej usiąść.

Zapytałem go, czy nie zamierza jechać z nami. Pomyślałem, że mógłby później pomóc wytaszczyć dziewczynę z wozu.

- N i e , bardzo żałuję, ale Monica... o, tam stoi... i tak naprawdę to ważny dla niej wieczór, a mieszkamy niedaleko siebie. Wszystko w porządku, Emer, obudź się, skarbie, otwórz oczy i porozmawiaj z miłym panem kierowcą.

- Nie chcę rozmawiać, Ken, chcę śpiewać panu kierowcy - oznajmiła buntowniczym tonem.

- Nie ma pan nic przeciw temu? - zwrócił się do mnie z niepokojem.

- Ależ skąd - zapewnilem. - Ja też sobie pośpiewam.

- Nienawidzę Moniki, Ken, jesteś dla niej o wiele za dobry, ona ma twarz jak piankowy cukierek i maluje tak, jakby zamoczyła piankowy pędzel w różach, błękitach i żółciach. To naprawdę okropna, odpychająca baba, Ken, tylko ty po prostu tego nie dostrzegasz.

Ken najwyraźniej wołał, aby Monica nie słyszała owego opisu, i popatrzył na mnie rozpaczliwie. Często myślę, że w tej pracy trzeba być po trosze dyplomatą i doradcą w sprawach małżeńskich jednocześnie.

- Już jedziemy - powiedziałem.

- Proszę na nią uważać, to wyjątkowa kobieta - zwrócił się do mnie.

Ruszyliśmy. Moja pasażerka burczała na tylnym siedzeniu, że jeśli jest taka wyjątkowa, to dlaczego on odwozi do domu tę **Monice** o twarzy jak migdałowe ciasteczko.

- Raczej jak piankowy cukierek - poprawilem. Była zachwycona.

- Otóż to. Dokładnie tak. Jest pan niezmiernie spostrzegawczy. - Uśmiechnęła się promiennie i powtórzyła raz za razem: „Jak piankowy cukierek”, zupełnie jakby nie ona sama wymyśliła to określenie. - Hej, Ken prosił, żebyśmy coś zaśpiewała. **Co** by pan chciał? - zapytała w końcu.

- Niech pani zdecyduje. - Zachowywałem się uprzejmie jak zawsze.

Była ładną dziewczyną przed trzydziestką, miała długie, proste jasne włosy. Wypiła niewątpliwie za dużo wina, ale wydawała się życzliwie nastawiona do świata, pomijając tę **Monicę** o bezbarwnej twarzy.

- Ken jest bardzo miły, wie, że prowadzenie taksówki to nudne zajęcie i może pan zapragnąć jakiejś rozrywki, dlatego

to zaproponował. Zaśpiewam „Nad wodami Babilonu”. - I zaśpiewała, nawet całkiem nieźle.

Podsunałem jej, żebyśmy zaśpiewali „Stój przy swoim mężczyźnie”. Oznajmiła, że mężczyźni są głupi i wcale nie potrzebują, żeby ktoś przy nich stał, tylko żeby im zrobić pobudkę. Mimo to odśpiewaliśmy tę piosenkę i kilka innych.

Obawiałem się, że zmorzy ją sen i będą kłopoty z rozpoznaniem jej domu lub mieszkania. Staralem się zatem podtrzymać rozmowę i zapytałem, po co mężczyznom potrzebna jest pobudka.

- Żeby zdali sobie sprawę z tego, iż często mają na wyciągnięcie ręki wspaniałe kobiety, na które nie zwracają uwagi - odparła z rozdrażnieniem.

Następnie opowiedziała mi obszernie i zawile o Kenie i o tym, jak dał się zwieść głupim minom Moniki, wierząc niesłusznie, że ta idiotka potrzebuje opieki. Chyba jeszcze nie sypiali ze sobą, choć z mężczyznami nigdy nie wiadomo. To mogła być właśnie ta noc. Ta, kiedy to robią. W okropnym domu Moniki przy Orange Crescent 35. Moja pasażerka mówiła o tym bardzo ponurym tonem.

- Może jest dzisiaj zbyt pijany - zauważyłem, chcąc ją pocieszyć.

- N i c , on rzadko pije. Był trzeźwy i zapłacił za kolację. Za wszystkich.

Rozmyślała o tym i martwiła się. Powiedziała, że modliła się przy studni Świętej Anny, a święta w ogóle się nie przejęła. Pozwoliła różnym okropnym Monicom tego świata grasować po okolicy i niszczyć ludzi. Zabierać ich do domu i zniewalać po drodze.

- Przypuszczam, że tylko odwiózł ją do domu, a potem wrócił do siebie - uspokajałem ją najładniej, jak umiałem.

- On mnie nie dostrzega, w tym cały problem. Właściwie jak ci na imię?

Odparłem, że nazywają mnie Hugo.

- Hugo? To brzmi dość wymyślnie.

- Naprawdę? Nie wiem. Zawsze uważałem, że będzie dobrze wyglądało na okładce płyty albo przed halą, gdzie miałbym występ. Ja też mam swoje marzenia. - Zazwyczaj nie opowiadam o sobie. Sam byłem tym zaskoczony. No ale wszystko jedno, dziewczyna się upiła i równie dobrze mogłem jej recytować kodeks drogowy.

Gotowa była walczyć z własnym cieniem.

- Więc dlaczego nic nie zrobiłeś z tymi marzeniami?
- warknęła z tylnego siedzenia niczym mały, rozzłoszczony terier. - Moja rodzina chciała, żebym została nauczycielką albo pielęgniarką, nie życzyli sobie zajmowania się sztuką, ale walczyłam o to i jutro mam rozmowę kwalifikacyjną w sprawie ważnego stanowiska. Miałam nadzieję, że Ken odwiezie mnie dziś do domu i ułoży do snu, zamiast jechać na Orange Crescent 35 i układać do snu ten głupi piankowy cukierek, jak ją trafnie określiłeś. - Była w tej chwili bliska lez.

Musiałem ją powstrzymać za wszelką cenę.

— Słuchaj — zacząłem - przypuszczam, że mężczyźni są trochę sfrustrowani, nieufni... jakkolwiek to nazwać. Po prostu nie chcemy angażować się w coś, co może się okazać pomyłką i przyniesie tylko mnóstwo zmartwień i przykrości. Tak naprawdę głównie o to chodzi.

- Kompletna bzdura - skwitowała. - Złożę się, że jakaś miała dziewczyna żywi co do ciebie nadzieję, Hugo, jakaś niemądra, szalona dziewczyna, która uważa, że mógłbyś zostać piosenkarzem, gdybyś nie był taki ostrożny. I sądzi, że udaloby jej się dać ci szczęście, gdybyś dopuścił ją do swego życia. Świat jest pełen takich kobiet. Jakby nas wszystkie ustawić w szeregu, nie wiem, dokąd by sięgał. Naprawdę nie wiem. - Pokręciła głową nad tragizmem sytuacji.

Spojrzałem we wsteczne lustro i wydało mi się, że jej oczy zaczynają się zamykać.

- M a m przyjaciółkę, Chrissie! - krzyknąłem, starając się ją obudzić. - Ale nie jestem pewien, czy to poważna sprawa i ona

chyba też nie jest tego pewna, a byłoby głupio pakować się w coś, z czego później będzie trzeba się wycofywać.

- O c h , na miłość boską, co z ciebie za tępak, Hugo. Kto na tym świecie może być czegokolwiek pewien? Pytam cię. Nie znam drugiego takiego safanduly. Za jakieś czterdzieści lat znowu cię spotkam i będziesz dokładnie taki sam jak teraz, oczywiście starszy i lysy, twoja twarz z pociągłej i ostrej, która tak dobrze by wyglądała na okładce płyty, zrobi się tłusta i poważna, a na głowę wciśniesz znoszoną kraciatą czapkę. Ale w zasadzie będziesz taki sam.

Nic zamierzałem się na nią gniewać. Zapytałem, co jej zdaniem powinienem zrobić. Oho, to także wiedziała.

Miałem pojechać do Chrissie jeszcze tego wieczoru i powiedzieć, że jestem gotów zaryzykować, że życie jest krótkie, a miłość to dobra rzecz i warto, żebyśmy obydwoje dołożyli wszelkich starań.

- Może to zrobię - powiedziałem.

- Nie zrobisz - skontrowała mnie.

- Dlaczego sama nie powiesz tego wszystkiego Kenowi?
- spytałem nieco zadziornie.

- Bo nie potrafiłabym znieść, gdyby to nie zadziało - odparła prawdomównie.

Wygramoliła się z taksówki i zatoczyła lekko. Wysiadłem, żeby ją podtrzymać i pomóc wejść na stopnie przed frontowymi drzwiami. Po chwili kręcenia kluczem w zamku udało mi się wreszcie wpuścić ją do mieszkania.

- Całkiem nieźle śpiewasz - pochwaliła mnie, przekraczając próg. - Tak, całkiem nieźle. Musisz popracować nad repertuarem, ale głos masz czysty - podsumowała i wtoczyła się do środka.

Noc była spokojna i w pewnej chwili, objeżdżając miasto, znalazłem się w pobliżu Orange Crescent. Przypomniałem sobie, jak ta dziewczyna nazwała mnie safandulą. Ja jej pokażę.

Zadzwoń do drzwi.

Otworzyła mi piankowa Monica. Nie miała na nogach butów, była jednak całkowicie ubrana. Może zdążyłem na czas.

- Przyjechałem po Kena - oznajmiłem.

Wyszedł do przedpokoju, zdezorientowany.

- Zamówił pan taksówkę - zwróciłem się do niego.

Zachowywał się bardzo uprzejmie, choć uznał, że musiała zajść jakaś pomyłka. Obstawiałem jednak przy swoim. Skąd bym znalazł imię i adres, przyjechałem specjalnie po niego, odbyłem daleki kurs.

- No cóż, Monico, skoro kierowca się pofatygował... może rzeczywiście powinienem już jechać.

Nastąpiła chwila dąsów i złego humoru ze strony Piankowego Cukierka, ale w końcu Ken wsiadł do taksówki. Mogłem go teraz zawieźć do domu.

- Emer cię kocha - powiedziałem.

- Nie, nie mnie, tylko swoją karierę - sprostował ze smutkiem.

- Mylisz się - zapewniłem. - Głęboko się mylisz. Kiedy nie śpiewała, powtarzała mi, jak bardzo cię kocha.

- Jest pijana w sztok, oczywiście - stwierdził Ken.

- Chyba na jedno wychodzi, pijana czy trzeźwa - odparłem.

- I jutro będzie miała przykrego kaca. Może byś do niej zajrzał i podniósł ją na duchu przed tą rozmową kwalifikacyjną, na którą się wybiera.

Zamyślił się na chwilę.

- Zajmujesz się w wolnym czasie terapią albo interwencją kryzysową? - spytał.

- Nie, zajmuję się śpiewaniem. Nie wiesz przypadkiem, gdzie mógłbym dać występ?

Życie bywa zabawne. Okazało się, że uczniowie Kena ze szkoły plastycznej chcieli urządzić dyskotekę następnego wieczoru. Gitarzysta, który miał grać na żywo, wystawił ich do wiatru. Odbyliśmy przesłuchanie w taksówce. Zaśpiewałem Kenowi trzy kawalki, a on orzekł, że w porządku, akceptuje mnie i podał adres, pod który miałem się zgłosić. Zapytał, czy mam dziewczynę, bo później zapowiada się miła impreza.

Odparłem, że mam fajną dziewczynę o imieniu Chrissie, a on mógłby zaprosić Emer, żeby uczcić jej nową pracę w galerii. Zrobił taką minę, jakby coś podobnego nigdy nie przyszło mu do głowy.

Wiecie, Emer miała rację.

Mężczyźni nie potrzebują, żeby kobiety przy nich stały, wcale tego nie potrzebują. Natomiast potrzebują kogoś, kto w ostatecznym rozrachunku da im kopa w tyłek.

Studnia nie studnia, cuda nie cuda - było nader mało prawdopodobne, bym dostał coś takiego od świętej Anny.

12

Rocznica

Część 1 - Pearl

Zawsze bardzo lubiłam wyszukiwać i sprawdzać różne rzeczy - błahe fakty, bezużyteczne informacje. Gdybym miała komputer, przesiadywałabym przed monitorem całymi dniami. Gdybyśmy należeli do ludzi, którzy występują w teleturniejach, założyłabym się, że dobrze bym sobie poradziła, może nawet zdobywałabym nagrody. Gdybym tylko miała odwagę zgłosić się do „Milionerów”, myślę, że poszłoby mi nieźle. Naprawdę. Często znalazłam odpowiedzi na pytania, na które nie potrafili odpowiedzieć uczestnicy konkursu.

Pearl Tęga Głowa - tak mnie nazywali w szkole, ale tylko w szkole. Dziewczęta z mojej ulicy nie dążyły do tak zwanego średniego wykształcenia. Moja rodzina przyjechała z Irlandii, aby szukać szczęścia w Anglii, jak wielu Irlandczyków w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Pochodziliśmy z miejscowości o nazwie Rossmore, bardzo ubogiej w tamtych czasach. Teraz wszystko się tam zmieniło. Aż trudno uwierzyć, na jakiej stopie żyją niektórzy moi kuzyni i kuzynki. Mój Bob pochodzi z Galway, poznaliśmy się na tradycyjnym wieczorku tanecznym.

Tata pracował przy budowie dróg, a my wszystkie znalazłyśmy pracę w fabrykach i sklepach i uważano nas za nie-

przeciętne szczęściary, ponieważ nie musiałyśmy iść na służbę do zamożnych domów, jak nasze matki w starym kraju - tak mówiono. Wszystkie powychodziłyśmy za mąż w wieku lat dziewiętnastu. Najpóźniej. Po prostu takie obowiązywały reguły.

Przed dwudziestym pierwszym rokiem życia każda miała już dwójkę dzieci. Automatycznie szłyśmy do pracy - żaden z mężów nie zarabiał tyle, by sam mógł utrzymać dom. Nikt się nie skarżył.

Byłyśmy o wiele bardziej Anglikami niż Irlandczykami. Kibicowaliśmy angielskim drużynom piłkarskim, Bob i ja. Raz w roku jechaliśmy pociągiem, potem promem i jeszcze jednym pociągiem w odwiedziny do Rossmore. Moja cioteczna siostra Lilly była dokładnie w tym samym wieku co ja. Cierpieli wtedy biedę i zazdrościła mi moich, jak to nazywała, eleganckich strojów.

Eleganckie stroje! Mama dostawała rzeczy dla nas od sąsiadów. W Rossmore ludzie śmiali się z naszego angielskiego akcentu, ale to nam nie przeszkadzało. Babcia była bardzo kochana, często wysyłała Lilly i mnie do tej studni w lesie, gdzie stała figura świętej Anny, żebyśmy się pomodliły o dobrych mężów. Zwłaszcza ja powinnam była modlić się żarliwie, ponieważ mieszkałam w Anglii, gdzie mogłam poznać kogoś innego wyznania.

I chyba ta święta studnia pomogła, bo poznałam Boba, co było wspaniałe, a Lilly poznała Aidana, co też było wspaniałe. W owych czasach żadna z nas nie miała za co pojechać na wesele tej drugiej, ale obydwie byłyśmy bardzo szczęśliwe i często opowiadałyśmy sobie nawzajem w listach, co u nas słyhać.

Spodziewałam się Amy mniej więcej w tym samym czasie, gdy ona spodziewała się swojego pierwszego dziecka, Teresy, więc miałyśmy o czym pisać. A potem stało się coś potwornego.

Była to jedna z tych rzeczy, które zdarzają się innym, obcym ludziom, a nie tym, których się zna. Ktoś wykradł Teresę z wó-

zeczka i nigdy jej nie odnaleziono. Biedny psiak głośno szczekał, ulicą przechodziły setki ludzi, ale nikt nic nie zauważył.

Odtąd życie nie było już takie samo. No bo przecież nie mogłam opowiadać Lilly o Amy po tym wszystkim, przez co przeszła. A po śmierci babci przestaliśmy jeździć do Irlandii. Wiedliśmy bardzo szczęśliwe życie tu, na północy Anglii, a kiedy urodził się John, niczego nam więcej nie brakowało.

Co tydzień graliśmy najpierw w piłkarskiego totka, a potem na loterii i planowaliśmy, na co przeznaczymy wygrane pieniądze. Oczywiście na wycieczkę zagraniczną, willę nad Morzem Śródziemnym, a także na duży dom w eleganckiej części miasta; prócz tego kupimy ładny domek z ogródkiem dla rodziców. A dzieci - ileż robiliśmy w związku z nimi planów!

Miały się uczyć w najdroższych szkołach, chodzić na lekcje muzyki i tańca, jeździć konno, grać w tenisa. Miały dostać wszystko, co dla nas było niedostępne. I jeszcze więcej!

Żeby oddać nam sprawiedliwość, obydwójce z Bobem zrobiliśmy dla dzieci naprawdę dużo, nie poprzestając na marzeniach o ich przyszłości. Wiedzieliśmy, że wielka wygrana może nas po prostu ominąć i rozpaczliwie pragnęliśmy, żeby dzieciom przypadło w udziale coś lepszego niż kiedyś nam. Więc założyliśmy fundusz, na który co tydzień odkładaliśmy pewną sumę dla każdego z nich, kiedy się urodzili. Na koncie pocztowym zebrała się niezła sumka dla Amy i Johna.

Przeczytałam w pewnej książce, że dzieciom powinno się nadawać proste, klasyczne imiona, jeśli się chciało, żeby coś w życiu osiągnęły. Imiona, które nam się podobały, mogły się później kojarzyć z pozbawionymi gustu dolami społecznymi. Dlatego nazwaliśmy dzieci Amy i John. Wspaniałe dzieciaki - no, ale wszyscy rodzice tak myślą.

W swoim czasie dostali nowiutkie rowery, nie zdezelowane i odremontowane graty. Zabieraliśmy ich do parków tematycznych, na urodziny mogli zapraszać koleżanki i kolegów do do-

mu, dostawali hamburgery i sprzęt wideo. Kupiliśmy Johnowi komputer, który trzymał u siebie w pokoju. Z największą chęcią skorzystałabym z tego komputera, ale John na wszystkim znalazł się lepiej i nie chciałam mu przeszkadzać.

Posialiśmy Amy do drogiej szkoły dla sekretarek. Mieliśmy przez to bardzo napięty budżet, ponieważ ja pracowałam przy kasie w supermarkecie, Bob był kierowcą furgonetki, a nie są to zbyt popłatne zawody. Ale inwestowaliśmy w przyszłość dzieci.

John okazał się bardzo uzdolniony technicznie i znalazł świetną pracę w dziedzinie tak zwanej techniki informacyjnej, więc naprawdę warto było mu kupić ten komputer w młodym wieku. Szkoła dla sekretarek również była doskonałą inwestycją, Amy została recepcjonistką w wytwornym biurze dużej firmy, a potem pięła się jeszcze wyżej po szczeblach kariery, osiągając stanowisko osobistej asystentki.

Obydwoje w Londynie! Pomyśleć tylko!

Odwiedzali nas od czasu do czasu, ale, oczywiście, nie przywozili już do domu przyjaciół. Żyli własnym życiem, osiągnęli niezależność i sukces, czyli to, na co tak ciężko pracowaliśmy. Wiedzieliśmy, że nie mogą tak po prostu przywozić każdego na nasz mały taras. Zanim Amy skończyła dwadzieścia cztery lata, a John dwadzieścia trzy, obydwójce zamieszkali z innymi młodymi osobami, co było najzupełniej prawidłowe.

Niektórzy znajomi pytali Boba i mnie, jak zamierzamy uczcić naszą dwudziestą piątą rocznicę, srebrne wesele. Odpowiadaliśmy, że nie wiemy, ponieważ dzieci z pewnością coś dla nas zaplanowały. Dobrze знаły datę, pierwszy kwietnia, gdyż zawsze ją obchodziliśmy, kiedy były małe.

Prima aprilis!

Śmiało się, czy to nie jest znamienne, że w taki dzień złożyliśmy najpoważniejszą obietnicę naszego życia. Kupowaliśmy wielki tort lodowy, wystarczająco duży, żeby każdy dostał dokładkę. Nasi sąsiedzi, siostra Boba i moja kuzynka - wszy-

scy urządzili huczne przyjęcia z okazji srebrnych godów. Zjechali się liczni goście i puszczaliśmy płyty z piosenkami popularnymi w czasach, kiedy braliśmy ślub.

Zastanawiałam się, jakie miejsce wybiorą John i Amy.

Krewni i przyjaciele zapewne już wiedzieli i pytali nas tylko dlatego, żebyśmy mieli tym większą niespodziankę. Ponieważ przez lata przywykliśmy do oszczędzania, odkładając na fundusz dla dzieci, teraz też odłożyliśmy trochę pieniędzy i kupiłam Bobowi nowy ciemnoszary garnitur oraz elegancką białą koszulę, sobie zaś sukienkę z granatowej krepy i pasującą do niej torebkę. Były to z pewnością dostatecznie eleganckie ubrania, nawet jeśli nasze dzieci zamierzały nas zaskoczyć jakimś wytwornym przyjęciem.

Czas się zbliżał, a John i Amy nie zająknęli się ani słówkiem o swoich planach. Amy nawet z rozmachem podtrzymywała fikcję, mówiąc, że ona i Tim, mężczyzna, u którego pracowała jako osobista asystentka, wyjeżdżają na ten weekend do Paryża. Udawałam, że traktuję to serio. Podobnie jak to, że John jedzie nurkować w morzu z kolegami z biura - powiedział mi, że kupił nowy piankowy strój i cały sprzęt.

Dwa dni przed rocznicą zaczęłam się jednak niepokoić. Dwie znajome pary zaprosiły nas na kolację, jedna do indyjskiej restauracji, druga do włoskiej.

Powiedzieli, że należy upamiętnić ten dzień. A gdy odparłam, iż tak się stanie, obdarzono mnie spojrzeniem, które mi się nie podobało. Postanowiłam wyjaśnić sytuację i ustalić, co się dzieje, zanim Bob przeżyje zbyt wielkie rozczarowanie. Co drugi dzień przymierzał garnitur i podziwiał swoje odbicie w lustrze w sypialni. Zadzwoniłam do Amy do pracy.

- O, mama - powiedziała. Kiedyś mówiła „mamusia”, teraz tylko „mama”.

- Chodzi o twój weekend - zaczęłam. - Naprawdę wyjeżdżasz, skarbie? To znaczy właśnie teraz?

Zachnęła się natychmiast.

- Proszę cię, mamo. Nigdy dotychczas się nie wtrącałaś, za-

wsze pozwalalaś mi żyć własnym życiem, więc teraz nie mów, że przyłączasz się do chóru lamentów na temat Tima. Jego małżeństwo już nie istnieje i nic ma nic złego w naszym wyjeździe do Paryża. Proszę, nie dokładaj się do tych wszystkich głosów oburzenia...

Poinformowałam ją, że nie miałam zamiaru krytykować jej podróży do Paryża, nie wiedziałam nawet, czy Tim jest żonaty, czy nie. Nie dlatego zadzwoniłam, z całą pewnością.

- W i ę c p o c o d o m n i e d z w o n i s z , m a m o ? - Moja córka potrafiła mówić w sposób tak ostry. Tak bolesny.

Odpowiedź wyrwała mi się sama.

- Ponieważ się zastanawiam, czy nie zapomniałaś o naszym srebrnym weselu w sobotę - odparłam, zanim zdołałam się powstrzymać.

- O czym?

- T w ó j t a t a i j a o b c h o d z i m y d w u d z i e s t ą p i ą t ą r o c z n i c ę ś l u b u . P o m y ś l e l i ś m y , ż e m o ż e z a m i e r z a c i e z J o h n e m ... n o , ż e z o r g a n i z o w a l i ś c i e c o ś d l a n a s , j a k i e ś p r z y j ę c i e . P o p r o s t u s ą s i e d z i c i ą g l e s i ę d o p y t u j ą i w i e s z ...

Usłyszałam, jak Amy gwałtownie wciąga powietrze.

- Ach, mamó, rzeczywiście. Prima aprilis. O Boże, rzeczywiście... - wykrztusiła.

I już wiedziałam, że naprawdę zapomniała. John też zapomniał. Nie będzie żadnego przyjęcia.

Był już czwartek, zbyt późno, by kogoś zaprosić i urządzić jakąś uroczystość. Bob będzie miał złamane serce, zawsze przeżywał to bardziej niż ja, że jego córeczka ostatnio rzadziej przyjeżdża do domu w odwiedziny. Tak bardzo chciał włożyć nowy garnitur i zaśpiewać „Przy tobie czuję się tak młodo”. Przewidywał, że Amy i John mogli wynająć salę nad Żółtym Ptakiem, bo słyszał, że coś ma się tam odbyć w najbliższą sobotę.

Pomyślałam o siostrze Boba, która zawsze krytykowała nasze dzieci, o mojej wielkodusznej kuzynce i o wspaniałych przyjęciach, które urządziły razem z rodzinami. Myślałam tak-

że o nowej granatowej sukience i dobranej do niej torebce. O latach przesiedzianych w przeciągu przy kasie supermarketu, żeby zarobić więcej pieniędzy i dołożyć je do funduszu. O tym, jak zapłaciliśmy z tych oszczędności za ładny żakiet, kiedy Amy szła na pierwszą rozmowę w sprawie pracy i o tym jak znajomi obojga byli zawsze zapraszani na przyjęcia urodzinowe do naszego domu. Myślałam o długich godzinach, które Bob spędził w drodze, wysilając zaczerwienione, zmęczone oczy i zeszytywniałe ramiona, by móc kupić obojgu rowery, a potem radia, a jeszcze później odtwarzacze CD. O tych wszystkich wycieczkach do Legolandu i rezerwatów przyrody. Przypomniałam sobie jednodniowe wyprawy do Francji przez kanał La Manche.

I przez jedną niebezpieczną chwilę czułam się tak, jakby przestało mnie obchodzić, czy kiedykolwiek jeszcze porozmawiam z Amy lub Johnem.

Zaraz jednak mocno wzięłam się w garść. Po co było to wszystko, ćwierć wieku oszczędzania, pracy i utrzymywania domu, jak nie po to, żeby dać naszym dzieciom więcej, niż sami kiedykolwiek mieliśmy? To nie mogło się zakończyć głupimi dąsami. Musiałam naprawić niedopatrzenie z ich strony, upewnić oboje, że sprawa jest bez znaczenia. Musiałam prędko coś powiedzieć, zanim Amy zacznie przeproszać. Więc przerwałam jej od razu, gdy tylko odzyskała mowę.

- No bo widzisz, wyjeżdżamy obydwójce z twoim tatą na ten weekend, więc chciałam się upewnić, że nie macie niczego w planach...

- Mamo... tak mi przykro... - Teraz to ona przerwała. Ale nie mogłam dopuścić do przeprosin.

One zmieniłyby całą naszą sytuację.

- W i ę c wszystko w najlepszym porządku, a jeśli chcesz przysłać kwiaty, wyślij je na adres siostry ojca, bo nie będzie nas w domu.

Amy przelknęła ślinę.

- Tak, mam, oczywiście.
- A prawdziwą uroczystość odłożymy do perłowych godów.
- Perłowych?
- Tak zawsze myśleliśmy z twoim tatą. Srebrne wesele nie wydawało się nam takie ważne, ale ponieważ mam na imię Pearl i w ogóle, urządzimy wielkie, huczne przyjęcie na naszą perłową rocznicę... - Aż promieniałam dobrą wolą i wyczekiwaniem.

- Która przypada... hm... - Moja córka zawiesiła głos.

- Po trzydziestu latach, naturalnie - dokończyłam pogodnym tonem. - Zostało zaledwie pięć lat, więc lepiej zacznijcie już z Johnem coś planować. Urządzimy niezapomnianą imprezę.

Jej głos był przepelniony wdzięcznością.

- Dziękuję, mamusiu - powiedziała. Już nie chłodne „mamo”, jak zauważyłam.

A potem zastanowiłam się, dokąd zabrać Boba, i wykupiłam dla nas weekend w Blackpool. Siostrę Boba kwiaty z pewnością zachwycą. Wiedziałam, że bukiet będzie ogromny - z uwagi na poczucie winy obojga. Koniec końców było to lepsze niż rozczulanie się nad sobą.

Nie na darmo nazywano mnie w szkole Tęgą Głową.

Część 2 - Hojny John

W biurze mówili na mnie „Hojny John”.

Chodziło o pewną niemądrą tradycję, którą ustanowiłem; po prostu w każdy piątek częstowałem wszystkich musującym winem i krakersami z wędzonym lososiem. W ten sposób miło rozpoczynałem weekend. Ludziom, którzy nigdzie się nie wybierali, sprawiałem przyjemność; ci, którzy szli dokądś, zawsze przystawali obok biurka i to wydawało się znacznie lepsze niż zalewanie się w barze, co praktykowało wiele innych biur. W dodatku za cenę dwóch, najwyżej trzech butelek niezbyt

kosztownego trunku. Za to plus paczka wędzonego lososia od Marksa i Spencera, kilka sucharków i plasterków cytryny zyskałem opinię bardzo hojnego faceta.

Tworzymy w biurze zgrany zespół. Nie jest to miejsce, w którym dokonuje się epokowych osiągnięć - większość z nas uważa, że jeszcze przed trzydziestką może się znaleźć w bardziej obiecującym przedsiębiorstwie.

No, ale przecież to tylko praca, a firma cieszy się dobrą opinią, więc w końcu co za problem?

Lubię to, co robię, i wynajmuję duże, widne mieszkanie do spółki z dwoma kolegami.

Pewnego dnia zadzwoniła do biura moja siostra i poprosiła do telefonu Johna. Zapytali ją: „Hojnego Johna czy tego drugiego?”. Odparła, że tego drugiego i popełniła błąd.

Była zaskoczona.

- Przecież ty nie jesteś hojny! - oznajmiła oskarżycielskim tonem.

- Nie, ale skąpy też nie jestem - zaznaczyłem. Przyznała mi słuszność i dalej rozmawialiśmy swobodnie.

Czy jesteśmy blisko związani jako rodzeństwo? Niezupełnie. Oczywiście, zbliżają nas wspólne doświadczenia z dzieciństwa. A także wiele rozmaitych wspomnień. Prowadziliśmy jednak zupełnie odmienne życie.

Amy uczęszczała do jednej z tych nobliwych szkół dla sekretarek, gdzie oprócz normalnych prac biurowych uczono dziewczęta, jak się ubierać i zachowywać w towarzystwie. Okazała się dobrą uczennicą, szczupła i wytworna, nosi wyłącznie eleganckie żakiety z domów mody. Zadbana i wyluzowana. Ma tylko jeden słaby punkt - tego faceta, Tima.

A Tim ma bogatą żonę, wielki dom i dwójkę dzieci w rujnująco drogich szkołach. Ma również wymagającą posadę - dyrektora generalnego swojej firmy, nie zamierza więc ryzykować utraty całego tego pakietu aktywów, odjeżdżając w siną dal z moją siostrą, choć jest zapewne atrakcyjna i stanowi bez wątpienia znakomity materiał na żonę. Amy jednak nic umie

lub nic chce tego dostrzec i wygląda na to, że zanim się zorientuje, będzie już za późno.

Próbowałem jej o tym powiedzieć pewnego wieczoru, kiedy jedliśmy kolację, lecz - o rety, moje słowa padły na wyjątkowo kamienistą i nieprzyjazną glebę. Usłyszałem natychmiast, że to nie mój interes i że nic, ale to nic nie rozumiem.

Przypomniała mi również dość stanowczym tonem, że gdy popatrzę na siebie w lustrze, nie zobaczę reklamy szczerzej i dożgonnej miłości. Bo nigdy właściwie nie miałem dziewczyny.

Nie była to do końca prawda i zirytowały mnie słowa mojej siostry. Ale załagodiliśmy z Amy wszelkie nieporozumienia i nigdy więcej nie rozmawialiśmy z sobą o naszym prywatnym życiu.

A później poznałem Lindę. I wtedy, oczywiście, nabrałem ochoty, żeby o moim prywatnym życiu opowiadać każdemu.

Linda była fantastyczną, efektowną dziewczyną, przeniesioną do nas z centrali na pół roku. Nigdy tam zresztą nie wróciła. Była z pochodzenia Irlandką, ale bardzo zorganizowaną — żadnych łez i głupich min irlandzkiej panienci. Niezwykle bystra i bardzo lubiana. Miała powodzenie.

A ze wszystkich facetów, którzy przybiegliby na pierwsze jej skinienie - czyli większości z nas - upodobała sobie właśnie mnie. Co sprawiało mi wielką przyjemność.

Pewnego piątku przy wędzonym lososiu zapytała mnie prosto z mostu, jak Hojny John zamierza spędzić wieczór, a ja odparłem okropnym, gruchającym głosem, że Hojny John zgodzi się na wszystko, co zaproponuje Prześliczna Linda. Poszliśmy do włoskiej restauracji. A potem dokładnie obejrzelśmy się nawzajem.

Zabrała mnie do siebie, żebym poznał jej rodziców. Jej ojciec pracował w dużym banku na ważnym stanowisku i mieszkali w obszernym domu z ogrodem, sadem i labradorami.

Nie wypytywali mnie o rodzinę. Oni nic, ale Linda - tak.

- Kiedy będę miała okazję ich spotkać? Czy to kiedykolwiek nastąpi? Czy jeszcze w tym stuleciu? - powtarzała nieustannie.

Nie byłem aż tak głupi, by udawać, że moja rodzina stoi na tak wysokim poziomie jak jej, coś podobnego może tylko wywołać cierpienie. Nie, przyznałem się, że przyszedłem na świat w małym domku z tarasem i moi rodzice należą do klasy robotniczej. Ale nie mogłem jej zaprosić na spotkanie z matką i ojcem. Jeszcze nie.

Ta okropna siostra taty, Dervla, z pewnością chciałaby przyjść i ją obejrzeć. Halaśliwa kuzynka mojej matki znalazłaby także jakiś sposób, żeby się wprosić, a potem obydwie zaczęłyby rozprawiać o starym kraju i szukać powiązań z rodziną Lindy. To byłoby zbyt okropne.

Zacząłbym za nich przeproszać, a potem znienawidziłbym samego siebie za to, że tak się czuję.

Nie, najlepiej trzymać ich z dala najdłużej, jak się da.

Spotkanie z moją siostrą Amy miało zupełnie inny charakter. Zaprosiłem ją do baru sushi, gdzie miała również zjawić się Linda, i Amy przyprowadziła tego okropnego Tima. Nieustannie przeczesywał ręką włosy i powtarzał, że powinien już iść. Amy patrzyła na niego, jakby nagle zamieniła się w spaniela i przestała być wysoce kompetentną osobistą asystentką, którą jeszcze przed chwilą była.

Gdy wyszli, wzruszyłem ramionami i usprawiedliwiłem się przed Lindą.

- Nie wiem, dlaczego ona go znosi.

- A ja wiem - powiedziała Linda.

Byłem zdumiony.

- Ponieważ go kocha - wyjaśniła takim tonem, jakby to było oczywiste.

Ku memu wielkiemu żalowi Linda nie została u mnie, w naszym przestronnym mieszkaniu. Dziewczęta często zostawały u nas na noc; byłbym bardzo dumny, gdyby Linda popijała nazajutrz rano świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy, ubrana w mój szlafrok.

Ale nic, była niewzruszona, a nic mogłem także nocować w mieszkaniu, które wynajmowała razem z inną dziewczyną.

Mogliśmy spędzić noc w hotelu na wyjeździe, więc nie chodziło tylko o seks. Nie, chodziło o to, co Linda określiła jako „przerażające udomowienie”.

Musimy poczekać, dopóki się nie upewnimy, powiedziała, a potem znajdziemy sobie własne mieszkanie.

Powtarzałem, że ja osobiście jestem pewien, lecz ona odpowiadała: bzdura, jeszcze na to za wcześnie, a na razie chciałaby poznać moich rodziców. Zastanawiałem się, czy będą gorzi w domu, czy jeśli zaproszę ich do Londynu. Nic potrafiłem rozstrzygnąć tej zagadki. Przynajmniej w Londynie nie było okropnej ciotki Dervli i połowa ulicy nie mogła się na nas gapić i oceniać. Z drugiej strony jednak, rodzice czuliby się bardzo niepewnie w Londynie.

Wciąż odkładałem decyzję.

Pewnego dnia Linda zadzwoniła z podróży służbowej, mówiąc, że znajduje się zaledwie o piętnaście mil od mojego rodzinnego miasta i bardzo by chciała odwiedzić moich rodziców. Skłamałem, że wyjechali. Kiedy wróciła, zacząłem rozprawiać, jaka to szkoda, że się z nimi minęła, ale od razu mi przerwała.

- N i e minęłam się z nimi, John, odwiedziłam ich - powiedziała.

- Przecież wyjechali. - Zatkalo mnie.

- W i ę c musieli wrócić - odparła.

- No i jak? - zapytałem.

- Napiliśmy się herbaty, zjadłam grzanekę z serem i opowiedziałam im trochę o naszej pracy. Potem przyszła twoja ciotka Dervla i powiedziała, że może spotkamy się wszyscy „na srebrnym”. Co to takiego, John? Hotel, pub czy coś w tym rodzaju?

- Nie wiem, tak przypuszczam - wymamrotałem.

Linda poznała moich rodziców, była u nich w domu, spotkała też ciotkę Dervlę i przeżyła to wszystko. Musiała to być miłość.

Próbowałem opowiedzieć o tym Amy, ale bardzo się denerwowała wyjazdem do Paryża z Timem i tak naprawdę nie słu-

chała, co mówię. Zastanawiałem się, czy nie powinienem zaprosić rodziców do Londynu. W końcu poznali się z Lindą osobiście, więc najgorsze miałem za sobą. Nie byłiby aż tak zakłopotani, jak w wypadku spotkania z zupełnie obcą osobą. Ale nigdy nie starczało mi czasu i działo się mnóstwo innych rzeczy.

Pracowaliśmy do późna, a całe lato w weekendy uprawialiśmy windsurfing. Niektórzy planowali na jesień nurkowanie głębinowe. I faktycznie, czułem się chwilami trochę głupio, kiedy pomyślałem, jak mało mają z życia moi rodzice, a jak wiele mam ja. No ale przecież taka jest kolej rzeczy. Ludzie w Afryce, na przykład, w ogóle nic nie mają. I nie potrafimy temu zapobiec. Więc dlaczego mielibyśmy przez cały czas czuć się winni?

Linda bez przerwy jeździła do swoich rodziców, ale u niej to wyglądało inaczej. Zresztą nie miała tak daleko. Ciągłe do nich telefonowała, opowiadając rozmaite niedorzeczności. Ja do swoich nie dzwoniłem, ponieważ Bob i Pearl należeli do ludzi panikujących na dźwięk telefonu. Zawsze myśleli, że przynosi złe wieści i ostrzegali, żebym oszczędzał pieniądze, nawet gdy dzwoniłem z biura. Naprawdę zamierzałem kupić im bilety na jakieś przedstawienie, na przykład musical, który by im się spodobał, plus nocleg w hotelu. Ale, jak już wspomniałem, czas tak jakoś zleciał.

A potem odebrałem ten okropny telefon od Amy, zupełnie niespodziewanie, z wiadomością, że powinniśmy byli zorganizować dla rodziców jakieś okropne przyjęcie z okazji srebrnego wesela. Więc o to im chodziło, gdy Dervla mówiła Lindzie, że zobaczą się z nią „na srebrnym”. Wcale nie myśleli o pubie. Myśleli o cholernej dwudziestej piątej rocznicy ślubu.

- Jasna cholera! - powtórzyłem kilka razy, a Amy całkowicie się ze mną zgodziła.

- Gdyby tylko wcześniej powiedzieli - ubolewała. - Nigdy nic nie mówią i oczekują, żebyśmy sami się domyślili.

Przypomniały mi się wielkie urodzinowe kartki, które przysyłali co roku, wkładając do środka chusteczkę do nosa, zakładkę albo coś równie bezużytecznego. No ale rodzice, oczywiście, pamiętają o urodzinach swoich dzieci - kiedy sam będę miał dzieci, kiedy będziemy mieli z Lindą syna i córkę, także nie zapomnimy o ich urodzinach. Muszę przyznać, że ona bez przerwy biega i szuka dla kogoś prezentu z okazji rocznicy albo urodzin. Ale cóż, dziewczyny są inne.

Dlatego tak mnie rozdrażniło zachowanie Amy, która powinna była pamiętać o tym przekłętym srebrnym weselu. Dobrze, powiedziałem, ograniczmy szkody, zorganizujemy coś dla nich w Londynie, kolację z szampanem na przykład, wyślijmy po nich limuzynę. Ale nie. Amy nie mogła. Zaplanowali z Timem weekend w Paryżu i nie dało się odwołać rezerwacji. Amy bywa samolubna i niemądra. Bardzo niemądra.

Wysłuchałem psychologicznego gładzenia o urządzeniu specjalnie dla mamy hucznych obchodów perłowej rocznicy, z uwagi na jej imię i w ogóle. Perłowe wesele przypada, jak się wydaje, po trzydziestu latach.

Bóg jeden wie, co się do tego czasu z nami stanie. Linda i ja będziemy małżeństwem, tego jestem pewien, a Tim przerzuci się na nowszy, młodszy model niż moja siostra, to również pewne.

Więc zaproponowałem, żebyśmy obydwójce wysłali po bukiecie na adres okropnej ciotki Dervli i że może im lepiej samym w Blackpool, i że wymyślimy coś wielkiego na perłowe wesele, ale jakoś nie przekonałem do końca Amy ani siebie.

Wieczorem opowiedziałem o wszystkim Lindzie. Słuchała w zupełnym milczeniu. Patrzyła na mnie, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu.

Nic podobało mi się jej spojrzenie. Czulem się tak, jakbym miał coś wypisane na czole.

- Co się stało? - zapytałem z niepokojem.

- Nic, absolutnie nic - odparła. - Mów dalej.

Mówilem więc dalej i stwierdziłem, że moi rodzice są, oczywiście - jak sama wie, ponieważ ich poznała - solą ziemi. Ale zbyt łatwo ich zadowolić. To żalotne, jak wielką wagę przywiązują do drobiazgów. Moja matka lubiła wywierać korzystne wrażenie na swojej kuzynce, właśnie na tej okropnej kobiecie pozbawionej wdzięku i stylu, zupełnie nie na poziomie. I obydwójce czuli respekt przed ciotką Dervlą, apodyktyczną starszą siostrą ojca, która uważała, że wszystko wie, choć tylko dwa razy znalazła się na południe od Watford.

Całkowicie wystarcza im tamten mały domek i nie zamierzają szukać czegoś bardziej odpowiedniego. Czasy się zmieniły, ludzie czynili postępy, jedynie oni nie zdawali sobie z tego sprawy. Gdyby wszyscy na świecie byli tacy, nadal mieszkalibyśmy w jaskiniach.

Twarz Lindy nie wyrażała niczego. Zazwyczaj Linda bywała ożywiona, zgadzała się lub sprzeciwiała. Teraz jednak siedziała obojętnie i wiecie, jak to jest - im mniej ktoś mówi, tym więcej mówicie sami. Uświadomiłem sobie, że opowiadam, jak to dla moich rodziców kurczak z frytkami stanowi wspólną ucztę i jak obwieszają cały dom łańcuchami z kolorowego papieru na Boże Narodzenie, tak że trudno się po nim poruszać.

Linda nadal nic nie mówiła, więc dodałem jeszcze, jak mama brała dodatkowe godziny, żeby nam kupić nowe rowery, a okropna ciotka Dervla przynosiła nam herbatniki i mleko. Zobaczyłem, że Linda powoli opuszcza nogi z sofy i wsuwa stopy w buty, co było dziwne, bo mieliśmy całe mieszkanie dla siebie i mnóstwo czasu.

Wtem oznajmiła, że musi już iść.

- Nie teraz - zaprotestowałem. - A co z perliczką, którą dla nas kupiłem i butelką naprawdę dobrego bordo?

Bez żadnego powodu zapytała, czy kiedykolwiek upiekłem perliczkę dla swoich rodziców, więc wyjaśniłem, że w ich piekarniku nic da się niczego upiec, a ponadto oni jadają takie pa-skudztwa, że przy perliczce mogliby się pochorować. Twarz

Lindy wydawała się jakoś dziwnie zmieniona. Wreszcie zagad-
nałem z głupia frant:

- Co się stało, Lindo? O co chodzi?

Sprawiała wrażenie szczerze zasmuconej, gdy przed wyj-
ściem lekko dotknęła mojej ręki.

- Och, John - powiedziała. - Hojny Johnie, ty rzeczywiście
nie wiesz, prawda?

I odeszła.

A ja nie wiedziałem i nadal nie wiem.

To właśnie jest takie trudne w kontaktach z ludźmi - że na-
prawdę nigdy nic nie wiadomo.

13

Bywając w pubie

Część 1 - Poppy

Kiedy byłam małą, mieszkała z nami babcia i przepadałyśmy za nią. Była o wiele bardziej zajmująca niż rodzice i rozumiała różne sprawy. Znacznie ciekawiej się jej słuchało, bo tak długo tu mieszkała i tyle widziała w życiu. Zabierała Jane i mnie na długie wędrowki po Głogowym Gaju i zawsze miała nam coś interesującego do pokazania. Na przykład domek na drzewie, zbudowany przed laty przez jej braci, albo zasuszone kwiatki w zielniku, albo - co najlepsze - studnię Świętej Anny. Powiedziała, że nie wolno wyśmiewać ludzi, którzy się tam modlą, ponieważ pewnego dnia niewątpliwie dołączymy do ich grona.

Tak się zazwyczaj działo. Za młodu babcia uważała, że tamci oszaleli - ci wszyscy ludzie, którzy mamrotali, mruzcili pod nosem i zostawiali pamiątki, ale z wiekiem zaczynało się to wydawać dziwnie krzepiące. Nauczyła nas słuchać innych. W każdym razie mnie nauczyła. Prawdopodobnie stąd wziął się mój pomysł, żeby pracować ze starszymi osobami.

W domu nie wzbudziło to zbyt wielkiego entuzjazmu.

- *M u s i s* z najpierw uzyskać odpowiednie kwalifikacje - powiedział tata.

- Starzy ludzie bywają bardzo wymagający - ostrzegła mama.

- Nie poznasz żadnego faceta, jeśli utkniesz gdzieś na oddziale geriatrycznym - zauważyła moja starsza siostra Jane.

Jane wyrosła na dziewczynę zupełnie inną niż ja. Potrafiła używać różu i cieni do powiek we właściwy sposób i prasowała swoje ubrania żelazkiem z nawilżaczem. Bardzo dbała o buty, wypychała je gazetami i często pastowała. Moi znajomi i ja nazywaliśmy ją Wytworną Jane.

Choć zatem w domu wszyscy sprzeciwiali się mojemu pomysłowi, nie zwracałam na to uwagi, ponieważ, szczerze mówiąc, byli do wszystkiego nastawieni negatywnie. Odbywałam praktykę pielęgniarską w Rossmore, w miejscowym szpitalu Świętej Anny i sama zgłaszałam się na oddziały ze starszymi pacjentami.

Poznałam tam wspaniałych ludzi i wysłuchałam wielu świętych życiowych porad.

Pewien starszy pan wyjaśnił mi wszystko na temat akcji i udziałów, inny wytłumaczył, jak sadzić rośliny w balkonowych skrzynkach; pewna starsza dama, której oświadczano się siedem razy, doradzała mi, jak przyciągnąć uwagę mężczyzn, druga zaś nauczyła mnie najlepszych sposobów czyszczenia miedzi. Miałam zatem niezłe rozeznanie w sprawach tego świata, gdy zobaczyłam ofertę pracy dla kierowniczkii domu opieki o nazwie „Wrzosa i Paprocie”, oddalonego o osiem kilometrów od Rossmore.

Był to stary dom, należący do dwóch cudownych, zwariowanych staruszek, które miały bzika na punkcie ogrodnictwa. Po ich śmierci powstał tam dom opieki. Miałam trzydzieści siedem lat i wykorzystałam wszystkie otrzymane rady. Posiadałam skromny, lecz zadowolający portfel akcji. Mężczyźni niewątpliwie zakochiwali się we mnie, ale ja, niestety, wyszłam za mąż za niejakiego Olivera, który zakochiwał się nieco zbyt łatwo i zbyt często, dlatego rozstałam się z nim po roku małżeństwa.

Moje miedziane patelnie lśniły niczym klejnoty. W skrzynkach rosło wszystko, cokolwiek posiałam, i moje okna mieniły się barwami przez cały rok. Nie były to w istocie kwalifikacje na stanowisko kierowniczkii domu Wrzosa i Paprocie, ale jestem dyplomowaną pielęgniarką i kocham swój zawód, więc

spodobałam się czterem członkom zarządu i dostałam tę pracę. Zaoferowano mi też mały wiejski domek. Ogród był całkowicie zaniedbany, ale mogłam to szybko naprawić.

Tuż po mianowaniu spotkałam się z personelem i pensjonariuszami Wrzosów i Paproci. Sprawiali wrażenie dość pogodnych. Lubili poprzednią kierowniczkę, która najwyraźniej odeszła do pracy w telewizji.

- Mam nadzieję, że nie użyjesz tego miejsca jako trampoliny do kariery w mediach, tak jak ona - burknął Garry, który, co spostrzegłam w ciągu dziesięciu sekund, zamierzał pełnić funkcję rzecznika wszystkich niezadowolonych.

- Nie. Gdybym chciała pójść tą drogą, już bym nią poszła - odparłam pogodnym tonem.

- Albo wyszłabyś gdzieś tam za męża? - spytała z rozdrażnieniem drobna kobieta o imieniu Eve. Zakwalifikowałam ją w myślach jako wiecznie zmartwioną.

- Za męża? O nie, już to przerabiałam - odparłam.

Popatrzyli na mnie z otwartymi ustami. Przywykli zapewne do bardziej nobliwego sposobu bycia.

Zapytałam, czy ktoś miałby coś przeciw noszeniu plaketek z nazwiskami przez trzy pierwsze dni, a jeśli do tego czasu nie będę ich znała na pamięć, no to trudno, nie nadaję się do tej pracy. Powiedziałam, że mam na imię Poppy. Przyznałam, że to bardzo głupie imię, ale jeszcze głupsze widnieje w moim akcie urodzenia, więc jeśli tylko zapamiętają, nazywam się Poppy. Dodalam, że wprost uwielbiam słuchać i dowiadywać się różnych rzeczy, i jeśli ktokolwiek ma dla mnie coś nowego, będę zachwycona.

To im się chyba spodobało. Mówili, idąc na podwieczorek, że jestem niezwykła. Rozejrzałam się z niejaką przyjemnością po miejscu, które miało się stać moim nowym domem. Uświadomiłam sobie, że będzie to dla mnie prawdziwy dom. Ten, w którym się wychowałam, wydawał się coraz bardziej odległy.

Zdałam sobie z tego sprawę, kiedy się okazało, że nie czuję żadnej potrzeby, żeby zadzwonić do mamy i taty z wiadomo-

ścią o nowej pracy. Nie miałam ochoty wysłuchiwać ich nieprzychylnych uwag. Zaraz zaczęliby mi mówić, jak ogromna spoczywa na mnie odpowiedzialność i że jeśli ktoś złamie biodro, będzie to moja wina.

Oczywiście nie zatelefonowałam też do mojej siostry Jane, ponieważ usłyszałabym po raz kolejny, że mój były mąż Oliver jest mężczyzną przystojnym i zamożnym, że postąpiłam głupio, wyrzucając go z domu, i powinnam wziąć pod uwagę fakt, że wszyscy faceci czasami błędzą. Taki już mają charakter.

Nie zadzwoniłam do Olivera, ponieważ nigdy do niego nie dzwoniłam.

Zadzwoniłam natomiast do mojej najlepszej przyjaciółki, Granii, która była prawniczką i pomagała mi przy zawieraniu umów. **Powiedziałam** jej, że to wspaniałe miejsce i musi mnie odwiedzić.

- Niewykluczone, że przyjadę wcześniej, niż myślisz - zawiadomiła mnie. - Mój tata się dowiedział, że nie może dłużej mieszkać sam.

Ojciec Granii, Dan Green, był wspaniałym człowiekiem. Zawsze lubiłam do nich przychodzić. Nigdy nie tracił pogody ducha, miał okrągłą, czerwoną twarz i śmiał się donośnie.

- Bardzo chętnie widziałabym go we Wrzosach i Paprociach - zapewniłam Granie. Dodałam, że przygotuję pokój, gdy tylko jej ojciec będzie chciał się do nas przenieść.

- W tym właśnie problem - westchnęła. - On mówi, że nie ma zamiaru przenosić się do żadnego domu opieki. Nigdzie się nie ruszy, bo chce co wieczór chodzić do pubu na piwo. Problem polega na tym, że już nie może tego robić. Właśnie na tym, Poppy. - Wydawała się bardzo zmartwiona.

- Musi istnieć jakieś wyjście - powiedziałam. Nie mogłyśmy zostawić ojca Granii samego, ale też nie można było go zadreżczać. - Zaproś go tutaj kiedyś na herbatę. Nic będę mu niczego narzucała na siłę.

- Spróbuję. - W głosie Granii nie usłyszałam zbyt wielkiej nadziei.

Jednym z moich pierwszych zadań we Wrzosach i Paprociach okazało się uporządkowanie ogrodu. Był bardzo zaniedbany.

- Dobra kierowniczką to zadowolona kierowniczką - oznajmiłam wszystkim. - A ja jestem głęboko niezadowolona z naszego ogrodu. Zaplanowałam kilka klombów i rabatki, ale potrzebuję pomocy przy ich urządzeniu.

Garry oznajmił, że płacą spore pieniądze za pobyt w tym miejscu, i on nie ma zamiaru grzebać w ziemi i brudzić sobie rąk. Odparłam, że w porządku, oczywiście niech postępuje tak, jak uzna za stosowne. Gdy jednak usłyszał, jak wszyscy się śmieją, odczytują napisy na paczkach z nasionami, uważnie oglądają zamówione rośliny, nie wspominając już o szklankach mrożonej herbaty, którą przygotowałam dla ogrodników - zaczął inaczej śpiewać.

W nagrodę obdarowałam każdego skrzynką na kwiaty i doglądałam siania i sadzenia. Stało się to przedmiotem zaciętego współzawodnictwa i wszyscy prosili swoich gości o przywiezienie jakiejś egzotycznej rośliny z centrum ogrodniczego. Przed pierwszą inspekcją członków zarządu rozważaliśmy już zainstalowanie małej fontanny, którą określaliśmy mianem wodotrysku. Sprawy układały się bardzo dobrze.

Pewnego dnia Grania przyjechała w odwiedziny ze swoim ojcem. Dan Green nie przestał być wesołym, pogodnym człowiekiem. Osłabiła go jednak choroba, a nie był głupcem. Zdawał sobie sprawę, że nie da rady dłużej mieszkać sam, choć nie mógł również zamieszkać z Granią i jej liczną rodziną. Przespacerowaliśmy się we dwoje, on i ja. Pokazałam mu nasze rabatki i dodałam, że w zimie zorganizujemy lekcje malarstwa i może nawet wystawę naszych prac.

- Chcesz, żebym się tu sprowadził, prawda, Poppy? - zapytał.

- Nie, tego bym nie potrafiła załatwić, Dan. Bardzo trudno się tutaj dostać - odparłam z ubolewaniem.

- Potrafię czytać w tobie jak w otwartej książce, przyjaźnicie się z Granią od dziesiątego roku życia. Gdybym się dokądś przeprowadzał, przeniósłbym się tutaj, ale nie chcę. Napraw-

dę nic mogę zrezygnować z tego, co w życiu lubię najbardziej: chodzenia wieczorami do pubu na drinka.

— Tutaj też możesz się napić, Dan. Choćby ze mną, mógłbyś do mnie zaglądać co wieczór na kieliszek wina.

— Nie, to nie to samo — zaproponował z rozdrażnieniem, jakby wcześniej słyszał ten argument już wiele razy. - Kobiety zupełnie nie rozumieją, na czym polega chodzenie do pubu. Ważne jest piwo, piwo lane z beczki, cały ten rytuał.

I miał rację. Nie rozumiem tego. Nie potrafię pojąć, po co się idzie do miejsca, gdzie można umrzeć z nudów, słuchając cudzych dowcipów albo banalów wygłaszanych przez barmana, albo niekończących się opowieści stałych klientów, gdzie napastują człowieka pijacy bądź czuje się samotny i wyobcowany, ponieważ wszyscy prócz niego mają towarzystwo. Dlaczego nie kupić paru butelek i nie wybrać się z wizytą do przyjaciół lub zaprosić ich do siebie? Nie była to jednak odpowiednia chwila, by walczyć ten temat z ojcem Grani.

Wpłynęłam na bezpieczniejsze wody. Opowiedziałam mu o nowym dużym telewizorze z płaskim ekranem i o tym, że zamierzamy przerobić jeden z pokoi na prawdziwą staroświecką salę kinową z prażoną kukurydzą i fotelami, które będzie wskazywać widzom pracownica z latarką. Opowiedziałam, jak to założyliśmy bibliotekę, gdzie wisi wielka tablica z napisem „Cisza” i leżą codzienne gazety, żeby każdy mógł je sobie przeczytać. Krewni i znajomi mieszkańców przywieźli rozmaite książki i zostały one odpowiednio skatalogowane.

Wyjaśniłam, że raz w tygodniu przyjeżdża mikrobus, aby zabrać nas do Głogowego Gaju, że powtarzam wszystkim opowieści mojej babki, a pensjonariusze pochodzący z tych okolic dzielą się własnymi wspomnieniami i że zbieramy kawałki kory, liście i kwiaty. Zaznajomiłam go z Dojrzałkiem, wspaniałym kudłatym psem, podarowanym nam przez Skunksa Slatterygo, który szukał domu dla zwierzaka. Dojrzałek idealnie się nadawał do domu spokojnej starości, ponieważ, każdemu pozwalał się głaskać i poklepywać, nie wyróżniając nikogo.

Pokazałam Danowi moją dumę i radość - kury na podwórzu za budynkiem, siedem białych leghornów, gdaczących wesoło w kojcu. Każda miała imię i kartotekę z odnotowaną liczbą zniesionych jaj. Wszystko to zainteresowało ojca Granii, jednak zapewnił mnie, że nic nie zdoła go przekonać - Wrzosy i Paprocie znajdują się zbyt daleko od pubu. Nic miał nic do zarzucenia samemu ośrodkowi, z wyjątkiem usytuowania: osiem kilometrów od Rossmore i cywilizacji.

- Grania mogłaby cię zawieźć do jakiegoś pubu, kiedy przyjedzie w odwiedziny - tłumaczyłam.

Bardzo chciałam mieć u siebie jej ojca. Ale nie, najwyraźniej Grania również nie rozumiała psychologicznych aspektów pubu. A mężczyzna lubi robić to, co mu odpowiada, znaleźć własny sposób życia. Dan prawie żałował, że odjeżdża. Poczul smakowite zapachy płynące z kuchni.

W czwartki mieliśmy naukę gotowania i co tydzień inna grupa szykowała kolację. Tego dnia odbyła się popołudniowa lekcja z zakresu podstawowych dań kuchni indonezyjskiej i na wieczór zapowiadano *nasi goreng*.

Tak czy inaczej byłam bardzo zajęta - tutaj zawsze jest coś do zrobienia. Przez parę tygodni nie myślałam o Danie, aż do chwili gdy dowiedziałam się od Granii, że fatalnie się przewrócił i po wyjściu ze szpitala będzie potrzebował opieki.

- Proszę cię, Poppy - błagała mnie - przyjmij go! Choćby na dwa tygodnie, dopóki się nie zorientuję, co zrobić.

Wolny był tylko jeden obszerny narożny pokój. Zamierzałam stworzyć tam kącik muzyczny, teraz jednak przygotowałam go dla Dana. Przyjechał bardzo przygnębiony i nie okazywał najmniejszego zainteresowania spotkaniem z którymkolwiek z mieszkańców Wrzosów i Paproci. Jego donośny śmiech ucichł, a szeroka, rumiana twarz wydawała się drobniejsza i poszarzała. Ale nie mogłam mu poświęcić zbyt wiele uwagi, nie miałam czasu martwić się zmianami, jakie zaszły w tak niegdyś pogodnym ojcu przyjaciółki. Zaprzętało mnie zbyt wiele innych spraw.

Garry, wyraziciel wszelkich przeciwstawnych opinii, złożył protest w związku z tym, że Dan otrzymał największy pokój. Evc, która wszystkim się przejmowała, zawiadomiła mnie, że część nowych książek podarowanych naszej bibliotece zawiera prawdziwą twardą pornografię. Oliver, mój były mąż, wyznał, że po głębokim namyśle doszedł do wniosku, iż kobiety nie potrafią zrozumieć wolnego ducha, ale on chętnie wróci do mnie, by żyć w monogamicznym, indywidualnym związku. Moja siostra, wielce wytworna Jane, oświadczyła, że to oczywisty przejaw szaleństwa z mojej strony nie przyjąć go z powrotem. No, ale ja przecież nigdy w życiu nie podjęłam rozsądnej decyzji! **Zarząd** Wrzosów i Paproci zapowiedział, że jeden z członków zamierza spieniężyć swoje udziały i potrzebna będzie szczegółowa kontrola w celu ustalenia wartości domu.

Wysłałam Garry'ego do Dana, żeby sobie porozmawiali w cztery oczy. Wiedziałam, że Dan wyjaśni mu dobitnie, iż nie planuje pozostania tutaj, co uspokoi niezadowolonych.

Poszłam z Eve do biblioteki, by przyjrzeć się bliżej twardej pornografii, która okazała się kilkoma niewinnymi romansidłami. Napisałam do Olivera, że życzę mu powodzenia w **sferze** wnikliwych przemyśleń i duchowych podróży, lecz pojednanie nie wchodzi w rachubę. Przypomniałam mu uprzejmie o odgórnym zarządzeniach wykluczających jego wizytę w celu szerszego omówienia tej sprawy.

Poinformowałam zarząd, iż z największą chęcią złożę **ofer-**tę zakupu jednej czwartej udziałów we Wrzosach i Paprociach, gdy już zostanie dokonana wycena. Dodalam, że członkowie zarządu mogą obejrzeć dom w dowolnym czasie, jeśli nie zakłóca przy tym spokoju pensjonariuszy. Ujrzą prawdziwy obraz sytuacji. Mogłabym nadać całemu miejscu zapuszczony wygląd, żeby tanio nabyć udziały, ale nasz dom musiał wyglądać dobrze, bo inaczej straciłabym posadę kierowniczką.

Wszystko poszło jak z płatka. Dan i Garry zostali bliskimi przyjaciółmi. Eve założyła we Wrzosach i Paprociach grupę **fe-**ministyczną, by się przekonać, czy ktoś potrafi zrozumieć psy-

chikę mężczyzn, którzy są w zasadzie przyzwoici, tylko zdeorientowani.

Oliver wybrał się do mojej siostry, a później głądził i wyplakiwał się jej przy każdej okazji tak często i długo, że przestała mi powtarzać, jak idiotycznie postąpiłam, wyrzucając go z domu - przeciwnie, raczej pomijała milczeniem całą sprawę.

Członkowie zarządu przyjechali pewnego dnia w tajemnicy na inspekcję, kiedy byliśmy na wycieczce w lesie, oświadczyli, że są bardzo zadowoleni, i zażądali ode mnie kolosalnej sumy za dwadzieścia pięć procent udziałów w firmie.

Ale byłam na to przygotowana.

Wyjaśniłam, że zakup udziałów zapewni moją dalszą obecność we Wrzosach i Paprociach. Wyliczyłam wprowadzone ostatnio ulepszenia i napomknęłam o innych rozwojowych planach. Poprosiłam, by szczerze porozmawiali z mieszkańcami i zapytali ich, co sądzą o dalszym pobycie tutaj, jeśli ja odejdę. Przyznali posępnie, że ponieważ wniosłam już tak poważny wkład w całe przedsiębiorstwo, wymagania finansowe w stosunku do mnie zostaną znacznie obniżone.

- Działasz dość niekonwencjonalnie, Poppy - stwierdzili.
- Dopilnuj tylko, żeby Wrzosy i Paprocie zachowały licencję, żeby nic doszło do złamania przepisów.

Nie sądziłam, abyśmy złamali jakiś przepis. Hodowla kur nie naruszała zasad higieny, w bibliotece nie było pornografii. Coś mi jednak nie dawało spokoju.

Chodziło o ojca Granii.

Dan był jakby trochę za wesoly.

Postanowiłam mieć go na oku.

W żaden sposób nie mógł się wybrać do pubu. Najbliższy znajdował się w odległości sześciu kilometrów, a gdyby ktoś wezwał taksówkę, dowiedziałabym się o tym w dziesięć sekund. Mimo to odzyskał dawną dobrą formę i rumianą cerę.

Kiedy zdecydował się u nas zostać, pojechał najpierw do domu po swoje rzeczy.

Zaproponowaliśmy mu pomoc w urządzeniu się, lecz odmówił. Jeśli ma zachować odrobinę godności, musimy mu pozwolić samemu porozstawiać własne graty tam, gdzie chce.

Powiedział, że pomoże mu jego nowy przyjaciel Garry.

Jesteśmy głęboko przekonani, iż nasi pensjonariusze powinni mieć zapewnioną jak największą niezależność i godność, więc się oczywiście zgodziliśmy. Dalo się słyszeć stukanie młotkiem, lecz nie takie, by rozwalić ściany. Dan przywiózł stary kredens z lustrzanymi ściankami od tyłu, kilka rycin ze scenami myśliwskimi, tablicę ogłoszeniową, tarczę do gry w strzałki, którą powiesił na drzwiach od środka. Pod kilimami i aksamitnymi przykryciami rysowały się niewyraźne kształty mebli. Szafki, a może komody?

W jego obszernym pokoju z powodzeniem wystarczyło miejsca na to wszystko. Powiedział również, że zabrał parę składanych krzesel, na wypadek gdyby miał gości oraz dwa wysokie stolki, które służą mu jako stoliczki pod wazon z kwiatami. Zauważyłam, że kilka osób wpada do pokoju Dana na pół godziny przed lunchem, a potem znowu wieczorem.

Panie zaczęły się nieco lepiej ubierać. Częściej korzystały z usług odwiedzającej nas fryzjerki, zakładały nawet biżuterię i używały perfum. Panowie nosili czasami fulary i wcierali we włosy brylantynę.

Coś tu było na rzeczy.

Zajęło mi więcej czasu, niż powinno, zorientowanie się, że Dan urządził pub w swoim pokoju.

Miał dozowniki, które zamontował w kredensie. Przykryte kilimami meble zamieniały się w barową ladę. Z wysokich stolców zdejmowano wazon, przy małych stolikach ustawiano krzesła.

Eve zamawiała wytrawne martini, inne panie po maleńkiej szklaneczce sherry, mężczyźni zaś popijali głównie piwo nalewane z metalowej beczki, przemyślnie zakamuflowanej w innych porach jako ogromny stojak na czasopisma.

Jak to odkryłam?

Podpatrując ich.

A to, co zobaczyłam, sprawiało bardzo radosne wrażenie. Moi podopieczni nigdy się nie upijali i nikomu nie wyrządzało to najmniejszej szkody. Lecz, oczywiście, naruszali prawo. Nie wolno sprzedawać napojów alkoholowych bez koncesji. W żadnym miejscu. Z pewnością nie w domu spokojnej starości, gdzie obowiązują liczne reguły i przepisy, a żadne z nich nie zezwalają pensjonariuszom na prowadzenie płatnego baru.

Z drugiej strony jednak, oni tak bardzo się tym cieszyli. Szkoda byłoby kłaść temu kres. Postanowiłam zatem nie wiedzieć o niczym.

Dlatego ilekroć ktoś z personelu zaczynał mówić, że może powinnam się dowiedzieć o pewnej sprawie, wymigiwałam się od słuchania. Bóg jeden wie, na co jeszcze mogłam nieumyślnie przymknąć oko! W każdym razie członkowie zarządu nadal składali wizyty, ale zawsze udawało mi się zawiadomić wcześniej Dana o dniu ich przyjazdu, gdyż czasami odwiedzali pensjonariuszy w pokojach, by zapytać o zdrowie, i wołałam, żeby się nie zjawiali w trakcie popołudniowych koktajli. Wreszcie druga osoba sprzedała swoje udziały i zostałam właścicielką połowy domu.

Moja siostra Jane okropnie się dąsała i wcale nie była zadowolona, gdy jej o tym powiedziałam. Chciałam ją zaprosić na obiad dla uczczenia mojej decyzji, ale Jane tylko wzruszała ramionami i powtarzała, jakie to dziwne, że pielęgniarka szkolona w państwowych instytucjach zaszła tak daleko. Byłam zbyt zajęta, żeby się tym przejmować. Musiałam się upewnić, czy nie wyznaczam lekcji malowania w godzinach kolidujących z porami otwarcia u Dana, a w dniu naszej wystawy obrazów wiele osób wstąpiło do niego lyknać sobie dla kurażu.

Nazajutrz wybrałam się do lasu na samotny spacer, jedynie z psem. Dojrzałek przepadał za lasem i ciągle znajdował coś interesującego. Dotarliśmy w pobliże studni, więc tam zajął się.

Otaczały ją karteczki z uwagami dotyczącymi planowanej drogi.

„Nie pozwolimy im Cię zabrać, święta Anno” - głosiła jedna z nich. Inna, do której dołączono ołówek, zawierała prośbę, by osoby przeciwne budowie autostrady dopisały się do poniższej listy. Miałam zamiar wpisać tam swoje nazwisko. Większość mieszkańców naszego domu nie zgadzała się na tę obwodnicę. Zastanowiłam się jednak, czy rozładowanie ciągłych korków nie oznaczałoby dla niektórych pensjonariuszy większej liczby gości?

I wtedy właśnie zaczął dzwonić mój telefon komórkowy. Wokół rozległy się westchnienia, jakby ludzie chcieli przez to wyrazić opinię, że w dzisiejszych czasach nie uszanuje się żadnego świętego miejsca.

Dzwoniono z Wrzosów i Paproci. Trzech inspektorów z działu ochrony zdrowia przyjechało bez uprzedzenia.

Musiałam szybko coś wymyślić. Popatrzyłam na figurę, szukając rady.

- No, święta Anno, w kwestii zamążpójścia niewiele dla mnie zrobiłaś - powiedziałam. - Teraz pomóż mi wybrnąć z tej sytuacji. - **1** poprosiłam o połączenie z pokojem Dana.

- Pan Green? - zapytałam najbardziej autorytatywnym tonem, jaki zdołałam z siebie wykrzesać. - Panie Green, nastąpiła drobna zmiana planów. Nie będę mogła spotkać się z wami, by omówić wasze prace artystyczne, jak uzgadnialiśmy. Uprzejmie proszę, aby wszyscy mieszkańcy udali się zaraz do jadalni. Widzi pan, przyjechali inspektorzy z ochrony zdrowia, a mnie nie ma na terenie ośrodka. Wrócę niebawem i chciałabym ich oprowadzić. Doznałabym wielkiej ulgi, gdybym mogła być pewna, że wszyscy idą już na lunch. Uprzątnąwszy, oczywiście, „dzieła”, jeśli pan wie, co mam na myśli. Bardzo dziękuję za pomoc, panie Green. - Rozłączyłam się.

Wiedziałam, że Dan to zrobi. Popędziliśmy z Dojrzałkiem do samochodu, a potem pomknęliśmy niczym wicher do Wrzosów i Paproci. Inspektorzy siedzieli w holu przy kawie i kruchych ciasteczkach. Oglądali wystawę miejscowej flory w oszklonych gablotkach. Czytali ogłoszenia o **najbliższych**

pokazach kulinarnych, popołudniowym seansie „BriefEncounter”, ulubionego programu, oraz o debacie na temat nowej obwodnicy.

Przeprosiłam za swoją nieobecność i zaproponowałam przechadzkę po terenie ośrodka. Prowadząc inspektorów przez parter, zauważyłam rozchichotaną klientelę pubu, zmierzającą gęsiego do jadalni. Nawet śmiałe podlotki z lat dwudziestych, popijające nielegalnie pędzony gin w czasach prohibicji, nie bawiły się tak wyśmienicie.

Teraz musiałam tylko zadbać, żeby Dan się nie zdradził, że wie, co zrobiłam, jak ocaliłam jego skromny pub i swój dom.

- Dzień dobry, Poppy - powitał mnie radośnie, po czym ukłonił się inspektorom z ochrony zdrowia. - Fantastyczne miejsce, lecz, mój Boże, ta kobieta ma hysia na punkcie ładu i porządku, musimy przestrzegać wszelkich możliwych przepisów. Przeciwożarowych, higienicznych, nie uwierzylibyście państwo. Ale wszystkim nam się tu podoba, co przecież wiele znaczy.

Inspektorzy byli pod wrażeniem. Chichoczące damy udały się na lunch. A ja wiedziałam, że możemy tak funkcjonować bez końca.

Część 2 — Wytworna Jane

Kiedy byłam małą, mówiono o mnie, że jestem perfekcjonistką. Właściwie podobało mi się to określenie, bo oznaczało, że dążę do doskonałości, a to prawda. Ale gdy dorosłam, już tego nie słyszałam. Może ludzie uważali, że to to samo co wybredna, grymaśna, trudno jej dogodzić.

I w końcu - stara panna.

Nikt nigdy nie nazwał Poppy perfekcjonistką. O, nie. Zawsze miała zadrapania albo strupy na kolanach, potargane włosy, a ubrania podarte podczas łażenia po drzewach albo zjeżdżania z różnych miejsc. Mimo to, rzecz dziwna, ludzie zawsze lubili Poppy. Przesadnie, prawdę mówiąc.

Nasz dom pelen był jej koleżanek, a ta halaśliwa, rozwrzeszczana Grania prawie od nas nie wychodziła, Boże, ratuj. No i całe tłumy innych. Tak samo rzecz się miała z chłopcami, gdy nadszedł czas - a nadszedł bardzo prędko - że przychodzili do niej tuzinami. Po ukończeniu szkoły Świętej Ity w Rossmore mogła pójść na studia, jak ja. Uzyskałam wyższe wykształcenie i zostałam bibliotekarką, ale Poppy, która zawsze wiedziała, czego chce, uparła się przy pielęgniarstwie.

Rodzice zapewne odetchnęli z ulgą, że nie poniosą żadnych kosztów, no, ale po co pracowali i oszczędzali, jeśli nie po to, by zapewnić nam wykształcenie? Poppy przywoziła do domu mrozące krew w żyłach opowieści o życiu na oddziale. Naprawdę, co ona musiała robić przez cały dzień! A to, że mojej szalonej siostrze powierzano ludzkie życie, było dla mnie nie do pojęcia.

Kiedy zdobyła dyplom (wbrew wszelkim oczekiwaniom; muszę przyznać, że nic przypuszczałam, iż jej się to uda), zaczęła pracować na oddziale dla starszych ludzi, przeważnie stukniętych, nieboraków bredzących od rzeczy. Poppy uważała, że są fascynujący i przezabawni. Można by przysiąc, iż ma do czynienia z Einsteinem i Peterem Ustinovem, a nie z gromadą kompletnie rozkojarzonych staruszków, którzy nie bardzo wiedzieli, jaki jest dzień.

W niekończącym się szeregu młodych mężczyzn szukających towarzystwa Poppy znalazł się jeden o imieniu Oliver. Jego rodzina posiadała liczne nieruchomości w całym Rossmore. Był bardzo, ale to bardzo przystojny, trochę kobieciarz, jak przypuszczałam. Właściwie nie pracował, bo tak naprawdę nie musiał. A jego krewni byli rozdarci między poczuciem ulgi, że wreszcie się usatkuje, a z troskaniem, iż wybrał pielęgniarzkę o imieniu Poppy, pochodzącą z ubogiego domu. Ostrzegłam Poppy, że on może nie być tak całkowicie i do końca wiernym mężem, na co odparła, że w życiu nieustannie podejmuje się ryzyko i jej także może kiedyś spodobać się ktoś inny, więc ślub to po prostu optymistyczny krok naprzód.

Ja widziałam małżeństwo inaczej. Wydawało mi się czymś, co wymaga głębokiego zastanowienia i upewnienia się, czy to słuszna decyzja. Dziwne, ale nigdy właściwie nie skłaniałam się na serio do tego, by rozważyć poślubienie kogokolwiek, jeśli nic liczyć Keitha, który również był bibliotekarzem i naprawdę pasowaliśmy do siebie, lecz zaszło między nami wielkie nieporozumienie. Nie wiem, co się stało.

Zaczelśmy rozmawiać o zaręczynach i wspomniałam o pierścionku z małym, prostokątnym szmaragdem, który sobie upatrzyłam. Nic był szczególnie drogi ani nic takiego, ale Keith wydawał się poirytowany faktem, że już ten pierścionek wybrałam i przymierzyłam. A kiedy powiedziałam, że musimy mieć w domu garderobę, ponieważ inaczej nasze ubrania będą się niewyobrażalnie gniotły, poczuł... cóż, nie wiem, co właściwie poczuł. Oznajmił, że potrzebuje więcej czasu, po czym jakoś zniknął z horyzontu.

Wesele Olivera i Poppy wyglądało tak, jak należało tego oczekiwać. Chaos, dezorganizacja, wszyscy się śmieją. Mnóstwo szampana i małych kanapeczek z kurczakiem. No i tort weselny. To wszystko. Nie było mowy o odpowiednim przyjęciu z wizytówkami przy nakryciach i w ogóle.

Rodzice dobrze się bawili. Ja nie.

Ta hałaśliwa Grania rżała bez przerwy i przyprowadziła swojego okropnego ojca o czerwonej twarzy. Nasi rodzice powiedzieli, że Poppy nigdy w życiu nie sprawiła nikomu najmniejszego kłopotu.

Pomyślałam, że to pyszny dowcip.

Poppy? Nie sprawiła kłopotu?

A jakie ja sprawiałam kłopoty, chciałabym zapytać? Miałam własne mieszkanie i odwiedzałam rodziców. Nie aż tak często, jak lubią, ale wystarczająco. W każdym razie od czasu do czasu. Poppy i Oliver zamieszkali we wspaniałym domu, a przynajmniej taki się wydawał w porównaniu z moim ciasnym mieszkaniem, lecz był beznadziejnie zaniedbany, bo Poppy nic, tylko harowała na oddziale geriatrycznym.

Powiem szczerze, że gdybym to ja wyszła za Olivera z jego pieniędzmi, zostałabym w domu, zrobiła w nim porządki i zapraszała gości. Może wtedy mój mąż mniej by się włóczył po lokalach.

O jego eskapadach dowiedziałam się dość wcześnie. Zobaczyłam go w winiarni, przytulającego jakąś dziewczynę. Naturalnie on również mnie dostrzegł i odsunął się od niej. Podszedł do mnie, roztaczając cały swój urok.

- Obydwoje jesteście dorośli, Jane - zaczął.

- Istotnie, Oliverze. - Mój głos brzmiał lodowato.

- Osoby dorosłe nic opowiadają w domu niemądrych historyjek, prawda?

- Chyba że widzą innych dorosłych, robiących niemądre rzeczy w winiarniach - odparłam, dumna z siebie.

Patrzył na mnie przez chwilę.

- Ostatecznie to twoja sprawa, Jane - oświadczył i wrócił do dziewczyny.

Uregulowałam rachunek i wyszłam.

Koniec końców nie powiedziałam o niczym Poppy.

Próbowałam ją ostrzec, zanim za niego wyszła, lecz zbyła mnie wzruszeniem ramion. Więc niech się sama przekona.

Przekonała się mniej więcej pół roku później, gdy nieoczekiwanie wróciła do domu, otworzyła drzwi sypialni i ujrzała Olivera z jego dawną sympatią w trakcie nostalgicznego odświeżania wspomnień. Poprosiła go, żeby się wyniósł. Jeszcze tego samego dnia.

Oczywiście narobił szumu.

Powiedział jej, że jest doktrynerką - którą rzeczywiście pod wieloma względami była. Nie życzyła sobie żadnych wyjaśnień, usprawiedliwień, obietnic nienagannego zachowania w przyszłości. Poinformowała go, że chce tylko zatrzymać dom, nie żąda alimentów, co jest dla niego korzystnym rozwiązaniem, i sam to zrozumie, kiedy porozmawia na ten temat z adwokatami i swoimi rozwiedzionymi kolegami.

A potem, jakby jej nie wystarczyła ta jedna wielka strata, Poppy rzuciła swoją nudną, lecz pewną pracę w szpitalu i poszła do zwariowanego domu dla emerytów, który nazywał się „Wrzosa i Paprocie”.

Swoją drogą co za nazwa! Lecz Poppy, jak to ona, oświadczyła, że jej się podoba. Lepsze to, powiedziała, niż święty taki czy siaki, co się często zdarza, gdy chodzi o tego typu placówki, a tutaj mieszkańcy przynajmniej nic odnoszą wrażenia, że wypycha się ich przedwcześnie na tamten świat. Niektórym z tych instytucji nadawano niemilosiernie radosne miana, więc Poppy była zadowolona z Wrzosów i Paproci i nieustannie pełzała na czworakach, sadząc jedno i drugie, by uzasadnić tę niedorzeczną nazwę.

Poppy naprawdę wymykała się wszelkim regułom.

Na przekór wszystkiemu ten przeklęty dom opieki odniósł wielki sukces i dowiedziałam się od mamy, że Poppy jest właścicielką dużej części udziałów. Rodzice postanowili przenieść się tam na starość i poradziła im, żeby zrobili to odpowiednio wcześniej, póki mają dość energii na różne wspaniałe inicjatywy, jakie podejmują mieszkańcy.

Ja sama nie znosiłam tam jeździć.

Jeździłam, oczywiście, od czasu do czasu w geście solidarności, ale widok pergaminowej skóry tych staruszków i myśl o ich turniejach pingpongowych wytrącały mnie z równowagi.

Czasami Poppy odzywała się idiotycznym tonem jedenastoletniej dziewczynki: "Właściwie co ty robisz takiego ekscytującego, Jane, co mogłoby się równać ze wszystkim tutaj?". Rzecz jasna, na takie pytanie nikt nie potrafi odpowiedzieć.

Rodzice powiedzieli, że Poppy nic nie powstrzyma. Nie wiem dlaczego, ale oświadczyli to z odcieniem podziwu.

Wielu spośród tych stukniętych staruszków bardzo się przejmowało planowaną obwodnicą Rossmore. Niektórzy popierali budowę, mówiąc, że to ułatwi im niezbyt częste wyjazdy do miasta. Łatwiej będzie przechodzić na drugą stronę jezdni, kie-

dy ruch w centrum się zmniejszy. Inni byli przeciw i uważali, że krewni zaczną omijać dom, pędząc naprzód, i przestaną ich w ogóle odwiedzać. Poppy organizowała debaty nad tą kwestią, a potem wozila dyskutantów do Rossmore, gdzie protestowali po dwóch różnych stronach. Czy to nie szaleństwo? Nawet Oliver, odwiedzając mnie od czasu do czasu, powtarzał, że ona jest cholernym cudem natury.

Zaczęłam trzymać w lodówce duże soczyste oliwki i plasterki salami na wpadek wizyty Olivera. I zawsze ubierałam się starannie, więc nigdy nie zobaczył mnie w charakterze niechlujnej **flądry**. Biedna Poppy często wyglądała tak, jakby przez cały dzień ciężko pracowała fizycznie... co w pewnym sensie robiła na tych swoich oddziałach. Zanim przeniosła się do domu opieki. A ja lubiłam odwiedziny Olivera, nie powiem, że nie.

Oczywiście poszliśmy do łóżka. No bo Oliver jest tego typu mężczyzną. No i nie traktowałam tej sprawy poważnie. W końcu byłam jego szwagierką czy eks-szwagierką, ściśle rzecz biorąc. I nie widziałam w nim materiału na męża. Nic, jeśli święta Anna zamierzała wysłuchiwać moich modlitw, nie przypuszczam, by wybrała dla mnie byłego małżonka Poppy.

Dość często o niej mówił, co było irytujące. Oznajmiłam mu kiedyś, że wyczerpaliśmy już w rozmowach temat Poppy, na co zrobił zdziwioną minę. Zawsze chciał się dowiedzieć, czy ona się z kimś spotyka, ja zaś mówiłam: „znasz Poppy, spotyka się ze wszystkimi, czyli z nikim”. To dziwiło go jeszcze bardziej i wreszcie spytał, czy nie ciekawi jej, co u niego słychać.

Prawdę rzekłszy, kiedy wspomniałam o Oliverze, Poppy uniosła oczy ku niebu i westchnęła. Ale nie poinformowałam go o tym. Zdawał się sądzić, że jesteśmy sobie znacznie bliższe, niż byłyśmy w rzeczywistości, i wypytywał o ciekawostki z naszych dziewczęcych lat. Jakbym je pamiętała!

Postanowiłam pojechać do tych idiotycznych Wrzosów i Paproci i zobaczyć się z Poppy, no cóż, żebym później mogła coś o niej opowiedzieć Oliverowi. Chciałam, aby myślał, że łączy nas silna więź uczuciowa, choć w istocie tak nie jest.

Pierwsze, co zobaczyłam po przybyciu na miejsce, był wypięty tyłek Poppy, która rozkopywała jakąś dziurę w ziemi. Obok stała gromada starych próchen, a wśród nich ni mniej, ni więcej, tylko ojciec tej hałaśliwej Granii, czerwonolicy Dan. Co on tu robił? Wszyscy zaśmiewali się z czegoś histerycznie. Kiedy padł na nich mój cień, ucichli.

- Przecież to Wytworna Jane! - wykrzyknął Dan, a pozostali spojrzeli na mnie bez wielkiego zachwytu. Poppy wynurzyła się z dziury. Miała brudne ręce i smugi ziemi na twarzy.

- O, cześć, Jane. Stało się coś złego? - spytała.

Jakby musiało stać się coś złego, żebym odwiedziła swoją jedyną siostrę.

- Czemu coś by miało się stać? - warknęłam.

Wszyscy starszuskowie zrozumieli, a Dan lepiej niż inni.

- Zapnijcie pasy - powiedział. Parsknęli śmiechem.

- Odpał petardę i cofnij się! - dorzucił któryś z dziadków, prawie bezzębny. Sam musiał się wycofać z życia ze trzydzięści lat temu.

Nienawidziłam ich za to, że dostrzegli chłód między nami i wiedzieli, skąd się bierze. Nienawidziłam Poppy, ponieważ pozwoliła, by go dostrzegli.

- No dobra, moi drodzy, muszę was na chwilę zostawić. Proszę, nie zbliżajcie się do tej dziury, na miłość boską, nie chcę was stamtąd wyciągać z połamanymi biodrami - rozkazała Poppy i zaprowadziła mnie do swojego małego domku na terenie ośrodka. Umyła ręce, nalala mi kieliszek sherry i usiadła, by ze mną porozmawiać.

- Nadal masz ślady błota na twarzy - zauważyłam.

Całkowicie zlekceważyła moje spostrzeżenie.

- Czy coś się stało tacie? - zapytała.

- Oczywiście, że nie, dlaczego miałoby mu się coś stać?

- W zeszłym tygodniu podskoczyło mu ciśnienie - odparła.

- Skąd o tym wiesz, u licha?

- Mierzę je raz na tydzień, jak do nich wpadam, bo mam pół dnia wolnego - wyjaśniła.

Poppy odwiedza rodziców co tydzień, kiedy ma wolne? Nie-slychane!

- No więc, o co chodzi? - spytała, zerkając tęsknie w stronę ogrodu, gdzie wolałaby teraz być, zamiast rozmawiać tutaj ze swoją jedyną siostrą.

- Widziałam się z Oliverem - zaczęłam.

- Z Oliverem? - Sprawiała wrażenie zdeorientowanej.

- Tak, z twoim mężem. Mężczyzną, za którego wysłaś.

- A l e już nie jestem jego żoną, Jane - powiedziała Poppy takim tonem, jakby zwracała się do kogoś opóźnionego w rozwoju. Do tych starych grzybów na zewnątrz mówiła zupełnie inaczej, jak do równych sobie.

- Nie jesteś, lecz on zadawał różne pytania dotyczące ciebie - odparłam, zachodząc w głowę, jakim sposobem sprawy aż tak wymknęły się spod kontroli.

- Na przykład?

Zupełnie jej to nie interesowało. Żalowałam bardzo, że przyjechałam.

- Och, nie wiem. Różne. Czy byłaś wysportowana w szkole, jak obchodziliśmy w domu twoje urodziny.

- Oliver chce to wiedzieć? Rany, musi mieć większego bzika, niż nam się wydawało — zauważyła pogodnie Poppy, wyglądając przez okno, jakby nie mogła się doczekać powrotu do swoich wykopków.

- Nic sędzę, aby miał bzika, uważam go za najzupełniej normalnego. Naprawdę wierzę, że chciał, aby wam się udało, no wiesz, kiedy byliście małżeństwem.

- A l e ż oczywiście, właśnie dlatego sprowadził swoją dawną dziewczynę do mojego łóżka - odpowiedziała Poppy rzeczowym tonem.

- To było także jego łóżko - wyrwało mi się idiotycznie.

- Ach tak, więc wszystko w porządku - podsumowała.

Zapanowało między nami milczenie. Spróbowałam wypełnić tę pustkę. Chciałam okazać jakieś zainteresowanie tym zwariowanym miejscem, w którym pracowała moja siostra.

- Po co kopiesz ten dół?

- To zbiorowa mogiła, tańsza niż urządzenie pogrzebów
- odparła Poppy.

Na moment jej uwierzyłam. No bo w bibliotece nie robimy sobie takich głupich żartów.

- Przepraszam cię, to pod ogromną palmę. Przywiozą ją po południu i chcieliśmy przygotować dla niej miejsce.

- W takim razie nie zamierzam cię zatrzymywać. - Wstałam urażona.

- Zaczekaj, dopij swoją sherry.

Siedziała sobie spokojnie, potargana i nieporządna. Sączyłam sherry w milczeniu.

Poppy dwukrotnie zrobiła taką minę, jakby miała mi coś wyznać, ale powstrzymała się w ostatniej chwili.

- No, mów - zażądałam wreszcie.

- Dobrze, a zatem po pierwsze, Oliver nie budzi we mnie ani krzty sentymentu, więc jeśli tobie się podoba, możesz się nie krępować. Nikomu nie nadepniesz na odcisk. Po drugie jednak, on jest naprawdę bardzo nudny, natarczywy i nudny. Sama się przekonasz. Jest zamożny i przystojny, owszem, ale na dłuższą metę to nie takie istotne. Bogaci często mają węża w kieszeni, a przystojni bywają próżni. Dręczy cię poczucie winy, ponieważ go zachęcałaś. On natomiast nie ma najmniejszego zamiaru dochować wierności. Mówiłaś mi o tym przed laty, ale ci nie uwierzyłam. Dlaczego więc ty miałabyś mnie teraz posłuchać?

Poppy siedziała przede mną, pewna siebie, ubrudzona ziemią, z kieliszkiem w dłoni, a za oknem tłum zbzikowanych starszaków czekał na nią, żeby kontynuować kopanie dołu.

- To jest lepsze? - spytałam, wskazując ruchem głowy pensjonariuszy, ogród i całą resztę.

- Bez porównania - odparła.

I wtedy sobie uświadomiłam, że nigdy jej nie rozumiałam i nigdy nic zrozumiem. Moje próby zbliżenia się do niej i nawiązania przyjaźni, wprowadzie nieco zbyt późno, zostały odrzucone.

Wsiadając do samochodu, usłyszałam radosne okrzyki na powitanie Poppy. Cóż, przecież tego właśnie pragnęła. I sama zapaliła mi zielone światło.

Wstąpiłam do fryzjera, a potem kupiłam wędzonego lososia - na wypadek wizyty Clivera.

Nie przyszedł. Ale zjawił się następnego wieczoru.

Nigdy nie przynosił prezentów i rzeczywiście dość często przeglądał się w lustrze. Zawsze przesiadywał u mnie trochę za długo, a przecież musiałam wstać wcześniej do pracy. Czasami zostawał na noc, co również wprowadzało pewien zamęt.

Nigdy nie zaproponował, żebyśmy gdzieś poszli. No i rzeczywiście potrafił być natarczywy. Ale nie byliśmy małżeństwem, więc nie mogłam się z nim rozwieść ani uzyskać sądowego zakazu zbliżania się do mnie. Choć czasami dochodziłam do wniosku, że coś takiego by mi się przydało. Miałabym chwilę spokoju.

Bardzo rzadko słyszałam śmiech w bibliotece czy u siebie w mieszkaniu. Dni często się dłużyły. Inaczej niż we Wrzosach i Paprociach, tym domu wariatów, gdzie wszyscy przez cały dzień byli zajęci i nieustannie się zaśmiewali.

Czy to możliwe, że moja siostra miała rację? Poppy, która nigdy nie dbała o cerę, nigdy nie odwiedziła fryzjera, a jej garderoba to kpina, czysta kpina. Przecież Poppy z pewnością nic wiedziała, na czym polega tajemnica życia. Czegoś tak niesprawiedliwego nie można opisać żadnymi słowami.



Klientka z godziny jedenastej

Część 1 - Pandora

Mam nadzieję, że dzisiaj w salonie będzie duży ruch. Czas między jedną a drugą klientką potrafi wlec się w nieskończoność. A ja nie chciałam w wolnych chwilach przypominać sobie rozmowy przy śniadaniu.

Przyszłam do pracy o ósmej czterdzieści pięć, jak zwykle. Fabian, który stał się legendą nie tylko w Rossmore, lecz także w czterech sąsiednich hrabstwach, zwykł przeprowadzać tak zwaną kontrolę prezencji przed otwarciem drzwi salonu. Jego byt, jak mówi, zależy od wyglądu personelu. Brudne paznokcie czy znoszone buty są absolutnie wykluczone i wszystkie musimy mieć doskonale fryzury. Uprzedzono nas o tym na samym początku. Fabian wymagał zawsze lśniących, wypielęgnowanych włosów i sam wykonywał na nich drobne zabiegi. Była to jedna z zalet tej pracy.

Oddawałyśmy stroje służbowe do prania na miejscu, dzięki czemu zawsze wyglądały świeżo jak spod igły. Swoją drogą śmieszne porównanie. Dlaczego spod igły? Fabian nalegał, żebyśmy się ciągle uśmiechały i okazywały zadowolenie na widok klientek. Dla ponuraków nie było miejsca w salonie. Zmartwienia należało zostawiać za drzwiami. Bez wyjątków.

Fabian wyjaśnił, że może wyznaczać takie wysokie ceny za swoje usługi tylko wtedy, jeżeli klienci będą odnosić wrażenie,

że znaleźli się w wyjątkowym miejscu. Żadna z zatrudnionych tu osób nie mogła mieć kaca, bólu głowy, trudnych dzieci ani kłopotów sercowych.

Nierealne, można rzec. I Fabian się z tym zgadzał.

Tłumaczył jednak, że wizyta w drogim salonie fryzjerskim jest dla klientek czymś w rodzaju ucieczki od rzeczywistości i nie chcą wtedy słyszeć o nudnym albo pełnym zmartwień życiu zwyczajnych ludzi. Dlatego nie wolno było wspominać o ruchu na drodze, chorobach czy napadach rabunkowych. Rozpylaliśmy w salonie luksusowe perfumy tuż przed otwarciem i kilka razy w ciągu dnia. To nadawało ton. Czar, spokój, elegancja - pałac, w którym mógł ulec przemianie każdy, kto wszedł do środka i zapłacił grube pieniądze.

Napiwki również były wysokie, a po kilku latach u Fabiana mogło się znaleźć pracę wszędzie, gdzie się chciało. Zwykle jednak otwierało się własny zakład. Na wieść, że do niedawna zatrudniał cię Fabian, klienci zaczęli ściągać ze wszystkich stron.

Ale moja sytuacja nie pozwalała na otwarcie salonu. Kiedyś myślałam, że to możliwe — a Ian popierał mnie w pełni i zapewniał, że mam zadatki na menedżera.

Po dzisiejszym śniadaniu wszystko się zmieniło.

Przestań, Pandora. Uśmiechnij się. Pokaż zęby, otwórz oczy, zaraz znajdziesz się na widoku.

Pandora to moje salonowe imię i tak o sobie myślę w godzinach pracy. W domu jestem Vi. Nie myśl o domu. Uśmiechnij się, Pandora, dzień się zaczyna.

Klientka umówiona na dziewiątą przemknęła przez drzwi niczym chart wyścigowy. Zjawiała się niezawodnie w każdy czwartek, z telefonem komórkowym niemal przyrośniętym do ucha. Fabian przestrzegał surowych zasad, jeśli chodzi o komórki. Zezwalał wyłącznie na wibracje sygnalizujące, że ktoś poszukuje danej osoby. Żadnych dzwonek, które przeszkadzałyby innym klientkom.

Uśmiech zastyl jak przyklejony na mojej twarzy. Klientka wygłaszała wartki monolog, życzyła sobie przytakiwania, ki-

wania głową i przyznawania racji, wszystko w odpowiednich miejscach.

Nie mogłam pozwolić myślom błądzić, nie podążyły zatem ku lanowi i jego wykrętnym tłumaczeniom, gdzie spędził minioną noc.

Klientka z godziny dziewiątej zawsze się zżymała z powodu czegoś, co ją spotkało w pracy. Jakiś dureń zrobił to, jakiś idiota nie zrobił tamtego, jakiś cholerny kurier się spóźnił, jakiś cholerny sponsor przyszedł za wcześnie. Rossmore było zapadłą dziurą i głuchą prowincją. Natomiast z mojej strony wystarczyło głębokie współczucie, litania kojących mruknięć - i szybkie tempo. Dama z godziny dziewiątej musiała wybiec z salonu i machać z krzykiem na taksówkę przed dziewiątą czterdzieści pięć.

Klientka z dziewiątej trzydzieści siedziała z umytą głową, pograżona w lekturze artykułu o księżnej Dianie.

- To bardzo przykre, że nie dają jej spoczywać w spokoju - powiedziała. - Macie może coś jeszcze na jej temat, co mogłabym przeczytać?

Ona również przychodziła regularnie, wypróbowując co tydzień nową fryzurę w poszukiwaniu takiej, która będzie idealna na wesele córki, przewidywane jako huczna i wspañiała impreza. Dama z dziewiątej trzydzieści nie została zaproszona do udziału w przygotowaniach. Wynajęto firmę organizującą przyjęcia weselne. Nigdy nic nie zraniło owej kobiety równie boleśnie. Jedyna córka odwróciła się do niej plecami przed tym najważniejszym dniem w życiu. Tutaj również niezbędne były liczne słowa pociechy. Przekonujące zapewnienia, że to raczej uprzejmość ze strony córki niż odtrącenie. Bezsensowne frazesy, jak to ma dzięki temu znacznie więcej czasu, by skupić się na swojej fryzurze, stroju i czerpaniu przyjemności z tego dnia. Ona jednak pragnęła znaleźć się w centrum wydarzeń, robić zamieszanie, rządzić się i doprowadzać wszystkich do szalu.

- N i e wychodź za mąż, Pandoro - ostrzegła mnie, zanim opuściła salon. - Nie warto, uwierz mi, dobrze to wiem.

Wielokrotnie odpowiadałam na jej nieuważne pytania, że już mam męża. Ale nie pamiętała, a jak mówił Fabian, nie możemy oczekiwać, że klientki zapamiętają cokolwiek, co nas dotyczy. Gdy tu wchodzi, same stają pośrodku sceny. My zaś jesteśmy tylko zestawem zadbanych, czarujących robotów. Z pewnością nie był to stosowny moment, by poinformować tę damę, że trafiła w dziesiątkę, jeśli chodzi o małżeństwo. Sądząc po tym, jak przebiegał dzisiejszy ranek, naprawdę nie było warto.

Klientka z dziesiątej, która pochodziła spoza Rossmore, przeczytała pochlebną notatkę o Fabianie w jakimś czasopiśmie. Przyjechała do miasta po ozdobne tkaniny, a przy okazji postanowiła wybrać się do fryzjera. Nie, dziękuję, żadnych nowych pomysłów; ona wie, co jej odpowiada, podobnie jak z góry wie, jakich tkanin szuka. Nuda i monotonia jej życia zaczęła ogarniać i mnie. Pomyślałam sobie, że jeśli nawet w moim związku z lanem nastąpiły burzliwe i niespokojne chwile, może to i lepsze niż śmierć za życia, jaka stała się udziałem damy z godziny dziesiątej.

Na dziesiątą trzydzieści umówiła się ze mną modelka. A właściwie fotomodelka, prezentująca bieliznę w katalogu, ale przedstawiała się jako modelka. Była całkiem sympatyczna, przychodziła co sześć tygodni ufarbować odrosty.

- Trochę mizernie dzisiaj wyglądasz - zauważyła.

Powinłam się zapewne ucieszyć, że w ogóle mnie dostrzegła, w przeciwieństwie do większości z nich. Ale zostać dostrzeżoną i określoną słowem „mizerna” nie stanowiło powodu do radości. Było to śmieszne określenie, używane przez bohaterów angielskich oper mydlanych w stosunku do osoby umierającej albo w ciąży, albo porzuconej przez partnera.

„Mizernie”.

Niezbyt korzystna ocena. Miałam nadzieję, że Fabian tego nie usłyszał. Uśmiechnęłam się jeszcze promienniejsze, żeby rozproszyć nieciekawe, tchnące martwością fluidy, jakie zapewne wydzielalam.

- Wiem, wiem. Sama muszę się tak uśmiechać co wieczór - powiedziała ze współczuciem. - Czasami mam ochotę długo i głośno wrzeszczeć, a właśnie wtedy każą mi się uśmiechać bez przerwy.

Sprawiała wrażenie bardzo życzliwej, zainteresowanej i przejętej. Na pewno świetnie wykonuje swój zawód i budzi zaufanie wśród koleżanek - idę o zakład, że w pracy wszystkie się jej zwierniają, ponieważ zachowuje się tak, jakby obchodził ją los innych. Zerknęłam na boki, sprawdzając, czy nie ma w pobliżu Fabiana. Obowiązuje nas ścisły zakaz obarczania klientek osobistymi problemami.

- Chodzi o mojego męża. Chyba spotyka się z inną kobietą.

- Nawet na pewno - mruknęła, obrysowując usta konturówką.

- Co takiego? - wykrzyknęłam.

- Skarbie, pracuję w miejscu co wieczór napchany do wypełku mężami gapiącymi się na katalogi. Tacy już są mężowie. To żaden problem, póki sama go nie stworzysz.

- Co pani przez to rozumie?

- Słuchaj, wiem swoje. Lubią oglądać obrazki i podrywać panienki. Nie chcą porzucać żon. Nie żalują, że się ożenili, po prostu nie mogą znieść myśli, że wszystko się skończyło i omija ich dostęp do szerszej oferty. Czasami im się wydaje, że zostali zaszufładowani pod hasłem: „żonaty”. Odsyłacz do: „nudziarz”. Rozsądna żona w ogóle się czymś takim nie przejmuje; problem w tym, że większość wszczyna bezsensowne zamieszanie i w efekcie sama wszystko psuje.

Popatrzyłam na nią ze zdumieniem. Skąd nabrała takiej mądrości? Kobieta, która jako modelka nosiła imię Katerina, w domu pewnie nazywała się Vi, podobnie jak ja.

- To znaczy, że trzeba pogodzić się z oszukiwaniem i zdradą i udawać, że ich nie ma? Poważnie pani tak myśli? - spytałam.

- Tak, w pewnym sensie, a przynajmniej przez pewien czas,

póki się nie okaże czarno na białym, że to prawda. A nawet wtedy musisz rozstrzygnąć, czy mały skok w bok oznacza koniec świata. Wkrótce może po nim pozostać tylko niejasne wspomnienie.

- Ale przypuśćmy, że to nie jest po prostu mały skok w bok. Przypuśćmy, że on naprawdę kocha ją, a nie mnie. Co wtedy?

- No cóż, wtedy odchodzi - odparła Katerina. - I już nic nie można zrobić. W tej chwili najgorszym wyjściem byłoby wszczywanie awantur. Rozumiesz?

Wyraz jej twarzy wskazywał, że zamknęła temat, więc ponownie włączyłam autopilota, splukałam jej włosy i wymodelowałam do perfekcji. Przed wyjściem zostawiła mi wysoki napiwek.

- Przeżyjesz to, Pandoro, do zobaczenia za sześć tygodni - rzuciła i wysunęła się z salonu niczym gibka pantera.

- Klientka z godziny jedenastej jeszcze nie przyszła, Pandoro?

Fabian sprawował nad salonem kontrolę, której pozazdrościłby mu każdy wojskowy przywódca w dowolnym sztabie. Wiedział, co się dzieje lub nie dzieje we wszystkich zakamarkach. Zajrzeliśmy razem do rejestru zamówień. Nowa klientka, niejaka pani Desmond. Żadnemu z nas nic to nie mówiło.

- Podpytaj, skąd się o nas dowiedziała, dobrze? - polecił, jak zawsze myśląc o pracy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- T a k , naturalnie, Fabianie - odparłam automatycznie.

W rzeczywistości zamierzałam spędzić ten czas, próbując dociec, jak to się stało, że moje pięcioletnie małżeństwo z laniem zaczęło się psuć.

Najpierw dostrzegłam niechcący bransoletkę w jego szufladzie. „Dla mojej ukochanej, na pamiątkę nowiu księżycy, z miłością od Iana”. Nie miałam pojęcia, o co chodzi. Nie oglądaliśmy ostatnio nowiu księżycy, zresztą nie przypominam sobie, abyśmy w ogóle go razem oglądali.

Mogło się to jednak odnosić do czegoś, co dopiero nastąpi. Sprawdziłam w kalendarzu: nów wypadł w najbliższą sobo-

tę. Niewykluczone, że Ian zamierzał mnie dokądś zaprosić, by uczcić ten fakt. Nie chciałam mu psuć niespodzianki. Ale nie było mowy o żadnym wyjściu w sobotę, usłyszałam natomiast dość przygnębiającą wiadomość, że Ian musi wyjechać w ten weekend na konferencję. Mimo to nadal nie zaświtały mi żadne podejrzenia. Zapewne byłam bardzo niemądra. Tępa? Ufna? Można wybrać odpowiednie słowo.

Ostatniej nocy jednak Ian długo nie wracał z biura, a ja poszłam spać o jedenastej, bo czułam się wyczerpana. Obudziłam się o czwartej i zobaczyłam, że jeszcze go nie ma. To mnie zaniepokoiło. Mógł przecież zadzwonić z telefonu komórkowego. Próbowałam się z nim skontaktować, ale usłyszałam pocztę głosową. W tej samej chwili jego klucz zazgrzytał w zamku. Byłam wściekła i postanowiłam udawać, że śpię, by uniknąć sprzeczki. Trwało wieki, zanim przyszedł do łóżka, ale nawet nie otworzyła oczu. W pewnej chwili wysunął szufladę ze skarpetkami i wyjął bransoletkę. Uchyliwszy powieki, zobaczyłam, jak się uśmiecha, odczytując napis, a potem chowa bransoletkę. Głęboko. Gdzieś na spód teczki.

Ian zawsze wychodził wcześniej niż ja. Dojazd do pracy zajmował mu mnóstwo czasu, ale potrzebował samochodu. Ciekawe, do czego jeszcze? Przespał się najwyżej trzy godziny. Zapytał, o której godzinie poszłam spać.

- O jedenastej, niestety, padałam z nóg. A ty o której wróciłaś?

- Och, nad ranem. Spałaś tak spokojnie, że nie chciałem cię budzić. Mamy cholerne zamieszanie w biurze...

- Pomyśl o tych wszystkich nadgodzinach - podsunęłam krzepiąco, usiłując wyzbyć się podejrzeń.

- Nie wiadomo, czy mi za nie zapłacą, i słuchaj, kochanie, muszę w weekend wyjechać na konferencję, właściwie to dla mnie wyróżnienie i powinienem się cieszyć, ale wiem, że ty akurat masz wolne i dlatego bardzo mi przykro. - Zrobił miłe małego chłopczyka, która wcześniej wydawała mi się roz-

brająca. Aż do dzisiejszego ranka, kiedy wzbudziła we mnie mdłości.

Miał romans!

Wiele elementów układanki wskoczyło teraz na swoje miejsce. Policzyłam je wszystkie, kiedy wyszedł.

Mnie samej do wyjścia została jeszcze godzina, ale nie miałam ochoty zmywać po śniadaniu Iana, sprzątać domu Iana, szykować obiadu dla Iana. Włożyłam płaszcz i zatrzasnęłam za sobą drzwi, gdy tylko usłyszałam odjeżdżający samochód. Wsiadłam w pierwszy autobus, jaki zatrzymał się na przystanku. Nie jechał do tej części Rossmore, w której mieści się salon Fabiana, ale było mi wszystko jedno. Chciałam po prostu oddalić się od domu, gdzie czułam się taka szczęśliwa. Kiedyś. Teraz wydawał mi się więzieniem.

Autobus dotarł do odległych krańców Głogowego Gaju i miał stąd zawrócić do miejsca, z którego przyjechał. Ruszyłam przez las niczym zombi. Ludzie mówili, że las ma zostać wycięty i wykarczowany w związku z budową nowej drogi, ale to mogły być tylko plotki. Tak czy inaczej, jeśli miał zniknąć, warto było na niego jeszcze raz popatrzeć.

Szłam, usiłując stłumić mdlące uczucie w piersi, uczucie lęku, że wszystko skończone i że Ian kocha inną. Jakąś obrzydliwą intrygantkę.

Dał się zwieść, kupił jej bransoletkę i zamierzał oglądać z nią nów księżyca.

Drewniane znaki doprowadziły mnie do studni. Przychodziłam tu w dzieciństwie, ale później już nie zajrzałam. Nawet o tak wczesnej porze zobaczyłam modlących się ludzi. Jakąś starą kobietą z zamkniętymi oczami. Dwoje dzieci ze zdjęciem, prawdopodobnie matki, proszących o wyleczenie. Wydawało się to nierzeczywiste i na swój sposób smutne.

Pomyślałam sobie, że skoro już tu jestem, cóż mi szkodzi. Przedstawiłam świętej Annie sytuację. Tak po prostu. Zdumiewające, jak krótka okazała się moja opowieść. Chłopak kocha dziewczynę, chłopak znajduje inną dziewczynę i łamie serce

tej pierwszej. Na pewno opowiedziano tu tysiące podobnych historii.

Nie czułam żadnej nadziei ani nic w tym rodzaju. Prawdę mówiąc, czułam się trochę głupio. Nie wiedziałam, o co właściwie proszę.

Żeby tę nową kobietę dotknęła jakaś straszna choroba? Święta Anna nie spełniłaby takiej prośby.

Żeby Ian zmienił zdanie - chyba tak naprawdę tylko tego pragnęłam.

Następnie pomaszzerowałam żwawym krokiem na skraj lasu i złapałam autobus do pracy.

Z zaciętą twarzą przyjechałam do Rossmore i przez całe przedpołudnie przypominałam sobie coraz więcej obciążających dowodów romansu. Jak w zeszłym tygodniu Ian zrezygnował z pójścia na kręgle, choć normalnie nic nie zdołałoby go powstrzymać. Jak dwukrotnie zmienił temat, gdy go prosiłam o sporządzenie biznesplanu pod kątem kupna tego kiosku z gazetami blisko nas, w naszej dzielnicy, który wystawiono na sprzedaż i można byłoby urządzić w nim mały salon.

- Nie spieszmy się za bardzo - powiedział. - Kto wie, gdzie będziemy za rok lub dwa?

Te i inne moje myśli przerwał nagle głos praktykantki.

- Przyszła klientka na jedenastą! - zawołała.

Pani Desmond czekała przy recepcji. Miała miły uśmiech i poprosiła, żebym nazywała ją Brendą.

- Co za urocze imię, Pandora! - zauważyła tęsknie. - Bardzo bym chciała mieć podobne.

Fabian nie naklaniał nas do informowania klientek, że nasze imiona są wymyślone, przeciwnie - stanowczo nas do tego zniechęcał.

- Moja mama pewnie czytała wtedy jakąś ekscentryczną powieść - wyjaśniłam pocieszającym tonem, żeby Brenda Desmond poczuła się pewniej.

Spodobała mi się ta kobieta. Podala płaszcz praktykantce i usiadła, a następnie obie przyjrzałyśmy się jej odbiciu w lustrze.

- Chcę wyglądać fantastycznie w ten weekend - powiedziała. - Wyjeżdżam w pewne cudowne miejsce za miastem, by oglądać nów księżycy z nowym facetem.

Znowu popatrzyłam na jej odbicie i pomyślałam, że w całym mieście jest mnóstwo osób wyjeżdżających na weekend z nowymi znajomymi. Wcale nie musiało chodzić o Iana. Z ust nie schodził mi życzliwy, pełen zainteresowania uśmiech.

- To miło - zdołałam wykrztusić. - Myślisz o nim poważnie?

- No cóż, o tyle, o ile, nie jest całkiem wolny, niestety. Twierdzi, że to żaden problem, ale wiesz, to takie ziarnko piasku w trybach. Zabawne powiedzenie, swoją drogą, ciekawe, skąd się wzięło.

- Wydaje mi się, że jest całkiem dosłowne, to znaczy, jeśli piasek wpada w tryby jakiejś maszyny albo ktoś go tam nasypie, wszystko może się popsuć, mechanizm przestaje działać — odparłam.

Słuchała z zaciekawieniem.

- Masz rację, to zapewne da się bardzo prosto wytłumaczyć. Interesują cię zwroty i ich pochodzenie?

Traktowała mnie jak prawdziwą ludzką istotę, mającą własne poglądy, a nie jak kogoś, kto tylko ułoży jej fryzurę. Musiałam się jednak upewnić, że to o nią chodzi, zanim powyrywam jej garściami te tłuste przylizane włosy.

- Tak, interesują mnie słowa, dziś rano zastanawiałam się nad określeniem „jak spod igły”. Wiesz może, skąd się wzięło?

- Akurat w tym, kiedyś sprawdzałam. Świeżo uszyte, prosto od krawcowej. Nowe i czyste.

- No tak. - Ze też ona wie takie rzeczy! I niby dlaczego coś od krawcowej ma być nowe i czyste? Ale dość tych spekulacji. Wracajmy do roboty. - Więc co chciałabyś zrobić z włosami?

- Naprawdę nie wiem, Pandoro, nie bardzo się na tym znam, widzisz, muszę bez przerwy ciężko pracować. Cały czas jesteśmy wykończeni. Dlatego czuję się taka podekscytowana

tym wyjazdem. Dziś rano zadzwoniłam, że dostałam zwolnienie z powodu choroby. Nic mogę przyjąć jutro w nowej fryzurze, bo mogliby coś podejrzewać, a w sobotę rozpoczynam grzeszny weekend z kolegą z pracy.

- Gdzie pracujesz? - spytałam. Słyszałam, jak słowa grzmią, huczą, odbijają się echem w mojej głowie.

Proszę, niech się nie okaże, że w firmie Iana.

Okazało się, że w firmie Iana.

Trzymałam dłonie na jej ramionach. Mogłam je unieść, ścisnąć jej szyję i zadusić tę kobietę. Nie spodziewała się tego, więc mogłoby mi się udać. Spoczywałaby teraz martwa na krześle.

Ale oparłam się pokusie. Pociągnęłoby to za sobą zbyt wiele nieprzewidywalnych skutków. Zaczęłam mówić o włosach.

- Nosisz dość przyplaszczoną fryzurę - zauważyłam, zdumiewając się, że w ogóle potrafię funkcjonować.

- No tak. Uważasz, że powinnam podnieść włosy, może nadać im wyrazistszy kształt? Co proponujesz?

Lepiej byłoby dla niej nie wiedzieć, co proponuję.

Pomyślałam o moim Ianie, wsuwającym palce w okropne, przetłuszczone włosy tej kobiety i mówiącym, że Brenda jest piękna, tak jak często powtarzał Vi, że jest piękna. Nie mogłam tego znieść.

- Wyglądają stylowo - oceniłam z namysłem. - Ale zapytam Fabiana, on zna się na rzeczy.

Chwiejnym krokiem podeszłam do szefa.

- Nowa klientka jest bardzo przywiązana do obecnej fryzury, może zechce tu przychodzić stale, gdybyś tak zechciał podejść i powiedzieć jej, że świetnie wygląda?

Zerknął na drugi koniec salonu.

- Wygląda groteskowo - zauważył.

- Fabianie, sam nas prosiłeś, żebyśmy odgadywały zamiary klientek, a kiedy to robię, okazuje się nagle, że źle postępuję.

- Przybrałam obrażoną minę.

- Nie, postępujesz bardzo dobrze.

Prześliznął się ku niej i dotknął jej głowy właściwym sobie gestem.

- Pani Desmond, Pandora, która jest jedną z naszych najwyższycy cenionych stylistek, zapytała mnie o opinię. Uważam, że klasyczny styl, jaki pani wybrała, doskonale pasuje do pani twarzy i podkreśla rysy. Potrzebuje pani jedynie drobnego, delikatnego przycięcia.

- Myśli pan, że tak jest ładnie? - spytała niemądrze, a wielki Fabian przymknął oczy, jakby chciał przez to powiedzieć, że niemal zbyt ładnie, by to wyrazić słowami. Dzięki temu mógł również nie klamać jej prosto w oczy.

- Lucindo! - zawołałam do praktykantki. - Zajmij się moją klientką, umyj jej głowę solidnie i dokładnie.

Syczącym szeptem poprosiłam Lucindę, która tak naprawdę miała na imię Brid, żeby obtłukła jej głowę o miednicę i nalala szamponu do oczu. Dziewczyna oczywiście chciała wiedzieć dlaczego.

- Ponieważ jest podłą dziwką i sypia z mężem mojej najlepszej przyjaciółki - syknęłam w odpowiedzi.

Brid-Lucinda usłuchała. Brenda Desmond wróciła do mnie obolała, kulejąca i na pół oślepiąca. Brid-Lucinda kopnęła ją jeszcze, udając, że się potknęła. Wtarłam w jej tłuste z natury włosy najtłustniejszy żel, jaki znalazłam i wysuszyłam tak, że przypominały szcurze ogony. Przyszczygłam je specjalnie, by wyglądały na wystrzępione i nierówne. Ilekroć ktoś się obejrzał, wzruszałam ramionami, jakbym pytała: co mam robić, jeśli takie otrzymałam zalecenia?

Kiedy skończyłam i zrobiłam z niej najgorsze okropieństwo, do jakiego byłam zdolna, obejrzała z powątpiewaniem swoje odbicie w lustrze.

- Mówisz, że to klasyczna fryzura?

- Jak najbardziej, Brendo, będzie zachwycony.

- Mam nadzieję, bo on jest bardzo wytworny. Wiesz, jak to Francuzi.

- On jest Francuzem?

- Tak, nie mówiłam ci? Przysłali go tutaj z paryskiej filii. Wyobraź sobie! I właśnie ja mu się podobam... - Miała minę zachwyconej dziewczynki.

Popatrzyłam na nią z przerażeniem.

- Znasz Iana z twojego biura? - wyrwało mi się z przerażeniem.

- Iana? Iana Bensona? Oczywiście, że go znam. Wspaniały facet z tego Iana. Skąd o nim wiesz?

- Słyszałam to i owo - odparłam ponuro.

- Ma żonę, Vi. Bez przerwy o niej mówi.

- A co właściwie o niej mówi?

Czułam się tak podle, że omal nie padłam na twarz, przeprasząc za to, iż przeze mnie wygląda jak idiotka.

- Och, wszystko, co możliwe, chciał z nią dokądś wyjechać w ten weekend, ale wysłali go na konferencję. To wyróżnienie i w ogóle, on jednak powiedział, że wolałby zabrać Vi nad jezioro, gdzie mogliby obejrzeć nów księżyc. I wypowiedzieć życzenie.

- A czego by sobie życzył?

- Tego nie mówił, ale domyślałam się, że chciałby mieć dziecko. I chciałby załatwić salon dla Vi znacznie bliżej domu. Ostatnio bez przerwy pracował po godzinach. Niewątpliwie na coś oszczędza.

I wybiegła ze swoją okropną fryzurą, gotowa całkowicie pograć weekend zaplanowany w towarzystwie wyrafinowanego paryżanina.

Chyba mi powiedziano, że przyszła klientka na jedenastą trzydzieści, ale nie usłyszałam. W ogóle mało co słyszałam. Zwłaszcza ostatnio.

Trzeba coś dać na cele dobroczynne, jeśli święta Anna wysłucha twojej prośby. Ale mojej właściwie nie wysłuchała. To znaczy, Ian nie przestał mnie kochać, więc modliłam się o coś, co już miałam. Z drugiej strony jednak wszystko wyszło nam na dobre.

No, dajże już spokój.

To tylko pieniądze na niepełnosprawne dzieci.

Nie koniec świata, jak sobie wyobrażałam jeszcze pięć minut temu.

Część 2 - Biznes Zabijaki

Naprawdę mam na imię George. Nie żeby ktoś o tym wiedział. Nazywano mnie Zabijką od drugiego roku życia. A w salonie nazywają mnie Fabian.

Dlatego jak ktoś mówi: „George Brewster”, na przykład na lotnisku, kiedy czekam i wyczytują dane z mojego paszportu, odpowiedź zajmuje mi całe wieki. I podskakuję z poczuciem winy, zupełnie jakbym podróżował z podrobionymi dokumentami.

W naszej szkole w Rossmore każdy miał jakieś przezwisko i, niestety, ktoś usłyszał, jak mama nazywa mnie „Zabijką”, no i to zdecydowało. Nie byłem szczególnie postawny ani muskularny, po prostu dobrze zbudowany, pewnie dlatego to określenie od razu chwyciło. W sumie nie było takie złe. Nowi znajomi myśleli, że muszę mieć pięści nie od parady i trzymali się ode mnie z dala, co sprawiało mi pewną frajdę.

Miałem dziesięć lat, kiedy usłyszałem od swojego kumpla Hobbita, że mój tata ugania się za spódnicami. Byłem taki głupi, że zrozumiałem to dosłownie, biega za fruującymi spódnicami, które wiatr zdmuchnął ze sznurka. Ale nie, chodziło o szukanie damskiego towarzystwa. Hobbit powiedział, że widział moją tatę w samochodzie z o wiele młodszą blondynką i obydwójce zasuwali tak, że aż wióry leciały.

Nie uwierzyłem Hobbitowi i przyłożyłem mu. Rozzłościł się na mnie.

- Powiedziałem ci tylko po to, żebyś się przygotował - narzekał, rozcierając ramię, w które go wałnąłem. - Przecież naprawdę mnie nie obchodzi, czy twój tata jest tu czy też uciekł, na przykład, do Timbaktu.

Dalem mu na pociechę dwa batoniki Kitkat z mojego pojemnika na kanapki i załagodziłem sytuację.

Zawsze miałem dużo różnych przysmaków w pojemniku na lunch, bo mama wiedziała, że uwielbiam czekoladę i kanapki z masłem fistaszkowym. Biedny Hobbit dostawał takie okropieństwa jak jabłka, sellery, ser i kawałki pozbawionego smaku, gotowanego kurczaka.

Niedługo potem mama odkryła, że tata goni za spódniczkami czy czymś tam, jak to wówczas nazywano, i wszystko się zmieniło.

- To nasza wina, Zabijako - oznajmiła. - Nie jesteśmy atrakcyjni, nie przyciągaliśmy uwagi ani zainteresowania twojego ojca. Wszystko musi ulec zmianie. - I uległo.

Najpierw powlokła mnie do studni Świętej Anny, żeby przedyskutować sprawę z posągiem.

A potem dostawałem w pojemniku okropne żarcie, gorsze nawet niż Hobbit, i musiałem co rano przebiec cztery przystanki do autobusu. Po szkole szedłem z mamą na siłownię. Było tam bardzo drogo, więc obydwójce musieliśmy zapracować na korzystanie z urządzeń. Mama obsługiwała recepcję przez dwie godziny, a ja zmieniałem ręczniki.

Lubiłem to, lubiłem rozmawiać z ludźmi, opowiadali mi, co robią i skąd się tam wzięli. Był facet, który chciał przygruchać sobie panienki, ale mu nie wyszło; był mężczyzna, który bał się ataku serca, i kobieta, która chciała dobrze wyglądać na weselu, a także piosenkarka, która zobaczyła siebie w nagraniu wideo i stwierdziła, że ma tylek wielki jak góra, co zresztą było prawdą.

Ponieważ ich sprawy naprawdę mnie interesowały, wszyscy mówili mi o sobie jeszcze więcej i zapewniali właściciela siłowni, że jestem prawdziwym skarbem. I choć, jako nieletni, w ogóle nie powinienem tam pracować, zatrudniono mnie w większym wymiarze godzin. Bali się wypłacać mi pieniądze, z uwagi na przepisy, ale kupowali dla mnie różne ładne rzeczy, na przykład nowiutką marynarkę do szkoły albo aparat fotograficzny i to było super.

Mama sporo straciła na wadze, a tata przestał włóczyć się po mieście i powtarzał, że nikt nie powinien lekceważyć mocy świętej Anny oraz zdrowej diety. I w domu znowu wszystko układało się doskonale.

W szkole również, bo nabrałem kondycji i kiedy w wieku lat trzynastu poszliśmy na dyskotekę, Hobbit powiedział, że większość dziewczyn uznała mnie za świetnego gościa. Co było wspaniałą wiadomością dla mnie, lecz nie dla mojego przyjaciela.

Ani on, ani ja nie mieliśmy pojęcia, jaką wybrać w życiu pracę, karierę czy jak to tam nazwać. Mój tata był kierownikiem handlowym w sklepie z urządzeniami elektrycznymi, czego z całą pewnością nic chciałem robić. Rodzice Hobbita prowadzili sklepik na rogu ulicy i robiło mu się niedobrze na samą myśl, że miałby tam pracować. Moja mama zatrudniła się w pełnym wymiarze godzin na siłowni, zaliczyła kursy i uczyła teraz aerobiku. Wszystko to jednak nic ułatwiało Hobbitowi ani mnie podjęcia decyzji. Nawet panna King, specjalistka do spraw orientacji zawodowej, która przyjeżdżała do naszej szkoły, nie miała nam wiele do zaproponowania.

Powiedziała mi, że wydaję się zainteresowany ludźmi, więc powinienem wziąć to pod uwagę. Oznajmiłem prosto z mostu, że nie zostanę pracownikiem opieki społecznej, byłoby to dla mnie straszne. Nie, wyjaśniła, nie takie zajęcie miała na myśli. Ani nauczanie. Zupełnie nie nadawałem się na nauczyciela. Pokiwała ze zrozumieniem głową. Zawsze była miła ta panna King.

- Może jakieś zajęcie, w trakcie którego będziesz rozmawiał z ludźmi i dbał o ich dobre samopoczucie? - podsunęła.

- Żigolo? - zapytałem. Chciałem po prostu móc potem pochwalić się Hobbitowi, że powiedziałem coś takiego.

- Tak, coś w tym rodzaju, niewątpliwie jest to dziedzina, którą warto rozważyć - odparła życzliwie.

W końcu jednak o niczym nie wspomniałem Hobbitowi. A później zaskoczył mnie propozycją, że moglibyśmy zająć się

fryzjerstwem, bo mnóstwo pańienek uczy się w college'u i całymi dniami w salonie dotykałibyśmy ich włosów i w ogóle.

- Fryzjerstwo? — powtórzyłem.

- Coś przecież musimy robić - zauważył rozsądnie Hobbit.

Nikomu prócz nas dwóch nie spodobał się ten pomysł. Moja mama stwierdziła, że mógłbym wybrać inteligentniejszy zawód, a tata dodał, że to nie jest praca dla prawdziwego mężczyzny. Rodzice Hobbita oświadczyli, że nie będą mogli w swoim sklepiku spojrzeć ludziom w oczy.

Jak się okazało, wcale nie było tak źle. Hobbit znalazł pracę w wykwintnym salonie, gdzie nosił imię Merlin.

Merlin!

Musiałem o tym pamiętać, kiedy go odwiedzałem albo telefonowałem do niego.

Zatrudniłem się w Milady - kameralnym salonie na przedmieściach Rossmore. Polubiłem właściciela, pana Dixona. Wszyscy mówiliśmy o nim „pan Dixon”, nawet osoby znające go od dwudziestu lat.

Były to przeważnie damy w średnim wieku, należące do klasy średniej; przychodziły raz w tygodniu na mycie z modelowaniem, co sześć tygodni prosiły nerwowo o strzeżenie, które nazywały „podcięciem”, a dwa razy w roku o dyskretne farbowanie. Nic nowatorskiego, żadnych eksperymentów, żadnych szans na popisanie się modną stylizacją. Ale w gruncie rzeczy były to dobre kobiety, które chciały poprawić swój wygląd.

Spoglądały w lustro wielkimi, niespokojnymi oczyma. Każda fryzura wydawała się czymś z pogranicza snu. Klientka mogła wydawać proszony obiad, wybierać się na rewię na lodzie albo zjazd absolwentek. Wielu z nich brakowało pewności siebie i dlatego nie próbowały niczego nowego. Czasami widziałem, że wcale nie wyglądają jakoś wyjątkowo dobrze, opuszczając salon, ale czuły się lepiej, kroczyły wyprostowane, z większym zdecydowaniem i nawet uśmiechały się lekko do swojego odbicia w szybie wystawowej, zamiast przemykać ukradkiem obok, jak to robiły przed wejściem.

Trochę podobnie było z moją mamą.

Nic zaszła w niej jakaś kolosalna zmiana, gdy pierwszy raz nieco schudła na siłowni. Po prostu nabrała pewności siebie, tylko tyle. Lepiej myślała o sobie samej, nie suszyła tacie głowy, nie dopytywała się, gdzie był, i nie oskarżała go, że ją lekceważy. Stała się miłsza we współżyciu, więc i on był dla niej miłszy. Nic dodać, nic ująć.

I tak też czuły się te kobiety w salonie.

Chyba mnie lubiły, zostawiały mi hojne napiwki, podobało im się moje przezwisko Zabijaka. Pytały o moją rodzinę, wakacje i czy mam dziewczynę. Połowa z nich twierdziła, że powinienem się ustatkować, druga połowa zaś - że nie muszę się spieszyć. Niektóre radziły, żebym odwiedził studnię Świętej Anny, wyroczni w sprawach sercowych.

Nie spieszyłem się. Chodziliśmy z Hobbitem do nocnych klubów, ale spotykaliśmy tylko okropne wrzaskliwe dziewczyny, które zupełnie nie nadawały się do zawarcia stałego związku. Hobbit, odkąd przybrał imię Merlin, zrobił się bardzo pewny siebie i ambitny. Powiedział mi, że jeśli się stąd nie ruszę, skończę jako starzec, który potrafi tylko zrobić mocną trwałą na siwych włosach. Powinniśmy się usamodzielnąć, przenieść dokądś, gdzie coś się dzieje, gdzie moglibyśmy wygrywać konkursy.

Rozsądek podpowiadał, że Hobbit ma rację, ale z wielką niechęcią myślałem o rozstaniu z panem Dixonem i salonem Milady. Wydawało mi się to zdradą. Pan Dixon wyznał, że ma pięć naprawdę trudnych klientek, które za mną przepadają. Czy mógłbym się postarać przyjeżdżać raz w miesiącu? Merlin stwierdził, że to kompletne wariactwo z mojej strony kręcić na siebie taki bicz, ale nie mogłem odmówić. Pan Dixon naprawdę wyuczył mnie wszystkiego, dobrze mi płacił i uważam, że to nieładnie odmawiać ludziom, którzy nam pomogli.

W każdym razie zebraliśmy z Merlinem do kupy nasze oszczędności i otworzyliśmy własny salon. Rossmore nie-

wątpliwie zmieniło się z upływem lat. Dostatek oznaczał, że ludzie musieli mieć to, co najlepsze. Szereg młodych klientek z pieniędzmi wydawał się nieskończony. Długonogie dziewczyny z lwimi grzywami, dziewczyny z krótko ostrzyżonymi włosami śliwkowej barwy, panie z mocnymi pasemkami, pod którymi nikt nie zdołałby odgadnąć pierwotnego koloru.

Przychodziły rozleniwione do salonu dwa razy w tygodniu. Zdumiewała mnie ich zamożność i dbałość o fryzury. Milady wydawała się odległa o lata świetlne.

Naturalnie zmieniłem także imię. Stałem się teraz Fabianem. I choć Merlin śmiał się z mojego jeżdżenia do Milady w ostatni piątek każdego miesiąca, chyba na swój sposób mnie za to podziwiał. Pan Dixon uśmiechał się do mnie, jakbym był jego dawno zaginionym synem, który wraca na rodzinną farmę.

Nadal nazywano mnie tam Zabijaką i podziwiano moją własną, oryginalną fryzurę oraz wytworne kamizelki. Wyjaśniałem, że w naszym ekscentrycznym salonie w Rossmore mamy zupełnie zwariowaną klientelę, która życzy sobie, żebyśmy wszyscy chodzili wystrojeni. Panie z Milady przepadały za moimi opowieściami i tym bezpieczniej czuły się tutaj. Ponieważ nabrałem większej pewności, zaproponowałem kilku z nich drobne eksperymenty. Pan Dixon zaaprobował nawet niektóre moje pomysły zmierzające do delikatnego unowocześnienia wystroju wnętrza.

Wszystkie klientki pytały o moje życie uczuciowe, ja zaś odpowiadałem zgodnie z prawdą, że nadmiar pracy nie pozwolił mi znaleźć dziewczyny, którą bym pokochał. Lepiej nie zwlekać zbyt długo, radziły mi, na co z powagą kiwałem głową.

Nie powiedziałem im jednej rzeczy - a mianowicie, że każdy w naszym nowym salonie, to znaczy każdy prócz Merlina, myślał, że jestem gejem. Nie miałem w związku z tym żadnych problemów, przeciwnie, pod wieloma względami wychodziło

mi to na dobre. Kobiety mają większe zaufanie do gejów, jakby w pewnym sensie łączyli oni zalety obu płci. Nie są drapieżnikami szykującymi się do skoku, nie są tępi, wulgarnie samczy i mrukliwi; właściwie przypominają dziewczyny-przyjaciółki, nie stanowiąc zarazem konkurencji.

Dlatego wcale mi to nie szkodziło, raczej przynosiło korzyść. Klientki wydawały się zadowolone i chętnie mi się zwierzały. Na przykład ta zdumiewająca Hazel, która opowiedziała mi o swoich przygodnych kochankach i o tym, jaka samotna i wykorzystana czuła się po każdej takiej nocy. Nigdy bym od niej o tym nie usłyszał, gdyby patrzyła na mnie jak na heteroseksualnego mężczyznę i ewentualnego zalotnika.

Zrobiłem dla niej co w mojej mocy, łagodząc jej nadmiernie wyzywający wizerunek i nadając godniejszy wygląd. Zasugerowałem bardziej klasyczny styl i mniej chodzenia z odsłoniętym brzuchem. Powiedziała mi później, że rezultat okazał się wspaniały.

Poznałem także Mary Lou, której partner unikał wszelkich zobowiązań. Był z nią bardzo szczęśliwy, ale nie chciał, żeby się do niego wprowadziła. No i, oczywiście, żadnej wzmianki o obrączce. Doradziłem, że moim zdaniem powinna zdobyć się na większą niezależność i wyjechać na urlop z koleżankami. Nie, absolutnie nie wakacje typu „słońce, seks i noce z kelnerami”; przeciwnie - coś związanego z kulturą. Miała poważne wątpliwości, jednak posłuchała i dobrze zrobiła. Jej chłopak bardzo się zaniepokoił, kiedy udowodniła, że potrafi przeżyć bez niego.

I tak pogodnie upływały moje dni. Wpadła mi w oko piękna dziewczyna o imieniu Lara, projektantka, która chesała się u nas regularnie. Przez cały czas jeździłem do Milady, do pana Dixona, który bądź co bądź wprowadził mnie w ten biznes. Przywoziłem mu prezenty: a to wymyślne lustro, a to turbosuszarkę do włosów albo paczkę nowych jednorazowych ręczników, zawsze jednak przyjmowałem od niego honorarium, choć nie potrzebowałem tych pieniędzy.

Pan Dixon był człowiekiem starej daty. Nie chciałem go urazić.

Raz odwiedził nasz salon i obejrzał sobie wszystko. Powiedział mi później, że dobry ze mnie chłopak, najlepszy, jaki u niego pracował, i nie obchodzą go moje obyczaje; to wyłącznie moja sprawa. Prywatne życie, by tak rzec.

A ja po prostu nic potrafiłem mu niczego wyjaśnić. Było to zbyt skomplikowane. Pan Dixon wkrótce potem zmarł i zostawił mi swój salon fryzjerski.

Nic mogłem w to uwierzyć. Ale nie miał bliskich krewnych, a nie życzył sobie, by dzieło jego życia zostało zlikwidowane i sprzedane komuś, kto otworzy tam fast food.

Nie miałem pojęcia, co zrobić z tym spadkiem. Zakład był absurdalnie staroświecki i przynosił straty, wiedziałem jednak, że musi działać nadal. Nic chciałem też odbierać Milady starszym paniom, przychodzącym tam od lat, przekształcając go w typowy salon Fabiana, ze wszystkim, co się z tym wiąże. W każdym razie nie poświęcałem mu zbyt wiele uwagi. Miałem inne sprawy na głowie.

W owym czasie zdążyłem się już zakochać po uszy w Larence, lecz ona uważała mnie za geja i nie mogłem jej przekonać, że się myli.

- Nonsens, Fabianie, nie mogę ci się podobać, skarbie, przecież jesteś gejem, to się rzuca w oczy! - oznajmiła ze śmiechem. - Przyjaźnimy się, ty i ja, a teraz po prostu poprzytykałeś się z jakimś przystojniakiem i chcesz mu powiedzieć: „Spójrz tylko na mnie, umawiam się z dziewczyną!”.

- Nie jestem gejem, Laro - odparłem spokojnym tonem. - Jestem w stu procentach heteroseksualny.

- To samo zapewne dotyczy Gerry'ego, Henriego i Basila z salonu - zakpiła.

- Nie, oczywiście, że ich nie. Ale mnie tak.

Nic nie skutkowało. Przyznałem się jej, że mówią na mnie Zabijaka, co ją rozśmieszyło jeszcze bardziej. Albo George, dałem desperacko, a ona kazała mi się na coś zdecydować.

Nerwowa kobieta, która kierowała Milady, nieustannie wydzwaniała i pytała, co ma zrobić z rachunkiem za prąd lub czy zamówić większą ilość odżywek. Na domiar złego jedna z moich najlepszych fryzjerek dostała właśnie napadu hysterii w pomieszczeniu dla personelu, spazmowała i zawodziła bez ładu i składu, że zniszczyła komuś włosy, że nie rozumiała, jak strasznie jej mąż chciałby mieć dzieci i że ludzie nie ufają sobie nawzajem.

Tylko tego nam brakowało w godzinach wzmożonego przedpołudniowego ruchu.

Gerry i Basil, którzy zazwyczaj świetnie sobie radzili z atakami złości, przejawami załamania nerwowego oraz ludzkimi wrzaskami, nie mogli się połapać, o co tu chodzi. Henri zaproponował wezwanie karetki. Wszedłem do pokoju i usiadłem.

- Pandoro - przemówiłem łagodnie.

- Vi, mam na imię Vi! - krzyknęła.

Zapomniałem. W salonie zawsze była Pandorą.

- Ja jestem Zabijaka, to moje przezwisko - powiedziałem. Wydawało mi się, że to może pomóc. Nie pomogło.

- Zabijaka? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Właśnie, niestety - wyznałem.

- O mój Boże. Tego nam jeszcze potrzeba, że nazywają cię Zabijaką!

Postanowiłem dociec, na czym polega problem. Znowu zaczęła szlochać, więc rozumiałem jedno słowo na cztery: chodziło o Iana, który był jej mężem, o klientkę z godziny jedenastej, o biedną Brendę Desmond i Francuza oraz o nów księżyc.

Zadałem sobie pytanie, czy Henri nie miał racji. Może ona po prostu zwariowała i powinno się ją umieścić w szpitalu na oddziale zamkniętym. Podałem jej szklanekę wody i poklepałem po ręce.

Poinformowano mnie, że Lara jest w salonie. Odparłem, że będzie musiała zaczekać. I nadal poklepywałem płaczącą kobietę, która siedziała obok mnie.

- Lepiej nie denerwować Lary - chlipnęła Pandora-Vi.

- N i c mnie nie obchodzi, czy ją zdenerwujemy. Ona też mnie zdenerwowała. Uparcie twierdzi, że jestem gejem, nabija się ze mnie i wyprowadza z równowagi. Niech jej cholerna treska poczeka, aż będę gotowy.

Vi uniosła zapłakane oczy.

- N i e wyglupiaj się, Fabianie, wystarczy na ciebie spojrzeć i już wiadomo, że działasz na dwa fronty. - Jej twarz była zaczerwieniona i poważna.

Miałem chęć mocno ją trzepnąć, lecz nie była to odpowiednia chwila, by roztrząsać szczegóły mojej orientacji seksualnej. Vi dostrzegła jednak moją minę.

- Bycie biseksem ma sens, gdy się nad tym głębiej zastanowić - wykrztusiła urywanym głosem. - Mniejsze prawdopodobieństwo spaprania sobie życia, większa możliwość swobodnego wyboru.

- Nie jestem biseksualny, Vi. Uprawiam seks z kobietami. Słyszysz? Z kobietami, dziewczynami, panienkami, babkami, laskami i tak dalej. Z niewystarczającą ich liczbą, muszę przyznać, dalece niewystarczającą. Odtąd zamierzam spać z każdą kobietą o wyczuwalnym pulsie. I różne prze-mądrzałe Lary tego świata wreszcie się przekonają. To je nauczycy...

Zobaczyłem, że usta Vi układają się ze zgrozy w okrągłe O. Patrzyła nie na mnie, lecz ponad moim ramieniem. Wiedziałem już, zanim się odwróciłem. Stała za mną Lara i słuchała. Na twarzy miała wyraz głębokiej dezaprobaty.

- Jak śmiesz doprowadzać Pandorę do lez? - zaczęła. - Brutalny despota. Pandoro, biedactwo, co on ci powiedział?

Pandora naturalnie znowu wybuchnęła rzewnym płaczem, wywołanym jej współczuciem. I ponownie usłyszałem kilka kluczowych słów: dzieci, nów księżycy, Ian, klientka z jedenastej, Francuz, bransoletka. Kompletnie niepowiązanych, bez sensu, ładu i składu. Lara jednak zrozumiała od razu.

— Nie ma żadnego problemu - powiedziała — wszyscy będziemy udawać, że nic, ale to nic o niczym nie wiemy.

Nic łatwiejszego. To znaczy dla mnie, bo rzeczywiście nic, ale to nic nie wiedziałem.

Klientka z godziny jedenastej może otrzymać talon na darmową usługę, Vi przestanie brać pigułki antykoncepcyjne, Ian ją kocha, bransoletkę kupił dla Vi, nic dla klientki z jedenastej; wszystko układa się dobrze i nie ma powodów do płaczu. Najważniejsze to unikać stresu.

Nie potrafiłem się połączyć w tych bredniach.

Vi jednak otarła łzy, wydmuchała nos i nawet się uśmiechnęła.

- Trudno uniknąć stresu w takim salonie jak ten - wyznała z żalem, zwracając się do Lary.

- Przenieś się w jakieś spokojniejsze miejsce, bliżej domu - podsunęła Lara.

- Dokąd? - spytała Vi.

- Och, nie wątpię, że Tygrys czy tam Zabijaka, jakkolwiek go tutaj nazywają, znajdzie coś odpowiedniego dla ciebie - odparła Lara, a jej uśmiech był przeznaczony dla mnie. Zupełnie inny uśmiech, jakby po raz pierwszy zobaczyła mnie we właściwym świetle.

I natychmiast przyszedł mi do głowy plan.

Vi, jak się okazało, mieszkała całkiem niedaleko Milady, na odległym przedmieściu Rossmore, bliżej Głogowego Gaju. Mogła pokierować tym zakładem. Mogła mieć dzieci, bransoletki, księżycy w nowiu, co tylko chciała, a klientki z godziny jedenastej już nigdy do niej nie dopuszczę. Zrobię wszystko, czego sobie życzą. W porządku? Możemy teraz wrócić do pracy? Bardzo proszę, dobrze?

Wróciliśmy, a ja spojrzałem w oczy Lary odbite w lustrze i zapewnilem ją, że nie potrzebuje treski, bo jej włosy wyglądają pięknie takie, jakie są.

Powiedziała, że się zastanawia, czy nic wyczuwa czegoś odrobinę nieprofesjonalnego w tym, jak głaszczę jej szyję. Czy

nie powinno to bardziej przypominać relacji między lekarzem a pacjentką? Może należałoby mnie pozbawić prawa wykonywania zawodu za zachowania sprzeczne z etyką?

Odparłem, że to chyba niemożliwe, ponieważ moim zdaniem w salonie fryzjerskim obowiązują zupełnie inne zasady, na co Lara z ciepłym, entuzjastycznym śmiechem ostrzegła, żebym sobie nawet nie wyobrażał spania z każdą kobietą o wyczuwalnym pulsie.

A więc to też usłyszała...

Test na inteligencję

Część 1 - Melanie

Wiecie, jak to bywa: ludzie sądzą, że ponieważ jesteś głucha, musisz być opóźniona w rozwoju. Tymczasem nic bardziej nie odbiega od prawdy. Głusi mają często umysły ostre jak brzytwa, gdyż mnóstwo rozmaitych wrażeń odbierają za pomocą pozostałych zmysłów. Ciągłe przyglądam się ludzkim twarzom i obserwuję, w jakim te osoby są nastroju. No bo jeśli się przyrzyć, jak ludzie zaciskają pięści, przygryzają wargi albo po prostu się wiercą, od razu wiadomo, co im dolega. Mogłabym po przejściu całej długości Castle Street i Market Street określić nastrój miasta Rossmore.

Kiedy więc wszyscy zaczęli mówić o teście na inteligencję, cóż, wiedziałam oczywiście, że jest ważny. A im częściej powtarzali, że nie ma się czym denerwować, tym lepiej o tym wiedziałam. Nie jestem głupia — owszem, całkowicie głucha, ale bynajmniej nie pozbawiona rozumu. Chodziło głównie o tę szkołę dla takich dziewcząt jak ja, czyli tak zwanego Świętego Marcina.

- Spodoba ci się tam, jeśli znajdą dla ciebie miejsce, Melanie - powtarzała mama. - To swego rodzaju edukacyjna legenda, dziewczęta stamtąd doskonale radzą sobie w życiu. Ale jeśli nie będzie miejsc, nie ma problemu, po prostu poszukamy ci innej szkoły. Jest ich mnóstwo.

Ja jednak wiedziałam, że nie chodzi o znalezienie dla mnie miejsca i że nie ma mnóstwa innych szkół. Jeśli zdołam prawidłowo odpowiedzieć na pytania z tego testu na inteligencję, dostanę się tam, po prostu i zwyczajnie.

Już wcześniej poznałam dziewczynę, która uczyła się w tej szkole, więc dowiedziałam się wszystkiego i z informacji wynikało, że jest tam świetnie. Ta dziewczyna, Kim, mówiła, że mają fantastyczne jedzenie, nawet posiłki wegetariańskie, jeśli ktoś sobie życzy, i choć jest to szkoła żeńska, odbywają się zabawy taneczne z chłopcami. Można się nauczyć właściwych kroków tanecznych przez rozpoznawanie drgań w deskach podłogowych. Uczennice mają zajęcia plastyczne, wystawy raz w roku i grają w najrozmaitsze gry, takie jak netball, hokej czy palant, przeciw drużynom ze szkół dla słyszących i niesłyszących. Noszą coś w rodzaju mundurków - kremową bluzkę dowolnego kroju oraz granatową spódnicę lub granatowe dżinsy.

Ponadto mają różne migające światełka zamiast dzwonek i lekcje wizażu, a także czytania z ruchu warg.

Z całej duszy pragnęłam dostać się do Świętego Marcina.

Jeszcze bardziej pragnęli tego moi rodzice. Bo widzicie, na dodatek moja nauka byłaby bezpłatna. Jakaś bogata niesłysząca osoba zapisała swój majątek na szkoły dla dziewcząt z zaburzeniami słuchu. Ale kwestia pieniędzy nie była dla mamy i taty najważniejsza. Zależało im na Świętym Marcynie, ponieważ uczennice stamtąd dostawały się wszędzie. Zdawały na studia, znajdowały wspaniałe posady. Byłoby jednak dobrze, gdyby nie musieli płacić za moją szkołę, bo nie mamy zbyt dużo pieniędzy, a nauka Fergala i Cormaca również kosztuje sporo. Wiem, że nie są głusi. Ale im także potrzebne jest wykształcenie.

Firmie taty przez cały czas grozi zamknięcie. Mama, pomimo bólów kręgosłupa, pracuje do późna w supermarkecie, żebyśmy mogli związać koniec z końcem. Wiem, że moja mama chodziła do tej studni w lesie i modliła się, abym odzyskała

sluch, co bylo wlasciwie dosc absurdalne. Jak mozna odwrócic cos, co juz sie wydarzylo? A gdyby nawet, znalazloby sie wielu ludzi w gorszym polozeniu niz ja.

Choc wiec rodzice starali sie z calych sil nie wywierac na mnie nacisku, dręczyl ich niepokoj, co bedzie, jezeli nie zdam tego testu.

Sam test tak naprawde mnie nie martwil. Nie przypuszczalam, by okazal sie szczegolnie trudny. Obejmowal wiedze ogolna i dopasowywanie roznych ksztaltow do pustych miejsc. Nic trudnego. I jeszcze rozpoznawanie przedmiotow na zdjeciach lub rysunkach. Kim, ta dziewczyna, ktora juz sie tam uczyla, powiedziala, ze nie miala z tym duzych klopotow. Tylko z obrazkiem przedstawiajacym latawiec, poniewaz nigdy przedtem nie widziala czegoś takiego - nie bylo jej wolno puszczac latawcow, bo moglaby nie uslyszec, ze z tyłu jedzie samochód, i zginac w wypadku, dlatego nie wiedziala, jak wygladaja. Ale odpowiedziala na wszystkie inne pytania, wiec zdala bez problemu.

Nigdy nie widzialam moich rodzicow tak zdenerwowanych, jak w dniu testu. Mama bez przerwy sie przebierala - kostium, jej zdaniem, byl zbyt oficjalny, w sukience z falbankami wygladala jak pudel, dzinsy sprawialy wrazenie, jakby nie chcialo jej sie zadbać o wyglad. Co powinna wlozyc?

Nie wydawalo mi sie szczegolnie wazne, co bedzie miala na sobie, ani nawet co ja w tym dniu wloze. Byla jednak zupełnie roztrzesiona, a na podlodze w sypialni lezaly porozrzucane rzeczy, jak nigdy dotad. Wiec nie powiedzialam mamie, co mysle, to znaczy, ze jezeli o mnie chodzi, moze wziac czarny plastikowy worek - powiedzialam, ze moim zdaniem najlepszy jest kostium i moze go nieco ozywic, zakladajac rozowa apaszke. Mama przestala sie miotac i obsypala mnie calusami, powtarzajac, ze jestem istnym skarbem i z pewnoscia zdam do szkoly niezaleznie od tego, w co kto sie ubierze.

Tata trzykrotnie zaciął sie przy goleniu i zauwazylam, ze wyglada jak ktos, kto uszedl calo z masakry. Jego oczy niespodziewanie napelnily sie lzami.

— Jesteś taka bystra, Mel. Znasz wspaniale, uczone słowa, jak „masakra”. Musieliby upaść na głowę, żeby cię nic przyjąć do tej szkoły.

Wyruszyliśmy w drogę, mając nerwy w strzępach.

Pojechaliśmy pociągiem z Rossmore do miasteczka, w którym znajdowała się szkoła, potem autobusem pod bramę i dalej pomaszerowaliśmy długą aleją. No cóż, wszystko tu wyglądało fantastycznie: ogromne boisko i otoczony murem ogród, o którym opowiadała mi Kim i w którym każda uczennica miała swoją rabatkę, gdzie mogła posadzić, co tylko chciała. Zobaczyłam przez okno kapitalną pracownię plastyczną i dziewczęta malujące na ścianie, i bardzo pragnęłam znaleźć się wśród nich. Szkoła, do której chodziłam, wydawała się w porównaniu z tą nieciekawą. Tak trudno było skłonić nauczycieli, by pamiętali, że jestem głucha, i tak często mnie kusilo, żeby przestać uważać na lekcjach. Ale gdybym znalazła się tutaj, u Świętego Marcina, uczyłabym się bardzo pilnie, naprawdę bardzo. Tego jednak nie mogłam nikomu powiedzieć. Brzmiałoby to jak prośba albo błaganie.

Wszystko zależało od wyników testu.

Gdy tylko weszliśmy do budynku, moi rodzice musieli natychmiast pójść do ubikacji, a ja stałam w wielkim holu i zaczęłam się rozglądać. Zobaczyłam siebie, przechodzącą tędy przez następne lata. Wyobraziłam sobie przyjaciółki, które odwiedzałyby mnie w domu, a ja jeździłabym do nich z wizytą. Oczywiście nie znosiłyby moich braci, Fergala i Cormaca, ale ja pewnie też bym nie znosiła ich braci i sióstr. Rodzice przyjeżdżaliby do mnie w trakcie semestru, żeby obejrzeć moje rabatki i prace na wystawie plastycznej.

W pewnej chwili nadeszła jakaś kobieta. Najwyraźniej miała już do czynienia z głuchymi, bo odezwała się, dopiero gdy spojrzaliśmy na siebie.

Wyglądała bardzo efektownie, miała długie, ciemne, kręcone włosy i uśmiechała się serdecznie. Była ubrana w niezmiernie wytworną czarną spódnicę i żółtą bluzkę z czarno-

-zółtą broszką. Torbę z książkami powiesiła na ramieniu i obie ręce miała wolne, więc oprócz głosu użyła także języka migowego.

Tego się nie spodziewałam.

Myślałam, że w tej szkole wykładowcy nie pochwalają migania, bo ich zdaniem wstrzymuje nas ono w rozwoju. Podczas lekcji czytania z ruchu warg, trzy razy w tygodniu, powtarzano nam ciągle, że nie powinniśmy się posługiwać językiem migowym.

Ona jednak go użyła, a wyglądała na nauczycielkę. To mógł być jakiś test. A może podstęp? Nie wiedziałam, jak mam postąpić.

Z drugiej strony, może ona sama jest głucha? Grzeczność wymagała odpowiedzi w języku migowym, lecz postanowiłam również odpowiedzieć głosem, żeby pokazać, że potrafię.

Zapytała, czy się zgubiłam.

Odpowiedziałam, używając obu sposobów mówienia, że nie, dziękuję, czekam na rodziców, którzy poszli do łazienki, a potem mamy się zgłosić na egzamin. Uznała, że to świetnie, i dodała, że zobaczymy się później, ponieważ ona również w tym uczestniczy.

Rozejrzała się po obszernym holu i westchnęła leciutko.

- Na pewno lubi pani to miejsce - zauważyłam.

- Bardzo - odparła i w sposobie, w jaki to wyraziła, wychwyciłam cień smutku, jakby zamierzała wkrótce stąd odejść. Kiedy jest się głuchym, człowiek musi tak bardzo się wysilać, by zrozumieć słowa, że przy okazji wylapuje całe mnóstwo innych rzeczy.

Mama i tata strasznie się denerwowali, mylili się, odpowiadając na zwyczajne pytania o proste sprawy przy wypełnianiu formularza. Miałam ochotę zawołać, że to ja mam zdawać test, to u mnie występują kłopoty z porozumiewaniem się i gdyby tylko mogli zobaczyć moją mamę przy kasie w supermarkecie, toby się przekonali, że jest wręcz fantastycznie szybka. A mojego tatę uważają w jego firmie za tak solidnego i godnego za-

ulania, że powierzają mu klucze do wszystkich pomieszczeń, i jeśli ktoś nie może się gdzieś dostać, idzie najpierw do niego. Ale teraz rodzice nie wyglądali na ludzi godnych zaufania, tylko na takich, którzy nie pamiętają, czy są właścicielami domu, czy go wynajmują oraz ile lat mają ich synowie Fergal i Cormac.

W każdym razie ta kobieta z czarnymi kręconymi włosami podeszła do nas i powiedziała, że ma na imię Caroline i chce porozmawiać ze mną o pewnych sprawach. Zada mi kilka pytań.

Na samym początku myślałam, że to jakieś żarty. Pytania dotyczyły rzeczy znanych nawet pięcioletniemu dziecku — kolorów sygnalizacji świetlnej, kto jest premierem Irlandii, jak się nazywa premier Anglii i prezydent Stanów Zjednoczonych, z jakim stworzeniem miał do czynienia święty Jerzy; następne były odrobinę trudniejsze, na przykład, w których częściach ciała można znaleźć naskórek albo rogówkę. A potem zagadki związane z szybkością pociągów i długością peronów.

Zapytali mnie o Rossmore, więc opowiedziałam o tym całym zamieszaniu wokół obwodnicy, która ma przeciąć Głogowy Gaj. Zaznaczyłam, że ją popieram, gdyż obecnie bardzo trudno przejść na drugą stronę ulicy, którą jeżdżą olbrzymie ciężarówki, i rzeczywiście powinno się iść z postępem, a nie spoglądać nieustannie wstecz. Wydawali się zainteresowani, ale tego, oczywiście, nie mogłam wiedzieć na pewno.

Caroline zagadnęła, czy ja sama chciałabym poruszyć jakiś temat, więc zapytałam o język migowy i jakie w związku z nim obowiązują tu zasady, a wtedy wyjaśniła, że wiele niesłyszących osób lubi miganie, ponieważ działa odprężająco, dlatego szkoła Świętego Marcina nic zniechęca uczennic do jego używania, po prostu traktuje je jako drugi język. To mi odpowiadało.

Następnie uprzedziła, że zada trudne pytanie: jeśli malarz pokojowy ma namalować na osiedlu mieszkaniowym numery

od jednego do stu, ile razy wymaluje cyfrę dziewięć? Patrzyłam na nią, oczekując prawdziwego pytania. To było to.

Patrzyłam i czekałam.

- Oto właśnie ono. Nic podchwytliwego - zapewniła.

Ale musiał w tym tkwić jakiś haczyk. Przecież każdy by potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Wstęp do tej wspaniałej szkoły lub wykluczenie z niej nie mogły zależeć od czegoś tak błahego.

Poprosiła mnie o zapisanie odpowiedzi na kartce i zrobiłam to. Popatrzyła, kiwnęła głową, złożyła kartkę i zwróciła się z tym samym pytaniem do wszystkich obecnych.

- Co pani powie? — zagadnęła dyrektorkę szkoły.

Dyrektorka odparła, że dziewięć razy. Wicedyrektorka - że dziesięć. Moja mama uznała, że jedenaście. Ojciec potwierdził, że bez wątplenia jedenaście, bo w numerze dziewięćdziesiąt dziewięć są dwie dziewiątki.

Caroline uśmiechnęła się do nich i spytała:

- Wiecie, jak odpowiedziała Melanie?

Wszyscy spojrzeli na mnie i poczułam, że moje policzki robią się purpurowe.

- Przepraszam - wybąkałam. - Myślałam, że chodzi o każdą pojedynczą, namalowaną dziewiątkę...

- Słusznie - potwierdziła Caroline. - I odpowiedziałś zupełnie prawidłowo, jedyna z obecnych.

Wszyscy zaczęli liczyć na palcach: dziewięć, dziewiętnaście, dwadzieścia dziewięć...

Caroline skróciła ich cierpienia.

- Melanie podała liczbę dwadzieścia. Wszyscy pozostali zapomnieli policzyć dziewięćdziesiąt jeden, dwa, trzy i tak dalej. Dobra robota, Melanie.

Mama i tata z promiennymi uśmiechami unieśli kciuki. Dyrektorka i wicedyrektorka, trzeba im to przyznać, śmiały się z siebie, nieco zawstydzone.

A potem przeszliśmy do rozpoznawania przedmiotów.

Wszystkie były przedstawione na specjalnych kartkach i prawdę mówiąc, na początku szło mi bardzo łatwo: króliki,

domy, słoneczniki, autobusy i tym podobne. Następnie pojawiły się przedmioty nieco trudniejsze. Nie chciałam nabierać zbyt wielkiej pewności siebie, ale te rysunki również nie sprawiły mi szczególnego problemu. Przedstawiały takie rzeczy jak ciężarówka, mikser, skrzypce czy saksofon.

Natrafiłam jednak na coś, czego nie umiałam określić.

Miało trójkątny kształt. Obróciłam nieco kartkę, żeby się lepiej przyjrzeć. Niestety, nadal nic wiedziałam, co by to mogło być, rysunek wyglądał prosto, zbyt prosto; nie zawierał żadnych istotnych wskazówek.

- Obawiam się, że nie mam pojęcia - wyznałam przepaszająco.

Caroline sprawiała wrażenie zawiedzionej. Widziałam to w jej oczach.

- Nie musisz się spieszyć - powiedziała.

Im dłużej jednak wpatrywałam się w rysunek, tym bardziej czułam się dezorientowana. Kto mógłby wiedzieć, co to jest? Zerknęłam na rodziców i ze zdumieniem dostrzegłam, że bardzo mocno trzymają się za ręce. Tata miał zamknięte oczy, a mama tę swoją lekko zirytowaną minę, którą czasami miała przy kasie, kiedy klienci nic rozumieli, co się do nich mówi albo za długo szukali pieniędzy. Uświadomiłam sobie, że moi rodzice wiedzą, co jest na obrazku. Nie mogłam w to uwierzyć. Skąd wiedzieli? Do tego potrzebne było jakieś olśnienie.

- Nie spiesz się - powtórzyła Caroline.

Miała szeroko otwarte oczy i życzyła mi z całej duszy, żebym prawidłowo odpowiedziała. Pozostali byli zdumieni, że nie wiem, wyraźnie to widziałam.

Zaczęli się lekko wiercić, jakby chcieli dać do zrozumienia, że może moje dotychczasowe dobre wyniki to czysty zbieg okoliczności albo znalazłam wcześniej pytania. Nie potrafili nawet rozwiązać prostego zagadnienia, ile malarz namalował dzieł wiatków, a wiedzieli, co jest na tym obrazku!

Wpatrywałam się w trójkąt, aż rozboleły mnie oczy. Czy to miało mi zagrozić drogę do wspaniałej szkoły? Stanać mię-

dzy mną a doskonałym wykształceniem? Czy znajdę się z powrotem w starej szkole, będę wyteżać wzrok i siły, a mimo to przegapię mnóstwo rzeczy? Z powrotem na betonowym podwórzu, a nie tutaj, gdzie mogłabym grać w hokeja trzy razy w tygodniu i mieć własną grządkę w ogrodzie? Już się zastanawiałam, co na niej posadzić, najbliższej muru krzaki pomidorów, dużo karłowatych iglaków, a Z przodu całoroczne, różnokolorowe bratki.

- Nie, przykro mi, ale to mnie przerasta - zwróciłam się do Caroline.

- Spróbuj zgadnąć — poprosiła.

- Dobrze, ale tylko zgaduję - zastrzegłam się.

- To zupełnie wystarczy - zapewniła.

- No więc, może to być cheshire - powiedziałam z wahaniem. - Kawalek sera cheshire wycięty z bloku. Ale może też być cheddar. Nie potrafię rozstrzygnąć, który z nich.

I wtedy sytuacja się zmieniła. Wszyscy wrzuszili się do leż, ściskali sobie ręce i brali mnie w objęcia. Caroline aż płakała, tak jak moi rodzice. Najwyraźniej gdy ja w udręce próbowałam dociec, jaki to gatunek, oni chcieli ode mnie tylko słowa „ser”. Kto by pomyślał? Nie znali gatunku tego sera, chodziło im wyłącznie o to jedno słowo. A fakt, że pytanie wydało mi się zbyt łatwe, omal nie przesądził sprawy.

Pokazano nam sale sypialne i jadalnię, a mama i tata przestali się denerwować i znowu zachowywali się jak normalni ludzie.

- No to do zobaczenia na początku semestru - powiedziała Caroline.

- W i ę c pani tu wróci? - spytałam.

Spojrzała na mnie, zdumiona, że wyczułam jakieś jej wahanie w tej kwestii, choć miała je wcześniej wyraźnie wypisane na twarzy, i odparła, że tak, wróci, właśnie podjęła decyzję. Mniej więcej dziesięć minut temu. I sprawiała wrażenie, jakby jej ulżyło.

Gdy wracaliśmy pociągiem do domu, mama i tata wyjęli kartki i długopisy, żeby sprawdzić, dlaczego malarz namalował

dziewiątkę dwadzieścia razy, a ja wpatrywałam się w kartonik z narysowanym na nim śmiesznym trójkącikiem, kawałkiem sera jak z pułapki na myszy - kartonik, który Caroline podarowała mi na pamiątkę.

Część 2 — Kariera Caroline

Kiedy byłyśmy małe, bardzo często odwiedzała nas ciotka, młodsza siostra naszej mamy. Nigdy jednak nie mówiłyśmy do niej „ciociu”, bo odpowiadała, że czuje się wtedy wiekową staruszką. Zawsze nazywałyśmy ją Shell.

Była naprawdę czarująca ta Shell i opowiadała nam, mnie oraz mojej siostrze Nancy, przeróżne rzeczy, których nigdy nie usłyszałybyśmy od mamy, na przykład, że mężczyźni szaleją za dziewczętami noszącymi czarne buty na bardzo wysokich obcasach, mającymi bujne, lśniące włosy i usta umalowane jaszkrawoczerwoną szminką. Sama stosowała się do tych reguł, wyglądała olśniewająco i zawsze krążyło wokół niej wielu mężczyzn. Ale często się zmieniali, jak zauważyła moja mama, ponieważ Shell była najwyraźniej istotą dość płochą. Nieustannie dokądś wyjeżdżała, a potem wracała.

Płochą czy nie, ogromnie się nami interesowała, wyskubywała nam brwi i kupiła dla nas obu staniki podnoszące biust. Tłumaczyła, że świat jest pełen najrozmaitszych możliwości i musimy z nich korzystać, a tego nikt inny nam nie mówił. Nasi rodzice zawsze powtarzali, że mamy uczyć się pilnie i z nikim nie zadzierać, to samo słyszałyśmy od babć i w szkole.

Shell była jednak kobietą niezależną. Życie, jej zdaniem, kryło w sobie mnóstwo obietnic i musiałyśmy być gotowe, by chwytać w locie to, co się nadarzy. Poprawiała nam samopoczucie i dostarczała emocji, ale jedno mnie niepokoiło.

Często, kiedy byłyśmy same, Shell mówiła mi, że nie powinienam zawracać sobie głowy karierą zawodową czy czymś w tym rodzaju. Że jestem ładniutka i wyjdę za mąż w wieku lat dwu-

dziestu, tylko muszę się upewnić, że złapałam porządnego faceta z dużymi pieniędzmi. Wcale mi się to nie podobało, bo trudno, żeby coś takiego podobało się dwunastoletniej dziewczynce. To znaczy, samo stwierdzenie, że ponieważ mam ładniejszą buzię niż Nancy, nie muszę się uczyć, a ona musi... było w tym coś takiego, czy ja wiem... co sugerowało, że wszystko zależy od wyglądu.

Ale spieranie się z Shell nie miało sensu, więc nic nie mówiłam, tylko zgodnie kiwałam głową.

Po ukończeniu szkoły dostałam się do studium zawodowego przygotowującego do uczenia dzieci głuchych. Nancy zaczęła studiować ekonomię i politykę na uniwersytecie. Shell związała się wtedy z bardzo zamożnym facetem i zafundowała nam obu wakacje. Nancy pojechała do Włoch na wycieczkę tropami dzieł sztuki, ja zaś - na narty do ekskluzywnego kurortu, gdzie poznałam Laurence'a.

Laurence pracował jako adwokat w bardzo znanej kancelarii. Był wysokim, przystojnym, ciepłym mężczyzną o ciemnych, kręconych włosach i zniewalającym uśmiechu. Każdego wieczoru rozśmieszał do łez wszystkich przy stole. Dziewczyny prowadzące ośrodek narciarski mówiły, że dałyby mu pokój za darmo, taki jest miły i zabawny.

Już pierwszego dnia powiedział mi, że jestem po prostu zachwycająca - takiego użył określenia - i powtarzał to tak często, że niemal mu uwierzyłam...

Shell zawsze twierdziła, iż niektórzy mężczyźni są zbyt doskonali, by byli prawdziwi, i najmądrzejsza rzecz, jaką można zrobić, to wytropić ich wady na samym początku, dzięki czemu później przeżyje się mniejsze rozczarowanie.

Więc dobrze, pomyślałam, spróbujmy dostrzec jego wady. Był bardzo przystojny, a przystojni mężczyźni podobno są próżni. Nie sprawiał takiego wrażenia, lecz musiałam o tym pamiętać jako o ewentualnej wadzie. Stawał się odrobinę niecierpliwym wobec ludzi zbyt powolnych na stoku albo takich, którzy nie w pełni rozumieli rozmowę przy kolacji. Ale dla

mnie zawsze miał mnóstwo czasu i wszystko go interesowało - moje studia, rodzina, nadzieje, marzenia. Bardzo go również interesowało pójście ze mną do łóżka.

Oświadczyłam mu, że nic robię takich rzeczy na wakacjach.

- W i ę c po co tutaj przyjechałaś? - zapytał z irytacją.

- Pojeździć na nartach - odparłam z prostotą.

O dziwo, przyjął moje wyjaśnienie i przestał zawracać mi głowę. Przypuszczałam, że nigdy więcej o nim nic usłyszę, dlatego byłam bardzo zaskoczona, kiedy zadzwonił do mnie dwa tygodnie po powrocie z wakacji.

Mieszkał zaledwie osiemdziesiąt kilometrów ode mnie, w miejscowości o nazwie Rossmore, więc kilka razy zjedliśmy razem kolację, a później zapytał, czy mogłabym wybrać się z nim na weekend do hotelu w angielskiej Krainie Jezior.

Odparłam, że byłoby wspaniale, dziękuję, na pewno mi się tam spodoba.

Było wspaniale i bardzo mi się podobało.

Zaprosił mnie, żebym poznała jego bliskich; okazali się ludźmi wytwornymi, lecz nie przytłaczającymi.

Ja również zaprosiłam go, by poznał moją rodzinę, i naturalnie Shell przyjechała go obejrzeć. W kuchni przyłożyła palce do ust i posłała całusa w powietrze.

— Rozkoszny, Caroline, oto jaki on jest. A nie mówiłam, że wyjdiesz za mąż przed dwudziestymi pierwszymi urodzinami i nie będziesz musiała się przejmować karierą zawodową?

Popatrzyłam na nią z otwartymi ustami. Przecież robiłam karierę zawodową. Zamierzałam uczyć w szkole dla głuchych, mój staż rozpoczynał się we wrześniu. Co Shell miała na myśli, mówiąc, że nie muszę się przejmować?

Jak zwykle jednak nie skomentowałam tego ani słowem.

Potem natomiast sprawy przybrały inny obrót. Laurence i ja pobraliśmy się we wrześniu i tyle było zamieszania z kupowaniem i urządzeniem domu, że wszyscy uznali, iż lepiej będzie odłożyć mój staż na później. Następnego roku zaszłam w ciążę, więc nie mogłam zaczynać pracy.

No a potem zajmowałam się Alistairem i byłoby idiotyzmem próbować dopasować do tego godziny nauczania. Kiedy **poszedł** do szkoły, rozglądałam się za jakimiś przedpołudniowymi lekcjami, ale nie znalazłam nic w pobliżu, w okolicach Rossmore.

Nie myślcie, że za wszelką cenę pragnęłam wyrwać się z domu i iść do pracy albo że czułam się znudzona, bo naprawdę było zupełnie inaczej. Dzień wydawał mi się zbyt krótki. Laurence często telefonował i pytał, czy mogłabym pójść z nim na lunch; ciągle powtarzał, że jestem zachwycająca i zawsze mnie podziwiał. Przebywanie z nim i umiłanie mu życia dawało mi wiele radości.

Nigdy nic brakowało nam pieniędzy. Miałam pełnoetatową gosposię i ogrodnika. Regularnie chodziłam na siłownię, czesałam się u Fabiana i robiłam manikiur; w każdy piątek wydawaliśmy proszoną kolację.

Gości zawsze przychodziło ośmioro; należeli do nich starsi wspólnicy Laurence'a oraz miejscowi przedsiębiorcy, a czasami, gdy było o jednego mężczyznę za dużo, zapraszaliśmy Shell, która - zdaniem Laurence'a - dobrze wypadła podczas takich przyjęć. Nauczyłam się przyrządzać bardzo wykwintne posiłki: znalazłam dziesięć rodzajów przystawek i dziesięć różnych dań głównych, a oprócz tego zapisywałam, co podałam gościom, żeby następnym razem nie jedli tego samego. Na drugim końcu oświetlonego świecami stołu Laurence unosił ku mnie kieliszek.

- Cudownie, Caroline, bardzo ci dziękuję - mówił, a inne kobiety przy stole spoglądały na mnie z zazdrością.

Już na samym początku postanowiliśmy mieć tylko jedno dziecko, lecz gdy trzymałam Alistaira w ramionach, zaczęłam rozmyślać, czy nie powinniśmy postarać się o więcej. Laurence był temu przeciwny i łagodnie przedstawił mi wszystkie argumenty. Zawsze uważaliśmy, że jedno dziecko w zupełności wystarczy. Alistair był bardzo szczęśliwy i miał mnóstwo przyjaciół - nic usychał z tęsknoty za siostrzyczką albo braciszkiem. W tej sytuacji moglibyśmy poświęcić więcej czasu sobie nawza-

jem, czego pragnęliśmy najbardziej. To brzmiało całkiem sensownie, zgadzałam się z nim i nic odnosiłam wrażenia, by ktoś mnie do czegokolwiek zmuszał.

Zanim się obejrzałam, Alistair skończył jedenaście lat i nadzedł czas wysłania go do szkoły z internatem. Nie podobał mi się ten pomysł, uważałam, że to dość okrutne. Laurence'owi jednak bardzo zależało, żeby nasz syn uczył się tam, gdzie kiedyś on sam i jego ojciec. Zawiózł mnie kilkakrotnie do tej szkoły i pokazał, gdzie wypalił pierwszego w życiu papierosa i zagrał po raz pierwszy w rugby, a także zaprowadził do biblioteki, w której przesiadywał, by uzyskać najlepsze stopnie. Zapewnił, że był tam bardzo szczęśliwy, stał się dorosły i poznał większość przyjaciół, ludzi, z którymi nadal utrzymywał kontakty. Mogliśmy tam jeździć co drugi weekend, nocować w hotelu i zabierać Alistaira i jego kolegów na wspaiałe lunchy.

Zapytałam Alistaira, czego naprawdę chce. Zrobiłam to, kiedy byliśmy sami w ogrodzie. Powiedziałam, że może mi wyznaczyć całą i najszczerszą prawdę, ponieważ chodzi tu o jego życie.

Popatrzył na mnie ogromnymi brązowymi oczyma i odparł, że bardzo by chciał pojechać do tej szkoły.

To zamknęło sprawę.

Wówczas zaczęłam szukać pracy.

Z największą chęcią zatrudniłabym się jako nauczycielka w szkole Świętego Marcina. Cóż, każdy by chciał pracować w tym miejscu. Dokonywano tam cudów, większych niż te, które nastąpiły za przyczyną studni Świętej Anny w lesie, dokąd zabierałam Alistaira, żeby się pobawił, i psy, żeby się wybiegały. Ale u Świętego Marcina nie mieli wtedy wolnych etatów.

W Rossmore nie było specjalnej szkoły dla głuchych, stworzono jednak specjalne klasy u Świętej Ity i Braci. Dzieciaki okazały się fantastyczne, ja zaś, jak każda początkująca nauczycielka, robiłam wszelkie możliwe błędy i zyskałam dużo wiedzy owego pierwszego roku.

Nabrałam wprawy w przekazywaniu innym obowiązków, tak że dom i ogród wyglądały doskonale beze mnie, zorgani-

zowałam dostarczanie zakupów w każdy piątek i nie przestałam urządzać proszonych kolacji.

Kiedy moja teściowa mówiła, jakie to wspaniałe, że poszłam do pracy - tonem oznaczającym coś wręcz przeciwnego - celowo udalam, że nie rozumiem, i podziękowałam jej za słowa pochwały.

Staralam się czesać u Fabiana w porze lunchu i spróbowałam zaadaptować mały, ciemny pokój, który niegdyś służył nam jako składzik, na gabinet dla siebie, żeby moje papiery, laptop i inne rzeczy nie leżały porozrzucane po domu. Skończyły się lunche-niespodzianki z Laurence'em w eleganckich włoskich knajpkach i długie wyprawy po zakupy z kartą kredytową. Przekonałam się, jak każda pracująca żona, że jeśli siedzę do późna i nie uprzątnę, na przykład, brudnych naczyń, mam nazajutrz rano kupę cholernie uciążliwej roboty przed wyjściem do szkoły.

Co drugi weekend odwiedzaliśmy Alistaira, który miał mnóstwo kolegów, należał do klubu szachowego i grupy ornitologów-amatorów, więc pogodziłam się z myślą, że to dla niego najlepsze rozwiązanie. W domu nie moglibyśmy mu zapewnić podobnych zajęć.

Słuchałam, jak kobiety w szkole mówią o swoich mężach, partnerach lub przygodnych facetach, z którymi miały do czynienia. Każde słowo utwierdzało mnie w przekonaniu, że Laurence to prawdziwy skarb. Ciepły, pełen entuzjazmu mężczyzna, który opowiada mi wszystko o swojej pracy, dzieli się ze mną każdym przeżyciem, powtarza, że jestem urocza, a nawet zachwycająca - nadal określał mnie w ten sposób, ku memu zakłopotaniu, gdy mówił tak przy ludziach. Właściwie nic wiedziałam, dlaczego te opowieści są mi potrzebne, by się upewnić, jaki on jest cudowny.

Wysłuchiwałam historii o niewierności mężczyzn. Wiele kobiet, nawet obytych w świecie, odwiedzało studnię Świętej Anny z nadzieją, że jakieś czary poprawią sytuację w ich małżeństwach. A ja po prostu wiedziałam, że Laurence mnie nie

zdradza. I był równie kochający i żarliwy, jak przed laty w ośrodku narciarskim, kiedy trzymałam go na dystans. Czasami, gdy czułam się zmęczona, musiałam przestudiować notatki albo wstać wcześniej rano, nie potrafiłam odwzajemnić jego miłosnego zapалу i miałam nadzieję, że może będzie znużony, śpiący albo na chwilę straci zainteresowanie. Ale opowieści koleżanek uświadomiły mi, jakie niebezpieczeństwa czyhają na tej drodze.

Moja siostra Nancy często powtarzała, że z pewnością jestem największą szczęściarą pod słońcem. Podobnie nasza ciotka Shell. I moja matka, i matka Laurence'a.

Oczywiście, że byłam.

Pragnęłam tylko, żeby okazywał nieco więcej zainteresowania moją pracą. Bo mnie jego praca bardzo interesowała. Wypytywałam go o sprawy sądowe i pomagałam wyszukiwać informacje w protokołach. Znałam wszystkich współników, potencjalnych współników, rywali, sprzymierzeńców. Omawiałam z nim bez końca datę jego ewentualnego przystąpienia do spółki, co miało nastąpić w ciągu półtora roku.

Przekonałam go, aby nie mówił Alistairowi, że w kancelarii jest już pokój z jego imieniem na drzwiach. Laurence myślał, że dzięki temu Alistair poczuje się bezpiecznie; ja zaś uważałam, że może poczuć się jak w potrzasku.

Laurence przedyskutował ze mną całą sprawę przy butelce wina — była to dyskusja, nie sprzeczka. Zawsze wykazywał dużo rozsądku i starał się zrozumieć mój punkt widzenia. Może mam słuszość, może nasz syn potrzebuje większej swobody, szansy na realizację własnych nadziei i marzeń, jak my wszyscy. Kiedy Laurence przemawiał w ten sposób, zadawałam sobie pytanie, dlaczego, na miły Bóg, tak często budzę się o trzeciej nad ranem i martwię?

Przecież z pewnością nie miałam czym.

Nieoczekiwanie, gdy rozmyślałam o szkole Świętego Marcina, zdałam sobie sprawę, co mnie drażni. Laurence po prostu nie pojmował, na czym polega praca nauczyciela. Nie ogarniał tych wszystkich wspaniałych rzeczy, które robiono

w szkole dla głuchych dziewcząt. Staral się wykrzesać z siebie zainteresowanie, kiedy opowiadałam o arkuszach ocen i o tym, że tak wiele uczennic uzyskuje stanowiska, z których w pełni sprawne dzieci bardzo by się cieszyły.

Staral się. Widziałam, że się stara, ponieważ rozumiał, jakie to dla mnie ważne, i chciał dzielić mój entuzjazm. Powtórzył chyba ze sto razy, iż ilekroć słyszy moje opowieści, dziękuje Bogu, że nasz Alistair nie jest głuchy. A ja nie o tym mówiłam, napomykałam czy choćby myślałam.

Gdyby Alistair był głuchy, przy dzisiejszym postępie technicznym mógłby mimo wszystko mieć wspaniałe życie. Laurence tego nie rozumiał. Myślał, że chodzi o kręcenie głową, cmokanie i dziękowanie za błogosławieństwa losu, co doprowadzało mnie do szału.

Pojawiła się przede mną możliwość uzyskania wyższego stopnia zawodowego. Potrzebowałam dodatkowej praktyki i szkoła **Świętego** Marcina, najlepsza z najlepszych w swojej specjalności, proponowała mi sześć godzin tygodniowo. Przypuśćmy, tylko przypuśćmy, że odniosę znaczący sukces... wtedy prawie na pewno zechcą mnie zatrudnić w pełnym wymiarze godzin.

Byłam podekscytowana jak nigdy i niecierpliwie wyczekiwałam powrotu Laurence'a, żeby mu o tym powiedzieć. Wrócił niezmiernie przejęty wydarzeniami w biurze. Jeden z głównych współpracowników złożył rezygnację. Decyzja była zupełnie niespodziewana i nic w jego stylu. Opowiedział jakąś bajeczkę, że jedzie do Arizony odnaleźć siebie. Akurat. Facetowi pomieszało się w głowie.

Pamiętałam tego człowieka. Nudnawy osobnik z równie nieciekawą żoną, która zapewne nie wybierała się do Arizony, by towarzyszyć mu w poszukiwaniach. Słuchałam, wierząc się gorączkowo, o konsekwencjach owego wydarzenia, o zmianach stanowisk i przeszerogowaniach, o tym, że ktoś przejmuje sprawy notarialne, a ktoś inny wrócił do łask.

W końcu zdałam sobie sprawę, że oznacza to wyczekiwany i upragniony awans dla Laurence'a. Nareszcie miał zostać peł-

noprawnym współnikiem. Staralam się **okazać** radość, zapewniłam mojego męża, że nie jest sępem, ponieważ ten nudziarz, który leciał do Arizony odnaleźć siebie, czynił to niewątpliwie z własnej woli i najprawdopodobniej w towarzystwie kobiety o dwadzieścia lat młodszej niż jego żona.

- **W i e l e** się przez to zmieni w naszym życiu - oznajmił Laurence dźwięcznym głosem. - Przede wszystkim będziemy częściej podejmować gości, ale ty robisz to znakomicie, Caroline, i takie zajęcia sprawią ci przyjemność, bo na pewno czujesz się samotna, odkąd Alistair wyjechał do szkoły.

Nie wiem, jak wy byście postąpili, ale ja postanowiłam nie wspominać o swoich zamiarach i praktyce u **Świętego** Marcina. Nic tego wieczoru. To miał być wieczór Laurence'a. Nalałam do wanny gorącej wody z dodatkiem olejku sandalowego i przyniosłam martini do popijania podczas kąpieli. Potem wyjęłam z lodówki i przyrządziłam polędwicę, otworzyłam butelkę wina, przebrałam się w krótką czarną sukienkę i zapaliłam świecę. Usłyszałam od Laurence'a co najmniej dwadzieścia razy, że jestem zachwycająca, że mnie uwielbia i większego szczęściarza niż on nie ma w tym zawodzie ani w ogóle na całym świecie.

Minęły cztery dni, zanim mu powiedziałam, a gdy to zrobiłam, wprowiłam go w osłupienie.

- W żadnym razie nie możesz pracować w szkole **Świętego** Marcina, Caroline, to osiemdziesiąt kilometrów stąd - zaprotestował.

- Mam samochód i wkrótce wybudują tę **nową** trasę, więc przejazd nie zajmie mi **dużo** czasu - odparłam niefrasobliwym tonem, tłumiąc wielkie rozczarowanie **jego** reakcją.

- **A l e** te odległości, kochanie! Myślałem... wydawało mi się, że...

- Doskonale sobie poradzę - przerwałam mu, **z całych** sił starając się nie rozplakać.

- **A l e** dlaczego, Caroline, moja najmilsza, dlaczego chcesz brać takie brzemię na swoje barki, kiedy mamy tu razem tyle do zrobienia?

Udało mi się nie odezwać, co było bardzo trudnym osiągnięciem. Co mieliśmy razem do zrobienia? Nic.

Dla mnie samej mogły się znaleźć w domu zajęcia takie, jak nadzór nad dalszym urządzeniem wnętrza, odnawianiem czy zmianą obić. Budowa oranżerii, być może poszerzenie brukowanego patio, żeby więcej gości mogło tam popijać kir royal podczas letnich proszonych kolacji.

- Czemu nic nie mówisz, moja najmilsza? - spytał zaintrygowany.

- Trochę mi się kręci w głowie, Laurence, pójdę się położyć — odpowiedziałam i udawałam, że śpię, kiedy przyszedł do pokoju pełen troski i długo gładził mnie po twarzy i ramionach.

Następnego dnia sam poruszył ten temat przy śniadaniu.

Ja jednak miałam za sobą siedem bezsennych godzin, wypełnionych przemyśleniami, więc byłam przygotowana.

- Zamierzam podnieść swoje kwalifikacje i odpracować sześć godzin tygodniowo u Świętego Marcina, Laurence, a pod koniec roku okaże się, czy uzyskam tam pełny etat czy nie. Może się okazać, że wcale mnie nie zechcą. Albo że odległość jest rzeczywiście zbyt duża. Ale ten rok nauki to dla mnie coś, z czego nie mogę i nie chcę zrezygnować.

Następnie przeszłam z pozorną swobodą do tematu przyjęcia z barbecue, które zamierzaliśmy urządzić w następnym weekend, kiedy Alistair przyjedzie ze szkoły.

Wydawało mi się, że Laurence spojrzal na mnie z podziwem, jak na kolegę prawnika, który wygłosił trafne spostrzeżenie w omawianej sprawie.

Ale mogło być zupełnie inaczej. Jestem z natury niepoprawną optymistką.

Tamten rok istotnie okazał się trudny, nie można temu zaprzeczyć. Muszę przyznać, że wciąż pamiętam godziny nocnej jazdy w deszczu i skrzypiący odgłos wycieraczek na przedniej szybie, a także mój zirytowany głos, kiedy wydawałam przez telefon komórkowy instrukcje w sprawie posiłku.

Laurence został współnikiem, a ten człowiek, który zamierzał odnaleźć siebie w Arizonie, istotnie wyruszył na poszukiwania bez żony, za to z młodszą pracownicą zatrudnioną dorywczo w biurze.

Moje zajęcia w szkole układały się doskonale, uczyliśmy nasze podopieczne mówić. Wciąż na nowo przekazywaliśmy istotę rzeczy i słowa osobom pozbawionym słuchu i nigdy nie udało mi się dokonać nic bardziej ekscytującego. Przepadałam za szkołą Świętego Marcina i chyba zyskałam uznanie zarządu, gdyż pod koniec tego wyczerpującego roku zawiadomiono mnie, że z całą pewnością skłonni są mi zaproponować pełny etat.

Chcieli wiedzieć, czy nie życzylabym sobie kawalerki na terenie szkoły, jak kilka innych nauczycielek, na wypadek złej pogody i nadmiernego zmęczenia odległością, korkami oraz długimi godzinami spędzonymi w drodze.

Odparłam, że dam im znać. Już wkrótce.

Wydawaliśmy uroczystą i wystawną kolację dla współników i ich żon i weszłam do domu zapewne dwadzieścia minut przed pierwszymi gośćmi. Zdażyłam się tylko przebrać, zostawić w kuchni dodatkową śmietankę kupioną po drodze, poprzekładać kartki z nazwiskami na właściwe miejsca i ułożyć tartinki ze sklepu na dużych owalnych półmiskach, ozdobić je tu i ówdzie ziołami z ogródków szkoły Świętego Marcina i posypać natką pietruszki.

- Czyż twoja żona nie jest genialna? - zwrócił się do Laurence'a jeden ze współników.

- Cudownie, cudownie, Caroline. - Laurence uniósł kieliszek.

- W dodatku ma ciekawą pracę - zauważyła któraś z żon piskliwym głosem.

- Tak, nie mogę pojąć, po co ona to robi - powiedział Laurence.

Popatrzyłam na niego wstrząśnięta.

- No bo w istocie rzeczy to tylko pogarsza moją sytuację podatkową. Kiedy urzędnicy skarbowi widzą, że „żona wypraco-

wała dochód", ogarnia ich gorączkowe podniecenie i spadają na mnie jak tona cegieł. I właściwie po co? Ale ona z tego nie zrezygnuje. **Prawda**, kochanie? - Obdarzył mnie pobłażliwym uśmiechem.

Uśmiechnęłam się do niego.

Nie zniechęciłam go. Oczywiście, że nie. Nie można zniechęcić Laurence'a. I pod pewnymi względami miał słuszość. Może próbowałam mu po prostu pokazać, że żyję własnym życiem. Może to wszystko było tylko stratą czasu.

Mnóstwo ludzi zajmowało się uczeniem głuchych. Być może głusi nawet woleli, kiedy nazywało się ich głuchoniemymi; kiedy nie naklanialiśmy ich, żeby oddychali prawidłowo, i nie zmuszaliśmy do wydawania dźwięków.

Kto wie?

Odłożyłam decyzję do następnego tygodnia. Na razie postanowiłam o tym nie myśleć.

Rozmawialiśmy o nowej drodze. Głosy zaczęły się podnosić. Jedni goście mówili, że to barbarzyństwo, inni, że absolutna konieczność. Napomknęłam o starej studni w lesie. Głosy podniosły się jeszcze bardziej.

Jedni twierdzili, że to absurdalny i niebezpieczny przesąd, inni - że stanowi nieodłączną część tradycji tego kraju. Skierowałam zatem delikatnie rozmowę na temat, co do którego wszyscy wyrażali zgodne opinie, jak na przykład ceny nieruchomości. **Podaliśmy** też trufle czekoladowe, kupione podczas przerwy na lunch. W kuchni pougniatałam je lekko, żeby wyglądały nierówno, i obtoczyłam w kakao i siekanych orzechach. Wszyscy myśleli, że **są** domowej roboty.

- Cudownie, Caroline. - Laurence znowu uniósł kieliszek.

- Laurence - odparłam, unosząc własny.

Serce miałam jak z ołowiu.

Myślałam, że robię karierę w swoim zawodzie, a tymczasem prawdopodobnie kręciłam się jedynie w kółko bez celu. Udało mi się nie westchnąć na myśl o niespełnionym marzeniu. Świat pełen jest ludzi, których marzenia się nie ziściły.

Nic chciało mi się sprzątać wszystkiego tego samego wieczoru. Następnego dnia miałam niewiele zajęć.

Nazajutrz rano, wypucowawszy dom do połysku, pojechałam niespiesznie do Świętego Marcina. Poproszono mnie o obecność na egzaminie kandydatki do stypendium. Dziewczynki o imieniu Melanie, która sprawiała wrażenie bardzo zdolnej.

Nie wymagało to wielkiego wysiłku, a co więcej, zapowiadało się przyjemnie. No i w końcu mógł to być jeden z moich ostatnich egzaminów.

Zabawne, naprawdę, że właściwie nigdy nie wiadomo, kiedy coś się wydarzy. Gdy zobaczyłam, czego ta mała Melanie już dokonała i jak wiele możemy jeszcze z nią zrobić, decyzja zapadła sama.

Przyjmiemy ją do Świętego Marcina. Wiedziałam o tym, a także wiedziałam, że tu wrócę, by obserwować, jak dziewczynka się rozwija i nabiera pewności siebie. Tym właśnie miałam szczerzy zamiar się zajmować, to pragnęłam robić.

Tak jak Laurence pragnął prowadzić kancelarię adwokacką.

Szare strefy przestały istnieć. Nic nie zapowiadało końca świata. Klótnie i scysje były wykluczone. Wszędzie w tym kraju ludzie żyją w związkach małżeńskich, a jednocześnie realizują swoje marzenia. Nie muszą wybierać między jednym a drugim. Znajdziemy jakieś rozwiązanie. Oczywiście, że znajdziemy.

Dziwne, ale ta bystra dziewczynka zdawała się wszystko rozumieć, zupełnie jakby widziała tryby mechanizmu w moim umyśle, które nareszcie wskoczyły na właściwe miejsce.

- Więc pani tu wróci? - spytała od niechcienia, zaledwie chwilę po tym, jak podjęłam decyzję.

A ja uśmiechnęłam się szczerze po raz pierwszy od wielu tygodni. Bo teraz już wiedziałam, że klamka zapadła.

Droga, lasy i studnia — 3

Eddie Flynn czekał po mszy przed kościołem na swojego brata.

- Brianie, czy mógłbym zamienić z tobą słowo? - zaczął.

- Nie, jeśli to słowo brzmi „unieważnienie” - odparł ksiądz, nie zwalniając. Szedł właśnie do Skunksa Slattery'ego po gazetę. Stamtąd zamierzał udać się prosto do domu.

- Wiesz, że nie brzmi. — Eddie niemal podbiegał, by dotrzymać kroku Brianowi. - Zwolnij trochę, to nie marszobiegi na poligonie.

- Idę na śniadanie, jestem głodny, mam dzisiaj wiele spraw do załatwienia, więc mów, co chcesz powiedzieć, jeśli uważasz to za konieczne... - Ksiądz Flynn z determinacją podązał naprzód, co kilka kroków pozdrawiając parafian.

- Cieszysz się tutaj taką popularnością, że powinieneś się zająć polityką - burknął Eddie, gdy znowu przystanęli, bo jego brat życzył komuś powodzenia na egzaminie, a komuś innemu szczęścia na wyścigach z nowym chartem.

- Słusznie. Napijesz się kawy? - zagadnął Brian, gdy weszli do kuchni.

- Myślałem, że masz kogoś, kto ci szykuje śniadania. Nie pracuje tu jakiś Rosjanin czy ktoś w tym rodzaju? - Eddie wydawał się rozczarowany.

Jego brat wrzucił na patelnię trzy plastry bekonu i pomidora, a teraz obracał je wprawnie.

- Josef, który jest Łotyszem, tak się składa, a nie Rosjaninem, zajmuje się kanonikiem, nie mną.

- Kanonik powinien się znaleźć w domu opieki - oświadczył Eddie.

- A więc i z nim Naomi niezbyt się poszczęściło, prawda? - uśmiechnął się ksiądz Brian.

- Daj spokój. Chciałem cię zapytać o studnię.

- O studnię?

- No tak, o studnię, człowieku, w końcu to twój teren. O świętą studnię, błogosławioną studnię czy jak tam się ją nazywa. Pytam, czy wypuszczą ją z rąk?

- Czy kto wypuści ją z rąk? - stropił się ksiądz Flynn.

- O Boże, Brianie, jaki ty jesteś tępy. Czy twoi ludzie wypuszczą ją z rąk, Kościół, katolicy, papież i tak dalej?

- A h a , rozumiem, moi ludzie - powiedział ksiądz Flynn.

- Papież nigdy o niej nie wspomniał, o ile mi wiadomo, a jeśli nawet, zasadnicza treść jego wypowiedzi jeszcze do nas nie dotarła. Na pewno nie zjesz plasterka bekonu?

- Nie, nie chcę bekonu i ty też nie powinieneś zatykać sobie nim arterii. - Eddie Flynn okazywał wyraźną dezaprobatę.

- Prawda, ale ja nie mam aż tylu towarzyskich obowiązków, nie muszę uszczęśliwiać swoją osobą tak wielu dam.

- Mówię poważnie, Brianie.

- Ja również, Eddie. Zazwyczaj bywam najszcześniejszy, gdy mogę usiąść sobie spokojnie przy śniadaniu i poczytać gazetę. A teraz ty siedzisz u mnie w kuchni i czepiasz się wszystkiego...

- P e w n i ludzie zaproponowali mi miejsce w konsorcjum - oznajmił Eddie bardzo poważnym tonem. Zdawał się oczekiwać reakcji pełnej podziwu.

- A l e czy nie na tym polega twoja praca, Eddie? Jesteś przedsiębiorcą, zawsze uczestniczysz w jakichś interesach.

- T e r a z mam szansę naprawdę dobrze zarobić. I faktycznie potrzebuję pieniędzy. Wiesz, ile będzie kosztowało to całe wesele? - Eddie sprawiał wrażenie poruszonego.

- Zwykły ślub cywilny? Zapewne niewiele - skonstatował Brian.

- O nic, mamy umówionego jakiegoś księdza-dysydenta i ktoś udostępni mu kościół na czas udzielenia sakramentu, będą drużyna, druźbowie, huczne przyjęcie, pełny zestaw. A Kitty przez cały czas przysyła mi rachunki za szkołę. Boże, potrzebuję tej szansy, dlatego muszę wiedzieć, co jest grane z tą studnią.

- Słuchaj, Eddie, może jestem tak tępy, jak twierdzisz, ale co właściwie musisz wiedzieć o studni?

- No dobra, powiem ci, ale w zaufaniu, tajemnica spowiedzi, te rzeczy. Nowa droga zostanie zbudowana niezależnie od wszelkich protestów, a my wykupiliśmy po kawalku dużą część ziemi, to tu, to tam. Kiedy przyjdzie nakaz wywłaszczenia, wszyscy będą musieli negocjować z nami, więc możemy zdobyć majątek, jest tylko jeden szkopuł: niektórzy trochę się obawiają, że ta cholerna studnia w lesie spieprzy cały interes.

- M o ż n a nie przepadać za tą studnią, lecz nie używałbym w odniesieniu do niej takiego słownictwa - zauważył z dezaprobatą ksiądz Flynn.

- No dobrze. Ale wiesz, o co mi chodzi. I na pewno nie należysz do najszczerzych wyznawców tej studni. Czy jednak nie wynikną jakieś problemy? To ma dla nas istotne znaczenie. Nikt nie chce ściągnąć sobie na głowę tłumy religijnych fanatyków.

- N i c mi na ten temat nie wiadomo. - Brian Flynn zaczął zmywać naczynia.

- Ależ wiadomo, Brian.

- Nie, bo udało mi się do niczego nie mieszać. Z rozmysłem. Nie popieram żadnej strony w tym sporze. Wyplątałem się z całej sieci, więc zwracasz się teraz do jedynego mieszkańca Rossmore, który nie ma na ten temat zdania.

- Przecież się orientujesz, czy wybuchnie zamieszanie, czy też sprawa po prostu przycichnie. Masz wycucie w takich sytuacjach, a my musimy wiedzieć. No bo...

- „My” to znaczy konsorcjum, które inwestuje pieniądze w tę ziemię?

- Niech wielebny nie drwi sobie z tego. Mnóstwo pieniędzy poszło na twoje wykształcenie, chyba nie zaprzeczysz? A jeśli będę zabezpieczony finansowo, kamień spadnie ci z serca, a ciężar z barków.

- Nie jesteś dla mnie ciężarem, Eddie, nigdy nie byłeś.
- Książd Flynn zirytował się, ale dokładał wszelkich starań, by tego nie okazać. - A teraz, jeśli to wszystko, muszę się zająć swoją pracą.

- Pracą? Jaką pracą? - prychnął drwiąco Eddie. - Przecież w naszych czasach nikt nie zawraca sobie głowy Panem Bogiem, więc chyba nie masz nic do roboty. Nigdy w życiu nie przepracowałaś tak naprawdę ani jednego dnia.

- Jasne, Eddie, niewątpliwie masz rację. - Brian Flynn westchnął ciężko i spakował aktówkę.

Zamierzał odwiedzić matkę i pokazać jej kilka starych fotografii, które, jak dowiedziała się Judy od psychologa, mogły odświeżyć wspomnienia i pobudzić pamięć.

Zamierzał zawieźć Lilly Ryan i jednego z jej synów w odwiedzinach do Aidana siedzącego w więzieniu. Aidan Ryan w jednej ze spokojniejszych chwil ustąpił i zgodził się na spotkanie z żoną.

Zamierzał również wstąpić z komunią do Marty'ego Nolana i jeszcze jednego staruszka w tamtej okolicy; otworzyć w szkole Świętej Ity wielokulturowy Dzień Światowej Żywności, imprezę na rzecz głodujących na całym świecie, rzucić pierwszą piłkę podczas meczu między Braćmi a Świętym Michałem, pojechać do Wrzosów i Paproci, by obejrzyć odnowioną salę modlitw i medytacji. Nie nazywano jej kaplicą, ale to tam Brian odprawiał dla nich niedzielne nabożeństwa.

Może Eddie miał słuszość i to istotnie nie była prawdziwa praca. Ale z całą pewnością sprawiała takie wrażenie.

Judy Flynn modliła się przy figurze świętej Anny przez osiem dni. Został jej jeszcze jeden.

Pobyt w rodzinnym mieście sprawił jej o wiele większą przyjemność, niż wcześniej przypuszczała. Miło było poznać na nowo Briana, tak samo dobrodusznego jak zawsze i cieszącego się powszechną sympatią. Matka zagubiła się w dziwnym, na polu rzeczywistym, na polu urojonym świecie, lecz ostatnio okazywała znacznie mniejszą wrogość. Nieszczęsny Eddie został surowo ukarany za odejście z domu - Judy i Kitty niejednemu raz uśmieły się serdecznie z niesamowitych problemów, jakich przysparzała mu młoda Naomi. Kitty oświadczyła, że nie przyjmie go z powrotem, choćby czuł się do niej przez cały gaj wokół studni Świętej Anny.

Judy próbowała dopomóc świętej Annie w poszukiwaniach i zaczęła uczestniczyć w spotkaniach miejscowego klubu brydżowego w hotelu. Poznała dwóch przystojnych młodych mężczyzn, Franklina i Wilfreda. Obydwaj kanciarze, opowiadali z rozmarzeniem o serwisie komórkowym, który zamierzali założyć.

Kiedyś, w przyszłości.

Mieszkali u pewnej starszej pani, która nie opuszczała domu z powodu dawnego skandalu, trudno było się zorientować, o co właściwie chodzi, ale tak czy inaczej wydawali się Judy zbyt płacy i powierzchowni, więc zostawiła ich w spokoju razem z ich planami.

Judy ustaliła dla siebie zadowalający porządek dnia. Wizyta u mamy, potem trzy godziny w hotelowym pokoju przy ry sunkach, bez żadnych przerw. Wypijała filiżankę kawy w towarzystwie Kitty, po czym wkładała specjalny strój i szła do studni. Po drodze kupowała gazetę, a późnym popołudniem wypijała drinka z Brianem, który opowiadał jej o bieżących sprawach. Życie płynęło spokojnie. Nic wiedziała, dlaczego uciekała przed tym od tak wielu lat.

Wstąpiła umyć i wymodelować włosy do eleganckiego salonu Fabiana. Młody człowiek, który sprawiał wrażenie właści-

ciela, zwierzył się jej, że jest zakochany i ma nadzieję ożenić się jeszcze w tym roku. To ją zaskoczyło. Była przekonana, że jest gejem. Ale odkąd tu przyjechała, zdażyła zauważyć, że wszystko okazuje się inne, niż na początku wyglądało.

- Ja też mam nadzieję, że wyjdę za mąż - wyznała. - Zatrudniłam świętą Annę, żeby pomogła mi znaleźć męża.

- Z tym nie będzie pani miała najmniejszego kłopotu - odparł z galanterią Fabian. - Raczej będzie się pani opędzała od wielbicieli.

Na samą myśl o opędzaniu się od wielbicieli Judy nie zdołała powstrzymać uśmiechu. U Slattery'ego wybrała gazetę i podeszła do lady.

- To co zwykle, Sebastianie - powiedziała.

- Masz przepiękny uśmiech, Judy.

- Dziękuję - odrzekła zaskoczona.

Facet, którego wszyscy nazywali Skunksem Slatterym, nie był zazwyczaj skłonny do tego rodzaju drobnych uprzejmości.

- Mówię poważnie. Zastanawiałem się, czy może znajdziesz wolny wieczór, żeby... to znaczy, żebyśmy... no, czy moglibyśmy zjeść coś razem?

- Byłoby bardzo miło, Sebastianie - powiedziała Judy, usiłując odgadnąć jego stan cywilny. Nie słyszała z ust Kitty nic na temat pani Skunksowej, ale właściwie nigdy nie wiadomo.

- Jeśli nie obrzydła ci kuchnia w hotelu Rossmore, potrafia tam przyrządzić bardzo smaczną kolację - zapewnił ją żarliwie Skunks.

Zaproszenie do miejsca tak dostępnego dla wszystkich wykluczało istnienie pani Skunksowej.

- Który wieczór proponujesz, Sebastianie? - spytała.

- To już może kujmy żelazo, póki gorące. Dzisiaj o ósmej? - podsunął gorączkowo. - Na wypadek gdybyś nabrała wątpliwości albo coś w tym rodzaju.

Judy sprężystym krokiem podążyła w stronę studni. Wszystko układało się bardzo pomyślnie. Musiała tylko wypytać ludzi, dlaczego nazywają go Skunks.

Neddy Nolan powiedział swojej żonie Clare, że w końcu będzie musiał porozumieć się z braćmi w Anglii i dopilnować, by otrzymali, co im się należy za rodzinne grunty.

— Nie rozumiem dlaczego. Kit siedzi w więzieniu, więc go to nie dotyczy, a dwaj pozostali też od lat nie zajrzeli do domu. Nie wiemy nawet, gdzie przebywają.

- A l e mają prawo do tego, co im przypadnie w udziale, jeśli będziemy musieli sprzedać ziemię - wyjaśnił Neddy.

— Jakie prawo? Pytam poważnie, Neddy, jakie prawo? Nigdy ci nic nie dali, nie utrzymywali z tobą kontaktów, nie obchodziło ich, co się dzieje z waszym ojcem. - Clare okazywała w tej kwestii wielką stanowczość.

- A l e im się nie powiodło w życiu tak jak mnie. - Swoim zwyczajem wypatrywał u każdego dobrych stron.

— Dokonałeś tego wszystkiego sam, Neddy, a przy tym zawsze pamiętałeś o ojcu. Twój tata natomiast nie należy do ludzi, którzy tak by się roztkliwiali nad resztą rodziny - oznajmiła Clare. — Tamci nigdy nie musieli wypędzać lisów z kurnika, zajmować się krową, która się ociełiła na odległym polu, naprawiać plotów i remontować murów. Nigdy nie przyrzadzali twojemu ojcu posiłków, nie sprząтали po nim i nie wozili go na spotkania z kolegami.

Jej twarz wyrażała wierność i oddanie, i Neddy po raz kolejny zastanowił się, jak to możliwe, że Clare tak bardzo go kocha.

- W każdym razie niewykluczone, że z tej całej sprawy nic nie wyniknie — zauważył nieco żalonym tonem.

- N i e liczyłabym na to, Neddy - odpowiedziała Clare, która wiele słyszała w pokoju nauczycielskim u Świętej Ity, w hotelowym klubie brydżowym i w pralni, kiedy zostawiała tam wielką torbę z brudnymi rzeczami. Ostatnio nie mówiono już: „jeśli zbudują drogę”, tylko - „kiedy zbudują...”. W ciągu ubiegłych kilku tygodni nastąpiła delikatna zmiana.

Pewnego dnia Neddy będzie musiał podjąć decyzję. Clare nie zamierzała wywierać żadnych nacisków. Tę sprawę powi-

nien rozstrzygnąć sam. Czy sprzeda rodzinną farmę temu bandyckiemu konsorcjum, do którego należeli ludzie pokroju Ediego Flynna? Czy raczej wytrwa na posterunku, w nadziei że sam powstrzyma napór postępu i ocali las i studnię, bo w głębi swego wielkiego, naiwnego serca wierzył, że dzięki niej przed laty jego matka odzyskała zdrowie?

- Chyba nie idziesz na kolację ze Skunksem? - Ksiądz Flynn był niebotycznie zdumiony.

- Chcesz powiedzieć, że ma żonę i dziesięcioro dzieci? — spytała Judy nieco szorstkim tonem.

- Skądże znowu, która by za niego wyszła? - palnął Brian i natychmiast tego pożałował. - To znaczy, nigdy nie był żonaty, więc myśli się o nim jako o wiecznym kawalerze - dodał nieprzekonująco.

Judy zareagowała krótko i rzeczowo.

- Dlaczego wszyscy mówicie na niego „Skunks”?

- Nie mam pojęcia - odparł szczerze jej brat. - Nazywaliśmy go Skunks, odkąd sięgnę pamięcią. Sądziłem nawet, że to jego prawdziwe imię.

Lilly Ryan nie mogła uwierzyć, jak wielka zmiana zaszła w jej mężu Aidanie w ciągu ostatnich jedenastu miesięcy. Był wymizerowany, miał ściągniętą twarz i ciemne kręgi pod oczami. Ich syn Donal, który wcale nic chciał przyjąć, aż się cofnął przed tym mężczyzną o półprzymiotnym spojrzeniu.

- Proszę cię, Donal - szepnęła błagalnie Lilly, więc chłopak niechętnie wyciągnął rękę.

- Mam nadzieję, że opiekujesz się mamą jak należy. - Głos Aidana brzmiał bardzo surowo.

- Staram się - odparł Donal.

Miał osiemnaście lat i pragnął się znaleźć bardzo daleko stąd. Widywał już w przeszłości, jak tata bije mamę. Nie mógł znieść, że ona jest teraz tak żałośnie wdzięczna za tę możliwość odwiedzin.

- Na pewno nie wyjdzie ci to gorzej niż mnie — powiedział Aidan Ryan. - W obecności księdza i twojej, Donal, chcę przeprosić Lilly za to, jak przedtem ją traktowałem. Nie ma dla mnie żadnego usprawiedliwienia, więc nawet nie będę próbował go szukać. Alkohol i żal po zaginionym dziecku częściowo to wyjaśnia, lecz nie usprawiedliwia. - Przenosił spojrzenie z jednej twarzy na drugą.

Ksiądz Flynn milczał, ponieważ była to sprawa rodzinna.

Lilly zupełnie zabrakło słów, więc odpowiedział Donal. Bardzo dorosłym tonem oświadczył:

- Dziękuję, że powiedziałaś to przy świadkach. Na pewno nie było ci łatwo. Gdyby chodziło tylko o mnie i moje przebaczenie, za nic bym ci nie wybaczył, nawet za sto lat. Widziałem, jak tłukłeś moją Bogu ducha winną matkę nogą od krzesła. Ale życie toczy się dalej i jeśli mama poprosi, żebym ci wybaczył, rozważę to. Teraz już sobie pójdziemy, a ciebie zostawimy z księdzem Flynnem. I zobaczymy za tydzień, czy nadal będziesz czuł to samo. - Wstał, gotów do odejścia.

- Jasne, że będę czuł to samo, synu. Nie zamierzam zmieniać zdania - błagalnym tonem odrzekł Aidan Ryan.

- Zanim cię tu zamknęli, potrafiłeś zmienić zdanie w ciągu pół godziny. - Głos Donala brzmiał beznamiętnie. Chłopak ruszył ku drzwiom.

- Nie odchodź! - zawołał Aidan. - Nie zostawiaj mnie w niepewności, żebym przez tydzień nie wiedział, czy mi wybaczysz.

- Moja mama przez całe lata nie wiedziała, co takiego zrobiła, że zaczęłaś ją traktować w ten sposób. Możesz zaczekać tydzień. - Popychał matkę lekko ku wyjściu, żeby nie zdążyła się odezwać.

Ksiądz Flynn podziwiał chłopaka tak bardzo, że miał ochotę głośno wiwatować, lecz zachował niewzruszony wyraz twarzy.

- To z żalu, Donal - powiedział Aidan Ryan. - Każdy przeżywa go inaczej. Bardzo rozpaczałem po zniknięciu twojej siostry.

- Owszem - przyznał spokojnie Donal - ludzie różnie przeżywają takie rzeczy. Ja sam nawet nie znałem Teresy, ale zażdościłem jej, bo ktokolwiek ją wykradł, zabrał ją daleko od ciebie i twoich pijackich napadów furii...

I wyszli obydwójce.

Na korytarzu Lilly zwróciła się do syna:

- Dlaczego mi nie pozwoliłeś z nim porozmawiać? On tak bardzo chciał nas przeprosić...

- Porozmawiasz z nim za tydzień, mamó, jeśli nadal będzie tego chciał.

- Ale pomyśl tylko, on siedzi tam tak długo... - Jej oczy były pełne współczucia.

- Ty też siedziałaś jak w więzieniu, mamó - odparł Donal.

W rozmównicy, pod okiem strażników więziennych, ksiądz Flynn spoglądał na płaczącego Aidana Ryana.

- Czy ksiądz myśli, że ona mi przebaczy?

- Na pewno.

- W i ę c dlaczego nic nie mówiła?

- Bo jest w szoku, Aidanie. Potrzebuje czasu do namysłu. Wiesz, skąd ma wiedzieć, czy może ci przebaczyć? Rok temu wyładowała przez ciebie w szpitalu, a potem nie zgadzała się na jej odwiedziny. To wszystko wymaga zastanowienia, nie uważasz?

Ksiądz Flynn z zadowoleniem zauważył wyraz obawy na twarzy mężczyzny. To dobrze. Ksiądz wiedział, że w następnym wtorek Lilly Ryan wybaczy mężowi. Donal Ryan zapewne też o tym wiedział.

Niech Aidan się trochę pomartwi.

Myles Barry, prawnik, pojechał na farmę Nolanów. Miał ponurą minę.

Otrzymał oficjalny list z pewnego zakładu karnego w Wielkiej Brytanii. Niejaki Christopher Nolan (znany również jako Kit) uzyskał informacje o rekompensatach przysługujących rolnikom z okolic miasta Rossmore, których grunty będą zabrane pod budowę nowej obwodnicy. Pan Christopher Nolan

życzył sobie, by zostało odnotowane, iż jego ojciec, Martin Nolan, człowiek w zaawansowanym wieku, nie jest w stanie podjąć wiążącej decyzji w tej materii. Należało również uwzględnić fakt, iż młodszy brat pana Nolana, Edward Nolan (znany również jako Neddy) jest de facto upośledzony umysłowo. Nigdy nie był zdolny do wykonywania pracy wymagającej osobistej odpowiedzialności. Wykazał nawet nieudolność podczas robót budowlanych w Londynie. Byłoby zatem sprzeczne z zasadami sprawiedliwości, by którykolwiek z wymienionych podejmował decyzje, mogące przynieść straty rodzinie Nolanów. On, Christopher Nolan, zwraca się o odnotowanie i potwierdzenie jego praw do nieruchomości.

Myles Barry był wściekły jak jeszcze nigdy w życiu.

Ten Kit, nic niewart kryminalista, który wyczytał w jakiejś brukowej gazecie w więzieniu, że może wyciągnąć pieniądze od krewnych opuszczonych przez niego dawno temu, zgłaszał się teraz do podziału łupów!

Myles Barry musiał pokazać Nolanom ten list albo powtórzyć jego treść. I wcale mu się to nie podobało.

Przed domem natknął się na wychodzącego właśnie księdza Flynna.

- Mam nadzieję, że nie stało się nic złego? - zapytał.

- Nie - zaśmiał się ksiądz - to nie ostatnie namaszczenie ani nic w tym rodzaju. Marty życzy sobie, żeby od czasu do czasu przyjechać do niego z komunią, bo nie może uczęszczać do kościoła na mszę, tak jak kiedyś.

- M o ż e powinien się znaleźć w domu opieki? - podsunął Myles.

- A czy nie ma najlepszej opieki właśnie tutaj, przy Neddym i Clare? - zaperzył się ksiądz, nieświadom faktu, iż Neddy wyszedł z domu i zbliżył się do niego. - Gdybym miał zestarzeć się w Rossmore, chciałbym bardzo, żeby opiekował się mną ktoś taki, jak ci dwoje. To byłaby smutna ostateczność zostać samemu jak moja matka i nieszczęsny stary kanonik, którzy uparli się, że będą żyć samodzielnie, ale teraz po prostu walczą o każdy dzień...

Neddy, który podszedł bliżej, by powitać prawnika, włączył się swobodnie do rozmowy.

- Czy kanonik nie miewa się doskonale? Josef opowiadał mi, że proboszcz bardzo chciałby znajdować się w centrum wydarzeń, brać udział we wszystkim.

- Tak, Neddy, ale Josef chce odejść i pracować przy budowie nowej drogi, kiedy się rozpocznie.

- Jeśli się rozpocznie - uściślił Neddy.

- Nie, ja bym powiedział: kiedy - oznajmił Myles Barry. — Przyjechałem właśnie, żeby to omówić.

- Ach, no tak, więc nie ma nadziei, że decyzja należy do kogokolwiek z nas - zaśmiał się Neddy.

Ksiądz wszedł do auta i odjechał, a adwokat wszedł do kuchni. Neddy utrzymywał dom we wzorowym stanie. Myles Barry dostrzegł lśniące blaty, wyszorowany stół i błękitno-złotą porcelanę, starannie ustawioną na półkach.

Neddy powiedział, że ojciec odpoczywa w swoim pokoju, nalął prawnikowi duży kubek kawy i podsunął talerz herbatników domowej roboty. Widział w telewizji, w zeszłym tygodniu, jak kucharz je piekł, i wydało mu się to dość łatwe.

Był niewątpliwie naiwny, ale nie głupi.

W jednej chwili Myles Barry postanowił pokazać Neddy'emu ten przykry, tchnący chciwością list, napisany w angielskim więzieniu. Neddy przeczytał go powoli.

- Niezbyt wysoko nas ceni, nieprawdąż? - zauważył po długiej chwili.

- Przecież chodziłem z Kitem do szkoły. Zawsze traktował innych lekceważąco, wiesz, jak się zachowywał, tak naprawdę to nie miało znaczenia... - zaczął Myles Barry.

- Czy kiedykolwiek odezwał się do ciebie, odkąd skończyliście szkołę? - spytał łagodnie Neddy.

- Nie, ale wiesz, jak to jest, różnie w życiu bywa. Różnie się ludziom układa... - Myles sam nie wiedział, dlaczego usprawiedliwia Kita Nolana, któremu właściwie najchętniej by teraz przyłał.

- Do mnie też nie pisze. Posyłam mu list co miesiąc, od początku, opisuję, co się dzieje w Rossmore, jak się miewa tata i w ogóle. Napisałem mu, oczywiście, o tej nowej drodze. Ale nigdy mi nie odpisał.

- Może nie ma o czym - zauważył Myles Barry.

Kipiał w nim gniew na Kita. Ten miły, porządny Neddy pisał do brata co miesiąc, od lat, i co z tego? Kit zdobył się jedynie na list do adwokata, w którym stwierdzał, że Neddy jest półglówkiem.

- To prawda. Tam pewnie wszystkie dni są do siebie podobne. - Neddy ze smutkiem pokręcił głową.

- Porozumiało się z tobą konsorcjum Eddiego Flynna, prawda? Podobno mieli się z tobą spotkać.

- A tak, nic bardzo wiedziałem, jak się zachować.

- I co im w końcu powiedziałaś, Neddy? - Myles wstrzymał oddech.

- Powiedziałem, że nie mogę z nimi zawrzeć żadnej umowy i że nie przyjmujemy takiej olbrzymiej sumy pieniędzy, to po prostu skandaliczne.

- A oni co na to? - Myles zniżył głos do szeptu.

- N i e uwierzysz. Zaproponowali mi jeszcze wyższą kwotę! Zupełnie jakby nie słuchali, co mówię.

Myles Barry otarł czoło. Taki klient już mu się nigdy więcej nie trafi. Na szczęście.

- No więc co teraz, Neddy?

- Rozstrzygniemy to we właściwym czasie, kiedy przyjdzie nakaz wywłaszczenia. - Neddy zachowywał niezmacony spokój.

- Rozumiesz chyba, to znaczy, wyjaśniłem ci już, że władze nie zapłacą ani w przybliżeniu tyle, ile koledzy Eddiego Flynna. Bo widzisz, ci ludzie działają z pozycji siły. Wszędzie wykupili po kawalku ziemi.

- T a k , wiem, ale gdybym sprzedał im moją, stałaby się ich własnością, a ja nic miałbym nic do gadania na temat tego, co się dzieje.

Myles Barry zastanowił się, czy nie powiedzieć głośno, że Neddy Nolan i tak nie będzie miał nic do gadania w tej sprawie. Ale doszedł do wniosku, że nie warto.

— No więc, co odpiszemy Kitowi? - spytał rozpaczliwie.

- Nie ma potrzeby odpisywać Kitowi. Nie przysługują mu żadne prawa do tej farmy, może dostać tylko tyle, ile sam zechce mu dać. - Neddy rozejrział się z dumą po odnowionej kuchni w przypominającym niegdyś ruinę domu swego ojca.

— Cóż, zgadzam się, że chyba trudno by mu było dowieść prawnej zasadności roszczeń, ale, oczywiście, jako syn waszego ojca może...

— Nie, Myles, nie może. - Neddy wciąż zachowywał niezmacony spokój. — Nic, bo kiedy drugi raz wpłacałem za niego kaucję, musiałem tam pojechać. I znalazłem adwokata Anglika, bardzo miłego starszego pana. Nakłonił Kita do podpisania dokumentu, że w zamian za pieniądze na opłacenie kaucji zrzeka się roszczeń do rodzinnej posiadłości ziemskiej. To znaczy, wyjaśniłem temu prawnikowi, że chodzi zaledwie o kilka marnych hektarów, ale formalnie rzecz biorąc, jest to posiadłość. - Uśmiechnął się do własnych myśli.

- Czy nadal masz ten dokument, Neddy?

— O, tak. Wtedy Kit nie stawiał się na rozprawie i nigdy nie odzyskałem pieniędzy, a jak go znowu zamknęli, nie dostał zgody na zwolnienie za kaucją, więc nie warto było o nic prosić.

— Mógłbym zobaczyć ten dokument?

Neddy podszedł do dębowej szafki w kącie. Wypełniały ją schludne segregatory, które przyniosłyby zaszczyt każdej firmie. W ciągu kilku sekund wyszukał właściwy papier. Myles Barry zajrzał do szuflady z kartoteką. Zobaczył teczki oznaczone napisami: „Ubezpieczenia”, „Emerytura”, „Szkoła Świętej Ity”, „Zdrowotne”, „Wydatki domowe”, „Farma”... Wszystko to prowadził człowiek, który - zdaniem własnego brata - nie miał wszystkich klepek w porządku.

Sebastian Slattery okazał się doskonałym kompanem. Judy wdała się z nim w swobodną pogawędkę, a on bardzo się interesował jej pracą. Jak przystępowała do ilustrowania opowieści dla dzieci? Czy jeśli jakieś historie jej się nie podobały, trudniej było rysować do nich obrazki?

Zapytał, czy jechała kiedykolwiek do Francji pociągiem Eurostar. Zawsze obiecywał sobie, że to zrobi za następną bytnością w Londynie. Wyznał, iż sam właściwie nie ma rodziny. Był jedynakiem, a jego rodzice nie żyli. Miał kuzynów w małej miejscowości o nazwie Doon, leżącej niedaleko stąd i całkiem sympatycznej. Został zaproszony na otwarcie gmachu o nazwie Ośrodek Zdrowia imienia Danny'ego O'Neilla, na pamiątkę pewnego Irlandczyka, który wyemigrował do Ameryki, a teraz jego wnuk, w połowie Polak, zamierzał w ten sposób uczcić swego dziadka. Może Judy zechciałaby pojechać jako osoba towarzysząca?

- Dlaczego mówią na ciebie Skunks? - zapytała nieoczekiwanie.

- Jeśli mam być szczery, Judy, to nie wiem. Mówili tak w szkole i jakoś przyłgnęło. Może wtedy okropnie śmierdziałem. Ale teraz nie śmierdzę, prawda?

- N i e , Sebastianie, dla mnie pachniesz bardzo ładnie - odparła.

W tej właśnie chwili przeszedł obok nich Cathal Chambers, kierownik banku.

- C z e ś ć , Skunks, dobry wieczór, Judy - rzucił przyjaźnie.

- A c h , Cathal, właśnie o tym rozmawialiśmy. Od dzisiaj należy zwracać się do Sebastiana jego prawdziwym imieniem - oznajmiła Judy Flynn takim tonem, jakby miała przed sobą klasę niesfornych dziesięciolatków.

- No jasne, przepraszam, Skunks, to znaczy, Sebastianie, nigdy nie chciałem cię urazić.

A Skunks Slattery, nazywany tak od ponad trzydziestu lat, laskawie mu wybaczył.

Następnego dnia Judy została poddana ostremu przesłuchaniu przez bratową, Kitty, kiedy ślały łóżko pani Flynn i sadza-

ły ją w fotelu. Miały już ustalony porządek działań. Staruszka w końcu, acz niechętnie, rozpoznała córkę i z podobnymi oporami przezwyciężyła niedorzeczne uczucie wrogości wobec synowej, co stanowiło znaczący postęp.

Oczywiście poskarżyła się jak zwykle, że ktoś ukradł jej wszystkie ubrania, i nie zaznała żadnej pociechy, gdy Judy dziarsko rozpakowała czyste rzeczy przyniesione z pralni.

- No więc mów! Czy Skunks dobierał się do ciebie? — chciała wiedzieć Kitty.

- On ma na imię Sebastian i był naprawdę uroczy — odparła sztywno Judy.

- Skunks? Uroczy? - To przekraczało wyobrażenie Kitty.

- Już ci mówiłam, że nie będzie dłużej odpowiadał na to głupie szkolne przezwisko.

- Uplynie trochę czasu, Judy, zanim to do wszystkich dotrze.

- Cóż, on zaczyna od dzisiaj, maluje nowy szyld do zawieszania nad kioskiem - oświadczyła Judy.

Pani Flynn przeniosła spojrzenie z jednej na drugą.

- Mogłaś trafić gorzej. Skunks ma odłożoną niezłą sumkę - zauważyła.

- Nie wybiera się mężczyzny tylko dlatego, że coś odłożył - zaprotestowała Judy z wyrzutem.

- A więc dlaczego? Bo dobrze stepuje? - spytała jej mama i z bliżej niezrozumiałych przyczyn wydało im się to przezabawne.

Cathal Chambers z banku niepokoił się, że Neddy Nolan pożyczył tak dużo pieniędzy. Oczywiście farma stanowiła zabezpieczenie kredytu, lecz mimo wszystko była to spora suma. I pożyczył ją człowiek, który dwa razy się zastanawiał, zanim kupił sobie buty w sklepie z używaną odzieżą.

- Możesz mi powiedzieć, Neddy, po co ci potrzebne te pieniądze? - spytał Cathal.

- Dla moich doradców - wyjaśnił Neddy.

- Wielki Boże, jakie porady mogą aż tyle kosztować? - zdumiał się Cathal.

- Specjaliści w swojej dziedzinie żądają wysokich honorariów - odparł Neddy, jakby to cokolwiek tłumaczyło.

- Po prostu lepiej nie zatrudniać jakichś fuszerów, którzy mogą puścić cię z torbami albo coś. - Cathal mówił szczerze. Dobro Neddy'ego Nolana leżało mu na sercu tak samo, jak dobro banku.

- Nie, Cathal, to wszystko fachowcy wysokiej klasy - zapewnił go Neddy z lekkim, spokojnym uśmiechem.

Cathal spotkał się z adwokatem Mylesem Barrym.

- Myles, nie chcę się wtrącać w relacje prawnik-klient, ale co to za doradcy, ci, których wynajął Neddy Nolan?

- Doradcy? - Myles Barry nie zrozumiał, o co chodzi.

- T a k , płaci im olbrzymie honoraria.

Myles podrapał się po głowie.

- Nic mam zielonego pojęcia. Nie posiałem mu jeszcze ani jednego rachunku, a raczej nie mógł zaangażować innych prawników bez mojej wiedzy. Nie wiem, o czym mówisz, Cathal. Naprawdę nie wiem.

Lilly Ryan i jej syn Donal pojechali do więzienia w dniu odwiedzin. Tym razem nie prosili księdza o towarzystwo.

- Gdybyście mnie potrzebowali, będę w pobliżu u pewnej więźniarki - powiedział im.

Brian Flynn odbył zupełnie bezcelową rozmowę z nieszczęsną Beccą King, która wydawała się z dnia na dzień coraz bardziej szalona. Otrzymała karę wielu lat pozbawienia wolności za współudział w zamordowaniu swojej rywalki. Nie okazywała żadnej skruchy, powtarzała tylko, że to musiało się stać. Ksiądz miał nadzieję, że Becca nie poprosi go ponownie o udzielenie więziennego ślubu z owym młodzieńcem, na którego tle miała taką obsesję. I który nie chciał jej nawet odwiedzić w więzieniu, nie wspominając już o zawarciu małżeństwa. Ale tym razem chodziło o coś innego. O prośbę do świętej Anny spisaną na kartce, która miała zostać powieszona w grocie, gdzie każdy ją przeczyta.

Becca pokazała ją księdzu. Znajdowała się tam fotografia jej matki, Gabrielle King, a pod spodem było napisane: „Święta Anno, proszę, ukarż surowo tę kobietę za to, że zniszczyła życie swojej córce. A jeśli ktokolwiek z Twych wiernych wyznawców ujrzy ją na ulicach Rossmore, niechaj ją opluje w imię Twoje”.

Ksiądz Flynn poczuł się bardzo stary i zmęczony. Zapewnił z powagą, że pójdzie tam jeszcze tego samego popołudnia, potraktuje tę sprawę priorytetowo.

- Ta wiadomość musi się znaleźć w miejscu, gdzie wszyscy ją zobaczą! - zawołała za nim Becca, kiedy wychodził.

- Umieszczę ją na honorowym miejscu, Becco - obiecał.

Za drzwiami Kate, jedna ze strażniczek, położyła mu dłoń na ramieniu.

- **To** bardzo ładnie, że nie chce jej ksiądz denerwować.

- W i e pani, że wyrzucę tę kartkę, prawda? - spytał Brian Flynn.

- Oczywiście, że wiem, ale niech ksiądz raczej spali ją w domu, a nie zostawia byle gdzie, żeby znalazła ją pierwsza lepsza osoba - odparła Kate.

Brian Flynn wsunął kartkę do portfela, obok czeku, który przyszedł rano z Londynu. Były to pieniądze zapisane przez niedawno zmarłą damę, niejaką Helen Harris. Pragnęła podziękować świętej Annie za wysłuchanie prośby o bezpieczne przyjście na świat dziecka przed dwudziestu trzema laty. Może ksiądz spożytkuje tę sumę, jak uzna za stosowne, by uczcić świętą, napisała ofiarodawczyni.

Przysiadłszy na drewnianej ławce, na wypadek gdyby okazał się później potrzebny Lilly Ryan, ksiądz Flynn rozważał rolę kapłana we współczesnym społeczeństwie. Nie doszedł do żadnego zadowalającego wniosku, a tymczasem Lilly i Donal wyszli na korytarz.

- Wszystko w porządku? - zagadnął z niepokojem i rozzłościł się na siebie za samo pytanie. Jak mogło być wszystko w porządku w rodzinie, której ojciec siedział w więzieniu za znęcanie się nad żoną i która utraciła dziecko blisko ćwierć wieku temu?

O dziwo, Lilly kiwnęła głową, jakby to było najzwyczajniejsze w świecie pytanie.

- W zupełnym, proszę księdza. Rozumiem teraz, że on jest bardzo słabym człowiekiem. Nic zdawałam sobie z tego sprawy, bo wydawał się taki wielki i silny i karał mnie za moją głupotę. Ale w gruncie rzeczy jest słaby i wystraszony, w tej chwili to dostrzegam.

- I mama wie, że jej zrozumienie i wybaczenie nie oznacza, iż państwo także mu wybaczy i pozwoli wrócić do domu. Będzie musiał odbyć karę do końca - powiedział syn.

- T a k , a Donal był bardzo dobry. Naprawdę nie miał na to ochoty, ale żeby mi sprawić przyjemność, podał rękę swojemu tacie i życzył mu odwagi. - Zmęczona twarz Lilly wyglądała na mniej napiętą niż przedtem.

- W i ę c można powiedzieć, że osiągnęliście jakiś rezultat? - spytał ksiądz.

- Najlepszy w tych okolicznościach - przyznał Donal.

- To największa rzecz, na jaką każdy z nas może liczyć - podsumował Brian Flynn.

Clare zaprowadziła uczennice do Heartfelt Art Gallery w ramach zajęć szkolnych. Emer, kierowniczka galerii, była jej przyjaciółką. Popijały razem kawę, podczas gdy dziewczęta krążyły po salach i próbowały odpowiedzieć na pytania z kwestionariusza.

Emer wkrótce wychodziła za mąż za Kanadyjczyka o imieniu Ken, który zawsze jej się podobał, ale myślała, że go straciła. I nagle, ni stąd, ni zowąd, przyszedł do niej z naręczem kwiatów, po czym wszystko dobrze się ułożyło.

Ksiądz Flynn miał szybko i sprawnie poprowadzić ceremonię. Emer przypuszczała, że kapłan tak bardzo się cieszył, iż ktoś w tych czasach w ogóle przychodzi do kościoła albo chce wziąć ślub z osobą odmiennej płci, że zgodziłby się na wszystko.

- J e s t niezależnym człowiekiem - powiedziała Clare.

- To prawda - przyznała Emer. - Czy udzielał ślubu tobie i Neddy'emu?

- Nie, zrobił to kanonik, ale ksiądz Flynn mu asystował i przychodził z pomocą, gdy kanonik wdawał się w dygresje...

- Ostatnio często widuję twojego Neddy'ego, jak załatwia jakieś interesy w biurze niedaleko Kena, w tym starym zaadaptowanym młynie - poinformowała Emer.

- Neddy? Interesy?

- Cóż, tak przypuszczam, widziałam go dzisiaj, kiedy zaniosiłam Kenowi lunch do pracy. I wczoraj...

Clare milczała. Neddy nic nie wspominał o żadnych interesach. Poczula zimny dreszcz w sercu. Nie Neddy. Nie on, nigdy.

Emer zauważyła, co się dzieje.

- Mogłam się pomylić - dodała nieprzekonująco.

Clare nadal się nie odzywała.

- To znaczy, tam są same biura, małe pomieszczenia wynajmowane jako biura, no wiesz. Nie ma mieszkań ani apartamentów. Nie, Clare, z Neddym to wykluczone. On cię uwielbia, na litość boską.

- Sądzę, że dziewczęta miały wystarczająco dużo czasu, prawda? - spytała Clare szorstkim, nietypowym dla siebie tonem.

- Tylko błagam, nie wyciągaj pochopnych wniosków... przecież znasz mężczyzn - poprosiła Emer.

Clare знаła mężczyzn lepiej niż jakakolwiek kobieta w Rossmore.

- Chodźcie, dziewczęta, nie macie do dyspozycji całego dnia — oznajmiła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Wsiadając do samochodu, natknęła się na Cathala Chambersa z banku. Pozdrowił ją ciepło.

- Musicie z Neddym snuć wielkie plany co do tej waszej farmy - powiedział.

- Raczej nie, Cathal, nadal zupełnie nie wiadomo, czy droga będzie przebiegała przez sam środek, czy nie.

- Więc po co wam ci wszyscy doradcy, którzy kosztują taką masę pieniędzy?

- Nic nie wiem o doradcach kosztujących masę pieniędzy.

- Może źle zrozumiałem. Orientujesz się jednak, że zaciągacie ogromne pożyczki? - Okrągła twarz Cathala wyrażała niepokój.

- Pożyczki? A tak, tak, orientuję się... - bąknęła Clare w sposób zdradzający jednoznacznie, że nie ma zielonego pojęcia.

Swego czasu zdarzyło jej się pomyśleć, że Neddy jest po prostu zbyt dobry, by był prawdziwy. Może miała słuszość.

Gdy wróciła do domu, jej teść odbywał sjętę na ganku, który zbudowali razem. Pamiętała, jak wtedy podawała Neddy'emu gowódzie. Marty drzemał w głębokim wiklinowym fotelu, z kolanami przykrytymi lekkim, ciepłym pledem. To miejsce dawało Clare spokój i schronienie - a teraz wszystko się skończyło.

Neddy siedział przy kuchennym stole, założonym papierami.

- Chciałabym cię o coś ważnego zapytać, Eddy... - zaczęła.

- A ja mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia, Clare - odparł.

Judy Flynn cofnęła się o kilka kroków, by móc w pełni ocenić nowy szyld nad kioskiem Slattery'ego. Tablica wyglądała imponująco.

- To może trochę potrwać, zanim przestaną nazywać mnie Skunksem - powiedział z niepokojem Sebastian Slattery.

- Cóż, mamy czas - skonstatowała Judy.

- Nic musisz jeszcze wyjeżdżać, prawda? - zapytał z wierzchołka drabiny.

- Nie, jestem sama sobie szefową, ale nie śpię na pieniądzech i trudno mi dłużej przeciągać pobyt w hotelu Rossmore.

- Czy nie mogłabyś zamieszkać u mamy? - podsunął nowo nazwany Sebastian.

- Nie, znaleziono by ją martwą z nożem kuchennym w pierś, gdybym tam zamieszkała. - Judy dobrze знаła siebie.

- A u Kitty?

- Podobna sytuacja. Są to osoby, z którymi mogę się spotykać tylko od czasu do czasu i na krótko.

- No więc, co byś powiedziała na moje mieszkanie? Możesz się zatrzymać u mnie na górze, nad sklepem, dopóki... dopóki...

- Dopóki co, Sebastianie?

- Dopóki się nie pobierzemy i nie rozejrzemy za jakimś ładniejszym domem dla ciebie i dla mnie, znaczy dla nas...

- Czyżbyśmy mieli się pobrać? Przecież prawie się nie znamy - zauważyła Judy.

- Mimo to mam nadzieję - odrzekł Sebastian, schodząc po drabinie.

- W porządku. Wprowadzę się dziś wieczorem — oznajmiła.

- Hm... muszę najpierw przygotować pokój dla ciebie, posprzątać...

- To znaczy, że nie będziemy spać razem? W twoim pokoju? - zawołała z drugiej strony ulicy, ku ucieście przechodniów.

- T w ó j przerażający druidyczny brat zacznie mnie przesładować i mówić, że jestem niepoprawnym grzesznikiem albo coś w tym stylu.

- Nie opowiadaj głupstw, Sebastianie. Brian będzie zachwycony, że znaleźliśmy szczęście. Nie popiera takich rzeczy, o jakich wspomniałeś. Zbyt długo trzymasz się z dala od Kościoła...

Brian Flynn zdziwił się na widok Chestera Kovaca, postawnego Amerykanina, który ufundował Ośrodek Zdrowia imienia Danny'ego O'Neilla w Doon.

- Zastanawiałem się, czy mógłbym nakłonić księdza do udzielenia cichego ślubu mnie i Hannie Harty, wie ksiądz, bez wielkiej ceremonii...

- A l e ż oczywiście, najserdeczniej winszuję. Ale dlaczego nie pobierzecie się w Doon, gdzie mieszkacie? Ksiądz Murphy opiekuje się tamtejszą parafią.

- Nie, w Doon musielibyśmy wszystkich zaprosić, a jesteśmy już zbyt zaawansowani wiekowo, by tak się afiszować. No i chodzi też o doktora Dermota... nie chcemy urządzać przy nim demonstracji. To dość skomplikowane.

Ksiądz Flynn znalazł doktora Dermota, opryskliwego, malostkowego człowieka. Chętnie uwierzył, że sprawa nic jest prosta.

- Nie chciałem, żeby ominął was tak wielki dzień, tylko tyle - zapewnił Chestera.

- O, niech się ksiądz nie martwi, nic nas nie ominie. Mnóstwo ludzi przyjdzie na nasze wielkie przyjęcie, kiedy pojedziemy do Stanów na miesiąc miodowy. A potem przywieziemy tu na wakacje moją mamę. Ma na imię Anna, więc bardzo by chciała odwiedzić tutejszą studnię.

Ksiądz Flynn pomyślał, że pani Kovac powinna przyjechać jak najszybciej, jeśli chce jeszcze zobaczyć studnię, po czym przewertował terminarz, szukając dogodnej daty na udzielenie ślubu.

Gdy ogłoszono decyzję o budowie nowej drogi, nigdzie nie można było znaleźć Eddiego Flynnna. Rada miejska opowiedziała się zgodnie za przeprowadzeniem obwodnicy. Konsorcjum Eddiego wykupiło wszystkie istotne dla tego planu działki - z wyjątkiem farmy Nolanów. Zgodnie z planem droga miała przebiegać w prostej linii przez posiadłość i lasy, niszcząc studnię i grotę.

Eddie zapewnił pozostałych, że kupno ziemi od Neddy'ego Nolana to jak zabranie dziecku cukierka. Tak, rzeczywiście, Neddy tracił na tym wszystkim. Na podstawie nakazu wywłaszczenia nie mógł dostać nawet części tego, co proponowało konsorcjum. Ale Neddy miał zawsze nieco ograniczoną zdolność pojmowania. Prawdziwy problem polegał na tym, że Eddie Flynn nie dotrzymał słowa. Za to zniknął.

Kitty prawie tego nie zauważyła, podobnie jak dzieci. Natomiast Naomi bardzo się zaniepokoiła. Miała już materiał na sukienki dla drухen i dziewczynek sypiących kwiatki i chciała z nim na ten temat porozmawiać. Dlaczego zrobił to właśnie teraz? I nie zostawił jej żadnych pieniędzy na życie, a mieszkanie było zapłacone tylko za następne dwa miesiące. Nad wyraz kłopotliwa sytuacja...

Lilly Ryan dostała list od kuzynki z północnej Anglii. Pearl miała bardzo sympatycznego męża Boba i dwoje dorosłych dzieci. Wyglądało na to, że wydarzyło się coś milego. Dzieci, dotychczas chłodne i dalekie, może nawet wstydzące się trochę rodziców, stały się ostatnio znacznie przyjemniejsze. Pearl zawsze pisała bardzo szczerze, niczego nie udawała ani nie zadzierała nosa. Zastanawiała się, czy mogą z Bobem przyjechać i spędzić długi weekend w Rossmore. Oczywiście zrozumie, jeśli Lilly odpowie, że sprawią zbyt wiele kłopotu.

Lilly usiadła i napisała o wszystkim, o Aidanie i jego oskarżeniach, że nic potrafił dać sobie rady i mimo swej brutalności był słabym człowiekiem, że posiedzi w więzieniu jeszcze półtora roku, a ona bardzo by chciała, żeby ją odwiedzili. Wysławszy list, poczuła się o wiele lepiej, jakby potrzebne było opisanie całej historii, żeby zrozumieć jej sens. Zaproponowała Pearl wspólny spacer do studni Świętej Anny, na pamiątkę dawnych lat.

Clare i Neddy usiedli po dwóch stronach stołu. Clare nie spojrziała nawet na porozkładane wszędzie papiery. Czekala ją pierwsza i ostatnia sprzeczka z Neddym Nolanem - w dniu, w którym zamierzała mu powiedzieć, że okres spóźnia jej się o trzy tygodnie i być może oznacza to długo wyczekiwaną ciążę. Teraz już wiedziała, że nie ma o czym mówić.

Neddy odezwał się cichym głosem:

- Dzisiaj ogłoszono decyzję o budowie drogi, Clare. Tak jak przypuszczaliśmy, trasa przebiega dokładnie tędy, prosto w kierunku studni.

- Wiedzieliśmy, że tak będzie, ale odmówiłeś sprzedaży gruntów Eddiemu Flynnowi w chwili, gdy pieniądze mogły się okazać bardziej potrzebne niż kiedykolwiek. - Głos Clare brzmiał zimno.

- Gdybym sprzedał im naszą ziemię, na nic nie mielibyśmy wpływu - wyjaśnił jej takim tonem, jakby przemawiał do raczkującego bobasa.

- A jaki wpływ masz teraz? Mniej pieniędzy, tylko tyle...
- Nieprawda, Clare. Mamy to wszystko... - Ruchem ręki wskazał dokumenty i mapy na kuchennym stole.

- T o ?

- Zasięgnąłem porady specjalistów, wynająłem ekspertów, by naszkicowali alternatywny plan, inny przebieg tej drogi, żeby nie burzyć grotty Świętej Anny. Musiałem zaangażować architektów, inżynierów, rzeczoznawców i kosztowało mnie to majątek. Clare, musiałem pożyczyć pieniądze od Cathala Chambersa i teraz on myśli, że wdałem się w narkotyki, hazard albo coś podobnego.

Wtedy zrozumiała, że Neddy naprawdę na to wydawał pieniądze, a nie na szykowanie ukrytego miłosego gniazdka w zaadaptowanym starym młynie. Przyływ ulgi ustąpił jednak miejsca fali urazy.

- Dlaczego nie powiedziałaś ani jemu, ani mnie, na litość boską?

- Musiałem zachować tajemnicę, umawiać się tam, gdzie nikt mnie nie zobaczy.

- W starym młynie? - odgadła.

Mąż zaśmiał się z zakłopotaniem.

- A ja myślałem, że nikt o tym nie wie!

Pogładził jej dłoń i ucałował palce, jak to często robił. Uraza stopniała. Clare odczuwała teraz jedynie ulgę, że Neddy nadal ją kocha. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo się bała, że go straci.

- C z y to się uda, kochanie? - spytała słabym głosem.

Neddy Nolan zatrudnił cały sztab fachowców do sporządzenia map i ekspertyz. Trudno było w to uwierzyć.

- Sądzę, że tak - odparł spokojnie. - Widzisz, wynająłem też specjalistę od public relations, żeby nam pokazał, jak przekonać ludzi do tego nowego projektu. Znajdźcie dla nas instruktora przed występem w telewizji.

- W telewizji?

- Jeśli się zgodzisz, możemy we dwoje wziąć udział w ob-

szernym programie informacyjnym i przedyskutować całą tę sprawę z deweloperami.

- Możemy? - szepnęła Clare.

- Owszem, możemy wyjaśnić, dlaczego tak wielu ludzi z naszych okolic jest wdzięcznych świętej Annie i pragnie zachować studnię i grotę. Sprzeciwianie się nam nie miałyby wtedy sensu.

- Ale, Neddy, czy nie dało się tego zrobić bez konieczności zatrudniania tych wszystkich ekspertów?

- Właśnie o to chodzi, że nie! - zawołał Neddy. - Bylibyśmy wówczas tylko katolickimi, staroświeckimi, przesądnymi oszołomami, stojącymi na drodze postępu. Przypominalibyśmy starą Irlandię, zakorzenioną w historii i tradycji, przeciwstawiającą się dobrej, nowoczesnej Irlandii, pragnącej lepszego życia dla wszystkich...

- A teraz?

- Teraz mamy całkowicie wykonalny alternatywny plan. Plan, za który zapłaciliśmy, ty i ja, z własnych pieniędzy, odrzucając bardzo korzystne oferty finansowe różnych konsorcjów i tym podobnych. - Wskazał ruchem głowy dębową szafkę. - Mam tam dokumenty potwierdzające każdy szczegół. Będzie wiadomo, że mówimy prawdę i mamy na to wiarygodne poparcie.

- Wię c którą przebiegnie droga?

Clare pochyliła się nad planami, a Neddy pogładził jej włosy, pokazując drugą ręką proponowaną trasę. Nowa szosa nadal przecinała farmę Nolanów, lecz później skręcała, co pozwalało zostawić nietkniętą sporą część Głogowego Gaju, tę otaczającą grotę. Zaprojektowano tam duży parking oraz boczną drogę dla odwiedzających, by mogli dotrzeć bezpośrednio do studni, bez przejeżdżania przez Rossmore. Jednocześnie mieszkańcy miasteczka mogli jak przedtem chodzić przez ocалony kawałek lasu.

Clare popatrzyła z podziwem na męża. To mogło się udać. Rząd zmierzający do powszechnych wyborów, a także samorząd lokalny obawiający się oskarżenia o łapownictwo prawic

na pewno zechcą wykorzystać tę szansę uniknięcia potężnej konfrontacji, na jaką się tu zanosilo. Rozwiązanie Neddy'ego wydawało się idealne dla wszystkich.

— Szkoda, że mnie nie wtajemniczyłeś - powiedziała.

— Zamierzałem to zrobić, ale wyglądałaś na zmęczoną. I codziennie musisz być w szkole, a ja po prostu zostaję sobie tutaj. Mam o wiele łatwiejsze życie.

Rozejrzała się po lśniącem czystością domu, który Neddy utrzymywał w nieskazitelnym porządku dla nich trojga. Nie było to wcale takie łatwe życie i wiedziała o tym. Ale Neddy nigdy nic narzekał.

- Hej, wspomniałaś, że masz mi coś do powiedzenia... Co takiego? - zapytał.

Clark wyznała, że istnieje pewna niewielka szansa, iż może być w ciąży. Neddy wstał i otoczył ją ramionami.

— Byłem dzisiaj w grocie i wiem, że to niedorzeczne, ale powiedziałem, że obydwójce bardzo tego pragniemy - szepnęła z ustami tuż przy jej włosach.

— Cóż, święta musiała coś uczynić dla tego, kto chce ocalić jej studnię - zauważyła Clare.

Nadal stali objęci, gdy wszedł Marty Nolan.

— Przyjechał ksiądz Flynn i nikt mu nie otwierał, więc chciałem sprawdzić, czy z wami wszystko w porządku. - Był oburzony, że ściągnięto go z fotela.

Gdy siedzieli przy herbacie i domowych herbatnikach, ptaki zaczęły się gromadzić przed nocą w koronach drzew. A słońce chyliło się ku zachodowi nad lasem, który Neddy Nolan prawie na pewno uratował.

Ksiądz wiedział, że jego siostra Judy jest teraz tam, obok studni, dziękuje świętej Annie i mówi jej, że nie spodziewała się tak szybkiego rezultatu.

W zapadającym zmroku Brian słuchał o planach Neddy'ego.

Neddy zamierzał kupić dom znacznie bliżej Rossmore. Być może zechcieliby tam zamieszkać matka księdza oraz kanonik.

Nie oddaliliby się wtedy za bardzo od miasta. Jest jeden wspólny dom z ogrodem, który z pewnością spodobałby się kanonikowi. Neddy zaopiekowałby się nimi wszystkimi.

A gdyby tak się złożyło, że przyszyłoby na świat dziecko, mógłby zająć się również niemowlęciem. Miło będzie starszym osobom mieć w pobliżu takie maleństwo.

Przynajmniej raz nastąpiła taka chwila, że ksiądz Flynn nie potrafił znaleźć słów. To, co uważał dotychczas za źródło porzekających pustych frazesów, najwyraźniej wyschło.

Spojrzał na siedzącego przed nim porządnego, uczciwego człowieka i po raz pierwszy od dawna dostrzegł jakiś cel w życiu, które wydawało się ostatnio tak pogmatwane i pełne sprzeczności na każdym kroku.

Potem popatrzył na ciemniejącą ścianę lasu.

I teraz wcale nic było to dla niego dziwactwo, że uważa Głogowy Gaj za bardzo szczególne miejsce, w którym przemówiło tak wiele głosów i ziściło się tak wiele snów.